



# ŚMIERĆ KOLEKCYJONERA AGNIESZKA PIETRZYK

*Elbląg jeszcze nigdy nie był tak  
niebezpiecznym miastem.*

Jan Mądrywołek [www.tramwajnr4.pl](http://www.tramwajnr4.pl)



# **ŚMIERĆ KOLEKCJONERA**

**ŚMIERĆ  
KOLEKCJONERA  
AGNIESZKA  
PIETRZYK**

Copyright © Agnieszka Pietrzyk, 2016

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Monika Długa

Redakcja: Natalia Szczepkowska

Korekta: Magdalena Kusak / panbook.pl

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-430-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

# Rozdział I

Padało całą noc. W okna hotelu uderzały niesione wiatrem ciężkie krople deszczu, budząc gości. Rano nad ulicą Kowalską wciąż wisiały ciemne chmury, w każdej chwili znów mogło się rozpadać. Kilka minut po ósmej przed hotel zajechała taksówka. Wysiadł z niej mężczyzna w czarnym płaszczu z elegancką, niewielką torbą podróżną w ręku. Samochód ruszył, a on skierował się do drzwi hotelu „Pod Lwem”.

W holu było ciepło i tak jasno, że musiał przymrużyć na moment oczy. Pod sufitem wisiało kilka żyrandoli bijących mlecznym światłem. Za kontuarem stała dziewczyna w szarym mundurku; przywitała go uśmiechem. Spojrzał na jej identyfikator: Ester Kucharczyk. Co to za imię? Starotestamentowe? Przyjrzał się dziewczynie, szukając semickich rysów i mimowolnie porównując ją do swojej siostry. Jego mała Lola, choć była już po pięćdziesiątkę i nie widział jej od piętnastu lat, miała żydostwo wypisane na twarzy. Tak zawsze mówił dziadek, ojciec ojca, splotał przy tym gęstą, żółtawą śliną. Raz się nawet zapomniał i splunął na widok wnuczki na wypastowaną podłogę.

Recepcjonistka miała zwyczajną, słowiańską twarz, wręcz nieznośnie banalną. Mały nos, małe usta i spuchnięte powieki, pewnie od płaczu. Z tą oznaką smutku kontrastował firmowy uśmiech, szeroki i nieruchomy.

– Witaj, Ester.

Przywitał się jak ze znajomą, czym ją zaskoczył. Uniosła do góry cienkie brwi, jakby pytając: Skąd pan zna moje imię? Wskazał palcem na identyfikator przyczepiony do kieszonki.

– Zapominam, że go noszę – wyjaśniła, zasłaniając plaketkę dłonią. – Ma pan rezerwację?

Położył na kontuarze dowód osobisty. Podniosła go i przeczytała:

– Henryk Szymański.

Przebiegła drobnymi palcami po klawiaturze komputera.

– Panie Henryku, mamy dla pana pokój na trzecim piętrze, numer trzydzieści dwa.

– Czy tam jest sejf? – zapytał.

– Tak, w szafie.

Wsunęła mały palec w kółeczko, do którego przyczepiony był klucz, i wyszła zza kontuaru.

– Zapraszam do windy.

Miała wąskie biodra i chude nogi. Patrzył na nią zde gustowany. Kobieta powinna mieć wygląd. Wiek jest nieważny, ale łydka, udo, talia – to ma znaczenie.

Gdy rozsunęły się drzwi windy, podała mu klucz i z przeproszającym uśmiechem powiedziała:

– Nie mogę zostawić recepcji, jestem dzisiaj sama, koleżanka choruje.

– Rozumiem, Ester, poradzę sobie.

Pokój był nieduży, a jego przestrzeń skutecznie pomniejszały jeszcze wystające murki, przypominające, że hotel „Pod Lwem” mieścił się w budynku zrekonstruowanym na wzór zabudowy sprzed kilkuset lat. Fioletowe ściany i zasłony, podwójne łóżko z trzema poduszkami haftowanymi w kwiaty, wysoka lampa

z mlecznym kloszem, na ścianach czarno-białe fotografie przedstawiające uroczne zakątki Elbląga. Poza tym dwa białe foteliki przeznaczone raczej dla dzieci, a nie dorosłego mężczyzny, stolik, no i szafa. Otworzył ją. Sejf znajdował się na wysokości oczu, przytwierdzony do tylnej i bocznej ściany. Zamek szyfrowy... Doskonale. Przez kilkanaście najbliższych godzin sejf miał pozostać pusty, ale wieczorem... tak, to stanie się już dzisiaj, jeszcze trochę i będzie je miał, a wtedy na czas pobytu w Elblągu schowa je w seffie.

Z torby wyjął garnitur, uszyty specjalnie na dzisiejszą okazję. Miał dodać mu pewności siebie, sprawić, że inni zobaczą w nim mężczyznę, któremu trzeba zejść z drogi. Zbroją dzisiejszego człowieka interesu jest garnitur. Im bardziej wytworny, tym wygrana pewniejsza.

Z torby wydobył też teczkę z jasnej skóry. Była tak cienka, że przywodziła na myśl skoroszyt. Prezent dla Anny – nie sama teczka, ale jej zawartość. Wiedział, że sprawi jej przyjemność, i przede wszystkim liczył na to, że kierowana wdzięcznością, zrobi mu dziś wieczorem dobry PR. Tymi swoimi namiętnymi ustami szepnie do niejednego ucha, że on przyjechał tu jak po swoje i z pustymi rękami nie wyjedzie.

Anna zadzwoniła do niego cztery godziny później z holu hotelu. Przygładził ręką włosy, poprawił sweter, wziął teczkę i wyszedł z pokoju. Z windy wysiadły dwie osoby, kobieta o ciemnych włosach i wysoki mężczyzna, krótko ostrzyżony, z odstającymi uszami. Zanim za Henrykiem zamknęły się drzwi windy, usłyszał jeszcze głos kobiety mówiącej coś do swojego towarzysza.

Szwedzi? Tak, to na pewno był szwedzki. Czy oni też przyjechali do Elbląga na aukcję? To wielce prawdopodobne, szwedzcy kolekcjonerzy słynęli z tego, że jeździli po Europie Środkowo-Wschodniej i polowali na co ciekawsze okazy. Ponadto znani byli też z obsesji na punkcie własnych zbiorów. Ostatnimi czasy przez kolekcjonerski światek przemknęła wieść, że jakiś mieszkaniec Sztokholmu dosłownie zabrał ze sobą do trumny całą kolekcję. Albo ten lekarz z Malmö, który zabił swoją ciotkę, żeby odziedziczyć jej zbiór. Nie brakuje wariatów.

Anna siedziała na kanapie w rozpiętym płaszczu, czekając aż do niej podejdzie. Pocałował ją w policzek.

– Zjesz ze mną obiad, skarbie? – zapytał.

Zajrzała do torebki, poprawiła kołnierz. Robiła wrażenie niezadowolonej, nadąsanej. Na początku zawsze chłodna, wyniosła, gdy tylko zaczynał ją adorować, stawała się przymilna, czuła. Oboje odgrywali role, które im odpowiadały. On lubił zdobywać, przeistaczając się w szarmanckiego uwodziciela, a ona uwielbiała być zdobywana, stając się obiektem pożądania. Żaden z niego Don Juan, po prostu starszy, siwy pan z wydętym brzuchem, a ona zwykła urzędniczka w średnim wieku z tłustym tyłkiem.

– Pięknie wyglądasz – powiedział.

– Nie żartuj. – Machnęła lekceważąco ręką.

Postarała się, żeby dzisiaj dobrze wyglądać. Miała świeżo pofarbowane włosy upięte w kok. Jej duży biust opinała biała, koronkowa bluzka.

– Ślicznie pachniesz – wyszeptał, przybliżając twarz do jej szyi.

Zachichotała jak nastolatka.

– Gdzie pójdziemy na obiad? – zapytała nieco życzliwszym tonem.

– Tutaj, do hotelowej restauracji.

Wybrali stolik za kolumną przyozdobioną głową lwa. Anna przewiesiła płaszcz przez oparcie wysokiego krzesła. Henryk dojrzał stojący przy ścianie wieszak. Zerwał się, chyba zbyt gwałtownie, bo aż strzyknęło mu w plecach, wziął jej płaszcz i odwiesił. Anna przeglądała menu, wodząc palcem po karcie. Henryk zamówił zupę cebulową i sandacza z frytkami. Kobieta grymasiła, twierdząc, że w przydrożnym barze jadłospis jest ciekawszy. W końcu poprosiła o flaczki wołowe oraz zapiekane

ziemniaki z żółtym serem.

– Wybierasz się w tym roku do Oslo? – zapytał.

– Oslo już nieaktualne.

Usłyszał żal w jej głosie.

– Mój synek zerwał z tą swoją Ulą, to nawet dobrze. Żebyś ją widział, prawdziwa córka Wikingów, taki rudy wielkolud! Ale skończył nie tylko z nią, rzucił też robotę w ubojni i wrócił do Polski. Nawet się cieszę, bo mam go teraz na oku. Chciałabym tylko, żeby znalazł tu jakąś uczciwą robotę. No i o kolejnym wyjeździe do Oslo mogą zapomnieć, przynajmniej na razie.

– Mam coś, co poprawi ci humor. – Położył przed nią cienką, skórzaną teczkę.

Uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając duże, żółtawe zęby. Palcem przesunęła po krawędzi teczki, potem ją otworzyła, bardzo wolno, jakby chciała przedłużyć chwilę rozkosznego oczekiwania. Na widok zawartości klasnęła w dłonie. Para siedząca przy oknie zasłoniętym kotarą obróciła się w ich stronę. Wyglądali dość oryginalnie, zwłaszcza ona, chyba jeszcze bardzo młoda, uczesana w dwa warkocze i ubrana w biały frak. Towarzyszył jej mężczyzna w granatowej marynarce, z tym rodzajem łysiny, którą zwykło się nazywać wysokim czołem.

– Harry, jesteś cudowny. – Ożywiła się Anna.

Trzymała w dłoni akcję fabryki czekolady z Krakowa A. Piasecki z 1933 roku o nominale stu złotych. Spośród wielu starych papierów wartościowych, jakie Henryk posiadał, wybrał dla Anny właśnie ten. Znał jej kolekcjonerskie upodobania. Zbierała jedynie walory o bardzo bogatej grafice, a te z krakowskiej fabryki czekolady były najlepszym przykładem artystycznego zdobnictwa papierów wartościowych. Wzdłuż krawędzi dokumentu biegła imponująca bordiura z geometryczno-roślinnym motywem, w którą wkomponowane zostały herb Krakowa i antyczne postacie. U góry akcji widniała winieta z logo firmy przedstawiająca dziewczynę w stroju krakowskim na tle Wawelu. Uroku walorowi dodawała też sinofioletowa kolorystyka i chropowata faktura.

Henryk posiadał w swojej kolekcji jeszcze dwa identyczne papiery. Kilkanaście miesięcy temu kupił je na aukcji internetowej po dziewięćdziesiąt dziewięć złotych za sztukę od jakiegoś nowicjusza. Codziennie przeglądał sieć w poszukiwaniu białych kruków i czasem na nie trafiał, gdy ktoś robił porządek na strychu dziadków i znalezione akcje, obligacje czy listy zastawne usiłował sprzedać w internecie. W ten sposób udało się Henrykowi nabyć w ostatnich tygodniach – za bagatela siedemdziesiąt złotych – imienną akcję poznańskiej spółki Bniński, Chłapowski, Plater z 1862 roku o nominale dwustu talarów. Dzisiaj swoją kolekcję planował uzupełnić o prawdziwy unikat, a mianowicie akcje elbląskich zakładów Schichaua. Kapsie spadły mu z nóg, gdy zobaczył je w katalogu aukcyjnym – pojawiły się na rynku niespodziewanie. Wcześniej wszyscy o nich mówili, ale nikt ich nie widział. Nie było dowodów na to, że się w ogóle zachowały. A tu niejaki Tomasz Adamiak z Rudy Śląskiej ogłasza, że chce sprzedać właśnie akcje zakładów F. Schichaua. Jak wszedł w ich posiadanie – nie wyjaśnił. Pojawiły się pogłoski, że to fałszywki. Stowarzyszenie wysłało je więc do Narodowego Banku Polskiego i tamtejszy ekspert potwierdził ich autentyczność.

Przed Henrykiem stanął talerz z zupą cebulową, Anna mieszała łyżką we flaczkach wołowych. Uśmiechała się do niego.

– Co dzisiaj planujesz kupić? – jej głos stał się przymilny, pieszczotliwy.

– Przecież wiesz, że przyjechałam po akcje zakładów Schichaua. Oby ktoś mi ich nie sprzątnął sprzed nosa.

Anna pokiwała głową, jakby podzielała jego obawy. To go zaniepokoiło.

– Może słyszałaś, że ktoś planuje je dziś ustrzelić?

– Tak, sędzia Lasocki – odpowiedziała krótko.

Henryk wytarł czoło serwetką, ręka mu drżała. Znał sędziego, był przecież prezesem Stowarzyszenia Kolekcjonerów Historycznych Papierów Wartościowych. Dobrze pamiętał tę twarz, nieruchomą jak maska, ze ściągniętymi brwiami, przez co sędzia wyglądał na wiecznie niezadowolonego. Bez wątpienia był dobrym kolekcjonerem, miał wiedzę o finansach i historii gospodarczej, czym chwalił się chętnie podczas kolekcjonerskich spotkań, wygłaszał też prelekcje na temat starych papierów. Miał znakomite rozeznanie w grafice artystycznej. Podobno studiował nawet przez jakiś czas na Akademii Sztuk Pięknych, ale zrezygnował na rzecz prawa. W środowisku mówiło się o sędzim Lasockim, że jest rasowym kolekcjonerem z żyłką detektywistyczną i wynajduje najciekawsze okazy, bezbłędnie umiając rozpoznać wartość nieznanymi wcześniej papierów. Henryk spodziewał się, że Lasocki może mu przeszkodzić w zakupie akcji zakładów F. Schichaua. Przecież ten człowiek był z Elbląga, to normalne, że zależy mu na dokumentach związanych z przemysłową historią miasta. Zapewne planuje ozdobić nimi swój gabinet w sądzie.

– Harry, rozchmurz się – poprosiła słodko Anna. – Bo pomyślę, że to ja wpędzam cię w ten ponury nastrój.

Kończyła już jeść flaczki, jemu zostało pół talerza zupy.

– Zastanawiałem się, czy czasem nie przyjedzie jakiś szwab, krewny Schichaów, i nie będzie próbował kupić tych akcji.

– Wszystko możliwe – zauważyła. Chyba zdała sobie sprawę, że jej odpowiedź jest zbyt zdawkowa, jak gdyby miała gdzieś jego obawy. Dodała więc szybko: – Tak naprawdę dopiero dzisiaj wieczorem okaże się, ilu jest chętnych na te walory. Może nie będzie tak źle. Będę trzymała kciuki, żeby ci się udało.

Pogłaskał jej lewą dłoń, potem uniósł ją i ucałował.

– Patrz na nas – syknęła.

Henryk rozejrzał się po restauracji i napotkał wzrok mężczyzny z wysokim czołem, który wpatrywał się w nich w skupieniu. Jego młoda towarzyszką z warkoczami przeciwnie, zajęta była posiłkiem. Dlaczego tak się nam przygląda? Czy to też jakiś kolekcjoner? To chyba jakaś obsesja, że Henryk wszędzie widział rywali. Niestety, w ostatnim czasie pojawiło się kilku młodych ze sporą kasą, którzy psuli rynek, podbijając niepotrzebnie ceny. Prezes też na nich narzekał, nazywał „napalonymi Cypiskami”.

Henryk zwrócił się do Anny:

– Mam nadzieję, że dzisiaj w nocy uczysz ze mną zakup akcji zakładów Schichaua.

Jej duże usta najpierw rozciągnęły się w uśmiechu, ale zaraz zrobiła naburmuszoną minę.

– Proponuję ci szampana w dużym, hotelowym łóżku – dodał zachęcająco.

– Ja dobrze wiem, co ty mi proponujesz, robaczku. Tylko co ja powiem synowi? Że przenocuję dzisiaj u znajomej? Ale czy on w to uwierzy? Wątpię, jest taki podejrzliwy.

– Powiedz mu prawdę, przecież jest dorosły.

Anna zaśmiała się głośno.

– Prawdę, chyba żartujesz? Nie wiesz, że synowie bardziej pilnują swoich matek niż mężowie żon? Gdy Łukasz mieszkał w Norwegii, miałam spokój, a teraz znowu mnie terroryzuje, synuś kochany. – Zerknęła na zegarek. – Jest późno, muszę już lecieć, zrobić obiad Łukaszowi.

Podał jej płaszcz. Zapinała się z pośpiechem. Wzięła prezent i wyszli z restauracji. Był w samym swetrze, ale mimo to odprowadził ją na parking. Zanim wsiadła do samochodu, zapytała:

– Kiedy wracasz do Olsztyna?

– Dopiero w sobotę, będziemy mieli prawie trzy dni dla siebie.

Zadowolona ją ta odpowiedź. Cmoknęła go w policzek i wsiadła do starej skody.

Gdy wrócił do hotelu, zobaczył Ester stojącą za kontuarem. Obdarzyła go tym samym firmowym uśmiechem co parę godzin wcześniej.



– Chciałbym jutro zabrać gdzieś moją znajomą, do teatru albo na koncert. Co byś mi poleciła, Ester?

– Jutro w teatrze jest koncert Elbląskiej Orkiestry Kameralnej. Myślę, że pani Ania wybierze się z przyjemnością.

– Znasz Annę? – Nie ukrywał zaskoczenia.

Recepcjonistka wyglądała na zakłopotaną. Patrząc gdzieś w bok, odpowiedziała:

– Tak, a właściwie nie, znam jedynie jej syna, Łukasza, i to też niezbyt dobrze.

– Czy możesz mi załatwić dwa bilety na ten koncert?

Na jej twarz powrócił firmowy uśmiech.

– Ależ tak, jutro rano będzie pan mógł odebrać je w recepcji.

Henryk wrócił do pokoju. Do aukcji pozostały jeszcze cztery godziny. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić, coraz bardziej się denerwował.

Mieć to już z głowy. Kupić te papiery, zamknąć w sejfie i odetchnąć pełną piersią. Właściwie lubił aukcje, tę podniosłą atmosferę jak na mszy, te szept i westchnienia, to napięcie wzrastające z każdym kolejnym przedmiotem licytacji, aż do najcenniejszego waloru. Najbardziej jednak cenił sobie gratulacje na koniec, gdy podchodzili do niego kolekcjonerzy, by uścisnąć mu dłoń, jedni z podziwem i szacunkiem, inni z zazdrością i niechęcią. Wtedy naprawdę był wielki. Dzisiaj ten moment chwały mógł go ominąć, gdyby zaszczytu dostąpił ktoś inny, na przykład sędziego Lasocki. Nie żałowałby mu akcji zakładów Schichaua, lecz właśnie tej chwili triumfu.

Henryk włożył garnitur. Udało mu się nawet znaleźć krawat o identycznym odcieniu brązu. Śnieżnobiała koszula znakomicie dopełniała całości, no i buty na cienkiej podeszwie, nieco ciemniejsze od garnitur, też zadawały szyku.

Do aukcji jeszcze godzina, najchętniej położyłby się na moment, bo bolały go plecy. Chyba znowu stan zapalny dawał o sobie znać, ale przede wszystkim zbyt raptownie się zerwał, żeby odwiesić płaszcz Anny. Za szarmanckie porywy płaci się zdrowiem, przynajmniej po sześćdziesiątce, pomyślał. Nie chciało mu się zdejmować garnitur, usiadł więc na brzegu łóżka i czekał. Nie powinien się spóźnić, ale pojawienie się przed czasem też byłoby niekorzystne. Najlepiej przyjść punktualnie i pewnym krokiem wejść na salę, żeby wszyscy mieli okazję go zobaczyć i nabrać przekonania, że ten dystyngowany pan w eleganckim garniturze wylicytuje dzisiaj najcenniejsze akcje.

Henryk w końcu się podniósł. Poprawił kanty nogawek, wygładził klapy marynarki, przesunął dłonią po przerzedzonych włosach i wyszedł z pokoju. Aukcja miała odbyć się w sali konferencyjnej na pierwszym piętrze hotelu. Od razu natknął się tam na dobrze mu znane małżeństwo Kruków z Białegostoku, dwoje zapalonych kolekcjonerów – traktowali swój zbiór jak inwestycję, która ma przynieść zysk. Wyszukiwali tanie i ciekawe akcje, trzymali je rok, dwa, a potem sprzedawali drożej. Teraz mieli w swym zbiorze kilkadziesiąt naprawdę interesujących papierów. Pan Kruk wyznał niedawno Henrykowi w wielkiej tajemnicy, że proponowano mu bardzo dobrą cenę za kilka walorów, ale on jej jednak nie przyjął, bo zainteresowany miał podejrzaną nazwisko, Goldblum czy jakoś tak.

Czasami uprzedzenia są silniejsze niż chęć zysku. Henryk dobrze o tym wiedział, dlatego nigdy nie wspominał o swoich żydowskich korzeniach. Jako Żyd skupujący polskie walory nie mógłby liczyć na szacunek środowiska, jakim się teraz cieszył. Poza tym czuł się stuprocentowym Polakiem.

Szli korytarzem, Henryk pośrodku, pani Kruk po jego lewej stronie, a pan Kruk po prawej, niczym gwardia przyboczna. Przed wejściem wpisali się na listę uczestników aukcji i odebrali numerki.

Na sali było jasno. Granatowe obicia wysokich krzeseł lśniły nowością. Spośród kilkunastu rzędów połowa była już zajęta, głównie przez mężczyzn, dominujących w tym środowisku, choć przybywało coraz więcej pań. Teraz też kilka spacerowało bądź stało, prezentując kreacje. Uwagę Henryka zwróciły dwie kobiety podziwiające ogromne fotografie znajdujące się na ścianach. Jedną z nich znał, była to

Karolina Potocka, młoda i nawet ładna, ale pozbawiona zmysłu kolekcjonerskiego.

Zaczął rozglądać się za innymi znajomymi twarzami. Polskie środowisko zbieraczy papierów wartościowych liczyło tylko trochę ponad czterysta osób, chociaż wciąż dochodzili nowi. Wielu Henryk znał z nazwiska i orientował się w ich upodobaniach, a także zbiorach. Właśnie dojrzał Bogdana z Braniewa, który siedział w trzecim rzędzie i przeglądał katalog aukcyjny. Na szczęście Bogdan nie przyjechał do Elbląga po akcje zakładów Schichaua, jego konikiem były wyłącznie walory przedsiębiorstw tramwajowych i kolejowych, głównie te z grafiką przedstawiającą pojazdy szynowe. Ostatnio chwalił się Henrykowi nową zdobyczą, akcją kolei Kijowa z 1907 roku na dwieście pięćdziesiąt rubli w złocie.

Narastał gwar. Kolekcjonerzy wymieniali się informacjami z branży i zwyczajnymi plotkami. Do uszu Henryka docierały urywki zdań. Ktoś się zastanawiał, czy państwo polskie wykupi przedwojenne obligacje, skoro nawet Rosja wykupiła carskie papiery dłużne. Ktoś inny wyjawiał, że sędzia dużo czasu poświęca pięknej Karolinie Potockiej, podobno uzupełnia jej wiedzę w zakresie grafiki użytkowej. Tymczasem do sali weszła Anna. Rozglądając się, poprawiała dekolt czarnej, eleganckiej sukienki. Za nią podążał obcięty na jeża chłopak w dżinsach i zwykłej koszulce. Oboje zbliżyli się do Henryka.

– To mój syn, Łukasz. – Anna wskazała chłopaka.

– Ma pan zamiar zostać kolekcjonerem papierów wartościowych? – Henryk wyciągnął do niego rękę.

Łukasz niechętnie wyjął dłoń z kieszeni dżinsów. Na muskularnym przedramieniu miał wytatuowanego orła z koroną.

– Ja już jestem kolekcjonerem, ale nie jakichś tam papierów.

– Tak? A co pan zbiera? – Zainteresował się szczerze Henryk. – Anna mi nic nie wspominała.

– Laski kolekcjonuję, laski.

– Laski, to ciekawe. A z jakiej epoki?

Chłopak roześmiał się głośno, drwiąco, aż wszyscy obecni zwrócili w ich stronę głowy.

– Polskie laski, chociaż ostatnio trafiłem dwie norweskie.

Anna lekko szturchnęła syna łokciem i wysyczała:

– Zachowuj się. Obiecałeś mi.

Henryk zbyt późno zorientował się, że chłopak z niego żartuje. Był na siebie zły. Usiedli we troje w czwartym rzędzie, zaraz za Bogdanem. Ten odwrócił się i uśmiechnął pod sumiastym wąsem.

– Po akcje kolejowe przyjechałem, jak zawsze. Jasne?

– To pan kolejarz? – zapytał Łukasz.

– Nie, nie kolejarz, drwal, i odrąbię ci rękę, jak podniesiesz ją w nieodpowiednim momencie.

– Już lepiej stracić rękę niż głowę. – Syn Anny nie ukrywał, że uważa ich wszystkich za wariatów.

Aukcja powinna zacząć się pięć minut temu. Sędzia Lasocki jeszcze nie przybył. Może coś ważnego go zatrzymało i nie dotrze, pomyślał z nadzieją Henryk.

Do sali weszła dziewczyna z warkoczami, którą widzieli z Anną w restauracji. Już nie miała na sobie białego, efektownego fraku, lecz zwyczajny żakiet i spódnicę. Usiadła w pierwszym rzędzie. Czy to jakaś nowa kolekcjonerka? Oby tylko nie chciała zaczynać swojego zbioru od zakupu akcji zakładów Schichaua. No i żeby nie okazała się przedstawicielką elbląskiego muzeum, które ma w planach poszerzenie działu związanego z historią miasta.

W drzwiach pojawił się mężczyzna z wysokim czołem, towarzysz dziewczyny z warkoczami. Minął wszystkie rzędy i stanął za pulpitem na wprost zgromadzonych. Gwar ucichł i w tej samej chwili do sali wkroczył sędzia Lasocki.

Ten to ma wyczucie, pomyślał złośliwie, ale i trochę z uznaniem Henryk.

Sędzia spóźnił się prawie dziesięć minut, ale mimo to wszedł do sali w najlepszym momencie.

Wszyscy uczestnicy już siedzieli, oczekując rozpoczęcia aukcji. Teraz w ciszy patrzyli na Lasockiego, jak sprężystym, zdecydowanym krokiem podchodzi do pierwszego rzędu krzesel. Jego wysportowana sylwetka, czarny strój, ogolona głowa i surowa twarz robiły wrażenie. Henryk był pewien, że wszyscy w tej chwili uznali wyższość sędziego i nikt nie odważy się podnieść ręki, gdy on zacznie licytować. Henryk sam był już prawie gotów przyznać, że akcje zakładów Schichaua należą się konkurentowi.

Mężczyzna stojący za pulpitem odchrząknął i zaczął mówić:

– Witam państwa bardzo serdecznie. Nazywam się Rafał Lipiec i jestem dyrektorem tego hotelu. Cieszę się, że Stowarzyszenie Kolekcjonerów Historycznych Papierów Wartościowych wybrało hotel „Pod Lwem” na miejsce aukcji. Życzę państwu owocnych licytacji i oddaję już głos panu Adamowi, który poprowadzi dzisiejsze spotkanie.

Gdzeniegdzie rozległy się brawa. Dyrektor usiadł obok dziewczyny z warkoczami, a za pulpitem stanął młody, wysoki mężczyzna w garniturze, z drewnianym młotkiem w dłoni. Henrykowi zdawało się, że już go kiedyś widział. Pamiętał tę nietypową fryzurę, trochę dziewczęcą. Rysy też były znajome. Usiłował przypomnieć sobie, skąd go zna, ale niestety... Zdenerwowała go własna niepamięć. Szare komórki jak sito, a przecież jeszcze nie jest taki stary.

Anna nachyliła się do jego ucha i szepnęła:

– To aktor z mojego ulubionego serialu.

No i sprawa się wyjaśniła. Choć żadnego serialu nie oglądał, to na pewno miał okazję zobaczyć gościa w telewizji.

Z ust licytatora w stronę zgromadzonych popłynął profesjonalnie modulowany głos. Po słowach powitania kolekcjonerzy mieli okazję usłyszeć kilka żartów, które jednak niewielu rozśmieszyły. W końcu pan Adam zaprosił do licytowania.

Po sali przebiegł szmer. Henryk odruchowo zatarł ręce. Wreszcie dojdzie do rywalizacji, nie jakiegoś tam zwyczajnego sprzedawania i kupowania, lecz prawdziwej bitwy. Trzeba będzie się wykazać opanowaniem i przebiegłością. On swoje starcie będzie miał na samym końcu, w finałowej scenie dzisiejszej aukcji.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie pierwszego waloru, a licytator zaczął mówić:

– Drodzy kolekcjonerzy, oto ciekawe świadectwo historii przemysłu naftowego w Polsce, akcja Kopalni Ropy Naftowej w Borysławiu. Została wystawiona w Antwerpii w 1906 roku, w siedzibie zarządu spółki eksploatującej złoża. Wymiary dwadzieścia cztery i pół centymetra na trzydzieści, walor wyceniony na sto franków. Cena wywoławcza czterdzieści złotych. Kto da więcej?

Henryk miał w swej kolekcji pięć takich akcji. Wiedział, że więcej niż czterdzieści złotych nie jest warta ze względu na dużą liczbę zachowanych walorów. Spółka wypuściła trzydzieści tysięcy akcji, z czego obecnie w obrocie było jakieś pięć tysięcy. Za jego plecami podniosła się ręka z numerkiem, potem kolejna, młotek zastukał trzykrotnie i akcja została sprzedana za czterdzieści pięć złotych.

Kolejny walor, akcja Fabryki Stali Hrabia L. Broel-Plater w Bliźnie z 1898 roku o nominale stu dwudziestu pięciu rubli, poszedł za sto dziesięć złotych. Henryk pogrążył się w rozmyślaniach. Na kolekcjonowanie papierów stać było właściwie każdego. Byle gimnazjalista za kieszonkowe od rodziców mógł sobie kupić ciekawe okazy. Oczywiście, że drogich papierów nie brakowało, ale w stosunku do innych dzieł sztuki należało uznać je za śmiesznie tanie. Wpadł mu kiedyś w ręce katalog domu aukcyjnego wystawiającego obrazy; Beksiński za siedemdziesiąt pięć tysięcy złotych, dwa płótna i już jest kawalerka, ale to jeszcze nic w porównaniu z holenderską martwą naturą – jedno dzieło za kilka milionów euro. Dopóki japońscy przedsiębiorcy nie wpadną na pomysł, żeby traktować stare papiery jako inwestycję, będą tanie. Czasami Henryk marzył, że w kolekcjonerskim świecie historycznych papierów wartościowych dochodzi do swego rodzaju gorączki tulipanowej i ceny poszczególnych

walorów zaczynają szybować w górę. Jeden walor równa się dom na Mazurach, drugi jest w cenie mercedesa – on miał ich kilkaset, byłby milionerem.

W tej chwili licytator prezentował akcję Banku Młynarzy Zachodnich Ziem Polskich wydaną w Poznaniu w 1921 roku, o nominale tysiąca marek. Po niej na ekranie pojawił się walor Banku Naftowego we Lwowie z 1927 roku, nominał pięćdziesiąt złotych, a następnie akcja Cukrowni we Wrześni z 1936 roku o nominale pięciuset złotych, wszystkie w zachęcających cenach wywoławczych. Licytacja przebiegała sprawnie, młotek stukał raz za razem.

Teraz na ekranie ukazał się walor kolejowy. Mężczyzna za pulpitem przystąpił do prezentacji:

– Drodzy kolekcjonerzy, oto obligacja najstarszej polskiej linii kolejowej, czyli Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Ta kolej została częściowo otwarta już w 1845 roku i była jedną z największych inwestycji tego typu w zaborze rosyjskim w dziewiętnastym wieku.

Bogdan wiercił się niecierpliwie, aż krzesło pod nim skrzypiało. Tymczasem licytator mówił coraz szybciej:

– Obligacja dwustronna w trzech językach, po polsku, niemiecku i francusku, wyemitowana w 1860 roku, wymiary trzydzieści dziewięć na trzydzieści i pół centymetra, nominał sto dwadzieścia pięć rubli srebrem, co stanowi równowartość pięciuset franków. Na odwrocie tabela wypłat odsetek na lata 1862–1932. Podpisy rady zarządzającej, hrabiego Przeździeckiego oraz głównego kasjera Vittmana. Cena wywoławcza sto złotych, kto da więcej?

Łukasz zwrócił się do Anny:

– Mamo, weź kup ten papier, podoba mi się herb. – Wskazywał na herb Królestwa Kongresowego, przedstawiający orła polskiego na piersiach rosyjskiego orła dwugłowego. – No, mam, kup ten papier.

Anna siedziała niewzruszona, za to Bogdan podnosił co chwilę rękę z numerkiem. W licytacji brał też udział pan Kruk. Jego żona zaciskała dłonie. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że trzyma kciuki za męża, ale Henryk wiedział, że modli się o to, aby nie przepłacił. Gdy Bogdan podbił cenę do stu siedemdziesięciu złotych, pani Kruk szturchnęła męża w bok. Ten podniósł niepewnie numerkę, podając kwotę wyższą o pięć złotych. Bogdan w odpowiedzi zaproponował dwie setki. Henryk uśmiechnął się, widząc, jak pani Kruk łapie męża za rękę, nie pozwalając mu jej podnieść. Młotek licytatora trzykrotnie uderzył o pulpit i Bogdan stał się właścicielem obligacji Drogi Żelaznej Warszawa–Wiedeń.

Teraz licytator zapowiedział akcję, na którą czekała Anna, walor Banku Dyskontowego Warszawskiego z interesującą grafiką, motywy kwiatowe w rogach, liczba sto wpleciona w boczną bordiurę oraz wizerunek siedzącej kobiety i dziecka opierającego się o jej kolana. Była to akcja na okaziciela z 1926 roku o nominale stu złotych. Anna od razu podniosła numerkę. Razem z nią licytowały jeszcze trzy osoby, wszyscy podbijali cenę o pięć złotych. Sto pięć, sto dziesięć, sto piętnaście, w końcu ktoś w tylnych rzędach zaproponował sto sześćdziesiąt złotych. Anna nachyliła się do ucha Henryka i szepnęła:

– Poczekam na lepszą okazję.

Henryk trochę aukcji w swoim życiu już widział i bez trudu zaobserwował, że ten, kto jako pierwszy wysoko podbijał cenę licytowanego obiektu, zwykle wygrywał. Niekiedy wystarczyło tylko raz podnieść rękę i podwyższyć sumę znacznie niż inni. Tak stało się również teraz. Gdy cena skoczyła ze stu piętnastu złotych na sto sześćdziesiąt, Anna i inni licytujący, zdeprymowani, odstąpili od dalszego licytowania, choć to wcale nie było dużo jak za ten walor.

Licytator ogłosił dwudziestominutową przerwę. Ludzie zaczęli powoli wstawać. Na korytarzu przygotowano bufet z winem, kawą i ciastkami. Henryk szedł za Anną, wpatrując się w jej obfite pośladki. Nagle poczuł dłoń na swoim ramieniu, to sędzia Lasocki go zatrzymywał.

– No co, szanowny kolego, licytujemy dzisiaj akcje zakładów Schichaua – zagadnął sędzia, patrząc na niego spod ściągniętych brwi.

Henryk aż się skurczył w sobie, nawet nowy garnitur nie pomagał w podniesieniu poczucia własnej wartości. Gdy patrzył na wyprostowaną, muskularną sylwetkę sędziego, całą w czerni, czuł, że on sam stoi zgarbiony, a marynarka za bardzo opina brzuch. Próbował się wyprężyć, podnieść głowę, ale jego starania nie przynosiły efektu. Sędzia poklepał go po ramieniu niczym chłopca i nie czekając na odpowiedź, oddalił się. Henryk patrzył za nim z podziwem i nienawiścią.

– Zobaczmy, kto dzisiaj wygra – mamrotał pod nosem, ale coraz bardziej czuł, że będzie musiał oddać pola prezesowi Lasockiemu.

Zbliżyła się do niego Anna z dwiema lampkami wina. Łukasza nigdzie nie było widać.

– Gdzie twój syn?

– Zszedł do recepcji. Pracuje tam jakaś jego koleżanka, poszedł pogadać. Lepiej niech tu już nie wraca, tylko wstydu narobił.

– Daj spokój, może to my jesteśmy za mało spontaniczni.

Henryk dostrzegł drobnego, niskiego mężczyznę w za dużej, niebieskiej marynarce. Zwracał na siebie uwagę, bo cały czas nerwowo kręcił głową. Henryk nigdy go wcześniej nie widział, był to prawdopodobnie jakiś początkujący kolekcjoner. Mężczyzna zauważył, że jest obserwowany, i podszedł do nich z wyciągniętą ręką.

– Karol Milewicz jestem. – Przedstawił się. Ściskając dłoń Anny, oznajmił: – To ja, no tego, wylicytowałem ten bank, jakiś tam warszawski. Pani nie ma żalu?

– Nie. Gratuluję panu, to wyjątkowy walor, z piękną grafiką.

– No właśnie, ta grafika, jak pani mówi, ładne ramki się robi i będzie dobrze na ścianie wyglądać, chyba. Bo mnie te papiery, no tego, w ogóle nie interesują, ale córka w internecie wyczytała, że teraz biura się papierami ozdabia. Bo wiecie państwo, ja otwieram biuro rachunkowe, tu niedaleko, na Wodnej, bo córka, no tego, studia skończyła, i to dla niej, a ja jestem hydraulikiem.

Henryk nie lubił zbieraczy, którzy traktowali historyczne papiery wartościowe wyłącznie jako ozdobę. Stare papiery powinno się kolekcjonować przede wszystkim dla ich urody i jako pamiątkę minionych dziejów, a nie czynić z nich obrazki na ścianę. Owszem, on też w swoim mieszkaniu w Olsztynie powiesił kilka walorów, ale przecież nie tylko w tym celu je nabył.

Uczestnicy aukcji zaczęli ponownie wypełniać salę konferencyjną. Henryk i Anna wrócili na swoje miejsca. Po chwili pojawił się także Łukasz.

– Ale ta Ester zrobiła się drętwa – mruknął.

Licytator przystąpił do prezentowania kolejnych walorów. Akcję Fabryki Porcelany i Wyrobów Ceramicznych w Ćmielowie z 1920 roku oraz akcję Galicyjskiej Fabryki Obuwia z 1912 roku nabył Karol Milewicz. W sumie hydraulik wszedł w posiadanie trzech papierów z interesującą szatą graficzną; będzie czym ozdabiać biuro rachunkowe córki.

W końcu nadszedł ten moment, kiedy na ekranie pojawił się walor zakładów Schichaua, a właściwie trzy: pierwszy z niebieską szatą graficzną na pięćset marek niemieckich, drugi o rdzawej barwie na tysiąc marek i trzeci utrzymany w zielonej kolorystyce o nominale pięciu tysięcy marek. Wszystkie zostały wyemitowane w 1943 w Berlinie. Właściciel sprzedawał je łącznie jako jeden przedmiot, dzięki czemu podnosił ich wartość. Być może za jakiś czas któryś z antykwariuszy wystawi na aukcji kolejne akcje zakładów Schichaua, ale w tej chwili te były jedyne.

Henryk ścisnął nerwowo numerek i wsłuchiwał się w głos licytatora, który właśnie przedstawiał historię zakładów Schichaua.

– Drodzy kolekcjonerzy z Elbląga, zapewne wielu z was wie, kim był Ferdinand Schichau. No ale nie wszyscy mają zaszczyt mieszkać w tym pięknym mieście i znać jego przemysłową historię, dlatego teraz pokrótce ją przybliżę. Ferdinand Gottlob Schichau to niemiecki przedsiębiorca oraz konstruktor maszyn

parowych i okrętów. W 1837 roku otworzył w Elblągu warsztat budowy maszyn, a następnie w ciągu kilkudziesięciu lat przekształcił to miasto w potęgę przemysłową, tworząc tu zakłady mechaniczne i stocznię. W zakładach produkowano części kolejowe i kompletne lokomotywy, a w stoczni statki handlowe, pasażerskie i wojenne, w tym torpedowce i U-booty dla Kriegsmarine. W 1929 roku zakłady Schichaua zostały przekształcone w spółkę akcyjną i znalazły się pod zarządem Rzeszy Niemieckiej. Dziś w miejscu zakładów Schichaua działa firma Alstom-Power. – Licytator zrobił krótką pauzę i dodał tonem, jak gdyby wyjawiał wielką tajemnicę: – Podczas przerwy dowiedziałem się, że jest wśród nas przedstawiciel Alstom-Power.

Henryk zamarł. Miał wrażenie, że jego krawat zamienił się w pętlę i dusi go niczym skazańca. To już koniec. Pojawił się kolejny, bardzo poważny gracz, którego ciężko będzie przelicytować. Nic dziwnego, że obecny zakład chce podkreślić swój symboliczny związek z poprzednikiem, kupując jego papiery wartościowe. Henryk powinien przewidzieć pojawienie się tego typu nabywcy, nie byłby teraz taki zaskoczony. Nerwowo poluźnił krawat. Lasocki jako prezes stowarzyszenia, a także organizator aukcji oczywiście wiedział o udziale Alstom-Power i na pewno teraz nie straci głowy.

Gdy licytator podał cenę wywoławczą, sześćset złotych za trzy walory, sędzia zaliczył sześćset pięćdziesiąt. Kobieta w czarnej marynarce siedząca w drugim rzędzie zgłosiła siedemset złotych. Henryk widział jej profil i rękę, gdy podnosiła ją z numerkiem. To zapewne ona była przedstawicielem Alstom-Power. Odetchnął parę razy głęboko. Spokojnie, nie jest źle. Przecież firmy biorące udział w licytacjach mają z góry ustaloną kwotę, jaką planują wydać. Nie dają się ponieść aukcyjnemu współzawodnictwu, a więc ta kobieta wkrótce przestanie licytować. Oby jak najszybciej.

Henryk podniósł numerkę i zaproponował osiemset pięćdziesiąt złotych. Wreszcie wszedł do gry. Znowu poczuł to znajome podniecenie, dreszczyk emocji rosnący wraz z ceną licytowanego waloru. Niezwykła chwila, ta cisza z sali, ani jednego szmeru, ani jednego szeptu, napięcie unoszące się w powietrzu i zmieniony głos licytatora, który miał świadomość, że to jest najważniejszy moment wieczoru. Gdy akcje zakładów Schichaua osiągnęły tysiąc sto złotych, Henryk zgłosił tysiąc pięćset. Chciał być tym pierwszym, który wysoko podbije cenę. Udało się, dobrze wyczuł moment. Sędzia zaproponował tysiąc pięćset jeden złotych. Henryk zaśmiał się w duchu, bo jego przeciwnik postanowił zagrać jak hrabia Zamoyski. Hrabia kupił Zakopane, licytując jak wytrawny gracz. Raz dawał o jeden cent więcej, potem o tysiąc guldenów, jak gdyby w ogóle na pieniądzu mu nie zależało, a potem znów podwyższał cenę o jeden cent. Tej taktyki nie wytrzymali zaprawieni w bojach żydowscy przedsiębiorcy i bankierzy, odstąpili od licytacji. Następnego dnia gazeciarze wykrzykiwali, że Zamoyski kupił miasto za jednego centa.

Kobieta w czarnej marynarce siedziała nieruchomo. Prawdopodobnie tysiąc pięćset złotych to była kwota, poza którą nie miała prawa wyjść. Henryk zaoferował tysiąc sześćset. Sędzia w odpowiedzi zgłosił tysiąc sześćset jeden.

No dobrze, możemy dodawać po złotówce, pomyślał Henryk i zgłosił tysiąc sześćset dwa, sędzia tysiąc sześćset trzy złote – i tak doszli do tysiąca sześciuset dziesięciu złotych. Wtedy w uroczystą ciszę sali wkradł się krótki, ordynarny śmiech Łukasza.

– Ale jazda! Formuła jeden dla starców. Na pewno narobiliście już w pampersy – powiedział pogardliwie i na tyle głośno, że usłyszała go cała sala. Ktoś w tylnych rzędach się zaśmiał, ale zaraz ucichł. Podniosła atmosfera prysła i zrobiło się nieprzyjemnie, jak gdyby przyłapano ich na wstydliwych zabawach. Henryk poczuł, że się czerwieni. Chciał, żeby ktoś, nieważne kto, podniósł numerkę i zaliczył, pokazując wszystkim, że słowa Łukasza nic nie znaczą. Zgromadzeni trwali jednak w bezruchu i ciszy.

– Tysiąc sześćset dziesięć po raz drugi. – Licytator stuknął młotkiem w pulpit.

Sędzia milczał. Kolejne uderzenie młotka i Henryk stał się właścicielem akcji zakładów Schichaua. Zwycięstwo nie dało mu spodziewanej satysfakcji. To przez syna Anny. Prostak, cham, głupiec – wszystko zepsuł. Licytator złożył mu gratulacje, ale jakoś tak zdawkowo. Anna uściśniła mu dłoń, bez czułości, ukradkiem. Gdzieniegdzie rozległy się krótkie oklaski. Parę osób wstało i zaczęło kierować się do wyjścia. Zatrzymał ich głos licytatora:

– Drodzy kolekcjonerzy, to nie koniec, został nam jeszcze jeden przedmiot.

Henryk i Anna spojrzeli na siebie zaskoczeni. Bogdan wymownie wzruszył ramionami.

Licytator kontynuował:

– Ten walor został zgłoszony na aukcję w ostatniej chwili, dlatego nie ma go w drukowanym katalogu.

Drodzy państwo, oto wisienka na torcie.

W tym momencie na ekranie pojawił się skan zapowiadanego papieru. Przez salę przebiegł szmer podnieconych głosów. Henryk poczuł pulsowanie krwi za uszami. Z niedowierzaniem patrzył na akcję Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce S.A. z 1923 roku o nominale pięciuset marek polskich. O tej akcji marzyli nie tylko kolekcjonerzy historycznych papierów wartościowych, ale również miłośnicy sztuki graficznej, albowiem zaprojektował ją sam Józef Mehoffer. Pędząca lokomotywa, a za nią lecący anioł, za aniołem orzeł – ta grafika robiła wrażenie. Bogdan aż gwizdnął z zachwytu. Henryk był na siebie zły. Nie brał pod uwagę, że na aukcji może pojawić się coś ciekawszego od walorów zakładów Schichaua. Wydał już tysiąc sześćset złotych i zanosilo się na podwojenie, a może nawet potrojenie tej kwoty, bo nie zamierzał odpuścić waloru Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce. Niestety, chętnych na tę akcję było kilku.

Gdy tylko licytator podał cenę wywoławczą, osiemset złotych, Bogdan podniósł numerkę, dając o sto złotych więcej. Był poważnym przeciwnikiem. Wprawdzie jego możliwości finansowe były ograniczone, bo ileż mógł zarabiać jako pracownik leśny, ale za to wykazywał ogromną pasję w kolekcjonowaniu walorów kolejowych. Teraz miał okazję wzbogacić swój zbiór o walor Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce. Kiedyś wyjawiał Henrykowi, że czeka właśnie na ten papier, że podpytuje innych kolekcjonerów, próbując ustalić, kto go ma, skontaktował się nawet z kilkoma antykwariuszami.

Sędzia Lasocki jako drugi podniósł rękę z numerkiem i podbił cenę wysoko, do dwóch tysięcy złotych. Bogdan jęknął. Sędzia właśnie dał wszystkim do zrozumienia, że to on bierze dzisiaj ten walor. Musiało mu na nim zależeć, przecież miał wielkie ambicje. Posiadanie najlepszej kolekcji w kraju, to był jego cel. Tego wieczoru już jedne akcje sobie odpuścił. Walory zakładów Schichaua nie poszerzą jego zbiorów. Na wypuszczenie z rąk akcji Pierwszej Fabryki Lokomotyw nie mógł sobie pozwolić.

Henryk zgłosił dwa tysiące sto złotych. Czuł, że o zwycięstwo w tej licytacji będzie bardzo trudno, ale nie zamierzał się poddawać. Tymczasem do gry włączyła się kolejna osoba, dziewczyna z warkoczami, zgłaszając dwa i pół tysiąca złotych. Kim ona, do licha, jest? Początkującą kolekcjonerką? Raczej nie. Przecież nie zaczyna się kolekcjonowania od kupna tak drogiego waloru. A może licytuje w czyimś imieniu, kogoś bardzo ważnego? To może być nawet Ministerstwo Kultury. Nie bez powodu dyrektor hotelu towarzyszył jej podczas obiadu.

Henryk podbił zaraz po niej na dwa tysiące sześćset. Sędzia dorzucił kolejne sto złotych i wtedy rękę do góry podniósł Bogdan, proponując trzy tysiące. Henryk patrzył zaskoczony na jego szerokie ramiona. Myślał, że leśnik wypadł z tej rywalizacji w chwili, gdy cena przekroczyła dwa tysiące.

Co robić? Licytować dalej czy zrezygnować? Ma już akcje zakładów Schichaua, po nie tutaj przyjechał. Cel został osiągnięty. Nie, niezupełnie, celem było ustrzelenie najwartościowszego waloru, a takim jest akcja Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce. Jeśli uda mu się nabyć ten papier, okryje się wielką sławą. W środowisku kolekcjonerskim będzie się o nim mówić przez wiele tygodni, a może nawet miesięcy. Na najbliższym zjeździe stowarzyszenia wszyscy będą go poklepywać po plecach i składać mu

gratulacje.

Henryk zaproponował trzy tysiące sto złotych. Bogdan dał pięćdziesiąt złotych więcej, a dziewczyna z warkoczami trzy i pół tysiąca, sędzia trzy osiemset. Henryk jeszcze bardziej rozluźnił krawat, podniósł rękę do góry i zgłosił cztery tysiące. Ani złotówki więcej, powtarzał sobie w myślach. Ten walor nie jest więcej wart, cztery tysiące to i tak dużo.

Anna wstrzymała oddech, Bogdan złapał się za głowę. Dziewczyna z warkoczami zwlekała z podniesieniem ręki, sędzia również. Henryk na moment przymknął oczy. Jedno uderzenie młotka, drugie, trzecie, sprzedane. Udało mu się! Wygrał. Rozległy się gromkie brawa. Licytator składał mu entuzjastyczne gratulacje. Łukasz milczał. Tym razem nie odważył się na kolejny pogardliwy komentarz. Anna pocałowała Henryka w policzek. Pani Kruk zamachała do niego, a jej mąż uniósł rękę, układając dwa palce w znak zwycięstwa. Na korytarzu przy bufecie, gdy stał z kieliszkiem wina, otoczyli go kolekcjonerzy z gratulacjami. Na tę chwilę czekał, kosztowała go cztery tysiące złotych, ale było warto. Ktoś złapał go za ramię. Odwrócił się i zobaczył drobnego mężczyznę w za dużej, niebieskiej marynarce. Hydraulik stuknął kieliszkiem w jego szkło, po czym nachylił się mu do ucha i poprosił:

– Kolego, no tego, powiedz, ile kasy już wydałeś na te stare papiery.

Henryk nie wyjawiał sumy, ale palcami pokazał na jakieś pięć centymetrów i powiedział:

– Tyle, właśnie tyle wydałem.

Pół godziny później był już w swoim pokoju i chował akcje do sejfu. Anna zeszła do restauracji po szampana. Łukasza wysłała do domu, mówiąc, że też niedługo wróci. Henryk zdjął krawat i marynarkę. Chodząc po pokoju, rozkoszował się myślami o swoim sukcesie.

Zaraz, a sędzia Lasocki, czy sędzia mu pogratulował? Na pewno nie, tej nieprzeniknionej twarzy ze ściągniętymi brwiami nie było pośród osób, które go okrążyły po aukcji. To niepodobne do sędziego, jako prezes stowarzyszenia zawsze składał gratulacje kolekcjonerowi, który zgarnął najwartościowszy walor. Przegrana bardzo musiała mu dopieć. Bogdan też nie podał mu ręki po licytacji. Stał przy bufecie i pił wino, jeden kieliszek za drugim, i patrzył na niego ze złością. Henryk podszedł do niego, chciał mu powiedzieć, że tak bywa, że innym razem to Bogdanowi uda się wylicytować najlepszy walor, ale ten nie chciał słuchać. Odepchnął go i odszedł z głową wciśniętą między szerokie ramiona.

Henryk z dreszczykiem podniecenia przywoływał moment, kiedy stanęła przed nim dziewczyna z warkoczami. Znajdowała się tak blisko, że czuł jej słodki, ciepły zapach. Otarła się o niego biustem. Była ładna i nie taka młoda, jak mu się wydawało z początku. To te dwa dziewczęce warkocze ją odmładzały, a w rzeczywistości była już prawdopodobnie po trzydziestce. Patrząc mu prosto w oczy, powiedziała coś po niemiecku. Uśmiechnęła się, widząc jego zaskoczoną minę. Nie mógł oderwać oczu od jej zgrabnej sylwetki w fioletowej spódnicy i czarnym, obcisłym żakiecie. Oddalała się powoli, jakby czuła, że odprowadza ją pełnym podziwu spojrzeniem.

Do pokoju weszła Anna z butelką szampana i dwoma kieliszkami. Henryk zaczął rozpinać koszulę.

– Kochanie, pozwolisz, że najpierw wezmę prysznic? – zwrócił się do niej.

Zachichotała.

– Tak, idź do łazienki, a ja zadzwonię do Łukasza i powiem mu, że dzisiaj będę nocowała u znajomej, bo biedaczka potrzebuje wsparcia po powrocie ze szpitala.

Kołysząc biodrami, zsunęła pantofle na wysokim obcasie. Potem z komórką w ręku rzuciła się na szerokie, hotelowe łóżko. Już nie była podstarzałą urzędniczką z nadwagą i problemami urologicznymi. Teraz wcieliła się w rolę pięknej i zmysłowej kochanki.

Łazienka była mała. Henryk, stojąc między zlewem a muszlą, próbował zdjąć spodnie. Nie pozbył się całego ubrania w pokoju, bo zdawał sobie sprawę, że jego chude nogi w połączeniu z wydętym brzuchem prezentują się fatalnie. A tak wyjdzie z łazienki owinięty obszernym ręcznikiem i będzie mógł dalej



odgrywać rolę czarującego amanta. Stojąc już pod strumieniem gorącej wody, zaczął energicznie namydlać brzuch i pachy. Podśpiewywał sobie pod nosem, był zadowolony. Drzwi do łazienki się otworzyły i zaraz zamknęły. Przez mleczną ceratową zasłonę widać było postać. Czyżby Anna wpadła na pomysł wspólnej kąpieli? Ale przecież w kabinie jest za mało miejsca, nie wciśnie się tu ze swoim wielkim tyłkiem. Postać powoli odsunęła zasłonę. Henryk, zaskoczony i przestraszony, cofnął się o pół kroku, opierając plecami o kafelki. Odruchowo zasłonił krocze dłońmi. To nie była Anna. W kłębach pary zobaczył kobietę z warkoczami, była naga.

Co tu się dzieje? Gdzie jest Anna? Jakim cudem ta młoda Niemka znalazła się w jego łazience? Chyba przez jakąś koszmarną pomyłkę. Ale dlaczego tu jeszcze stoi i patrzy na niego? Powinna się już zorientować, że nie jest u siebie, i wyjść. Kobieta z warkoczami uśmiechnęła się i powiedziała coś po niemiecku. Henryk miał ochotę zniknąć. Wstydział się swojej starości, chudych nóg i wyдутego brzucha. A ona weszła do kabiny i zasunęła zasłonę. Henrykowi przez chwilę tchu zabrakło. Takie rzeczy dzieją się w fantazjach erotycznych, ale nigdy w rzeczywistości. Niemka obróciła się pod strumieniem wody tyłem do niego i pokazała palcem na swoje plecy. Zrozumiał, czego od niego oczekuje. Nie zastanawiał się już, co robi Anna i jakim cudem ta obca kobieta weszła do jego łazienki. Całkowicie oddał się namydłaniu młodego, jędrnego ciała.

## Rozdział II

Ester obudziła się o szóstej rano z lękiem. Patrzyła na brudny sufit i zastanawiała się, skąd ten niepokój. Czy może coś zaniedbała w pracy, o czymś zapomniała? Z dodatkowych rzeczy miała tylko kupić dwa bilety na koncert Elbląskiej Orkiestry Kameralnej dla tego starszego pana. I to zrobiła, nawet wczoraj wieczorem zdążyła je odebrać. Dlaczego więc czuje zaniepokojenie? Może po prostu przyśnił się jej jakiś koszmar. Wystawiła stopę spod kołdry. Patrzyła na małe paluszki zakończone białymi paznokciami. Były takie bezbronne. Wstała i na palcach przeszła do łazienki. Cała dygotała, bo w mieszkaniu było przeraźliwie zimno. Pani Misia oszczędzała na opale, żałowała też pieniędzy na remont starych okien i toalety, ale nigdy nie na buty. Pantofle, szpilki, kozaki, sandały, laczki stały wszędzie, nawet na lodówce. Kiedyś Ester zapytała gospodynię, ile ma par. Ta po chwili namysłu odpowiedziała, że licząc kalosze oraz te niebieskie botki, które są u szewca, i jeszcze te śliwkowe pantofle, których od paru tygodni nie może znaleźć, to jest ich dwieście trzydzieści osiem par. Ester mechanicznie pomnożyła tę liczbę przez dwa i próbowała sobie wyobrazić czterysta siedemdziesiąt sześć butów rzuconych na jedną stertę. Ona sama miała tylko sześć par. Za mało, teraz jednak nie mogła sobie pozwolić na więcej. Ale za jakiś czas, gdy będą już razem, gdy będą małżeństwem, Rafał kupi jej tyle butów, ile sobie zażyczy.

Ester umyła się szybko. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy wciągnie ulubiony, ciepły sweter. W hotelu niestety będzie musiała założyć szary, niekształtny uniform. Nie raz prosiła Rafała, żeby zmienili model firmowych strojów, ale on tylko kiwał głową potakująco i nic nie robił. Narysowała mu nawet kiedyś kostium, w jakim recepcjonistki prezentowałyby się dostojnie i efektownie. Przyznał, że jej propozycja jest godna uwagi, i zabrał rysunek, aby go pokazać na kolejnym posiedzeniu zarządu. Parę godzin później znalazła szkic zgnieciony i wrzucony do kosza w jego gabinecie. Chciało jej się płakać, pierwszy raz się z nim wtedy pokłóciła. Wyrzucała mu, że się z nią nie liczy, że traktuje jak głupią dupę, którą można od czasu do czasu przelecieć. Nie pozostawał jej dłużny. Krzyczał, że go prześladuje, że nawet żona nie grzebie mu w śmieciach. Umilkł dopiero, gdy się rozplakała. Chyba miał wyrzuty sumienia, bo następnego dnia sprezentował jej bardzo drogie perfumy.

Zrobiła sobie mocną kawę i kanapki z dżemem. Śniadanie zabrała do swojego pokoju, bo tam było nieco cieplej. Starła się poruszać cicho, żeby nie obudzić pani Misi. Niech sobie kobieta pośpi jeszcze, ma przecież do pracy na dziewiątą. Ester otuliła się swetrem, nadal nie opuszczał jej niepokój.

Wydarzy się coś przykrego, coś złego, myślała, chodząc z kubkiem kawy po pokoju. Popijała napój małymi łykami, ogrzewając jednocześnie ręce o kubek. Uwielbiała tę poranną dawkę kofeiny. Zatrzymała się przy oknie i wyjrzała na ulicę. Na szczęście nie padało. Pan Janek wsiadał właśnie do starego opla. Zaraz pewnie ruszy z piskiem opon, nie zważając na to, że o wpół do siódmej znaczna część mieszkańców ulicy Rechniewskiego jeszcze śpi. Zrezygnował jednak, wysiadł z samochodu, stanął na chodniku i wpatrywał się w kamienicę po drugiej stronie ulicy. Też spojrzała w tym kierunku. Na parterze przy oknie stały dwie osoby. Ester wiedziała, że tam mieszka starsze małżeństwo. Pani Misia mówiła, że to jacyś bardzo wykształceni ludzie, profesorowie na emeryturze. Czasami widywała ich w kościele,

oboje mieli białe jak śnieg włosy. Czy to im przygląda się pan Janek? Postawiła pusty już kubek na parapecie i uniosła dłoń, żeby bardziej odsunąć zasłonkę. Jej ręka nagle zeszywniała i uderzyła w szybę. Wiedziała, że to, co widzi, jest straszne, ale nie mogła zrozumieć dlaczego. Jak gdyby oko za wcześnie zarejestrowało okropność, a mózg zbyt wolno analizował przesłany sygnał. Małżeństwo profesorów wypełniało sobą całe okno. Oboje byli nienaturalnie wielcy. Kobieta wdrapała się kolanami na parapet. Ręce miała opuszczone wzdłuż ciała, głowę opierała o szybę.

Boże, jak ona może utrzymać się w takiej pozycji, pomyślała Ester i w tej samej chwili dotarło do niej, że staruszka wisi. Obok wisił jej mąż, tyłem do okna. Widać było nawet gruby sznur na jego szyi. Dziewczyna jęknęła cicho. Wybiegła z pokoju i z impetem wpadła do sypialni pani Misi.

– Powiesili się! Powiesili się! – krzyczała, stojąc nad jej łóżkiem.

Głowa z rudymi, rozczochranymi włosami raptownie oderwała się od poduszki.

– Dziewczyno, czemu się tak drzesz? Zaraz mnie zabijesz tym krzykiem!

– Pani Misiu, oni się powiesili, ci profesorowie z naprzeciwka. Widać ich z mojego okna.

Kobieta usiadła. Ester jednym szarpnięciem zerwała z niej kołdrę.

– Niech pani ze mną idzie. Musi pani ich zobaczyć.

Michalina wsunęła nogi w niebieskie kapcie z cekinami i poszurała za Ester do jej pokoju. Gdy zobaczyła powieszonych sąsiadów, z jej ust wyrwało się przekleństwo.

– Trzeba zadzwonić po policję i pogotowie, może uda się ich jeszcze uratować! – zawołała Ester.

Ruda kobieta spojrzała na nią i jakby od niechcienia rzuciła:

– Głupia.

Po czym wyszła z pokoju. Ester widziała, że pan Janek chowa komórkę do kieszeni, a zatem policja została już powiadomiona. Po chwili dołączyła do niego pani Misia, ubrana w biały płaszcz i kozaczki. Dziewczyna narzuciła kurtkę i też wybiegła z mieszkania, gnana ciekawością. Stojąc na chodniku, znowu spojrzała w nieszczęsne okno. Z tej odległości widok był jeszcze potworniejszy.

– Mała, skocz po fajki – poleciała pani Misia.

Ester nie zdążyła się ruszyć. Pan Janek wyciągnął papierosy i poczęstował Michalinę, sam też zapalił.

– Jak panie myślą, dlaczego to zrobili?

– Bo nie chciało im się żyć, proste, z tego powodu zwykle się ludzie zabijają – odparła pani Misia, zaciągając się papierosem.

– Nie chciało im się żyć, no tak, ale dlaczego? – dociekał pan Janek.

– Może ich ulubiony serial się zakończył albo zainwestowali w Amber Gold? – spekulowała pani Misia.

– To depresja, na pewno depresja, tylu ludzi ma teraz depresję – wtrąciła Ester.

Dołączył do nich pan z czarnym kundelkiem. Piesek, jakby czując, że stało się coś złego, biegał wokół i ujadał. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy podjechał wóz policyjny. Merdając ogonkiem, podbiegł do wysiadających funkcjonariuszy.

– O, poczuł swoich – mruknęła pani Misia.

Dwóch policjantów weszło do kamienicy, jeden zbliżył się do nich. Pan Janek, nieproszony, zaczął opowiadać, jak wyszedł z mieszkania, jak się wrócił, bo zapomniał komórki, jak wsiadł do opla, który ma wprawdzie łyse opony, ale on lada dzień je wymieni. Policjant, patrząc na Ester, zapytał:

– Czy ci ludzie mieli jakąś rodzinę? Wie pani może, kogo należy powiadomić?

Ester, zaskoczona i zawstydzona, że z całej grupy ją wybrano do udzielenia informacji, wyjąkała:

– Ja nie jestem stąd, jestem z Bielnika.

Peszyły ją nienaturalnie jasne oczy funkcjonariusza i ich spojrzenie, skoncentrowane wprost na jej twarzy.

Głos zabrała Michalina:

– Dzieci na pewno nie mieli, może jakąś dalszą rodzinę. On był znany, profesor. Pan też musi go znać. Kojarzy pan, taki chudy, białe włosy, kozia bródka, często występował w telewizji, w tej naszej telewizji, i opowiadał o historii Elbląga. Ciekawie opowiadał, lubiłam go słuchać.

Policjant podziękował za informacje, już odchodząc, powiedział jeszcze:

– Zaraz mój kolega spisze państwa dane. Proszę się przez chwilę nie oddalać.

– Dane? Po jaką cholere? – mruknęła pani Misia, nie wyjmując papierosa z ust.

– Na wszelki wypadek.

– Na jaki wypadek? Bo nie wiem, co to znaczy „wszelki” – mamrotała dalej Michalina.

– Proszę się nie martwić, raczej nie będziemy państwa niepokoić – oznajmił mundurowy i skierował się do kamienicy.

Za chwilę zbliżył się do nich inny funkcjonariusz i poprosił o podanie imion, nazwisk oraz adresów. Pan Janek wręczył mu swój dowód osobisty, właściciel pieska uczynił to samo. Ester właśnie się zastanawiała, czy ma podać adres w Bielniku, gdzie jest zameldowana, czy może ten, pod którym aktualnie mieszka. Pani Misia ją jednak uprzedziła, informując policjanta, że Ester wynajmuje u niej pokój, i podała swój adres.

Na ulicy zaczęli gromadzić się ludzie. Do grupy gapiów dołączyło kilkanaście osób, w tym troje dzieci idących do szkoły. Jeden z chłopców wyciągnął komórkę i zaczął robić zdjęcia wisielcom. Kierowcy zwalniali, zaintrygowani zbiegowiskiem i obecnością policji. Niektórzy wysiadali i wpatrywali się w okno kamienicy.

– Jest mi zimno – poskarżyła się Michalina.

Ester spojrzała na jej gołe łydki i cienki płaszczyk. Prawdopodobnie miała pod nim tylko koszulę nocną.

Pan Janek zaczął nerwowo dreptać w miejscu, w końcu wymamrotał:

– Kurczę, muszę do roboty jechać, kierownik i tak będzie się pieklił, bo już spóźniony jestem.

– Tak, niech pan jedzie, ja też wracam do domu, bo zimno – oznajmiła Michalina i ruszyła w stronę kamienicy.

Ester poszła za nią. Gdy znalazła się już sama w pokoju, poczuła ogromny, przejmujący smutek. Zrobiło jej się żal tej dwójki starszych ludzi. Widziała ich parę dni temu, jak szli, trzymając się pod rękę. Pomyślała sobie nawet wtedy, że ona i Rafał za czterdzieści lat też będą tak chodzić, podtrzymując się nawzajem. Tęskniła za nim. Chciała, żeby ją pocieszył, uspokoił. W hotelu nie mieli dla siebie wiele czasu, zwłaszcza w ostatnich dniach, gdy recepcja była wyłącznie na jej głowie. Gdy za kontuarem stała jeszcze Agata, mogła się wyrwać na pół godziny i pobiec do jego gabinetu, niby z ważną sprawą, a tak naprawdę po to, żeby się trochę poprzytulać. Agata dziwiła się tym wizytom u dyrektora Lipca:

– Ja nie wiem, co ty u niego robisz tyle czasu. Chcesz się wkłęcić na jego sekretarkę? Jeszcze pomyśli, że na niego lecisz.

Rafał prosił Ester, aby nikomu nie mówiła o ich związku, dopóki nie wyjawি wszystkiego żonie i nie wyprowadzi się z domu. Przysięgła, że nikomu nie piśnie. Przez wiele tygodni dotrzymywała słowa, ale jakiś czas temu, gdy siedziały z Agatą w „Czarnym Kocie” przy piwie, wygadała się. Dobrze pamięta przerażenie koleżanki, a potem jej podniesiony głos, gdy mówiła:

– Ty chyba zwariowałaś, przecież jego żona cię zabije.

Ester nie miała wątpliwości, że Izabela Lipiec rozszarpałaby ją gołymi rękami, gdyby się o wszystkim dowiedziała.

Personel znał żonę dyrektora, bo ta pojawiała się „Pod Lwem” przynajmniej dwa razy w tygodniu, by zjeść z mężem obiad w hotelowej restauracji. Ester musiała przyznać, że Izabela była ładna, ale miała też

w twarzy coś nieprzyjemnego, taką dziwną nieruchomość jak u lalki. Zazdrościła jej dużych, niebieskich oczu i pełnych ust, ale jednocześnie nabierała przekonania, że to nic miłego patrzeć codziennie na nieruchomą twarz bez uśmiechu, żadnego grymasu. Niemal współczuła Rafałowi, że musi się z nią męczyć. Był nieszczęśliwy, nie raz o tym mówił. Od dawna nie kochał żony, bo była wyniosła, nieczuła i mściwa. Niestety nadal odkładał decyzję o jej opuszczeniu i tego Ester nie rozumiała. Nie mieli przecież dzieci, nic ich nie łączyło.

Wyjęła z plecaka komórkę i wybrała jego numer. Nie odebrał. Czekwała, aż oddzwoni. Nie oddzwonił. Napisała więc esemes: *Kochany, przyjedź do mnie. Potrzebuję cię.*

Podeszła do okna. Sąsiedzi z naprzeciwka nadal wisieli niczym dwie makabryczne marionetki.

Co ich popchnęło do tak tragicznego kroku? Może ktoś chciał ich rozdzielić? Woleli razem umrzeć, niż się rozstać. Ester też wolałaby pożegnać się z własnym życiem niż z Rafałem.

Jej komórka się odezwała. To on, nareszcie.

- Dlaczego nie jesteś jeszcze w pracy? – zapytał chłodno.
- Sąsiedzi z naprzeciwka się powiesili, to straszne, widziałam ich, jak wiszą – wyjąkała.
- Czy to jest powód, żeby się spóźnić do pracy?

Jego głos nadal był zimny i poważny, mówił do niej jak do podwładnej, a nie ukochanej.

- Przyjedź tu, jest mi smutno – poprosiła cicho.
- Ja o tej porze pracuję, w przeciwieństwie do ciebie.

Rozpłakała się. Dlaczego rozmawiał z nią w taki sposób? Dlaczego nie wykazał troski, zainteresowania?

- Nie przyjdę dzisiaj do pracy – wyszłochała.
  - Ester, nie zachowuj się jak dzieciak. Nie raz cię o to prosiłem.
- Zaczęła płakać jeszcze głośniej. Łamiącym się głosem powiedziała:
- Oni się powiesili na wprost mojego okna. Nie dam rady dzisiaj w recepcji. Słyszałeś? Nie i koniec.
- Usłyszała w słuchawce westchnięcie, a potem inny jego głos, cieplejszy:
- Zaraz u ciebie będę.

Poszła do łazienki i obmyła twarz. Przejrzała się w pękniętym lustrze. Znowu miała spuchnięte oczy. Wprawnym ruchem zaczęła rozprowadzać na powiekach zielony cień.

W kuchni zagwizdał czajnik, zadzwoniła łyżeczka rzucona do zlewu i trzasnęły drzwi kredensu. A więc pani Misia przygotowuje śniadanie. Za chwilę ciche kroki zbliżyły się pod drzwi łazienki i Michalina zawołała:

- Ester, czy zegarek ci stanął? Goście hotelowi już na pewno za tobą płaczą.
  - Ja dzisiaj do pracy nie idę, już zadzwoniłam do hotelu.
- Gdy wychodziła, pani Misia wyjrzała z kuchni. Przyglądając się jej uważnie, zapytała:
- Po co się wypacykowałeś, skoro nigdzie nie idziesz? No chyba że jednak gdzieś się wybierasz. No co?
  - Rafał zaraz do mnie przyjedzie – wyjaśniła dziewczyna.

Pani Misia poznała Rafała trzy miesiące temu, gdy zastała go w swojej kuchni. Ester robiła mu wtedy kanapki ze smalcem, który przywiozła od mamy. Z przyjemnością patrzyła, jak pochłania jedną kromkę za drugą. Na początku nie przyznała się, że to jej szef. Przedstawiła go jako kolegę z kursu językowego. Michalina zauważyła zakochane spojrzenie Ester i obrączkę na palcu kolegi. Parę dni później stwierdziła, że żonaci są jak zapałki – szybko się zapalają do nowego związku i jeszcze szybciej gasną. Zaczęła też wypytywać o Rafała, aż w końcu Ester wyjawiała z dumą, że jest dyrektorem hotelu „Pod Lwem”. Pani Misia nie wykazała zrozumienia dla ich związku i od paru tygodni nie szczędziła jej drobnych złościwości. Oczywiście z dobrego serca.

Ester zdjęła ciepły, rozciągnięty sweter i włożyła obcisłą bluzkę z niewielkim dekoltem. Użyła perfum, tych od Rafała. Była gotowa. Pięć minut później zadzwonił do drzwi. Gdy mu otworzyła, od razu ją objął, mocno i czule.

– Kochanie, przepraszam cię, moja maleńka, miałaś prawo się zdenerwować.

Mówił z ustami przy jej uchu, czuła jego gorący oddech i ciepłe dłonie. Pociągnęła go do swojego pokoju. Gdy przysiadł na brzegu wersalki, wsunęła mu się na kolana. Objął ją mocno.

– Garnitur ci się pogniecie – szepnęła.

– Nieważne.

Miał na sobie ten garnitur, który lubiła najbardziej, jasnopopielaty z lekkim połyskiem. Prezentował się w nim niezwykle elegancko. Mimowolnie porównała go z Łukaszem, którego zobaczyła wczoraj w hotelu po dwóch latach niewidzenia. Z tymi tatuażami na rękach wyglądał jak wyrośnięty dzieciak. A jaki był śmieszny, gdy się przechwalał podbojami miłosnymi w Oslo. Burak i tyle, aż dziwne, że kiedyś się jej podobał.

Rafał przesuwał dłonią po jej plecach.

– Maleńka, może przyjdiesz dzisiaj do pracy? Poprosiłem Adama, żeby został trochę dłużej w recepcji, ale on jest po nocce. Sama rozumiesz. Jeżeli nie przyjdiesz, to ja będę musiał obsługiwać gości.

Oparła policzek o jego szyję i wciągnęła woń męskiej wody toaletowej. Byłoby pięknie, gdyby tak mogła przytulać się do niego każdego poranka, robić mu śniadanie, a potem jechać razem z nim do hotelu.

– Kiedy porozmawiasz z żoną? – wydawało się jej, że zapytała bezgłośnie, ruszając jedynie ustami.

On jednak usłyszał, a może domyślił się, o co pyta, bo przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej i powiedział:

– Dzisiaj, dzisiaj jej powiem, na pewno, obiecuję. Mam już dosyć takiego życia. Chcę być z tobą, moja maleńka.

Zaczęła go całować namiętnie, zachłannie, po całej twarzy.

– Za tydzień pojedziemy do mojej mamy, niech cię w końcu pozna – powiedziała.

– A nie pogoni mnie, gdy się dowie, że jestem starszy od ciebie o czternaście lat? – Śmiał się.

– Nie, nie pogoni. Ugości cię najlepiej jak potrafi. Na pewno przygotuje kotlety mielone z kurkami. To jej kulinarna specjalność, tylko dla wyjątkowych gości, takich jak ty, mój kochany.

– Twój ojciec, gdy się dowie, że jestem żonaty, to mnie poszczuje psem.

– Mówiłam ci, że to mój ojczym, a nie ojciec. Trzeźwy jest całkiem miły, a jak będzie pijany, to mama pogoni go z domu, żeby nie przeszkadzał.

W wyobraźni już widziała, jak jadą powoli srebrnym seatem przez Bielnik. Zatrzymują się przed sklepem spożywczym, kupują całą reklamówkę słodyczy dla jej braci. Sąsiedzi robią wielkie oczy ze zdumienia. Nie dowierzają, że ta mała, biedna Ester od Kucharczyków ma takiego faceta, bogatego, przystojnego i przede wszystkim zakochanego w niej po uszy.

– Myszko, przyjdiesz dzisiaj do pracy? – zapytał ponownie Rafał.

Zsunęła się z jego kolan.

– Za pół godziny będę w recepcji. Wracaj do hotelu.

– Razem tam pojedziemy – oznajmił stanowczo.

Wiedziała, co to znaczy, takie wspólne przybycie do pracy. Do tej pory unikał pokazywania się z nią, wręcz bał się, że ktoś ich może zobaczyć razem. Dobrze pamiętała, jak raz zabrał ją na pizzę aż do Tolkmicka, z nadzieją, że nie natkną się tam na żadnych znajomych. A potem przez dziesięć minut siedział w toalecie, bo zdawało mu się, że przez okno pizzerii zauważył koleżankę Izabeli. Skoro teraz chce, aby razem podjechali pod hotel i trzymając się za ręce, weszli do środka, to naprawdę planuje rozpocząć

z nią wspólne życie.

Ester wzięła Rafała pod rękę. Czuła się już niemal jak pani Lipiec.

## Rozdział III

Prokurator Milena Łempicka-Krol stanęła w progu pokoju w mieszkaniu przy Rechniewskiego i obiema rękami zasłoniła się przed odrażającym fetorem. Niestety zabrakło dla niej maseczki. Nie przeszkodziło jej to jednak w rejestrowaniu najważniejszych szczegółów: mężczyzna wisiał na grubym sznurze przyciśniętym przez ramę okienną, kobieta chyba na kablu. Jego twarz była sina i wykrzywiona. Biały płat koszuli wyciągnięty z jednej strony spodni kojarzył się z opadniętym skrzydłem martwego ptaka. Staruszka wyglądała upiorniej. Miała palce rozczapierzone i wygięte niczym szpony. Na jej nogach ugiętych w kolanach widoczne były stróżki zaschniętych ekskrementów. Plamy kału znajdowały się też na taborecie stojącym przy oknie. Drugi taboret leżał pod kaloryferem.

Milena cofnęła się i w ciemnym korytarzu wpadła na komisarza Kamila Sorokę.

– Tam zostawili list. – Wskazał przeciwległe drzwi.

Weszli do kuchni. Młody funkcjonariusz fotografował leżącą na stole kartkę.

– Samobójstwo – stwierdził.

– Pociecha, ty tu jesteś od robienia dokumentacji, a nie od ustalania okoliczności śmierci. Tym się zajmę ja i pani prokurator – powiedział dość ostro komisarz Soroka.

– Jasne – odparł sierżant Pociecha. – Ale wszystko wskazuje na samobójstwo.

Milena nie pozwoliła Soroce zabrać głosu, sama pouczyła młodego funkcjonariusza:

– Jako technik policyjny powinien pan wiedzieć, że nie można zakładać z góry wersji o samobójstwie, bo wtedy podczas oględzin pojawia się tendencja do dokumentowania jedynie śladów potwierdzających tę tezę, a pomija się te, które samobójstwu zaprzeczają.

Soroka, poklepując kolegę po plecach, dodał:

– No, Pociecha, podziękuj pani prokurator za szkolenie i idź szukaj dowodów popełnionej tu zbrodni.

Policjant wyszedł, a Milena pochyliła się nad listem.

*Człowiek powinien mieć prawo decydować o swoim odejściu. Nasz testament znajduje się w kancelarii notarialnej Izabeli Lipiec.*

Litery były małe, proste i trochę rozciągnięte. Po lewej stronie kartki leżał długopis, jak gdyby osoba pisząca była leworęczna. Trzeba sprawdzić, czy któreś z nich było mańkutom. Chociaż i tak odciski palców na długopisie, a przede wszystkim ekspertyza grafologa będą decydujące.

Kamil Soroka stał po drugiej stronie stołu i patrzył na nią jasnymi oczami, które w jego twarzy zawsze zwracały największą uwagę. Przy pierwszym spotkaniu tak była zaabsorbowana tym spojrzeniem, że nie zauważyła cienkiej blizny biegnącej od brody do prawego ucha. Pomyślała sobie, że to pozostałość po czynnościach służbowych, pamiątka po nożu przestępcy. Komisarz szybko jednak wyznał, że blizna jest dziełem jego zapijaczego ojczyma i nosi ją od dziecka.

– Krótki ten list.



– No tak, nie ma w nim prośby o wybaczenie, żalu i takich tam... co się zwykle pisze do rodziny – zauważyła pani prokurator.

– Napisali go dla nas, dla policji. Nie mieli dzieci.

Milena pracę w elbląskiej prokuraturze rozpoczęła prawie cztery miesiące temu, dwa dni później poznała komisarza Kamila Sorokę, który właśnie kierował śledztwem w sprawie śmiertelnego pobicia na ogródkach działkowych na Bielanach. Musiała przyznać, że ten przystojny funkcjonariusz miał dryg do tej roboty. Skrupulatnie gromadził jak najwięcej informacji na temat zdarzenia. Dla niego nie było nieznaczących szczegółów czy mało istotnych świadków. Co ważne, umiał analizować fakty, wyciągać wnioski i zdawał sobie sprawę, że w wykryciu sprawcy czas odgrywa kluczową rolę. A jak już trafił na trop, to nie popuścił, aż nie udowodnił winy. Wtedy, w lipcu, pracował bez przerwy ponad siedemdziesiąt godzin. Gdy zwróciła mu uwagę, że powinien odpocząć, warknął jedynie, żeby mu nie przeszkadzała. Miała ochotę odpowiedzieć równie ostro, ale się powstrzymała. Wolała uniknąć konfliktu w pierwszych dniach pracy. Wtedy jego upór, wręcz zawziętość przyniosły szybki efekt. Pamiętała, jak siedział w kłębach dymu papierosowego i po raz któryś z kolei czytał zeznania, ekspertyzy, protokoły oględzin i przeglądał zdjęcia. Na luźnych kartkach wynotowywał nieścisłości, w notesie zapisywał pytania, które należało jeszcze zadać świadkom i rodzinie zabitego. W końcu wytypował dwóch pijaczków jako najbardziej prawdopodobnych sprawców. Trafił w dziesiątkę, obaj się przyznali podczas kolejnego przesłuchania.

Milena rozejrzała się po kuchni: jasne kafelki, ciemne meble, kuchenka gazowa, na niej czajnik z gwizdkiem. Żadnych brudnych naczyń w zlewie. Na kredensie dwa słoiki, jeden z miodem, drugi z dżemem. Dotknęła palcem czajnika, był zimny. Otworzyła lodówkę: osiem jajek, mleko, kawałek makowca, kilka kotletów, sałatka jarzynowa, wędzona ryba, musztarda, banany, w zamrażalniku kilka porcji mięsa i bigos.

– Co o nich wiemy?

Komisarz Soroka zaczął mówić:

– On to Leon Szulc, sześćdziesiąt siedem lat, profesor historii, miłośnik Warmii i Mazur, przez wiele lat wykładał na Uniwersytecie Gdańskim, napisał kilka książek, w tym o Elblągu. Ona, Marianna Szulc, sześćdziesiąt sześć lat, emerytowana nauczycielka historii, również miłośniczka Warmii i Mazur, a także znana społeczniczka. Nie mieli dzieci. Najbliższa osoba to będzie chyba brat Marianny Szulc. Jeszcze go nie namierzyliśmy. Oboje bardzo aktywni, on brał udział w konferencjach, gościnnie wykładał na różnych uniwersytetach, pisywał artykuły, no i opowiadał o historii regionu w lokalnej telewizji. Ona organizowała akcje charytatywne, zbierała kasę na chore dzieci.

Soroka wpatrywał się przymrużonymi oczami w list i leżący obok długopis. Milena знаła już ten skupiony wyraz twarzy – komisarz coś zauważył. Też spojrzała: kartka papieru prawdopodobnie z notatnika, obok plastikowy, zielony długopis i ponadto nic więcej.

– O co chodzi? – zapytała wreszcie.

– Tani, zwykły długopis, czy to cię nie dziwi?

– Zupełnie nie, ja też takich używam.

– A ja bym się tutaj spodziewał raczej markowego pióra, jak przystało na profesora starej daty.

– Doceniam twój instynkt śledczy, ale czasami przesadzasz. Nie ma już profesorów starej daty, a ci dzisiejsi używają zwykle tabletek. Jak pod ręką nie ma elektroniki, to wystarcza tani długopis.

Do kuchni zajrzał sierżant Pocięcha i oznajmił:

– Przyjechał medyk sądowy.

– Idę – odpowiedział Soroka.

– Nie jestem wam już potrzebna. Pojadę do tej notariusz, może testament powie nam coś

interesującego.

Milena znalazła w internecie telefon do kancelarii notarialnej Izabeli Lipiec, zadzwoniła i umówiła się na dziewiątą. Miała jeszcze półtorej godziny, a więc zdąży zjeść śniadanie i przebrać się. Powąchała rękaw swojej wełnianej sukienki. Cuchnęła. Po przekroczeniu progu mieszkania od razu ją zdjęła i wrzuciła do pralki. Narzuciła na siebie starą flanelową koszulę i poszła do kuchni. Zaczęła smażyć jajecznicę, potem zjadła ją wprost z patelni. Do herbaty ukroiła sobie jeszcze kawałek sernika, który wczoraj dostała od pani Karoliny z administracji. Nie liczyła, że w testamencie państwa Szulców znajdzie wyjaśnienie przyczyny ich śmierci. Była jednak zawodowo ciekawa, komu zostawili swój majątek, może jakiejś organizacji charytatywnej, skoro pani Szulc była społeczniczką. Gdyby okazało się, że dokonali zapisu na rzecz osoby fizycznej, trzeba będzie ustalić wzajemne relacje i sprawdzić, czy czasem nie doszło do nakłaniania do samobójstwa.

Milena weszła do kancelarii i zdumiona patrzyła na płaskorzeźby, szerokie, marmurowe parapety i czerwone kanapy. Pani notariusz elegancją i wytwornością dorównywała swojemu gabinetowi. Czarna, obcisła bluzka, podkreślająca szczupłą sylwetkę, i biała spódnica w czarne romby sięgająca aż do kostek – w tym stroju mogła pozować do magazynu poświęconego kobietom sukcesu. Milena uśmiechnęła się do niej na powitanie, ale Izabela Lipiec nie odwzajemniła uprzejmości.

Milena spotkała panią notariusz pierwszy raz jakieś trzy miesiące temu, latem, w Galerii EL na festiwalu jazzowym. Izabela była tam ze swoim ojcem, sędzią Lasockim, i to właśnie on przedstawił sobie obie panie. Pamiętała, że uderzyło ją wtedy podobieństwo pomiędzy córką i ojcem, podobieństwo w twarzy, nie tyle w linii warg, w kształcie nosa czy kości policzkowych, co raczej w rysach, tych najbardziej indywidualnych włóknach mięśni. Oboje mieli pewną surowość w twarzy, połączoną z mało ekspresyjną mimiką. Taka twarz w sędziowskim zawodzie mogła uchodzić za atut. Oskarżony, patrząc na oblicze sędziego Lasockiego, widział srogi i niewzruszony wymiar sprawiedliwości. U kobiety jednak taki wyraz twarzy sprawiał niemiłe wrażenie.

Izabela usiadła na czerwonej kanapie, Milena zajęła miejsce po przeciwnej stronie stołu i zaczęła mówić:

– Dzisiaj rano zostały odnalezione w mieszkaniu na ulicy Rechniewskiego zwłoki Leona Szulca i Marianny Szulc. Wiele wskazuje na to, że popełnili samobójstwo. Zostawili list, w którym poinformowali, że w pani kancelarii znajduje się ich testament. – Milena na próżno doszukiwała się w twarzy pani notariusz jakichś emocji, choćby zainteresowania sprawą. – Czy pani pamięta państwa Szulców?

– Tak, dwa tygodnie temu złożyli u mnie testament. – Izabela miała niski, cichy głos.

– Dwa tygodnie to niedawno. Czy może zachowywali się wtedy nerwowo albo wyglądali na zaniepokojonych?

– Nic takiego nie zauważyłam.

– Chciałabym poznać treść ich testamentu. Czy to jest możliwe teraz?

– Tak.

Izabela wstała. Podeszła do uchylonych drzwi, za którymi ktoś pracował, i poprosiła o przyniesienie dokumentu.

– Państwo Szulcowie nie wskazali żadnej osoby, która ma być obecna przy otwarciu testamentu – oznajmiła. – Pytałam kilkakrotnie o to, komu właściwie mam go odczytać. Pan Leon odpowiedział, że na pewno ktoś się pojawi. Teraz rozumiem, co miał na myśli. Zobowiązałam się też, że dopilnuję realizacji zapisu.

Do pokoju weszła asystentka z dwiema kopertami. Milena patrzyła na prawą dłoń Izabeli, ozdobioną szeroką obrączką, bardzo piękną, z białego złota. Pani notariusz sprawnie rozcięła pierwszą kopertę,

wyjęła kartkę i zaczęła czytać:

*Ja, Leon Szulc, syn Józefa i Zuzanny, urodzony 20 czerwca 1946 roku w Warszawie, na wypadek mojej śmierci pozostawiam niniejszy testament i swoim spadkobiercą czynię zwycięzcę najbliższego biegu na orientację odbywającego się na obszarze miasta Elbląga. Jeżeli pierwsze miejsce w zawodach zajmie więcej niż jedna osoba, mój majątek powinien zostać podzielony pomiędzy nie. Treść mojej ostatniej woli powinna zostać przekazana opinii publicznej na co najmniej dwa tygodnie przed biegiem.*

W dalszej części testamentu znajdowała się informacja, że w skład majątku wchodzi połowa mieszkania przy ulicy Rechniewskiego wraz ze znajdującymi się tam ruchomościami, samochód marki Volkswagen oraz środki finansowe zgromadzone na rachunku bankowym. Izabela Lipiec otworzyła kolejną kopertę i odczytała testament Marianny Szulc. Pani Szulc swoją część majątku także zapisywała zwycięzcy elbląskiego biegu na orientację.

– Przyznaję, że jestem zaskoczona – wyznała Milena.

Pomyślała, że Szulcowie pasjonowali się biegami na orientację i może sami za młodu brali udział w tego rodzaju zawodach. A zapis sporządzili po to, aby rozpropagować ten sport.

– Też mnie to zdumiało – odezwała się Izabela. – Ale dobrze pani wie, że nie wolno mi czynić żadnych uwag do treści testamentu. Do moich obowiązków należy sprawdzenie tożsamości spadkodawcy, czy ma zdolność do czynności prawnych i czy działa świadomie.

Milena poprosiła o kopię obu dokumentów. Spojrzała na podpisy, doszukując się podobieństwa z charakterem pisma z listu pozostawionego w kuchni. Małe, proste, lekko rozciągnięte litery w nazwisku Leona Szulca wskazywały, że to on był autorem przedśmiertnej wiadomości.

– Kiedy będą organizowane w Elblągu najbliższe zawody? – zapytała.

– Nie interesowałam się tym jeszcze. Nie sądziłam, że tak szybko nastąpi otwarcie testamentu.

Milennie zaczynał przeszkadzać zewnętrzny stoicyzm Izabeli. Czowała, że w porównaniu z nieruchomym obliczem pani notariusz jej własne może wydawać się nazbyt ekspresyjne. A przecież to ona powinna w tej rozmowie zachować kamienną twarz, jak przystało prokuratorowi.

– Domyślam się, że państwo Szulcowie uzależnili swoją samobójczą śmierć od terminu najbliższych zawodów – powiedziała.

– A zatem możemy się ich spodziewać w najbliższym czasie – podsumowała Izabela. – Zaraz sprawdzimy. – Przez chwilę przesuwała wzrokiem po monitorze. – Od piętnastego do siedemnastego listopada. Za trzy tygodnie. Organizatorem jest Pomorski Klub Orientacji „Harpagan”. Poczekam jeszcze kilka dni i dam komunikat do mediów o nagrodzie dla zwycięzcy. Sądzę, że organizator będzie bardzo zaskoczony, jego też oczywiście poinformuję.

Milena podeszła do kryształowego wazonu i wyjęła kilka świeżych, pachnących róż. Izabela nie okazała zdumienia, jakby te kwiaty były przeznaczone właśnie dla wychodzących klientów.

Milena wróciła do prokuratury. Na jej biurku leżały już protokoły dzisiejszych oględzin wraz ze zdjęciami. Na ekspertyzy musiała jeszcze poczekać, nawet kilka dni. Zdjęła płaszcz i usiadła w wygodnym fotelu obrotowym na kółkach z wysokim oparciem. Warto było przenieść się dla niego z prokuratury olsztyńskiej.

Najpierw przystąpiła do czytania protokołu oględzin zwłok. Według biegłego Szulcowie powiesili się między trzecią a czwartą rano. Mimo tak wczesnej pory oboje byli kompletnie ubrani, pani Marianna miała nawet w uszach złote kolczyki. Milena pomyślała, że nie kładli się spać i mieli na sobie ubrania z poprzedniego dnia, ale oględziny bielizny pana Leona wykazały, że nie mogła być używana przez wiele

godzin. Na jego twarzy nie było też śladu zarostu, ogolił się krótko przed śmiercią. U obojga stwierdzono obecność protez zębowych. Pani Szulc miała na sobie czarną sukienkę do kolan z długim rękawem, która nosiła niewielkie ślady zużycia, prawdopodobnie przeznaczona była na specjalne okazje. Po rozebraniu ciał stwierdzono u obojga plamy opadowe w dolnych kończynach oraz bruzdy wisielcze, Marianna była po obustronnej mastektomii, ponadto nie wykryto żadnych innych obrażeń.

Milena zaczęła przeglądać zdjęcia zwłok. Fotografie zawsze więcej jej mówiły niż opis w protokole. Dzięki nim potrafiła odtworzyć sobie w głowie daną przestrzeń ze wszystkimi szczegółami, policyjny język protokołu tej możliwości nie dawał. Patrzyła na upiorną sesję dwojga wisielców, zwłoki wiszące i leżące, ubrane i rozebrane, z profilu i *en face*. Trupy w roli modeli, on prezentował białą koszulę i granatowe spodnie, a ona czarną sukienkę. Na każdym ze zdjęć uwagę przyciągały ich białe włosy, jego krótko ostrzyżone, jej ściągnięte gumką. Najbardziej upiorne były zdjęcia nagich ciał, zwłaszcza pani Szulc – okaleczona, bez piersi, we własnych ekskrementach.

I po co było to przedśmiertne dbanie o estetykę? Po co biała koszula i czarna sukienka, kolczyki i protezy? Przecież wszyscy wisielcy ostatecznie wyglądają tak samo.

Kolejne zdjęcia przedstawiały wisielcze pętle, jedną wykonaną z płaskiego kabla o szerokości pół centymetra, drugą ze sznura. Protokół informował, że jest to sznur mocny, przypominający ten, który wykorzystuje się do robienia hamaków. Dlaczego zdecydowali się na dwie różne pętle? Policjanci w przedpokoju natrafili na trzy metry zwiniętego kabla. Identycznego z tym, na którym wisiła pani Szulc, więc kabla im nie zabrakło. O sznurze w protokole więcej nie było mowy.

Milena zwróciła też uwagę na parę innych szczegółów, przede wszystkim drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. Ponadto światło we wszystkich pomieszczeniach było wyłączone – Leon i Marianna powiesili się między trzecią a czwartą, o tej porze jest jeszcze zupełnie ciemno. Wyglądało więc na to, że wdrapywali się na taborety i wkładali głowy w pętle po omacku. A może wcale nie, może w tej najbardziej dramatycznej chwili światło było włączone, tylko ktoś, wychodząc z mieszkania, odruchowo je zgasił. No i jeszcze te leki w reklamówce, kupione kilka godzin przed śmiercią, o czym informował dołączony paragon. O siedemnastej osiem któreś z nich stało w aptece i raczej nie myślało o samobójstwie, lecz o ratowaniu zdrowia.

Zadzwoił telefon.

– Mamy dwa kolejne trupy – oznajmił spokojnie komisarz Soroka.

– Gdzie?

– Hotel „Pod Lwem” na Kowalskiej, pokój trzydzieści dwa, trzecie piętro. Masz blisko, po prostu przyjdź.

Nie wiedziała, gdzie jest ulica Kowalska, chciała zapytać komisarza o drogę, ale już się rozłączył. Na korytarzu natknęła się na panią Karolinę z administracji, niosącą segregator pod pachą i dwie filiżanki kawy w dłoniach.

– Gdzie jest hotel „Pod Lwem”? – zapytała ją Milena.

– A co, umówiłaś się tam z jakimś przystojniakiem? – uśmiechnęła się filuternie pani Karolina.

– Tak, z komisarzem Soroką.

– A, ze Sroką.

Milena wiedziała, że Kamil Soroka nazywany jest Sroką, czego podobno nie lubił, było to chyba przezwisko z czasów szkolnych.

Pani Karolina ciągnęła:

– Przystojny to może on jest, ale ja bym mu nie zaufała, za to mój kuzyn, odpowiedzialny, uczciwy jak wszyscy w naszej rodzinie...

– Błagam, tam na mnie czekają. Niech pani powie, jak dojść do tego hotelu.

Gdy tylko Karolina skończyła opisywać trasę, Milena ruszyła szybkim krokiem. Raczej nie miała w zwyczaju pędzić na wezwanie, była przecież poważnym prokuratorem. To funkcjonariusze prewencji mieli pojawiać się niezwłocznie na miejscu zdarzenia i jak najszybciej zabezpieczyć je przed osobami postronnymi. Technicy też powinni uwijać się z oględzinami, żeby ślady nie zdążyły ulec zatarciu. Ona nie musiała się spieszyć, ale przy każdym kontakcie z Kamilem Soroką starała się dorównać jego profesjonalizmowi. Zwolniła kroku, była już na Kowalskiej. Spojrzała na zegarek, cztery minuty, tylko tyle jej zajęło dotarcie na miejsce. Przed hotelem stały dwa wozy policyjne i rower, kręcił się także chłopak w czerwonej kurtce. Przy drzwiach stał sierżant Pocięcha i stanowczym tonem tłumaczył barczystemu mężczyźnie z wąsami, że nie wolno nikomu opuszczać hotelu. Mężczyzna wyjaśniał, że od dwóch godzin powinien być w lesie, to znaczy w robocie, bo ma wycinę, że wczoraj wieczorem zapisał i dziś zasnął. Prosił, żeby go spisać z dowodu, że będzie na zawołanie policji, w każdej chwili można go też znaleźć w lesie koło Braniewa. Zaczął szukać dokumentów po kieszeniach, zajrzał do bocznej kieszeni w torbie, w końcu przypomniał sobie, że nie odebrał dowodu z recepcji. Zniechęcony, począłpał w stronę kontuaru. Po drugiej stronie lady było jednak pusto.

Pocięcha zwrócił się do Mileny:

– Komisarz czeka na panią na trzecim piętrze.

Opodal na kanapie siedziały dwie osoby, kobieta w brązowym płaszczu i mężczyzna przeglądający gazetę. Przed nimi stała torba. Milena zauważyła, że mężczyzna jest czymś wyraźnie poruszony. Policzki mu drżały, nerwowo przerzucał kolejne strony. Kobieta chyba usłyszała, że funkcjonariusz zwraca się do pani prokurator, bo natychmiast pochyliła się do swojego towarzysza i coś mu szepnęła. Ten podniósł głowę i uważnie przyglądał się Milenie.

Gdy rozsunęły się drzwi windy, wypadła z niej szlochająca dziewczyna w stroju pokojówki. Wyminęła Milenę i pobiegła w stronę recepcji.

Na trzecim piętrze panowała cisza, jakby hotel był opustoszały. W głębi korytarza zobaczyła sylwetkę Kamila Soroki i ruszyła w tamtą stronę. Czuła, że po plecach ścieka jej stróżka potu, w hotelu nie oszczędzali na ogrzewaniu. Zaczęła rozpinąć płaszcz. Za plecami komisarza znajdowały się drzwi do numeru trzydzieści dwa, były lekko uchylone. Gdy się zbliżyła, pchnął je i odsunął się, aby miała dobry widok.

Zabójstwo, nie mogło być żadnych wątpliwości, że tych dwoje zostało zamordowanych. Dziewczyna w stroju recepcjonistki leżała blisko drzwi. Nogi złączone, ręce wzdłuż ciała, głowa prosto, jak przystało na grzeczną dziewczynkę, która kładzie się na podłodze i udaje, że śpi. Ona jednak nie spała. Ktoś ją udusił, wyraźna sina pręga biegła w poprzek szyi. Obok głowy denatki leżała czarna pończocha, prawdopodobnie narzędzie zbrodni. Dziewczyna miała otwarte oczy, usta lekko rozchylone, twarz spokojną, jeszcze bez oznak stężenia pośmiertnego. Drugą ofiarą był mężczyzna. Milena widziała go od tyłu. Górna część jego ciała leżała na łóżku, kolanami opierał się o podłogę. Ręce miał wyciągnięte przed siebie, jakby chciał wdrapać się na posłanie, ale sił wystarczyło mu jedynie na ściągnięcie prześcieradła. Na jego karku, między białym kołnierzykiem koszuli a siwymi włosami, widać było czarną opaskę. Milena domyśliła się, że to druga pończocha od pary.

– Tę dziewczynę, Ester Kucharczyk, widziałem dzisiaj żywą, na Rechniewskiego – odezwał się Kamil.

– Co tam robiła?

– Stała na chodniku w grupie gapiów. Sądzę, że mieszkała w pobliżu.

– Oni zostali zamordowani niedawno, może nawet bardzo niedawno – powiedziała Milena.

– Tak, może morderca nie zdążył wyjść jeszcze z hotelu. Jeżeli jest gościem, mógł pójść do pokoju po płaszcz lub bagaż. Mamy szansę go złapać.

## Rozdział IV

Morderstwo w hotelu „Pod Lwem”, ta wiadomość szybko obiegała całą komendę policji przy ulicy Tysiąclecia. Z hotelu były dwa telefony, jeden histeryczny, jakaś dziewczyna, szlochając, krzyczała do słuchawki:

– Przyjdźcie do nas! Szybko! Zabili ich!

Dwie minuty później kolejny telefon, tym razem mężczyzna, wyraźnie zdenerwowany, który jednak sensownie powiadomił o zwłokach dwóch osób znalezionych w pokoju hotelowym.

Komisarz Soroka na wieść o morderstwie ożywił się. W końcu coś się dzieje, rano dwa trupy i teraz dwa kolejne. Wiedział, że jest cyniczny w swoim myśleniu, ale po wielotygodniowym zajmowaniu się włamaniami na ogródkach działkowych i kradzieżami w marketach był szczęśliwy, że trafia mu się coś innego. Pojechali na miejsce dwoma samochodami, on i Pociecha w pierwszym wozie, w drugim Beata i aspirant Nowak, nazywany przez całą komendę Rumunem ze względu na typ urody. Przed hotelem czekał na nich mężczyzna w popielatym garniturze. Był blady, w ustach trzymał żarzącego się papierosa. Pierwszy wyciągnął rękę do komisarza.

– Rafał Lipiec, jestem tu dyrektorem – przedstawił się, wyraźnie zdenerwowany.

Kamil zarejestrował dwa fakty. Po pierwsze mężczyzna miał lekki, jakby kobiecy uścisk dłoni, po drugie nosił nazwisko, które już dzisiaj padło. Lipiec, tak przecież nazywała się notariusz, u której swój testament złożyli Szulcowie.

Pan dyrektor rzucił do połowy wypalonego papierosa na chodnik i zgasił go butem. Chyba uświadomił sobie, że właśnie popełnił wykroczenie i może dostać mandat, bo szybko pochylił się i podniósł niedopałek.

– Przepraszam – wymamrotał. – Jestem trochę rozkojarzony. Rozumieją panowie.

– To gdzie są ofiary? – zapytał komisarz.

Rafał Lipiec poprowadził funkcjonariuszy do windy. Kamil prawie mimowolnie notował w pamięci kolejne fakty, żadnego człowieka na parterze, pusty korytarz na trzecim piętrze, kobiecy głos za drzwiami numer trzydzieści. Dyrektor wskazał pokój trzydzieści dwa, sierżant Pociecha włożył rękawiczki i nacisnął klamkę.

Dziewczynę przy drzwiach rozpoznał od razu. Parę godzin temu to właśnie ją wytypował z grupki gapiów na Rechniewskiego do udzielenia informacji na temat Szulców. Teraz leżała tutaj w stroju recepcjonistki. Pochylił się i przeczytał z identyfikatora: Ester Kucharczyk. Drugą ofiarą był mężczyzna, jego górna część ciała leżała na łóżku, a nogi na podłodze. Miał na sobie buty, spodnie i koszulę. Komisarz wciągnął w nozdrza zapach unoszący się w pomieszczeniu, z nadzieją, że uchwyci jakąś charakterystyczną woń, która może okazać się istotnym śladem. Może sprawca był nałogowym palaczem tytoniu albo namiętnie spożywał miętówki i któryś z tych zapachów pozostał na miejscu zbrodni? Niestety, woń niczym się nie wyróżniała, zwyczajny zaduch hotelowego pokoju, niewietrzonego od kilkunastu godzin. Zatrzymał wzrok na otwartych drzwiach szafy. Stojąc wciąż w progu, wychylił się,

żeby zajrzeć do jej wnętrza. Dojrzał metaliczny prostokąt, to na pewno sejf. Miał ochotę wejść do pokoju, żeby sprawdzić, czy skrytka jest otwarta. Nie chciał jednak zdeptać śladów butów mordercy. Ślady traseologiczne mogą okazać się niezwykle ważne. Będą przecież mieli bogaty materiał porównawczy, może nawet kilkadziesiąt par butów mieszkających tu gości i personelu. Może jakaś para będzie pasowała do odcisku podeszwy pozostawionej w tym właśnie pokoju.

Na czarnym stoliku stała butelka szampana i dwa wysokie kieliszki. Na krawędzi jednego z nich widoczna była smuga, prawdopodobnie ślad po szmince. Wygląda na to, że gość spędził wieczór z jakąś kobietą. To raczej nie ona go zabiła, bo trzeba mieć sporo siły, żeby uśmiercić dorosłego mężczyznę. No ale ta pani przecież mogła mieć współnika.

Kamil musiał się jeszcze upewnić, że recepcjonistka nie żyje. Przyłożył dwa palce do jej szyi. Tak jak myślał, była martwa, ale wciąż ciepła. To dotknięcie podziało na niego jak zastrzyk adrenaliny, który przyspiesza bicie serca, ale także rozjaśnia umysł. Czuł, jak neurony w jego głowie zaczynają się stykać i pozwalają na niezwykle logiczny przepływ myśli. Był teraz śledczym w każdym calu, poza tą zbrodnią nic się nie liczyło. Nie musiał się zastanawiać, co robić, dobrze wiedział, jakie kroki podjąć. Sprawca może jeszcze przebywać w budynku, bo to przecież hotel. Musi najpierw postawić policjantów przy drzwiach, nikt nie ma prawa stąd wyjść. No i trzeba zabezpieczyć monitoring, bo może jednak sprawca już wyszedł. Miał za mało ludzi, tylko trzech, natychmiast musi tu ściągnąć wsparcie.

Cofnął się na korytarz. Dyrektor stał oparty o ścianę. Miał przymknięte oczy, jakby ucinął sobie małą drzemkę.

– Oprócz drzwi frontowych są jeszcze jakieś inne, którymi można opuścić hotel?

– Tak, są drzwi za szatnią dla personelu.

Komisarz zwrócił się do sierżanta Pocięchy:

– Tak, są drzwi za szatnią dla personelu.

KoPostaw tam Beatę, ty przy drzwiach frontowych, i żeby mysz mi się nie precisnęła. Zadzwoń po techników, chcę ich tu mieć za osiem minut, a biegłego za godzinę. Niech aspirant Nowak zabezpieczy monitoring, natychmiast.

Spojrzał na dyrektora i zapytał:

– Macie tu monitoring?

Ten kiwnął twierdząco głową.

– Chcę mieć listę gości i plan hotelu. Kim jest ofiara?

– Nazywa się Henryk Szymański, jest kolekcjonerem historycznych papierów wartościowych. Wczoraj odbyła się tu aukcja. Ten gość kupił najwartościowsze papiery.

Sierżant i dyrektor ruszyli do windy, a Kamil wyjął komórkę i wybrał numer prokurator Mileny Łempickiej-Król. Poinformował ją o dwóch trupach w hotelu „Pod Lwem”, z rozmysłem nie powiedział, że chodzi o morderstwo. Miał nadzieję, że po przybyciu na miejsce będzie na tyle zaskoczona, że daruje sobie kierowanie oględzinami i pozostawi to jemu. Pani prokurator przyda mu się do przesłuchiwanie świadków, których nie będzie mało. Podobno jest w tym dobra. Wiele słyszał o jej śledztwie, kiedy to zamieszkała w pobliżu podejrzanych, obserwowała ich i rozmawiała z nimi jak z sąsiadami. To był bardzo śmiały pomysł, ale z wątpliwymi szansami na powodzenie, bo sąd mógł odrzucić dowody zdobyte na drodze nieoficjalnych przesłuchań. Prokurator Milenie Łempickiej jednak się udało. Jeżeli zwyczajowe metody śledcze zawodzą, pozostaje jeszcze pomysłowość.

Pani prokurator pojawiła się po pięciu minutach, jeszcze przed technikami.

– Kto kieruje oględzinami? – zapytał.

Milczała. Zapewne zastanawiała się, czy powinna powierzyć mu oględziny, ta czynność właściwie należała do obowiązków prokuratora, o ile był na miejscu zdarzenia. W końcu mruknęła:

– Zajmij się tym, ja zacznę przesłuchiwać.

Z windy wysiadł sierżant Pocięcha, towarzyszył mu jeden z najbardziej doświadczonych techników, starszy aspirant Konarski, który parę godzin wcześniej zabezpieczał ślady na Rechniewskiego. Soroka polecił mu:

– Zaczynaj od śladów butów i skup się na pościeli, prawdopodobnie ofiara gościła w nocy jakąś kobietę. Chcę o niej wiedzieć jak najwięcej.

Miał już zbiec po schodach, ale w tej chwili na trzecim piętrze zatrzymała się winda i wysiadła z niej około czterdziestoletnia, elegancka kobieta. Przyciskała do piersi plik kartek. Niepewnym krokiem zbliżyła się do komisarza.

– Przyniosłam listę gości i plan hotelu.

Widać było, że jest bardzo zdenerwowana. Wskazała ręką na pokój trzydzieści dwa i drżącymi ustami wyszeptała:

– Taka młoda. Mam córkę prawie w jej wieku. Koszmar.

– Pani tu pracuje?

– Tak, jestem menadżerem hotelu. Jak ja niby mam teraz promować ten hotel? Po czymś takim?

Kamil spojrzał na listę.

– A więc w tej chwili w hotelu jest dwudziestu sześciu gości. Czy ktoś się wymeldował w ciągu ostatniej godziny?

– Nie wiem. Musiałabym sprawdzić.

– Tutaj wczoraj odbyła się aukcja papierów wartościowych. Czy dysponuje pani może listą uczestników?

– Dyrektor ma taką listę, bo to on chodził koło tej licytacji. Ale wie pan, lista nie musi być kompletna, bo jedni nie przyszli, a w ich miejsce pojawili się inni.

Komisarz i pani menadżer drgnęli, gdy tuż obok nich otworzyły się drzwi i z numeru trzydzieści wyszła dziewczyna. Była uczesana w dwa warkocze, trzymała w ręku złotą torebkę. Przez chwilę patrzyła na nich spokojnymi, wielkimi oczami, potem kiwnęła im głową i skierowała się do windy.

Soroka usłyszał za plecami ciche kroki, to zbliżała się pani prokurator. Milena, wskazując młodą dziewczynę znikającą właśnie za drzwiami windy, stanowczo oznajmiła:

– Nie można pozwolić, żeby goście hotelowi kontaktowali się ze sobą i wymieniali informacje o zdarzeniu, bo w końcu nikt nie będzie wiedział, co sam widział i słyszał, a co mu przekazano. To samo dotyczy personelu.

– Zaraz postawię funkcjonariusza na każdym piętrze i spróbujemy przytrzymać gości w pokojach, ale tylko przez parę godzin – powiedział Soroka.

Milena wyjęła z jego dłoni kartki i zaczęła je przeglądać.

– Gdzie jest lista personelu?

– Zaraz ją przygotuję.

Kobieta odwróciła się z zamiarem odejścia. Milena zatrzymała ją jeszcze i poprosiła:

– Czy mogłaby pani dla nas znaleźć dwa pomieszczenia do przesłuchań? Nie pokoje hotelowe, coś bardziej neutralnego.

– Mogę oddać swój gabinet, no i jest jeszcze sala konferencyjna. Chce pani ją zobaczyć?

Gdy obie panie wsiadły do windy, Soroka zadzwonił do Rumuna i polecił mu odseparować od siebie gości hotelowych oraz dopilnować, aby personel nie wymieniał się opiniami o zdarzeniu.

Wrócił do numeru trzydzieści dwa. Aż gwizdnął na widok śladów butów zabezpieczonych na folii winylowej. Było ich mnóstwo, jak gdyby ofiara urządziła w swoim pokoju przyjęcie dla kilkunastu osób.

– Co z sejfem?



- Otwarty i pusty – odpowiedział Konarski.
- Nosi ślady włamania? – dopytywał dalej Soroka.
- Nie.

Komisarz Soroka stanął przy drzwiach do łazienki i przystąpił do opisywania w protokole miejsca zdarzenia. Głośno mówił to, co pisał, aby koledzy mogli go na bieżąco poprawiać:

– Trzydzieści centymetrów od ściany bocznej lewej na wykładzinie leżą dwie tekturowe plakietki o długości ośmiu i szerokości czterech centymetrów. Plakietki znajdują się w odległości czterdziestu centymetrów od siebie. Kierownik grupy oględzin ustalił, że są to bilety na koncert Elbląskiej Orkiestry Kameralnej. Zostały opylone argentoratem i ujawniono ślady daktyloskopijne. Plakietki oznaczono jako ślad numer cztery, po czym umieszczono je w plastikowym pudełku.

– Mamy coś – powiedział aspirant Konarski, pochylając się nad białym fotelem.

Komisarz zbliżył się i spojrział. Zrazu nie dojrzał nic specjalnego, dopiero gdy Konarski stwierdził, że to jest odbicie podeszwy buta, dostrzegł charakterystyczny zarys, jakby cienka warstwa kurzu skoncentrowała się pośrodku. Pocięcha stał już obok i fotografował ślad.

– Muszę wyciąć tę część fotela, inaczej nie da się zabezpieczyć śladu – oznajmił Konarski.

Komisarz odsunął się pod drzwi łazienki i dalej opisywał czynności techników oraz miejsce zdarzenia.

Po umieszczeniu w pudełkach dwóch wysokich kieliszków i butelki po szampanie przeszli do sprawdzania rzeczy osobistych ofiary. W czarnej eleganckiej torbie znaleźli piżamę, starannie złożoną, wyprasowaną, tej nocy na pewno nie była używana, ponadto ręcznik, bielizna, sweter, trzy batony, książka o Prusach, okulary i klucze od mieszkania. Rzeczy w torbie wyglądały na uporządkowane, nikt ich nie splądrował. W szafie wisiały dwie koszule, garnitur i czarny płaszcz. W kieszeni płaszcza znajdował się portfel, a w nim sto sześćdziesiąt złotych, bilet kolejowy, karta bankomatowa, a także dowód osobisty. Z kolei w kieszeni marynarki znaleźli komórkę. Przybory do golenia leżały w łazience, tam też wisiały dwa ręczniki hotelowe, oba nosiły ślady używania, na jednym ujawnili dwie ciemne plamki, które wyglądały jak ślad po tuszu. Nigdzie nie było historycznych papierów wartościowych.

Na koniec Konarski przystąpił do oględzin pościeli, znalazł i zabezpieczył włos barwy brązowej długości dziesięciu centymetrów oraz kilka plam będących śladami po wydzielinach z ludzkiego ciała. Przykleił też do prześcieradła taśmę, licząc na to, że w ten sposób uda mu się zabezpieczyć złuszczone naskórek.

Teraz czas na oględziny zwłok, czyli to, co komisarz lubił najbardziej. Nie raz zastanawiał się, czy podniecenie, jakie odczuwał podczas oglądania ciał ofiar, jest objawem zboczenia. Czy to po prostu zamiłowanie do profesji odzywało się w reakcjach fizycznych? Zaczął opisywać w protokole pozycję ciała Ester Kucharczyk, układ głowy i kończyn w stosunku do tułowia. To było zastanawiające, że leży tak równo, jakby ktoś ją ułożył. Prawdopodobnie morderca, po tym jak ją udusił, nie pozwolił jej się przewrócić, aby upadające ciało nie narobiło hałasu. Twarz dziewczyny była zwyczajna, wręcz pospolita, z wąskimi ustami i małym nosem, niczym się nie wyróżniała. Określiłby ją jako szarą myszkę.

Konarski wyszedł z pokoju, a jego miejsce zajął medyk sądowy. Komisarz przyklęknął przy dziewczynie. Miała na sobie dwuczęściowy uniform recepcjonistki i czarne pantofle. Najpierw zdjął z niej marynarkę. Następnie przez głowę ściągnął różową koszulkę i rozpiął stanik. Rozsunął zamek spódnicy i zsunął ją ostrożnie, powoli, jakby rozbierał kochankę, a nie trupa. Dopiero teraz zdjął buty z jej stóp i ściągnął cienkie rajstopy. Dziewczyna została w samych majtkach, cienkich, różowych, przez które przebijały włosy łonowe. Patrzyli na nią w milczeniu. Pocięcha robił zdjęcia. Kamil wsunął palce pod materiał majtek po obu stronach bioder i zdjął je jednym pociągnięciem. Próbował zapanować nad swoim przyspieszonym oddechem. Wciąż klęcząc, odsunął się od dziewczyny, podniósł leżący na podłodze protokół i zaczął opisywać poszczególne części garderoby. Odnotował, że guziki i zamek

błyskawiczny były dokładnie zapięte i że ubranie nie nosiło śladów zabrudzeń oraz uszkodzeń. Odnalazł na uniformie i bieliźnie metki i przepisał nazwy firm do protokołu.

Podniósł głowę i spojrzął na nagie zwłoki Ester Kucharczyk. Był to najbardziej ekscytujący moment oględzin, który dostarczył mu czegoś na miarę fizycznej przyjemności. Ester była bardzo szczupła, wręcz chuda, żebra opięte skórą, małe piersi z niewielkimi jak u dziecka sutkami, płaskie biodra, zapadnięty brzuch. Patrzył, jak doktor Jacek zagląda jej w zęby, uszy i do pochwy. Poza siną bruzdą na szyi, śladem po zadzierzgnięciu, nie stwierdził żadnych innych okaleczeń. Nie znalazł też blizn pooperacyjnych, przebarwień, znamion i tatuaży. Obrócił zwłoki na brzuch, odsłaniając sinoczerwone plamy opadowe za uszami i nieco jaśniejsze na plecach. Przycisnął palcami plamę u dołu pleców, zbladła, co oznaczało, że plamy powstały niedawno. Doktor Jacek opisywał stan poszczególnych części ciała, a komisarz zapisywał jego słowa w protokole.

Gdy zakończyli oględziny zwłok Ester, przeszli do mężczyzny. Nie zmieniając pozycji jego ciała, Kamil zdjął mu buty i skarpetki. Miał problem ze zsunieniem spodni z ugiętych w kolanach nóg, bo pojawiło się już lekkie stężenie pośmiertne. W dalszej kolejności uwolnił ofiarę od zegarka, sygnetu oraz slipek; teraz mężczyzna klęczał przy łóżku z wypiętymi gołymi pośladkami, wyglądał żałośnie. Podnieśli go wraz z lekarzem i położyli na podłodze na boku.

Pociecha pierwszy zauważył, że na łóżku leży pudełko. Wcześniej go nie widzieli, bo zasłonięte było przez zwłoki.

– To chyba jakieś leki – powiedział sierżant i sfotografował pudełko z fioletowym paskiem biegnącym wzdłuż dłuższej krawędzi.

Komisarz rzucił okiem na łóżko. To chyba rzeczywiście były lekarstwa. Nie zainteresowały go. Zdjął właśnie koszulę z ofiary i przymierzał się do rozcięcia czarnej pończochy zaciśniętej na szyi.

Doktor Jacek podniósł pudełko i odczytał nazwę leku, a następnie oznajmił:

– To lek immunosupresyjny. Bierze się go po przeszczepach. Przepisywany jest też na ostre stany zapalne.

Komisarz wpisał do protokołu nazwę leku, następnie zaczął oglądać garderobę ofiary i opisywać ją. Tymczasem doktor Jacek szukał na zwłokach blizn, zadrapań i plam opadowych.

Gdy lekarz wyszedł, ponownie w pokoju pojawił się starszy aspirant Konarski. Zabezpieczył ubrania ofiar, również pudełko znalezione pod zwłokami mężczyzny, i jeszcze raz poszukał śladów na pościeli. Znalazł kilka plam będących śladami po ludzkich wydzielinach.

Oględziny dobiegały końca. Komisarz podpisał się pod protokołem i poprosił kolegów o autografy.

## Rozdział V

Milena usiadła za długim stołem w sali konferencyjnej. Z torebki wyjęła dyktafon cyfrowy i sprawdziła, czy działa. Woląca nagrywać, niż notować, tak było szybciej. W ciągu ośmiu godzin powinni zdążyć przesłuchać dwudziestu sześciu gości, siedmiu członków personelu oraz dwóch pracowników restauracji hotelowej. Najpierw musi dowiedzieć się, kim jest ofiara i w jakim celu przyjechała do Elbląga. To wiedza podstawowa i zarazem kluczowa, bo może pomóc w ustaleniu motywu zabójstwa. A jak już pozna prawdopodobny motyw, dotarcie do sprawcy będzie tylko kwestią czasu.

Próg sali konferencyjnej przekroczył dyrektor Rafał Lipiec, pierwszy wezwany świadek. Był szczupły, średniego wzrostu, miał zakola, które dodawały mu lat. Dobrze wyglądał w jasnym, eleganckim garniturze. Gdy kładł przed nią kartkę z nazwiskami, mignęła jej przed oczami obrączka, szeroka, z białego złota. Identyczna jak u pani notariusz Izabeli Lipiec.

– To jest lista uczestników wczorajszej licytacji – oznajmił dyrektor. – Pani Gosia, to znaczy pani menadżer, powiedziała, że ją chcecie.

– Co pan może mi powiedzieć na temat ofiary? – zaczęła Milena bez zbędnych wstępów. Dyrektor westchnął. Milena zareagowała od razu:

– Proszę bez tych teatralnych manier. Chcę usłyszeć konkrety. Rozumiemy się?

Na szczęście nie musiała powtarzać, bo Rafał Lipiec posłusznie przeszedł do rzeczy:

– Nazywa się Henryk Szymański. Jest, to znaczy był, kolekcjonerem historycznych papierów wartościowych, jednym z większych w Polsce. Przyjechał do nas na aukcję, no i wylicytował najcenniejsze walory. Nie wiem, co jeszcze mógłbym pani powiedzieć o tym człowieku. Mój teść zna go lepiej, z nim pani powinna porozmawiać.

– Pana teść?

– Tak, on jest prezesem Stowarzyszenia Kolekcjonerów Historycznych Papierów Wartościowych. Też był wczoraj na licytacji. To dzięki niemu ona się u nas odbyła. Wie pani, październik i listopad to martwy sezon dla hotelarzy, wszędzie, nie tylko w Elblągu, wtedy szkolenia i konferencje nas ratują. Teść powiedział, że załatwi mi tę licytację. Niestety, załatwił.

– Czy pan Szymański zabrał te wylicytowane papiery do swojego pokoju?

– Tak, wydaje mi się, że tak. Pamiętam, że tutaj obok podpisywał odbiór tych walorów. – Dyrektor wskazał drzwi znajdujące się na końcu sali konferencyjnej. – Nawet mu wtedy pogratulowałem.

– Nie prowadzicie depozytu?

– Nie. W większości pokoi są sejfy szyfrowe. Z analiz branżowych wynika, że goście tak wolą.

Milena słuchała uważnie. Wyglądało na to, że uda się jej ustalić motyw. Najprawdopodobniej są nim cenne, stare walory. Była gotowa założyć się o wszystko, że nie ma ich w pokoju ofiary.

– Jak się nazywa pana teść? Prosiłabym jeszcze o jego numer telefonu.

– Edward Lasocki, jest sędzią.

Zanotowała numer telefonu sędziego i zapytała o cenę walorów wylicytowanych przez Szymańskiego.

Zdziwiła się, że są to tak niskie kwoty, tysiąc sześćset dziesięć złotych za walory zakładów Schichaua i cztery tysiące za walor Pierwszej Fabryki Lokomotyw, razem pięć tysięcy sześćset złotych. Czy nie lepiej było przelicytować Henryka Szymańskiego zamiast go zabijać? Zapisała sumy podane przez dyrektora i patrzyła na nie w milczeniu.

– A o tej recepcjonistce co pan może powiedzieć?

Mięśnie w okolicach ust zaczęły mu drgać. Widać było, że próbuje nad nimi zapanować, ale bezskutecznie.

– Ona nie żyje przeze mnie, biedna Ester – mówił teraz ciszej, z wysiłkiem.

– Jak mam to rozumieć?

Objął głowę dłońmi i zaczął się kiwać w przód i tył.

– Panie dyrektorze, przecież prosiłam...

– Pani prokurator, ja ją znałem i lubiłem – powiedział z pretensją. – Nie może być pani bardziej wyrozumiała?

– Proszę powiedzieć, dlaczego pan uważa, że recepcjonistka zginęła przez pana.

– Przywiozłem ją do hotelu. Bo widzi pani, Ester nie chciała dzisiaj przyjść do pracy, zadzwoniła do mnie w tej sprawie. Jej sąsiedzi się rano powiesili i to ją bardzo zdenerwowało. Pojechałem do niej i przekonałem, że powinna jednak dzisiaj pracować. Biedna Ester.

Zasłonił twarz rękami. Był roztrzęsiony.

– Dlaczego ja ją tak namawiałem? Biedna Ester, biedna. Gdybym wiedział, co tu się może stać...

– Po co Ester poszła do pokoju Henryka Szymańskiego? Wie pan? – pytała dalej Milena.

– Nie mam pojęcia. Właściwie nie powinna zostawiać recepcji, wiedziała o tym, że nie powinna.

– Proszę mi opowiedzieć, jak pamięta pan dzisiejszy dzień, tutaj w hotelu.

– Siedziałem w swoim gabinecie cały czas, nigdzie nie wychodziłem. Opracowywałem nową ofertę pobytową, „Dla grup taniej”. Szef kuchni był u mnie koło dziesiątej, bo planujemy wypromować naszą restaurację również wśród mieszkańców. Rozmawialiśmy jakieś pół godziny, może trochę dłużej.

– Kto panu powiedział o zabójstwie?

– Pokojówka, nie, nie ona, po prostu poszedłem tam i zobaczyłem ich. To było tak: siedzę i słyszę nagle krzyk, potem chwila ciszy, podnoszę głowę i nasłuchuję, znowu krzyk, a raczej pisk. Wstaję i wychodzę z biura. Przyznam się pani, że poczułem wtedy lęk, momentalnie się spociłem. Na korytarzu widzę Martę, pokojówkę. Przerazona, już nie piszczała, tylko wydawała z siebie taki dziwny dźwięk, jakby szloch. Pytam, co się stało, a ona nic nie mówi, tylko się cała trzęsie. Biorę ją pod rękę i prowadzę do swojego gabinetu, a ona pokazuje ręką do góry i mówi, że Ester tam leży, nieżywa. Zmroziła mnie ta informacja i jednocześnie wydała się taka nieprawdopodobna. Zostawiam Martę w moim gabinecie i idę piętro wyżej. Widzę drzwi otwarte do numeru trzydzieści dwa, podchodzę i... – Dyrektor zawiesił głos, ale za chwilę znowu się odezwał. – Uwierzy pani, że w pierwszej chwili zobaczyłem tylko Ester? Pochyliłem się nad nią, chciałem ją podnieść, postawić na nogi. Nagle zobaczyłem tego mężczyznę i wtedy dotarło do mnie, że oni oboje nie żyją, że zostali zabici, zamordowani. Byłem przerażony, ale od razu zacząłem myśleć, co robić. Uczą nas na szkoleniach, jak reagować w takich sytuacjach. Przede wszystkim – nie narażać pozostałych gości na dyskomfort. Zamknąłem więc drzwi i wróciłem do siebie. Marty już tam nie było. Zadzwoniłem na policję, a potem zszedłem do pani Gosi, powiedziałem jej, co się stało, i poprosiłem, żeby odnalazła Martę i spróbowała ją uspokoić. Bałem się, że dziewczyna narobi hałasu na cały hotel. Potem wyszedłem na ulicę i czekałem na policję.

– Pamięta pan, o której godzinie Marta ich znalazła?

– O jedenastej czterdzieści osiem stałem już przed hotelem, pamiętam, bo spojrzałem wtedy na zegarek.

– Hotele zwykle mają monitoring w recepcji. A tu jak jest?

– Mamy dwie kamery, jedną na zewnątrz, drugą w recepcji. Już mówiłem o tym policjantom – wyjaśnił.

– Świetnie – ucieszyła się Milena. – W takim razie nie będzie problemu z ustaleniem, o której godzinie

Ester opuściła recepcję. To ja panu na razie dziękuję.

Mógł już iść, ale siedział nadal, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, milczał jednak.

– Powinnam jeszcze o czymś wiedzieć?

– Nie. Chciałem tylko zapytać, czy przysłać pani kawę albo herbatę.

– Kawę poproszę – powiedziała, uśmiechając się.

Dyrektor wstał, uklonił się lekko i skierował do wyjścia. Gdy zamknęły się za nim drzwi, wyłączyła dyktafon.

Położyła obok siebie listę gości i listę uczestników aukcji. Ta druga była dłuższa, liczyła trzydzieści pięć nazwisk. Zaczęła podkreślać te, które występowały na obu listach. Nie było ich dużo, zaledwie osiem osób wraz z Henrykiem Szymańskim. A zatem ośmiu kolekcjonerów przenocowało w hotelu „Pod Lwem”, a dwudziestu siedmiu rozjechało się po licytacji. Być może trzeba będzie sprawdzić, gdzie ci wszyscy ludzie spędzili dzisiejsze przedpołudnie. Chyba będzie musiała też spotkać się z sędzią Lasockim, aby przy jego pomocy zweryfikować listę uczestników aukcji. Może na licytacji pojawił się też jakiś nowy, tajemniczy kolekcjoner.

Siedem nazwisk, siedmiu podejrzanych, jednej z tych osób tak bardzo mogło zależeć na historycznych walorach, że dopuściła się zbrodni. Dwie kobiety i pięciu mężczyzn. Mężczyźni byli bardziej podejrzani, bo uduszenie Henryka Szymańskiego wymagało siły. Owszem, kobieta też mogłaby tego dokonać, ale musiałaby być atletką.

Milena podkreśliła nazwisko: Bogdan Mikulski. Pół minuty później właśnie ten świadek stanął w drzwiach sali konferencyjnej. Rozpoznała go od razu. Szerokie ramiona i sumiaste wąsy, brązowe sztruksy i szara bluza... To on godzinę temu próbował przekonać sierżanta Pocięchę, że musi opuścić hotel. Teraz niepewnie postąpił dwa kroki do przodu.

– Zapraszam, zapraszam – zachęciła go Milena. – Proszę usiąść.

– Policjant powiedział mi, że prokurator chce ze mną porozmawiać.

– Tak, zostanie pan przesłuchany w sprawie podwójnego zabójstwa.

– Ale ja nic nie wiem – oznajmił stanowczo.

– To się dopiero okaże.

Poinformowała go o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań. Poproszony, podał swój wiek: czterdzieści pięć lat, stan cywilny: żonaty, dwoje dzieci, wykształcenie: zawodowe, zawód: pracownik leśny, miejsce zamieszkania: Braniewo.

Siedział wyprostowany, duże dłonie trzymał na udach, dwa razy obejrzał się na drzwi. Niespodziewanie zapytał:

– Kiedy przyjdzie pan prokurator?

– Przepraszam, chyba się panu nie przedstawiłam, nazywam się Milena Łempicka-Król, jestem prokuratorem w Prokuraturze Okręgowej w Elblągu.

– Nie wygląda pani na kogoś takiego.

Zignorowała tę uwagę i zerknęła na dyktafon, aby się upewnić, że go ponownie włączyła, po czym zadała pierwsze pytanie:

– Po co pan przyjechał do Elblągu?

– To pani jeszcze tego nie wie?

– Chciałabym się dowiedzieć od pana.

– Ja nie mam nic do ukrycia, wszystko powiem. A Henia to ja znałem, bardzo go lubiłem, i przyjechałem do Elblągu też po to, żeby się z nim zobaczyć, bo przy tych wszystkich zjazdach i aukcjach

to najważniejsze, żeby się z kolegami spotkać i pogadać sobie, a z Heniem to można było i wypić też, swój chłop, szkoda go, szkoda go bardzo, tego chuja, co go... To ja bym... Przepraszam panią, ale zdenerwowany jestem.

Widać było, że jest przejęty. Jego szeroka klatka piersiowa unosiła się i opadała, wprawiana w ruch przez przyspieszony oddech.

– Dobrze go pan znał?

– Znałem i lubiłem, oj tak, lubiłem. Z nim gadałem najwięcej, a z innymi prawie w ogóle. Pani nie wie, jak jest w tym środowisku, prawnicy i lekarze, sami ważniacy, a ja prosty drwal, patrzyli na mnie z góry, a Heniu to mnie jak równego traktował. Dostałem kiedyś od niego akcję Elektrycznych Kolei Łodzi, tak po prostu mi ją dał w prezencie. Kochany Heniu, był taki normalny i ludzki, nie to co ten pozał się Boże prezesina Lasocki, do tego to bez noża nie podchodzi, zawsze ma taką minę, jakby chciał zabić.

W oczach Bogdana pojawiły się łzy. Wyglądał na szczerze wzruszonego.

– Rozumiem, że z panem Henryk się przyjaźnił. A z innymi kolekcjonerami na jakiej był stopie? Miał może wroga w tym środowisku?

– Heniu wroga? Nie. Wszyscy go lubili, no, może sędzieja Lasocki nie bardzo, ale on za nikim nie przepada. Myślę, że Heniu prezesowi działał na nerwy, bo Heniu to był dobry zawodnik, nie odpuszczał, nie raz przelicytował sędziego, aż temu sztywniakowi w pięty poszło. Gdy się licytowali oni we dwóch, to trzymałem zawsze kciuki za Heniem, a potem szliśmy obaj do jakiegoś baru i piliśmy za nasze zdrowie i na pohybel prezesiny.

Milena chciała, żeby Bogdan się trochę rozgadał, żeby wprowadził ją w świat ludzi zafascynowanych pożółkłymi ze starości dokumentami. Interesowało ją, czy zazdrościli sobie nawzajem walorów jak małe dzieci zabawek. Czy prześcigali się w ich wynajdywaniu po antykwariatach i skupywaniu na licytacjach? Czy byli wśród nich zbieracze, którzy na punkcie kolekcjonowania starych papierów mieli hopla? Cokolwiek to znaczy. Pytała więc dalej:

– Czy wczoraj też Henryk Szymański przelicytował sędziego?

– Wczoraj, droga pani prokurator, to był horror, prawdziwy horror, daję słowo, „Piła” w polskim wydaniu. Jak se to wszystko przypomnę, to aż poty mnie zalewają. Na takim licytowaniu to ja jeszcze nie byłem. Najpierw akcje zakładów Schichaua, Heniu i prezesina podbijali cenę, ale jak. W pewnym momencie zaczęli podwyższać o jedną złotówkę. Wyobraża pani to sobie? I prezesina spasował, Heniu zgarnął te walory. I to wcale nie był koniec horroru, tak naprawdę to dopiero miał się zacząć. Pokazali akcję Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce, rarytas, mówię pani, rarytas, z 1923 roku o nominale pięciuset marek polskich. Jak ja zobaczyłem ten walor, tę narysowaną lokomotywę, to zapomniałem o bożym świecie, o żoneczce i dzieciakach też zapomniałem, i zacząłem licytować. Heniu i sędzieja też licytowali, i jeszcze jakaś gówniara w warkoczach. Nie wiem, kim ona jest, wcześniej jej nie widziałem. Gdy Heniu zgłosił cztery tysiące, to prawie zeszedłem na serce, to cud, że jeszcze żyję, naprawdę. Już wtedy wiedziałem, że straciłem ten walor, cztery tysiące to za dużo dla mnie.

– Czy wczoraj na aukcji był ktoś, komu powinno szczególnie zależeć na tych walorach, a jednak nie licytował? Wie pan o kimś takim?

Bogdan w odpowiedzi wzruszył ramionami, następnie rozejrzał się po sali konferencyjnej, po czym nachylił się do Mileny i konspiracyjnym szeptem zapytał:

– To z powodu tych akcji zginął Heniu?

Milena również szeptem, co miało wzmocnić nić porozumienia między nimi, powiedziała:

– No wie pan... Ja nie mogę takich informacji udzielać, bo obowiązuje mnie tajemnica śledztwa. Ale pan powinien się sam domyślić...

Bogdan ruchem ręki zakazał jej dalej mówić, sam oznajmił:

– Tak, rozumiem.

– Proszę mi opowiedzieć, co pan wczoraj robił po licytacji. Poszedł pan może z Henrykiem Szymańskim do baru?

– Heniu nie miał dla mnie wczoraj czasu, bo był ze swoją panią. A nawet gdyby miał czas, to i tak bym się z nim nie napił, bo byłem na niego zły, że nie dał mi wylicytować tego kolejowego waloru, a wiedział, że mi zależało. Uważałem go wczoraj za zdrajcę. Wiem, że to głupie. Po licytacji zeszłem do restauracji i wypilem parę kielonków, po trzecim... A może po piątym, nie pamiętam, rozczuliłem się i wybaczyłem Heniowi tę zdradę.

– Kim jest ta kobieta, z którą był Henryk Szymański? Zna ją pan?

– To pani Ania, kolekcjonerka stąd, z Elbląga. Nie znam jej dobrze. Już niemłoda, ale do Henia pasowała, bo on przecież też swoje latka miał. Ja właściwie wcześniej tylko dwa razy ją spotkałem, pierwszy raz na licytacji w Sopocie jakieś dwa lata temu, a drugi to było w tym roku w Mikołajkach na zjeździe kolekcjonerskim...

Bogdan umilkł, bo rozległo się pukanie do drzwi. Do sali konferencyjnej zajrzała pokojówka i zapytała:

– Mogę teraz z kawą?

– Proszę wejść – odezwała się Milena.

Pokojówka postawiła przed nią wysoką szklankę i szybko opuściła pomieszczenie. Milena rozerwała torebkę z cukrem i wsypała go do kawy. Zamieszała. Intensywny aromat unosił się nad stołem.

Zerknęła na listę z nazwiskami uczestników aukcji, znalazła tylko jedną Annę, Markowską.

– A więc ofiara po licytacji oddaliła się z kobietą.

– Ofiara? – zdziwił się Bogdan.

– Mam na myśli Henryka Szymańskiego, po licytacji oddalił się ze swoją znajomą. Czy tak było?

– Nie wiem, ja tego nie widziałem, a jak nie widziałem, to nie mogę mówić, że tak było. Prawda? Ale sądzę, że Heniu i pani Ania, no tego, jak to w przyrodzie bywa... No myślę, że Heniu wczoraj sam łóżka nie grzał. Ciekawe, czy pani Ania już wie. Na pewno się zmartwi, no i się wystraszy, jak to kobieta. Moja żoneczka, gdy jej powiem, co tu się stało, też się wystraszy i na pewno nie będzie chciała mnie puścić na kolejną licytację, żeby mnie czasem nie zabili. Poza tym ja sam nie wiem, jak to teraz będzie na tych aukcjach, bez Henia. Z kim ja teraz wódeczki się napiję? Z kim pogadam? Chyba sam ze sobą.

– Pamięta pan moment, w którym wczoraj pan widział Henryka Szymańskiego po raz ostatni?

– No tutaj go widziałem – powiedział Bogdan i zatoczył ręką koło. – Siedział w rzędzie zaraz za mną, on, pani Ania i jeszcze ten chłopak.

– Jaki chłopak? – zainteresowała się Milena.

Bogdan zaczął się kręcić na krześle. Położył duże dłonie na stole, potem znowu na udach, w końcu odezwał się:

– Droga pani prokurator, teraz to ja sobie myślę, że ten chłopak, ten wytatuowany mięśniak, mógł Henia zabić. No bo kto inny mógłby to zrobić? Zobaczył, że parę kartek wartych jest kilka tysięcy złotych i się połakomił. Udusił Henia i tę dziewczuszkę też. To na pewno on. Na takiego wyglądał, na kryminala wyglądał, te tatuaże i w ogóle.

– A skąd taki nieciekawy typ wziął się na aukcji?

– Z panią Anią przyszedł, ale na pewno nie po walory. Rzucił jakieś głupie teksty, przeszkadzał w licytowaniu. Kręcił się koło Henia cały czas. Musicie go znaleźć i przesłuchać, ale niech się gliniarze nim zajmą, nie pani, bo pani jest za grzeczna. Że ja zapomniałem o tym chłopaku, wyleciał mi zupełnie z głowy, a przecież to on musi być mordercą.

Milena spojrzała na zegarek. Rozmawiała już pół godziny z panem Mikulskim, powinna kończyć. To

dopiero drugi świadek, zostało jeszcze trzydziestu trzech. Musi też zadzwonić do komisarza Soroki i upewnić się, że w pokoju ofiary nie było walorów.

Zwróciła się do Bogdana:

– Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy dzisiaj widział się pan z Henrykiem Szymańskim.

– Pani mi nie wierzy, pani myśli, że ja sobie wymyśliłem tego koksa, a on naprawdę wczoraj tutaj był. Niech pani zapyta kogokolwiek, każdy powie, że on tu był. Może nie wszyscy zauważyli, że przyszedł z panią Anią, ale jego samego, takiego buraka...

Każde kolejne słowo wypowiadał coraz głośniej. Teraz, podnosząc się z krzesła, niemalże wykrzyczał:

– No niech się pani ruszy, przecież trzeba go złapać jak najszybciej, zanim da nogę za granicę!

Milena wyciągnęła rękę po szklanę. Kawa nadal parzyła usta. Wzięła jeden łyk i spojrzała spokojnym, nieruchomym wzrokiem na przesłuchiwanego.

Bogdan opadł na krzesło.

Mijały sekundy, a ona wciąż wpatrywała się w jego twarz. Umiała patrzeć bez mrugnięcia, nieruchomymi źrenicami. Odstawiła szklanę i nadal patrzyła.

– To co pani chciała wiedzieć? – zapytał cicho Bogdan.

– Czy widział się pan dzisiaj z Henrykiem Szymańskim?

– Nie.

– Chciał pan wrócić do domu bez pożegnania się z przyjacielem?

– Tak.

Nie patrzył na nią. Albo kłamał, albo był zły, że nie zareagowała na wiadomość o podejrzanym chłopaku i nie pobięła go zaaresztować.

– Panie Bogdanie, jakoś trudno mi uwierzyć, że wyjechałby pan bez pożegnania się z Heniem.

– Nie chciałem się z nim widzieć, bo miałem żal za tę akcję Pierwszej Fabryki Lokomotyw.

– Ale przecież pan powiedział, że wczoraj po trzecim kieliszku już wybaczył mi tę akcję.

– Po pijanemu to można nawet żonie zdradę wybaczyć, a po trzeźwemu pamięć i żal wracają.

– Kto panu powiedział, że Henryk został zamordowany? Kiedy ta wieść do pana dotarła?

– Człowiek z młotkiem mi powiedział.

– Jaki człowiek z młotkiem? – zdziwiła się Milena.

– No taki człowiek, który prowadzi licytacje. On mieszka na moim piętrze, to znaczy na pierwszym. Zapukał do mnie, ja wtedy rozmawiałem z Mariolą, to znaczy z żoneczką moją, otworzyłem mu z komórką przy uchu, a ten mi mówi, że jednego z naszych zamordowano. To ja od razu wyłączyłem Mariolę i pytam go, kogo, a on, że tego, który wczoraj wylicytował najdroższe walory. Powiedziałem mu, że chyba uderzył się młotkiem w głowę, bo takie głupoty gada. Poszedł sobie. Zacząłem się pakować. Cały czas chodziło mi to po głowie. Pięć minut później zeszedłem na dół, a tam w recepcji nikogo nie było. Stałem i czekałem, bo klucz chciałem oddać. A tu gliniarz z windy wychodzi. Wtedy pomyślałem, że Heniu naprawdę mógł zostać zamordowany, i nogi się pode mną ugięły. No a później zjechała się cała chmara gliniarzy. Już nawet nie wiem, gdzie usłyszałem, że recepcjonistka też została zamordowana.

– Jak się nazywa człowiek z młotkiem? – zapytała Milena.

Bogdan zaczął się zastanawiać, a wysiłek, który temu procesowi towarzyszył, uwydatnił się na jego czole w postaci głębokich zmarszczek.

– Na imię miał Adam, ale nazwiska, niech mnie pani zabije, nie pamiętam.

– To wszystko, panie Bogdanie, może pan już iść.

Zanim wstał, powiedział jeszcze:

– Pani prokurator, ja wam pokazałem palcem, kto jest mordercą, łapcie go, tego koksa z tatuażami, żeby potem nie było, że policja znowu nawaliła, to znaczy, jak w telewizji mówią, zaniedbała obowiązki.



Gdy zamknęły się drzwi za Bogdanem, Milena zadzwoniła do komisarza Soroki. Odebrał już po pierwszym sygnale.

– Znaleźliście historyczne papiery wartościowe? – zapytała.

– Nie, nie ma ich.

Takiej odpowiedzi się spodziewała. Hipotetyczny motyw zabójstwa został potwierdzony.

– W takim razie zacznij ich szukać. One doprowadzą nas do sprawcy.

– Dawaj opis tych papierów – poprosił stanowczym tonem. – Tutaj w co drugiej walizce mogą być jakieś akcje, przecież ci ludzie wczoraj brali udział w licytacji.

Podawała komisarzowi nazwy papierów wartościowych. Chciała mu jeszcze powiedzieć, żeby przeszukał cały hotel, bo sprawca nie jest tak głupi, żeby trzymać akcje w swoim bagażu czy nawet pokoju. Nie zdążyła jednak nic dodać. Komisarz się rozłączył. Czym ona się martwi? Przecież Kamil jest profesjonalistą, na pewno niczego nie zaniedba.

Postanowiła przesłuchać teraz człowieka z młotkiem. Na liście uczestników aukcji go nie było, nic dziwnego, był przecież licytатorem, a nie kolekcjonerem. Sięgnęła po listę gości hotelowych i zaczęła przesuwać wzrokiem po imionach, znalazła tylko jednego Adama, to zapewne on. Połączyła się z aspirantem Nowakiem i poprosiła o przysłanie Adama Króla.

Zaskoczył ją wygląd mężczyzny wchodzącego do sali konferencyjnej. Był niski, szczupły, miał przerzedzone, brązowe włosy i okulary w grubych, plastikowych oprawkach. Całości dopełniały szara koszula i ciemne spodnie. Przypominał urzędnika z trzydziestoletnim stażem, niepozorny, zagubiony bez swoich formularzy i paragrafów. Na pewno nie miał prezencji, która pozwalałaby mu stanąć przed grupą osób i przekonać ich do kupna czegokolwiek. I tak dziwnie się poruszał, jakby się skradał. Szybko się wyjaśniło, że nie jest licytатorem, lecz licencjonowanym detektywem. Przyjechał do Elbląga za jedną z kolekcjonerek, Karoliną Potocką. Wynajęty przez jej męża, miał znaleźć dowody na zdradę. Milena go przesłuchała. Nic istotnego nie wyjawiał, ale za to chętnie czynił odwołania do swojej milicyjnej przeszłości i do słynnej sprawy Skorpiona, którą rzekomo prowadził. Dodał też, że zazdrości jej obecnego śledztwa.

Milena podziękowała panu Królowi i wezwała Karolinę Potocką. Usiadła przed nią kobieta w czerwonej sukience, bardzo piękna, uwagę zwracały jej duże brązowe oczy, długie czarne włosy i filigranowa sylwetka. Pani Potocka wyraziła żal z powodu śmierci recepcjonistki i pana Henryka. Zapytana o relacje ofiary z innymi kolekcjonerami, gorąco zapewniała, że były znakomite, że pan Henryk cieszył się dużym szacunkiem, bo znał się na walorach i dużo kupował, i nawet prezes Lasocki pozytywnie się o nim wypowiadał.

Karolina Potocka wygładziła sukienkę na udach. Delikatny uśmiech nie schodził z jej pięknej twarzy.

– Chyba moje zaznania wam nie pomogą w schwytaniu zabójcy – powiedziała przepraszającym tonem.

– Tego nigdy nie wiadomo. Równie dobrze może się okazać, że będzie pani naszym najważniejszym świadkiem.

– Chciałabym pomóc. Powiem wszystko, co wiem.

Karolina znowu poprawiła sukienkę na udach.

– Czy któryś z kolekcjonerów został kiedyś okradziony ze swojej kolekcji? – zapytała Milena.

– Nie, skądże, takich przypadków w naszym środowisku nie ma. Na Zachodzie, tam owszem, takie rzeczy się zdarzają. Ale tam jest zupełnie inaczej, kolekcjonerzy trzymają papiery w sejfach, a nawet w depozytach bankowych, a i tak są okradani. U nas w Polsce walory trzyma się zwykle w szufladzie biurka albo wieszka na ścianie. Ja swój album z akcjami postawiłam na półce. Kto niby miałby mi go skraść? Przypominam sobie pewne wydarzenie sprzed dwóch lat, wtedy w hotelu w Malborku zostało okradzione kolekcjonerskie małżeństwo z Amsterdamu. Stracili laptopa i karty kredytowe, ale walorów

nie, złodziej pogardził nimi.

– Czy w waszym środowisku jest jakiś fanatyczny kolekcjoner? Ktoś, kto budzi pani niepokój?

Karolina Potocka zamyśliła się.

– Jeżeli mam być szczerą – zaczęła – to powinnam powiedzieć, że każdy z nas ma zadatki na szaleńca. Czasami myślę, że kolekcjonowanie ma w sobie coś niezdrowego. Uzależnia, poza tym budzi w człowieku uczucie wiecznego nienasycenia. Chce się mieć coraz więcej i więcej coraz ciekawszych papierów.

Milena dyskretnie zerknęła na zegarek, dwadzieścia minut, powinna już kończyć przesłuchanie Karoliny Potockiej.

Miejsce pięknej kobiety w czerwonej sukience zajął krótko ostrzyżony mężczyzna w średnim wieku. Był to Janusz Kruk, przedsiębiorca z Białegostoku, przyjechał na aukcję wraz z żoną. Milena miała już dziś okazję widzieć oboje, gdy wchodziła do hotelu, siedzieli na kanapie w holu. Pamiętała, że pan Kruk był bardzo zdenerwowany. Teraz nie był wcale spokojniejszy. Próbował zapanować nad mięśniami twarzy i nawet na moment mu się to udawało, ale gdy zaczynał mówić, jego policzki znowu zamieniały się w dygoczącą galaretę. Opowiadał, jak parę minut po dziewiątej małżonka ruszyła ich samochodem nad morze, do Stegny, bo jak tu Bałtyku nie zobaczyć, gdy jest się tak blisko, tylko czterdzieści minut jazdy i już plaża i fale. Nie towarzyszył jej, bo źle się czuł, chyba jakieś przeziębienie go bierze. Z pokoju nie wychodził, oglądał telewizję, a potem spakował rzeczy. Żadnego krzyku nie słyszał. Małżonka wróciła parę minut przed dwunastą, płaszcz nie zdejmowała. Wzięli torby i zeszli do recepcji, a tam już stał policjant przy drzwiach. Byli zaskoczeni, ale nie dopytywali, co się stało, bo nie chcieli przeszkadzać w czynnościach. Usiedli na kanapie w holu i czekali na pozwolenie opuszczenia hotelu. O morderstwie poinformował ich Bogdan.

Niespodziewanie Janusz Kruk oznajmił:

– Ja wiem, kto jest mordercą.

Umilkł.

– No, słucham – zachęciła Milena.

– To sędzia Lasocki, to on zamordował Heńka, jestem pewny, że to on.

– Dlaczego podejrzewa pan sędziego Lasockiego? Są jakieś przesłanki, które by wskazywały na niego?

– To dlatego, że Henryk był od niego lepszy, rozumie pani? Miał większą kolekcję, cenniejsze walory. Sędzia nie mógł tego znieść, tego, że przegrywa rywalizację. Niech pani nie myśli, że sędziemu zależało na tych konkretnych akcjach, które wczoraj Henryk wylicytował. To nie dla nich zabił, to chodziło o coś więcej, o to, żeby usunąć z drogi człowieka, który był lepszy od niego.

– Panie Januszu, nie wydaje się panu, że sędzia Lasocki, gdyby tylko chciał, to wygrałby tę rywalizację z Henrykiem Szymańskim? Mógłby przelicytować Henryka za każdym razem. Sądzę, że było go na to stać.

Policzki pana Kruka znowu zaczęły drgać. Obliznął nerwowo usta.

– Pani nie jest kolekcjonerem, pani to będzie trudno zrozumieć – powiedział i westchnął, jak gdyby wyjaśnianie tego wszystkiego było dla niego zbyt dużym wysiłkiem. – W licytowaniu chodzi też o to, żeby nie zapłacić zbyt dużo, nie wyjść na frajera, rozumie pani? Sędzia może miał więcej pieniędzy od Henryka i wczoraj było go stać, żeby za walor Pierwszej Fabryki Lokomotyw zapłacić ponad cztery tysiące, ale... No właśnie, czy on był więcej wart? Satysfakcja z zakupu może bardzo szybko zamienić się w rozgoryczenie, rozumie pani?

Milena kiwnęła głową, a pan Kruk wyjaśniał dalej:

– W licytowaniu nie chodzi o to, kto ma więcej pieniędzy, ale o grę, o taktykę, o podstęp nawet. Wydaje mi się, że wczoraj sędzia posunął się do podstępu, ale i tak przegrał, znowu mu się nie udało i wściekł się, i zabił Heńka.

– O jakim podstępie pan mówi? – zapytała zaintrygowana Milena.

– Widzi pani, wczoraj prawie nikt nie wiedział, że będzie licytowana akcja Pierwszej Fabryki Lokomotyw, nie było jej w katalogu aukcyjnym. A kto czuwa nad wydrukiem katalogu? Oczywiście prezes stowarzyszenia, czyli Lasocki. Dopilnował, żeby informacja o walorze Pierwszej Fabryki Lokomotyw nie pojawiła się w katalogu i żeby jak najpóźniej trafiła do sieci, żeby Heniek się nie dowiedział, żeby jedynie nastawił się na zakup akcji zakładów Schichaua. Sędzia myślał, że Heniek kupi walory zakładów Schichaua i się zadowoli, i potem spasuje przy akcji Fabryki Lokomotyw, a wtedy on spokojnie zagarnie ten najlepszy walor za cenę, jaka będzie mu pasowała, rozumie pani?

Milena machinalnie kiwnęła głową. Janusz Kruk wyszedł, a chwilę później na tym samym krześle usiadła jego żona. Pani Kruk była dorodną czterdziestopięcioletnią kobietą. Ogromny biust wypinała dumnie, pomalowane na czerwono usta rozciągała wyzywająco i zalotnie poprawiała platynowe włosy. Uwodzenie było jej drugą naturą. W przeciwieństwie do męża robiła wrażenie opanowanej. Założyła nogę na nogę i zaczęła mówić:

– Proszę nie brać na poważnie tego gadania Janusza o prezesie. Ten mój wariat ma bujną wyobraźnię i w dodatku lubuje się w teoriach spiskowych. Wczoraj rozповідаł po aukcji, że Henryk Szymański skupuje wszystkie najcenniejsze polskie walory na polecenie Żydów. A gdy Żydzi już będą mieli najważniejsze nasze papiery, to wytoczą nam, Polakom, proces, ale nie tutaj, nie w Polsce, tylko w Ameryce, bo w tamtych sądach siedzą też Żydzi i dlatego tam wygrają. I tak właśnie Żydzi przejmą nasz cały kraj. Prawda, że to głupie? Mówię temu mojemu wariatowi, że na pewno Bogdan zabił Henryka, a ten mi na to, że Bogdan muchy by nie skrzywdził. Muchy to może nie, bo ona nie sprzątnęła mu wymarzonej akcji, a Henryk tak. Bogdan ma fioła na punkcie walorów kolejowych, naprawdę. Wczoraj był bardzo zły na Henryka. Powiedział, że mu tego nie daruje. Słyszałam, jak to mówił, bo stałam z Januszem obok. Mój Janusz powiedział mu nawet, że z Żydem nie wygra, bo jeszcze nikt w historii z Żydami nie wygrał, nawet Hitler, że niedługo wszyscy pójdziemy z torbami i takie tam głupoty, aż musiałam tego mojego wariata w kostkę kopnąć.

Gdy za panią Kruk zamknęły się drzwi, Milena spojrzała na wypisane w notesie nazwiska i zaczęła się zastanawiać, kogo teraz ma przesłuchać.

## Rozdział VI

Kamera zainstalowana pod sufitem nad kontuarem recepcyjnym zarejestrowała czubki głów oraz ogólny zarys sylwetek. Nie było widać ani twarzy, ani małżowin usznych. Analiza antropometryczna będzie bardzo trudna, żeby nie powiedzieć niemożliwa. Kamil patrzył z dezaprobatą na nagranie z monitoringu. Amatorzy, żeby tak umieścić kamerę...

– Nagranie znad drzwi wejściowych pokazuje trochę więcej – powiedziała sierżant Beata Gryś.

Przysunęła sobie krzesło do Kamila i wraz z nim patrzyła w monitor. Już wcześniej zapoznała się z co najmniej połową dwunastogodzinnego nagrania, teraz chciała pokazać komisarzowi najważniejsze fragmenty, być może istotne dla śledztwa. Przewijała nagranie od końca i zatrzymała na godzinie jedenastej jedenastcie.

Recepcjonistka trzyma przy uchu komórkę. Po kilkunastu sekundach odkłada ją i wyciąga spod kontuaru plecak. Otwiera go i coś wyjmuje ze środka.

– Pokaż mi to – powiedział komisarz.

Sierżant Gryś zatrzymała film i zrobiła zbliżenie na dłoń recepcjonistki. Dziewczyna trzymała coś, co przypominało plastikowe karty. Kamil domyślił się, że to bilety na koncert znalezione przy jej zwłokach.

Jedenasta dwanaście, Ester wychodzi zza kontuaru i znika z zasięgu kamery.

– Już nie wróciła do recepcji – oświadczyła policjantka.

– Przypomnij mi, o której był pierwszy telefon z zawiadomieniem o morderstwie – poprosił komisarz.

– O jedenastej trzydzieści osiem. Dwadzieścia sześć minut po tym, jak Ester opuściła recepcję.

Beata znowu zaczęła przewijać film do tyłu. Zatrzymała na dziesiątej czterdzieści trzy. Teraz zobaczyli mężczyznę podchodzącego do kontuaru. Był niski, szczupły, zaczynał łysieć. Cały czas nerwowo kręcił głową. Rozmawiał z Ester prawie minutę. Potem ona podniosła słuchawkę telefonu. Odłożyła ją po piętnastu sekundach i wskazała coś ręką.

– Pokierowała go do windy – stwierdził Kamil.

Teraz Beata uruchomiła film zarejestrowany przez drugą kamerę, umieszczoną na zewnątrz, nad drzwiami wejściowymi. Obraz był bardziej wyrazisty, prawdopodobnie dzięki światłu dziennemu.

Ponownie zobaczyli niskiego i szczupłego mężczyznę. Na tym nagraniu jego fizjonomia była lepiej widoczna. Dało się dostrzec parę szczegółów, pociągłą twarz bez zarostu, długą szyję, ramiona pochylone do przodu. Trudno było określić jego wiek, mógł mieć zarówno trzydzieści pięć, jak i pięćdziesiąt pięć lat. Na głowie miał niebieską czapkę. Musiał ją zdjąć, zanim doszedł do kontuaru recepcyjnego, bo kolejna kamera zarejestrowała go już bez nakrycia głowy. Beata przesunęła nagranie i na monitorze znowu pojawił się ten sam mężczyzna. Tym razem wychodził z hotelu. Niebieską czapkę trzymał w ręku. Widać było, że się spieszy.

Sierżant Gryś zatrzymała film i zaczęła mówić:

– Wszedł do hotelu za osiemnaście jedenasta i wyszedł, a właściwie wybiegł czterdzieści sześć minut później. Nie wiadomo, gdzie ten czas spędził. Niewykluczone, że w numerze ofiary, bo właśnie do

Szymańskiego Ester wykonała telefon, gdy ten typek stał przy ladzie. Jeszcze nie wiemy, kim on jest. Na pewno nie gościem hotelowym.

– Wydrukuj co najmniej dwa zdjęcia z tym facetem, z różnych ujęć, tylko żeby były w miarę wyraźne, i przejdź się po wszystkich pokojach. Może ktoś go rozpozna. Jakiś gość jeszcze zdążył opuścić hotel, zanim założyliśmy blokadę?

– Tak, dwie osoby – odpowiedziała Beata i ponownie uruchomiła film z zewnętrznej kamery.

Obraz wydawał się nieruchomy, tylko cyferki zegara przeskakiwały w przyspieszonym tempie. Gdy ustawiły się na jedenastą trzydzieści jeden i osiemnaście sekund, drzwi hotelu znowu się otworzyły i na schodach pojawił się mężczyzna w jasnym płaszczu. Wychodził, nie było więc widać jego twarzy, jedynie siwe włosy z tyłu głowy.

– To jest profesor Emiliusz Sokołowski, zajmuje pokój na czwartym piętrze. Nocuje w tym hotelu drugi raz, od października prowadzi wykłady w Elbląskiej Szkole Humanistyczno-Ekonomicznej. Przyjeżdża co dwa tygodnie na weekend z Bydgoszczy i nocuje właśnie tutaj. Teraz go nie ma w hotelu, bo jak widziałeś, wyszedł o jedenastej trzydzieści jeden.

– No dobra, a ta druga osoba? Kim jest?

– Cierpliwości, komisarzu – powiedziała słodko sierżant Gryś. – Posłuchaj, co mam jeszcze do powiedzenia o Emiliuszu Sokołowskim. Tłumaczyłeś mi, że każdego, kto w momencie popełnienia zbrodni znajdował się w pobliżu zdarzenia, należy uznać za potencjalnego sprawcę. Zdziwiło mnie, że wykładowca przyjeżdżający dzień wcześniej z Bydgoszczy zaczyna wykłady w południe, a nie o ósmej rano. Takich ludzi, jak już przyjadą na dwa dni, uczelnie wykorzystują na maksa, oni właściwie nie schodzą z katedry, wykładają od rana do nocy. Zadzwoiłam więc na uczelnię i zapytałam, o której profesor Sokołowski zaczął dziś wykłady.

– No i co? – odezwał się Kamil, zainteresowany tym, co zaraz usłyszy.

– No i dowiedziałam się, że rzeczywiście w południe i że teraz przebywa na uczelni.

Sierżant Gryś uśmiechała się szeroko. Kamil pojął, o co jej chodziło. Chciała mu pokazać swój śledczy zmysł, profesjonalne podejście do sprawy. Sam ją uczył, żeby nie bagatelizować żadnego dowodu, a tym bardziej świadka, i wszystkich prześwietlać, nawet tych, którzy mają nieposzlakowaną opinię. Dobrze, że sprawdziła profesora – gdyby się okazało, że powinien zacząć wykłady o ósmej rano, a nie dotarł na uczelnię, to mieliby podejrzanego. Patrzyła na niego wyczekująco, powiedział więc:

– Dobrze się spisałaś, ale następnym razem, jak nie będziesz miała pewności, że namierzyłaś sprawcę, to nie zwracaj mi głowy. Wystarczy, jak sporządzisz notatkę. W wolnej chwili się z nią zapoznam. Pokaż mi teraz tę drugą osobę.

Przewinęła nagranie z zewnętrznej kamery do jedenastej pięćdziesiąt jeden, z hotelu wyszedł mężczyzna w czarno-białej, długiej kurtce z kapturem. Miał czarne włosy, dość długie, zasłaniały mu pół karku. W dłoni trzymał niewielką jaskrawożółtą torbę.

Beata zatrzymała film i zaczęła mówić:

– Nazywa się Adam Ados, jest aktorem, mieszka w Olsztynie. Zajmuje się też paroma innymi rzeczami, prowadzi choćby imprezy okolicznościowe i aukcje. Można go wynająć, całą ofertę ma na swojej stronie. Wczoraj prowadził tutaj aukcję. Do dwunastej powinien opuścić swój pokój, no i to zrobił, zdążył jeszcze przed zamknięciem hotelu.

– Ściągnij go na jutro do nas na komendę, trzeba go przesłuchać – powiedział Kamil.

Policjantka przymilnym tonem zapytała:

– Będę mogła go przesłuchać?

– Zobaczymy.

Gdy zamknęły się drzwi za Beatą, wziął do ręki listy z uczestnikami licytacji, gośćmi hotelowymi oraz

personalem. Dziesięć nazwisk było podkreślonych. Zapewne z tymi osobami Milena już rozmawiała. Musiał przyznać, że ma dobre tempo. Przy obco brzmiącym nazwisku Alberthine Kügelgen napisała: *Zostawiam ją tobie.*

Z pracowników hotelu przesłuchiwała jedynie dyrektora, a więc on zacznie od pokojówki Marty, która znalazła zwłoki. Miał nadzieję, że dziewczyna jest wścibska i spostrzegawcza, że interesuje się gośćmi hotelowymi, że o nich plotkuje, ma oczy i uszy otwarte, i czasami zajrzy do walizki albo szafy.

Do gabinetu weszła dziewczyna w dżinsach i zielonym golfie. Miała zaczerwienione powieki i lekko opuchniętą twarz, co chwilę pociągała nosem. Bez słowa usiadła na krześle, które Kamil ustawił półtora metra od biurka, żeby móc swobodnie obserwować całą sylwetkę przesłuchiwanej osoby. Pokojówka nie rozglądała się po pomieszczeniu, patrzyła wprost na niego.

Poinformował ją, że ich rozmowa będzie nagrywana, i poprosił, żeby się przedstawiła, podała swój wiek, wykształcenie i zatrudnienie.

– Nazywam się Marta Jarczewska, mam dwadzieścia trzy lata, obecnie uczę się w liceum wieczorowym, pracuję jako pokojówka w hotelu „Pod Lwem”.

Dziewczyna mówiła powoli i sztucznie jak kandydatka na Miss Polski, ale ten sposób artykułowania raczej nie pozostał jej z konkursów piękności. Prawdopodobnie fakt, że jest przesłuchiwana i nagrywana, deprymował ją i odbierał naturalność mówienia.

Musiał sprawić, aby przypomniała sobie nie tylko to, co widziała, ale również to, co odczuwała, a także jakie dźwięki i zapachy do niej docierały. Wszystko mogło być ważne, każdy szczegół. Najpierw poprosił Martę, aby mu opisała swoją trasę do pokoju trzydzieści dwa. Skąd szła i kogo po drodze mijała. Dziewczyna oznajmiła, że nie pamięta. Zaczął więc z innej strony. Chciał wiedzieć, czy się dzisiaj spieszyła z robotą, czy się bała, że nie zdąży zrobić wszystkich pokoi, czy któryś z gości ją zdenerwował. Na te pytania Marta umiała odpowiedzieć. W efekcie udało mu się ustalić, że do numeru trzydzieści dwa jechała windą z samego dołu. A po drodze minęła tylko jednego człowieka, wysiadającego z windy siwego pana w jasnym płaszczu. Komisarz uznał, że był to profesor Emilusz Sokołowski. Dziewczyna zapewniła, że kierując się do feralnego pokoju, nie słyszała żadnych kroków ani innych hałasów.

– Dlaczego ten pokój zostawiła pani na koniec?

– Nie, to nie tak, że ja go sobie zostawiłam na koniec. To ten pan, który tam mieszkał, który został zamordowany, powiedział, żebym przyszła za godzinę, bo wtedy on pójdzie coś zjeść. Wróciłam więc za godzinę. Zostawiłam wózek w windzie i poszłam sprawdzić, czy pokój jest pusty.

– Czyli około godziny dziesiątej rozmawiała pani z Henrykiem Szymańskim i wtedy kazał przyjść za godzinę?

Dziewczyna pokiwała gorliwie głową. Kamil wskazał na dyktafon. Chrząknęła i powiedziała:

– Tak.

– Czy wtedy o dziesiątej weszła pani do jego pokoju albo chociaż zajrzała do środka?

– Nie, nie weszłam i nawet nie zajrzałam. Zapukałam i zawołałam: Personel sprzątający! A on uchylił drzwi, wystawił głowę i powiedział, że nie teraz, że mam przyjść za godzinę.

– Czy był może zdenerwowany albo wystraszony?

Marta wzruszyła ramionami. Kamil znowu pokazał palcem dyktafon.

– Nie mam pojęcia.

– A jak powiedział pani, że ma przyjść za godzinę, to jak się pani poczuła?

– Jak popychadło, które tylko przeszkadza, a przecież ja dbam o ich komfort pobytu tutaj.

Dla Kamila było jasne, że w głosie Henryka Szymańskiego, w jego wyrazie twarzy bądź geście musiało być coś, co kazało poczuć się Marcie w ten sposób. Może nie wyszła jeszcze od niego ta kobieta, z którą

spędził noc, albo był u niego zupełnie ktoś inny, może nawet sprawca.

– Gdzie pani potem poszła?

– Do numeru trzydzieści. Tam mieszka młoda Niemka, jest u nas od trzech dni. Ester wysłała mi esemesa, że właśnie wyszła z hotelu. Odkurzyłam u niej, umyłam łazienkę, opróżniłam kosz i jeszcze wymieniłam ręcznik. Ona codziennie rzuca ręcznik na kafelki, Polacy tego nie robią, nawet jak mieszkają przez tydzień, to wycierają się tym samym.

– Co się wydarzyło, gdy poszła pani drugi raz do pokoju trzydzieści dwa?

– Zapukałam i zawołałam: Personel sprzątający! Nikt nie odpowiedział. Wyjęłam więc klucz i włożyłam do zamka. Nie chciał się przekręcić. Pomyślałam, że ten starszy pan zapomniał zamknąć pokój. – Dziewczyna się wzdrygnęła, nie przestała jednak mówić. – Wtedy nacisnęłam klamkę, ale zanim otworzyłam drzwi, to jeszcze przemknęło mi przez głowę, że gość może być w środku, że może siedzi na kiblu, że nie powinnam wchodzić. Otworzyłam jednak te drzwi i... To było straszne. Ja, ja, ja... – Dziewczyna zaczęła się jąkać, w końcu wykrztusiła: – Że on ją zabił, ten starszy pan, który też zginął, że on zabił Ester. Tak pomyślałam w pierwszej chwili. Straszne, jakie to wszystko straszne. Że on też nie żyje, nie wiedziałam, nie zauważyłam, o Jezuniu, dotarło to do mojej głowy, ale trochę później, a może ktoś mi po prostu powiedział, że on też został zamordowany.

Dziewczyna skuliła się, broda jej drżała.

– Co było dalej?

– Dalej? Zaczęłam gnać po schodach, żeby uciec od tego miejsca. Bałam się. O Chryste, jak ja się bałam.

– Biegłaś zawiadomić dyrektora?

– Nie. Chyba nie. On w pewnym momencie stanął przede mną i zapytał, co się stało. Powiedziałam mu, a on po prostu sobie poszedł i zostawił mnie samą. Nie mogłam zrozumieć, co się dzieje.

– A może widziała pani u któregoś z gości czarne pończochy albo inną dziwną rzecz?

– Czarne pończochy? Ale panu chodzi, czy je widziałam u kogoś na nogach?

– Tak w ogóle, czy widziałaś czarne pończochy, może leżały na łóżku, na fotelu, wisiały w łazience?

Dziewczyna zaśmiała się nerwowo.

– To ważne, oni zostali uduszeni czarnymi pończochami.

Marta spoważniała. Trzymając się za drżącą brodę, wyszeptwała:

– Ta młoda Niemka wczoraj miała na sobie czarne pończochy i śliwkową spódnice. – Nagle zgięła się wpół i przycisnęła twarz do kolan. Kamil słyszał, jak szepcze: – Nie ufać Szwabom, tak zawsze gadał mój dziadek, mówił mi, Martusiu, Szwab gorszy od świni.

Wyprostowała się. Widać było, że jest wyczerpana. Kamil podał jej swoją wizytówkę. Wzięła ją niepewnie i obejrzała z obu stron, jakby się spodziewała znaleźć na niej coś zaskakującego.

– Jak coś się pani przypomni, to proszę zadzwonić do mnie od razu albo napisać esemes. Nawet jeżeli uzna pani, że to jest głupie i właściwie nieważne.

Marta przełknęła głośno ślinę i zapytała:

– Czy mi coś grozi?

– Nie, na pewno nie – uspokoił ją.

Wychodząc, pokojówka minęła się w drzwiach z sierżant Gryś. Kamila uderzyła różnica w postawie obu kobiet. Marta skulona, wystraszona, powłócząca nogami, a Beata wyprostowana, wchodząca do pokoju pewnym krokiem, z tym rodzajem spojrzenia, które znowu zdawało się mówić: *Mam coś ważnego.*

Sierżant Gryś starała się udowodnić wszystkim wokół, a zwłaszcza jemu, że zasługuje na stanowisko w wydziale kryminalnym. Zapału jej nie brakowało, to musiał przyznać, ale ze zmysłem kryminalnym

było już gorzej, nie mówiąc o znajomości Kodeksu Postępowania Karnego. Nie przeszkadzało mu, że jest córką komendanta. Nie ona jedna w tej instytucji pracuje dzięki protekcji krewnego, oficjalnie nazywa się to tradycją rodzinną. Skoro był już skazany na współpracę z Beatą, postanowił ją podszkolić. Uczył ją więc sporządzania notatek i protokołów, razem z nią analizował dowody w różnych sprawach, przesłuchiwał świadków czy przygotowywał prowokację policyjną. Beata uznała, że mu wpadła w oko. Czternastego lutego położyła mu na biurku walentynkę, do której wkleiła swoje zdjęcie topless. Podszedł do niej z tą kartką i oznajmił, że jeszcze raz wywinie taki numer, to oskarży ją o molestowanie w miejscu pracy. Zaśmiewała się przez kilkanaście minut. Beata była atrakcyjna, na wszystkich w komendzie wrażenie robiły jej zgrabne nogi oraz długie jasne włosy. Gdyby nie była jego koleżanką z wydziału, to na pewno już dawno by się z nią przespał.

– Już wiem, kim jest ten mały mężczyzna w niebieskiej czapce z nagrania. Nazywa się Karol Milewicz, mieszka w Elblągu, jest hydraulikiem. Pokazałam jego zdjęcie siedmiu kolekcjonerom przebywającym aktualnie w hotelu. Wszyscy powiedzieli to samo. Był wczoraj na aukcji, ale nikt nie pamięta go z wcześniejszych licytacji. Milewicz powiedział pani Grażynie Kruk, że przyszedł tam z zamiarem kupienia kilku walorów do ozdobienia biura córki. Rozmawiał też z ofiarą.

– Dobrze się spisałaś – powiedział.

– Bez przesady, normalna policyjna robota – odpowiedziała ze źle udawaną skromnością.

– Wyślij kogoś po tego Karola Milewicza, niech go tutaj przywiozą.

Kamil był zadowolony z postępu czynności śledczych. Wyglądało na to, że uda im się wytypować sprawcę jeszcze przed pojawieniem się ekspertów daktyloskopijnych i traseologicznych, wyników sekcji zwłok oraz DNA.

Spojrzał na listę gości hotelowych. Alberthine Kügelgen, to musi być ta młoda Niemka, która wczoraj nosiła czarne pończochy. Czy to możliwe, żeby to właśnie ona spędziła noc z ofiarą i wychodząc, zapomniała części garderoby? Alberthine weszła do gabinetu, usiadła na krześle i założyła nogę na nogę. Miała na sobie spodnie w biało-zieloną kratkę i popielate pantofle na wysokim obcasie. Dzisiaj widział już tę kobietę, to było jeszcze przed rozpoczęciem oględzin, stał na korytarzu na trzecim piętrze i rozmawiał z panią menadżer, a ona wyszła z pokoju, trzymała w ręku złotą torebkę i była uczesana tak jak teraz, w dwa warkocze. Miała trzydzieści jeden lat, ukończyła akademię sztuk pięknych w Monachium, obecnie mieszkała wraz z mężem w Berlinie, prowadziła tam pracownię artystyczną.

– Po co pani przyjechała do Elbląga?

– Mam wernisaż w Galerii EL, jutro o dziewiętnastej, zapraszam pana.

– Dziękuję, chętnie wpadnę, a co to w ogóle będzie?

– Barwny drzeworyt.

Mówiła powoli, starannie oddzielając od siebie poszczególne słowa. Miała świadomość, że rozmawiają w języku obcym dla niego, i chciała mu ułatwić komunikację. Zastanawiał się przez chwilę, czy zapytać ją wprost o spędzenie nocy z denatem. Obawiał się jednak, że stanowczo zaprzeczy. A on nie zdołał się zorientować, czy mówi szczerze czy nie. Lepiej najpierw z nią trochę pogadać.

– Miała pani może okazję poznać Henryka Szymańskiego?

Obserwował ją uważnie, koncentrując się głównie na twarzy, na okolicy oczu i ust. Ludzie zwykle nie potrafią zapanować nad tą partią mięśni mimicznych, a są one doskonałym źródłem wiedzy o emocjach. Zgadzał się z literackim i dość banalnym stwierdzeniem, że oczy nie kłamią. Dobrze, że pani Kügelgen nie miała na sobie przyciemnianych okularów i grubej warstwy pudru.

– A kim jest ten pan? – zapytała, nie okazując żadnego zdenerwowania.

– To jest kolekcjoner historycznych papierów wartościowych, który dzisiaj został zamordowany.

– Ach, to on.



– To poznała go pani czy nie?

– Złożyłam mu gratulacje wczoraj po licytacji.

– Pani była wczoraj na aukcji? Nie ma pani na liście uczestników.

– Bo ja w ostatniej chwili się zdecydowałam. Dyrektor Lipiec mi powiedział, że w sali konferencyjnej będzie aukcja historycznych papierów wartościowych. Miałam wolny wieczór, to pomyślałam, że pójdę i zobaczę. Wzięłam nawet udział w licytacji, chociaż nie planowałam tego. Ale gdy pojawił się walor z grafiką Józefa Mehoffera, pomyślałam sobie, że kupię. Jego grafiki użyteczne są bardzo cenione u nas w Niemczech. Nie przelicytowałam jednak tego pana Henryka, uznałam, że tysiąc euro to za dużo dla mnie.

– Czy wczoraj wieczorem odwiedziła pani pana Henryka w jego pokoju?

– Nie – odpowiedziała swobodnie i jakby trochę zdumiona, że o to pyta.

Jej dłonie były wciąż nieruchome, stopy również, nawet oczy i usta były spokojne, tylko piersi uniosły się w głębszym oddechu.

– To znaczy, że to nie należącymi do pani czarnymi pończochami zostali uduszeni Henryk Szymański i Ester Kucharczyk?

Na poprzednie pytania była przygotowana, ale nie na to, nie na wieść, że w pośredni sposób mogła przyczynić się do śmierci dwóch osób. Patrzył na jej twarz, na mięśnie mimiczne napinające się w wyrazie przerażenia. W takich momentach żałował, że przesłuchanie jest rejestrowane przez dyktafon, a nie kamerę, a tak w ogóle to czasami był zwolennikiem świecenia w twarz przesłuchiwanemu niesławną lampą, która, jak słyszał od starszych kolegów, naprawdę się sprawdzała.

– Czy zostawiła pani pończochy w pokoju Szymańskiego?

Powoli pokręciła przecząco głową i powiedziała cicho:

– Nie.

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Myślał, że już ją ma. Szkoda, że chociaż nie sporządza teraz protokołu, opisałby wtedy jej przerażony wyraz twarzy. Jutro to przesłuchanie przepisze funkcjonariusz znający język niemiecki, ale oczywiście nie uwzględni mimiki, a to przecież tak ważne uzupełnienie wypowiedzi, tym bardziej, że w tym wypadku twarz mówi coś zupełnie innego.

– Na tych pończochach musiały pozostać mikroślady, no i jeszcze ślady linii papilarnych, sporo ich zabezpieczyliśmy w pokoju ofiary. Oczywiście zgodzi się pani, żeby technik pobrał od pani odciski palców? – Na moment zawiesił głos, a potem dodał: – My i tak poznamy prawdę, od pani zależy, czy dzisiaj czy za trzy dni.

Alberthine Kügelgen głośno i stanowczo zapewniła:

– To nie moje pończochy, mnie tam nie było.

Nie naciskał więcej. Zapytał jedynie:

– Czy widziała pani kogoś podejrzanego dzisiaj na trzecim piętrze między godziną dziesiątą a jedenastą trzydzieści osiem? A zwłaszcza, czy zauważyła pani, żeby ktoś wchodził albo wychodził z pokoju numer trzydzieści dwa?

– Mam wrażenie, że tutaj w Polsce cały czas widzę samych podejrzanych osobników. Wszyscy zachowują się dziwnie, gdy piłam kawę dziś w restauracji, kelnerka cały czas patrzyła na moją torebkę, aż zabrałam ją z poręczy krzesła i położyłam sobie na kolanach. A jak podejrzenie wy, Polacy, wyglądacie, wąsy, grube, wielkie jakby przyklejone i poza tym zaniedbane. Jak można zaufać komuś, kto ma takie wąsy? Ktoś taki musi budzić niepokój i odrazę. Jest tu w hotelu taki jeden z ogromnymi wąsami, wczoraj był na licytacji, dzisiaj też go widziałam właśnie na moim piętrze, ale nie pamiętam, czy w tych godzinach, o które pan pytał.

Komisarz zarejestrował informację o mężczyźnie z grubymi wąsami z trzeciego piętra. Trzeba

sprawdzić, kto to był. Pani Kügelgen mówiła teraz szybciej i mniej wyraźnie, już nie zwracała uwagi na to, żeby być dobrze zrozumianą. Komisarz miał wrażenie, że próbuje zagadać własne zdenerwowanie, poza tym starała się chyba uniknąć powrotu do niezręcznych pytań.

– Pokojówka powiedziała, że pani miała na sobie wczoraj czarne pończochy...

– A pan znowu o tych pończochach, ja już mówiłam, że to nie moje – przerwała mu stanowczo.

Patrzyła teraz na niego odważnie dużymi oczami. Czyżby się pomylił w ocenie mowy jej ciała? Niemożliwe.

– Ja i tak się dowiem, czy pani była w numerze Henryka Szymańskiego. Technicy kryminalni wkrótce to ustalą. A jeżeli okaże się, że pani u niego jednak nocowała, to odpowie pani karnie za składanie fałszywych zeznań.

– Wydaje mi się, że będzie musiał pan tłumaczyć się przed swoim przełożonym, gdy Konsulat Generalny Niemiec złoży oficjalną skargę na zastraszanie świadka i zmuszanie go do zmiany zeznań.

Komisarz uśmiechnął się:

– No dobrze, jak pani chce, przypominam jednak jeszcze, że na terenie Polski podlega pani prawu polskiemu.

Gdy zamknęły się drzwi za Alberthine Kügelgen, Kamil patrzył przez chwilę zamyślony na zdjęcia przedwojennego Elbląga. Nie mógł pojąć, jak temu staremu kolekcjonerowi udało się wyrwać taką laskę. Czym ją skusił? Czyżby opowieściami o swojej kolekcji, bogatej w artystyczne grafiki? A może ta młoda Niemka po prostu cierpi na nimfomanię, a Henryk Szymański znalazł się pod ręką, dosłownie dwa pokoje dalej?

Co teraz? Odtworzył sobie jeszcze w głowie nagranie z monitoringu. Czy było na nim coś, czego nie zauważył, a raczej czego policyjnie nie zweryfikował, nie przebadał? Tak, jest jeden szczegół, który należy sprawdzić, a mianowicie plecak Ester. Przeszukać rzeczy osobiste ofiary, to mu powtarzano w szkole policyjnej, a teraz on to powtarza młodszym kolegom na szkoleniach. Co prawda chodzi o rzeczy osobiste znalezione na miejscu zdarzenia, ale w tym przypadku można rozszerzyć tę definicję na cały hotel.

Wyszedł z gabinetu i zbiegł na parter. W recepcji za kontuarem siedział chłopak, głowę trzymał opartą o ladę i chyba drzemał. Kamil walnął go dłonią w plecy i zawołał:

– Nie śpij! Tu mordują!

Chłopak zerwał się. Szybko poprawił przydługie włosy i ubranie służbowe.

– Przepraszam – mruknął. – Pracowałem całą noc, a potem byłem na zajęciach, nie miałem kiedy pospać.

– Który z gości hotelowych pasuje ci na mordercę? – zapytał poważnie komisarz.

Recepcjonista był zaskoczony tym pytaniem i o to właśnie Kamilowi chodziło. Liczył, że odpowie mu machinalnie, intuicyjnie. Taka odpowiedź oparta na wrażeniach, przeczuciach miałaby wartość. Przecież ten chłopak kilkanaście godzin temu mógł rozmawiać ze sprawcą tu, przy tym kontuarze, i być może coś zwróciło jego uwagę, ale sobie tego nie uświadamia, i tylko zaskoczony może skojarzyć słowa, fakty, obrazy i wskazać podejrzanego.

– Żaden, żaden mi nie pasuje na mordercę – wyjąkał chłopak.

– Przyszedłem po plecak Ester Kucharczyk – powiedział Kamil, trochę rozczarowany tym, że zaskoczenie nie przyniosło efektu.

Chłopak wyciągnął spod lady zielony plecak i leżącą osobno komórkę dziewczyny. Komisarz wziął od niego rzeczy i ruszył w stronę schodów. Siedząc już w gabinecie, otworzył plecak. Jakieś drobiazgi, portfel, nic ciekawego. Zajął się komórką. Najpierw sprawdził połączenia wybierane oraz odebrane. Dzisiaj rano o siódmej dziewięć Ester telefonowała do Rafała Lipca, a osiem minut później on dzwonił

do niej. Zadzwoił też o jedenastej jedenaście, a zatem minutę przed tym jak Ester po raz ostatni opuściła recepcję. Zaczął sprawdzać esemesy. O siódmej trzynastej dziewczyna napisała do Lipca: *Kochany, przyjedź do mnie. Potrzebuję cię.* Komisarz gwizdnął. Wygląda na to, że coś łączyło młodą recepcjonistkę z panem dyrektorem. Milena już go przesłuchiwała, ciekawe, co udało się jej ustalić. Postanowił wpaść do pani prokurator i skonfrontować spostrzeżenia.

Kilka minut stał pod salą konferencyjną, czekając, aż skończy przesłuchiwać kolejnego świadka. Otworzyły się drzwi i ze środka wyszła starsza pani, lekko przygarbiona, z siwymi włosami. Uśmiechnęła się do niego. Kiwnął jej głową i wszedł do Mileny.

– Rafał Lipiec przyznał się może do romansu z Ester Kucharczyk? – zapytał od razu.

Pani prokurator spoważniała.

– Nie pytałam go o osobiste relacje z recepcjonistką. Kto ci o tym doniósł?

– Wysłała mu esemesa dziś rano. – Zaczął czytać, próbując dopasować intonację do treści: – *Kochany, przyjedź do mnie. Potrzebuję cię.* Co o tym myślisz?

– Myślę, że dla sądu to żaden dowód na romans, ale dla zazdrosnej żony tak. Dopytaj go, co ich łączyło. Powinniśmy mieć jasność w tej kwestii. Tak w ogóle to jego partnerką jest pani notariusz Izabela Lipiec. Pamiętasz? To u niej Szulcowie złożyli swój testament. Rozmawiałam z nią dzisiaj.

– Masz podejrzanego? – zapytał.

– Tak, dwóch, Bogdan Mikulski, pracownik leśny z Braniewa, i Janusz Kruk, przedsiębiorca z Białegostoku. Oczywiście obaj są kolekcjonerami, jak się domyślasz.

– Co na nich masz?

– Nic, po prostu nie mają alibi na czas morderstwa, no i może jeszcze to, że obaj zdecydowanie wskazali osobę, która ich zdaniem może być mordercą, to dość znamienne dla sprawców, odsunąć podejrzenie od siebie.

Kamil miał ochotę przesłuchać tych dwóch kolekcjonerów, trochę ich przycisnąć, postraszyć, sprawić, żeby się zaplątali we własnych zeznaniach. Ale najpierw powinien zapoznać się z tym, co powiedzieli Milenie, a na to potrzebuje czasu. Dzisiaj z podejrzanymi na pewno nie pogada, może jutro. Brak czasu, to jego główny problem przy zawiłych sprawach, przy dużych śledztwach, tym bardziej, że w każdej ważniejszej czynności chciał uczestniczyć osobiście – dla całościowego oglądu sprawy i własnej przyjemności.

– Wiem, z kim ofiara spędziła noc – odezwała się Milena po dłuższej pauzie.

– Właśnie ją przesłuchałem.

– Tak? Ściągnęłaś tu Annę Markowską? Powiedziała ci może, kim był ten chłopak z tatuażami, którego wczoraj przyprowadziła na licytację? Bogdan Mikulski właśnie jego wskazał jako sprawcę.

Kamil był zdezorientowany.

– O żadnej Annie Markowskiej nie wiem. Według moich ustaleń w numerze ofiary w nocy przebywała Niemka, Alberthine Kügelgen. To do niej należą te czarne pończochy.

– Ona tak zeznała?

– Nie, właściwie wszystkiemu zaprzeczyła, no ale przecież wiesz, że twarz mówi czasami więcej.

– Wiem też, że są ludzie, co mają po kilka twarzy, i najlepszy śledczy nie dojdzie, która jest prawdziwa. Ta Anna Markowska to przyjaciółka ofiary, mieszka w Elblągu. Oczywiście w tej chwili nie mam pewności, czy nocowała w hotelu. Jutro ją przesłucham... Wiesz, jest jeszcze jedna rzecz do zrobienia.

Komisarz przebiegł myślami wykonane czynności oraz plan śledztwa, nakreślony parę godzin temu i na bieżąco uzupełniany o kolejne punkty. Nie wiedział, o co może chodzić Milenie. Czego jeszcze niby nie zrobili? Spojrzał na nią pytająco.

– Trzeba powiadomić rodziców Ester, że ich córka nie żyje. – Jej dolna warga zadrżała, przygryzła ją na moment. – Chciałabym, żebyś się tym zajął osobiście – dodała ciszej.

– Okey, ale dopiero jak skończę przesłuchiwać. Mam nadzieję, że jej rodzice nie przeczytają wcześniej o tym w internecie. Podobno przed hotelem już stoi trzech dziennikarzy.

– Weź ze sobą lekarza. Psychologa też zabierz.

Powiadomienie rodziny o śmierci bliskiej osoby, a zwłaszcza dziecka, to zawsze było trudne, nawet po wielu latach pracy. U nich na komendzie był zwyczaj wysyłania funkcjonariusza, który nie ma własnych dzieci, komuś takiemu łatwiej przychodziło przekazanie tragicznej informacji. Czyżby Milena wiedziała o tym ich zwyczaju? Miał już zapytać, ale w porę się powstrzymał. Przecież pani prokurator Łempicka też straciła dziecko. Komisarz przypomniał sobie, co mówiono o Milenie, gdy pojawiła się w Elblągu. Jej syn i mąż zaginęli, podobno to mąż uprowadził dziecko, ale krążyła też plotka, że to zemsta kogoś z przestępców.

– Tę sprawę załatwię najlepiej jak się da. Obiecuję – powiedział i podniósł się.

Ruszył do góry na kolejne piętro, do gabinetu dyrektora. Postanowił od razu z nim porozmawiać, trochę nieformalnie: informacja o ewentualnym romansie z ofiarą wcale nie musi znaleźć się w protokole. Zapukał i nacisnął klamkę. Rafał Lipiec wyprostował się gwałtownie. Komisarz zdążył jeszcze zauważyć, że dyrektor siedział skulony i trzymał się obiema rękami za głowę.

– To pan, przepraszam, dzisiaj mam wyjątkowo ciężki dzień.

– Ja też – oznajmił Kamil.

– No tak, ale pan ma do tego wszystkiego większy dystans.

Kamil rozparł się wygodnie w fotelu i wyciągnął nogi przed siebie. Uznał, że w tej chwili może sobie na to pozwolić, przecież to będzie zwyczajna męska rozmowa, a nie przesłuchanie.

– Praca w hotelu jest chyba bardzo wygodna? – odezwał się komisarz.

– Wygodna? Nie rozumiem.

– No jeżeli ma się ochotę na skok w bok, to zawsze jakiś pokój jest wolny. Mam rację?

Dyrektor włożył dłonie do kieszeni marynarki i zaraz je wyjął. Trzymał w palcach małą złotą zapalniczkę. Otworzył szufladę biurka, jedną, potem drugą. Czegoś wyraźnie szukał. Z trzeciej szuflady wyjął papierosy i popielniczkę w kształcie spłaszczonej głowy lwa.

– Nigdy nie pamiętam, do której szuflady je chowam. Zapali pan?

Kamil wyjął własne papierosy. Już od paru godzin marzył o przerwie na dymka. Zaciągnął się z przyjemnością.

– No, panie dyrektorze, jak to jest z tym skokiem w bok?

– To nie jest takie proste. Personel ma większe oczy i uszy niż moja żona.

– A więc pracownicy wiedzą o pana romansie z Ester Kucharczyk?

– No chyba wiedzą, skoro panu donieśli.

– Nie, nie donieśli. Wiem o tym, bo przejrzałem telefon Ester.

Ręka dyrektora trzymająca papierosa drgnęła.

– Ja już właściwie zakończyłem ten związek – oznajmił.

– Ale jednak dziewczyna napisała dziś rano do pana, żeby pan przyjechał, że pana potrzebuje.

Dyrektor zaciągnął się, wypuścił nosem siwy obłok dymu, po czym głośno westchnął i powiedział:

– Gdyby do mnie nie napisała, to może by teraz żyła. Rano bardzo się zdenerwowała, jej sąsiedzi się powiesili, nie chciała przyjść do pracy. Wsiadłem w samochód i po nią pojechałem. Mówiłem już o tym pani prokurator. Czuję się winny. Gdybym jej nie namawiał... Gdybym się zgodził, żeby została w domu...

Komisarz nachylił się do popielniczki i strząsnął popiół.

– Długo to trwało? – zapytał tonem luźnej pogawędki.

– Wszystko się zaczęło w sylwestra, organizowaliśmy go jak co roku w naszej restauracji, moja żona pojechała do domu zaraz po północy, ja sobie popiłem i wylądowałem z nową recepcjonistką w łóżku. Myślałem, że na tym się skończy, ale Ester była taka miła i słodka, że się ciągnęło przez kilka miesięcy.

Komisarz przypomniał sobie nagie ciało Ester, blade, z wystającymi żebrami, zapadniętym brzuchem, małymi piersiami i płaskimi biodrami. Dyrektor rozbierał i dotykał ją, gdy była jeszcze żywa, a on, gdy była martwa, nieruchoma, ale wciąż ciepła. Dreszczyk niezdrowego podniecenia znowu przeszedł przez jego ciało.

Rafał Lipiec chrząknął i zaczął mówić, powoli, niepewnie, jakby próbował wyczuć, z jaką reakcją spotkają się jego słowa:

– Wie pan, ja mam żonę, kocham ją, wolałbym, żeby się o tym nie dowiedziała. Ona jest bardzo dumna, nie wybaczyłaby mi. Właściwie od kilku miesięcy żyję pod presją, że znajdzie się ktoś życzliwy i jej doniesie.

Kamil się uśmiechnął.

– Niech się pan nie obawia. Gawędzimy sobie całkiem prywatnie, a pytam o to wszystko, żeby mieć jasność sprawy. Chciałbym wiedzieć jeszcze tylko jedno.

Dyrektor zastygł w bezruchu, ręce i głowa były jak u figury woskowej, ale nie mięśnie twarzy, które drgały równomiernie i mocno. Końcówka papierosa, którego trzymał w ustach, rozżarzyła się.

– Dzwonił pan do Ester o jedenastej jedenaście. Po co?

– Zupełnie zapomniałem, że do niej dzwoniłem. Wyleciało mi to z głowy po tym wszystkim. Na jutro jest umówionych na rozmowę kwalifikacyjną trzech kandydatów do recepcji. Zadzwoń do niej, żeby ją powiadomić, że z każdą z tych osób spędzi godzinę za kontuarem. Przyjrzy się im i stwierdzi, kto jest najlepszy... Boże, jak mi jej szkoda. Nie kochałem tej dziewczyny, ale była mi bliska, poza tym była dobrym człowiekiem.

Kamil zgasił papierosa w płaskiej głowie mosiężnego lwa. Wyszedł z gabinetu dyrektora i natknął się na Rumuna, który z Pociechą i dwoma innymi funkcjonariuszami miał właśnie wchodzić do kolejnego numeru.

W drzwiach stała starsza pani, ta sama, z którą komisarz się mijał, gdy wchodził do sali konferencyjnej. Uśmiechnęła się do nich i zapytała:

– Aż tylu was?

Rumun zaczął mówić oficjalnym tonem:

– Informuję panią, że ten pokój i pani rzeczy osobiste zostaną przeszukane w celu znalezienia historycznych papierów wartościowych. Jeżeli posiada pani te papiery, wzywam panią do ich dobrowolnego wydania.

– Nic takiego nie posiadam. Szukajcie sobie chłopcy, szukajcie.

Kobieta się odsunęła, przepuszczając ich, potem wyszła.

– Żeby tak wszyscy nam ułatwiali robotę – westchnął Pociecha.

Bez słowa przystąpili do przeszukania. Rumun otworzył okno i sprawdził, czy pod zewnętrzny parapet czegoś nie przyklejono. Potem rozsunał zasłony, upewniając się, że między ich fałdami nic się nie kryje. Komisarz zdjął jedno z wiszących na ścianie zdjęć starego Elbląga. Antyrama, szybka i kawałek dykty, a między nimi fotografia, znakomite miejsce do ukrycia papierów. Rozebrał antyramę, ale niczego nie znalazł.

– Prawie w każdym pokoju są takie obrazki, wszystkie sprawdzamy – zakomunikował Rumun.

Komisarz złożył antyramę i odwiesił ją na ścianę. Zajrzał do łazienki. Jeden z funkcjonariuszy przeglądał kosz ze śmieciami, drugi stał na klozecie i zdejmował kratkę wentylacyjną. W pokoju

Pociecha właśnie związał dywan, a Rumun przeszukiwał zawartość torby na kółkach.

– Nic tu nie znajdziemy – mruknął Pociecha.

– A skąd ty to wiesz? – zapytał zaczepnie Kamil.

– Szefie, chyba nie podejrzewasz, że ta staruszka ukatrupiła dwie osoby?

– Nie, o to jej nie podejrzewam, ale myślę, że może być współniczką sprawcy.

Pociecha się roześmiał. Rumun na moment przerwał przeszukiwanie.

– Myślę, że to nie był żart – powiedział.

– No jasne, że nie – potwierdził komisarz. – No bo po co taka staruszka przyjechała sama do Elbląga?

W celach biznesowych? Turystycznie? Może na jakieś szkolenie? Wszystko mało prawdopodobne. A może jest tu tylko po to, żeby przejąć od sprawcy papiery wartościowe i bezpiecznie wynieść je z hotelu.

– Komisarzu, zapominasz, że te papiery to nie diamenty – odezwał się Pociecha.

Kamil musiał przyznać mu rację. Tyle zachodu dla paru starych kartek wartych dwie średnie krajowe. Poza tym gdyby ta staruszka miała być współniczką, to przede wszystkim morderstwo musiałyby być zaplanowane, a na razie wszystko wskazuje na to, że nie było. Rozejrzał się po pokoju, szukając miejsca, gdzie można by ukryć papiery, wsunąć je w ułamku sekundy, w ostatniej chwili, gdy już ktoś puka do drzwi, jakaś szczelina, jak na przykład między ścianą a szafą albo między szafą a podłogą. Przykucnął przy szafie, może żyletka by tu weszła, ale nie papier. Ale za to na szafę można płaską rzecz wrzucić bez problemu. W dwóch pierwszych pokojach, które z nimi przeszukał, pominęli to miejsce, duże niedopatrzenie. Przynalął sobie mały różowy fotel i wskoczył na niego. Pusto.

– Ja zdejmuję buty – powiedział Rumun, patrząc na Kamila.

– To tam też sprawdzacie? – zapytał komisarz.

– Tak, gdy weszliśmy do trzeciego pokoju, to mi zaświtało, że tam też trzeba.

Kamil wyszedł z numeru. Po korytarzu spacerowała starsza pani.

– W jakim celu przyjechała pani do Elbląga? – zapytał.

– Serce mnie tu przygnało.

– Do kardiologa była pani umówiona?

– Nie, do ukochanego, mój chłopcze. Poznałam go w Ciechocinku trzy miesiące temu.

Kamil miał już zapytać o nazwisko ukochanego, ale kobieta oddaliła się, nucąc znaną melodię. Odezwała się jego komórka. Dzwoniła Beata z informacją, że ściągnęli już Karola Milewicza. Poza tym zdążyła już przepytac wszystkich gości, czy ktoś na owego hydraulika nie natknął się dziś w hotelu. Jeden świadek go widział spacerującego nerwowo po holu, ale nie pamięta, o której godzinie to było.

Trzy minuty później Kamil siedział już za biurkiem w swoim pokoju przesłuchań, a naprzeciw niego na krześle kulił się mały człowiek. Wyglądał na takiego, który ma coś na sumieniu.

– Dzisiaj o dziesiątej czterdzieści dwie wszedł pan do hotelu. Proszę powiedzieć, w jakim celu.

– No tego, chciałem pogadać z takim jednym gościem.

– Z kim? Nazwisko.

Kamil mówił głośno, a jego ton stał się ostry.

– No tego, z takim jednym, nazwisko wyleciało mi z głowy, no tego, to on, ten gościu, wczoraj na aukcji wybulił tyle kasy za stare dokumenty, że szok.

– Henryk Szymański, to z nim przyszedł się pan dzisiaj spotkać?

– Tak, właśnie z nim. Ja se pomyślałem, że on musi być, no tego, musi się znać, musi wiedzieć, o co biega w tych całych papierach. Pomyślałem, no tego, pogadam i będę mądrzejszy.

Mężczyzna nie patrzył mu w oczy, jego źrenice uciekały raz na lewo, raz na prawo, co było dość wyraźną oznaką, że kłamie.

Musi mu zadać pytanie kontrolne na prawdomówność. Przez chwilę zastanawiał się nad takim pytaniem, w końcu zwrócił się do świadka:

– Jakie walory pan wczoraj kupił?

– No tego, nie bardzo pamiętam, jakiegoś banku, ładny rysunek miał ten papier, kwiatki w rogach i kobieta z dzieckiem na górze. No tego, bo ja go kupiłem, żeby na ścianę w ramce powiesić, dla córki do biura.

Karol Milewicz cały czas kręcił się na krześle, jakby mu się spieszyło, jakby chciał się zerwać i uciec.

– Widział się pan z Henrykiem Szymańskim dzisiaj?

– No tego, no nie, nie widziałem się.

Kamil uznał, że to już ten moment, kiedy można zmienić sposób rozmowy ze świadkiem. Spokojnym, wręcz ciepłym głosem poprosił:

– Panie Karolu, proszę mi popatrzeć w oczy.

Mężczyzna powoli, trochę niepewnie nakierował spojrzenie na komisarza.

– Panie Karolu, no co, widział się pan dzisiaj z Henrykiem Szymańskim? Poszedł pan do jego pokoju? – zapytał spokojnie, niemal poufale.

Głowa przesłuchiwanego nerwowo drgała, ale mimo to zdołał utrzymać wzrok na twarzy pytającego.

– No tego, nie widziałem się z nim, bo nie zszedł na dół. Czekałem długo, a potem, no tego, poszłem.

– Panie Karolu, ale my wiemy, że pan był w pokoju ofiary. Recepcjonistka wskazała ręką, że ma pan jechać windą. Mamy to na nagraniu z monitoringu. No to jak było?

Milewicz zaczął poprawiać mankiety. Milczał. Kamil Soroka pomyślał, że dopiął swego.

Przesłuchiwany zrozumiał, że nie ma sensu dalej się wypierać. Ale ten nagle podniósł głowę i oznajmił:

– Ona mi pokazała, że z tej windy Szymański wyjdzie, tak, teraz se przypominam, że pokazała.

Komisarz nie dawał za wygraną. Tym samym przychylnym tonem zapytał:

– Pan się czegoś obawia?

– No tego, ja się niczego nie boję, no chyba tylko tego, że mnie weźmiecie za mordercę. Gdy mój klient, u którego robiłem hydraulikę, powiedział mi, że kogoś załatwiono w hotelu „Pod Lwem”, no tego, w tym całym internecie o tym przeczytał, to ja se pomyślałem, że mnie będziecie podejrzewać. Nawet się nie zdziwiłem, gdy po mnie przyjechali.

– Co pan robił dzisiaj w hotelu?

– No tego, przecież już mówiłem, że o tych papierach chciałem pogadać.

– Interesują pana historyczne papiery wartościowe?

– No tego, do wczoraj to tak nie bardzo, ale jak córka w tym całym internecie poczytała i mi powiedziała, co piszą, i ja też poczytałem, no to ja głupi nie jestem i nikt mi nie wmówi, że ci kolekcjonerzy to, no tego, kupują te akcje, bo stare i ładne. Za tym wielka kasa idzie, oj, wielka taka, że szok.

– Jaka kasa? – zainteresował się Kamil.

– No tego, w internecie piszą, że te akcje odzyskają wartość, no, że będzie można się domagać zwrotu tych spółek, to się nazywa reaktywacja, czy jakoś tak. Będą musieli oddać te wszystkie budynki, a jak nie ma budynków, to ziemię, na której stały, a jak nie oddadzą budynków i ziemi, to ma się rozumieć, zapłacać. Tylko trzeba najpierw do sądu iść, a żeby iść do sądu, trzeba mieć papiery, to znaczy akcje tych spółek. Kto ma akcje, ten jest właścicielem. Moja córka, ona mówi, no tego, że to bajki, ale ja wiem swoje. Taki Henryk Szymański to on wie, co robi.

Komisarz zamyślił się. Reaktywacja przedwojennych spółek na podstawie kolekcjonerskich papierów, czy to możliwe? Niewykluczone. Przecież teraz jest spory nacisk na to, aby dawne majątki wracały do właścicieli. No właśnie, do właścicieli, a nie przypadkowych kolekcjonerów. Może w środowisku

prawniczym ten temat jest znany, będzie musiał porozmawiać z Mileną. Jeżeli na podstawie kolekcjonerskich papierów można odzyskać przedwojenny majątek, to motyw morderstwa Henryka Szymańskiego staje się poważniejszy. Sierżant Pocięcha raczył ironicznie zauważyć, że te skradzione papiery to nie diamenty, ale mógł bardzo się mylić.



## Rozdział VII

Milena usiadła raptownie w łóżku. Twarz miała mokrą od potu, cienka koszulka przykleiła się jej do ciała. Ze snu wybudził ją koszmar. Śniło się jej, że ktoś próbował wykraść akta prowadzonych przez nią spraw. Gdyby tak się stało, wszyscy przestępcy, których posłała za kratki, wyszliby na wolność.

Wysunęła się spod kołdry i włączyła światło. Piętnaście minut po piątej, a więc ma jeszcze przynajmniej godzinę snania. Wyjęła z szuflady swoją ulubioną piżamę w biało-popielate pasy, przypominającą więzienny pasiak. Dostała ją od kolegów i koleżanek z prokuratury olsztyńskiej, gdy stamtąd odchodziła. Taki żart, żeby coś ją łączyło z tymi, których oskarża. Wtedy rzuciła prezent w ką. Potem, gdy już sprowadziła się do Elbląga i w pierwszą noc tutaj, w tym mieszkaniu, szukała w walizkach i pudłach czegoś do snania, trafiła właśnie na tę piżamę. Okazało się, że jest niezwykle wygodna.

Zdjęła przepoconą koszulę nocną, włożyła pasiak i wróciła do łóżka. Leżała nieruchomo, wpatrując się w ciemność. Powieki nie chciały opaść. Chyba już dzisiaj nie pośpi, a szkoda, bo czeka ją ciężki dzień, musi zapoznać się z protokołami przesłuchań i oględzin, poza tym kolejne przesłuchania świadków, także spotkanie na komendzie całego zespołu, no i najgorsze, czyli konferencja prasowa. Już widziała wycelowane w siebie kamery i bezustannie pstrykające aparaty, jakby nie wystarczyło zrobić jednego zdjęcia. Zapytała o to kiedyś swojego męża, on przecież znał to środowisko. Odpowiedział, że chodzi o stworzenie klimatu, o swoistą scenografię prasową. Jak wyglądałaby w telewizji konferencja bez ustawicznego błysku fleszy, bez tego cichego pstrykania kilkunastu czy kilkadziesiątu aparatów? Bez tej całej otoczki przekazywana informacja nie byłaby aż tak doniosła.

Właściwie była wyrozumiała dla dziennikarzy, bo jej mąż był swego czasu jednym z nich. Poznali się na sali sądowej, pojawił się na jej pierwszej rozprawie. Oskarżała wtedy trzy kobiety ze sklepiu osiedlowego. Jedna ekspedientka i dwie klientki, wszystkie po pięćdziesiątce, przyłapały siedemnastoletniego chłopaka na kradzieży piwa i postanowiły dać mu nauczkę. Zamknęły się z nim w sklepiu, rozebrały go, zostawiając jedynie skarpetki, związały i zrobiły kilka fotek. Rozochoczone dobrą zabawą, sfotografowały się razem z nim. Cała zabawa trwała godzinę. Gdy wypuszczały nieszczęśnika, ostrzegły go, że jeżeli jeszcze raz coś ukradnie, to jego gołe zdjęcia rozlepią na całym osiedlu. Chłopak o wszystkim powiedział ojcu, a ten uznał, że trafia się znakomita okazja do zarobienia niezłej kasy, i od razu poszedł na policję. Milena dobrze pamiętała twarze tych kobiet, od których ojciec pokrzywdzonego domagał się wysokiego odszkodowania i którym groziło nawet więzienie. Były zawstydzone i przerażone, a jednocześnie wydawały się nie rozumieć tego, co się dzieje wokół nich. Że co? Że jak? Bezprawne przetrzymywanie? Wykorzystywanie seksualne? I to one o to oskarżone?

Po ogłoszeniu wyroku Paweł poprosił ją o komentarz. Mówiła, że prokuratura nie będzie odwoływać się od wyroku, że ta sprawa powinna być przestrożą dla wszystkich, którzy będą chcieli sami wymierzać karę, i takie tam okrągłe zdania, które wypadało powiedzieć. Dziennikarz obracał długopis w palcach, w końcu narysował w notesie sowę, z dużymi oczami i nastroszonymi piórami. Na koniec rozmowy

wyrwał kartkę z rysunkiem sowy i podał Milenie. Odruchowo włożyła ją do kieszeni. Parę dni później jeszcze raz spojrzała na sowę. Było w niej coś sympatycznego. Wtedy nie przyszło jej do głowy, że ta sowa to alegoria jej osoby, młoda, pusząca się pani prokurator, ale na szczęście niepozbawiona zdrowego rozsądku.

Paweł przychodził na każdą kolejną sprawę, w której oskarżała. Po ogłoszeniu wyroku prosił ją o komentarz i zostawiał jakiś rysunek. Lubiła jego obrazki, były zabawne, pomysłowe. Po pięciu miesiącach dostała naszkicowane dwie filiżanki, pod rysunkiem była podana godzina i nazwa kawiarni. Udała się we wskazane miejsce. Czekał na nią z piękną różą narysowaną na kawiarnianej serwetce. Bawiła ją obrazkowa komunikacja, ale nie dała tego po sobie poznać. Serwetkę z różą uformowała w kulkę i zaczęła ją turlać po stoliku. Rysując dla niej, pozwalał sobie też na żarty, jak wtedy, gdy oświadczając się jej, wręczył naszkicowany pierścienek. Przyjęła oświadczyzny, mówiąc, że będzie mu rysowała obiady przez pierwsze pięć lat małżeństwa. Wówczas wyjął z kieszeni drugi pierścienek, tym razem prawdziwy, z cyrkonią. Wręczył go, prosząc, żeby nie rysowała mu obiadów, dopóki nie opanuje sztuki rysunku na przyzwoitym poziomie. Paweł komunikował się z nią pismem obrazkowym do czasu, gdy byli szczęśliwi. Potem ukradkiem przyszły te dziwne dni, kiedy nie odzywał się całymi godzinami. Myślała, że ma problemy w pracy, że może coś go gnębi. Przez pół dnia drukował całe sterty dokumentów, a potem z niezwykłą namiętnością je segregował, ryzy zadrukowanego papieru leżały wszędzie, na każdej półce, na podłodze, nie pozwalał ich sprzątnąć, a nawet przesunąć. Wtedy jeszcze w jego zachowaniu nie dopatrywała się objawów choroby. Sądziła, że te wszystkie wydruki są mu potrzebne do pracy, że szef mu kazał je przygotować. Ostatni rysunek, jaki dostała od męża, przedstawiał szubienicę naszkicowaną na papierze toaletowym. Przekaz był bardzo czytelny. Jej życie jest do dupy i powinna się powiesić. Ten rysunek znalazła na stole kuchennym trzy lata temu, od tamtej pory już nie zobaczyła Pawła, Krzysia także nie, obaj znikli, dorosły mężczyzna i ośmioletni chłopiec niemal zapadli się pod ziemię i nawet ona, wspierana przez policję i urząd prokuratorski, nie zdołała trafić na ich ślad.

Ze smutkiem i irytacją pomyślała, że za cztery dni wypada Święto Zmarłych. Kto żyw, pędzi na cmentarz ze zniczem, potem podenerwowany tłum krąży na obszarze kilkudziesięciu hektarów w poszukiwaniu tego jednego metra kwadratowego. Powinna jechać na grób rodziców, ale nie miała na to ochoty. Przede wszystkim nie chciała spotkać na cmentarzu brata. Znowu będzie jej tłumaczył, że zły nagrobek wybrała dla rodziców, przecież ciemny granit jest trwalszy niż jasny, i powinna była dać na nim jakiś cytat z Pisma Świętego. Ale i tak najgorsze będzie pełne współczucia spojrzenie bratowej, dla której zniknięcie Pawła i Krzysia równało się z ich śmiercią. Postanowiła, że nie pojedzie pierwszego listopada na cmentarz. Poza tym i tak nie ma czasu. Śledztwo, tym musi się teraz zająć.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła szósta, powinna już wstawać. Wysunęła się spod kołdry i podeszła do okna. Kropiło, ulica błyszczała w świetle lamp. Z szarości wyłaniała się bryła kościoła Najświętszej Marii Panny, nazywanego przez elblążan bunkrem albo łodzią podwodną, czasami też kościołem z „Gwiezdnym wojen”.

Śniadanie jadła przed laptopem, przeglądając aukcje z historycznymi papierami wartościowymi. Prawdopodobieństwo, że oferta ze skradzionymi walorami znajdzie się w internecie, było niewielkie, ale należało tę ewentualność mieć na uwadze. Milena wiedziała, że Kamil nakazał swoim ludziom monitorować sieć przez całą dobę, ale to jej nie zwalniało z udziału. Poza tym chciała się rozeznac w ofertach, cenach i liczbie wystawców.

Po przesłuchaniach komisarz zapytał ją o możliwość reaktywacji spółek na podstawie papierów kolekcjonerskich. To była ważna kwestia, rzucała zupełnie nowe światło na motyw morderstwa. Może rzeczywiście ktoś uwierzył, że stanie się milionerem dzięki papierom kolekcjonerskim, i dlatego zabił; nie dla kilku starych kartek, lecz dla okazałego majątku w postaci ziemi i fabryk. Przez ostatnie dwa dni

z głębią ten temat. Dowiedziała się, że samo posiadanie akcji nie wiąże się z posiadaniem tytułu do praw majątkowych. Owszem, sąd może wydać zgodę na wskrzeszenie spółki, ale musi przy tym uwzględnić cały kontekst, także historyczny. Dobrym przykładem jest wojna, kiedy to naziści przejęli banki z depozytami. Gdyby dzisiaj Niemcy wyciągnęli tak zdobyte polskie papiery i zaczęli domagać się reaktywacji spółek i co za tym idzie, również majątków – nic by nie osiągnęli, bo nie można oddawać nieruchomości w oparciu o akcje zagrabione podczas działań wojennych. Podobnie jest z papierami kupionymi na rynku kolekcjonerskim czy znalezionymi na makulaturze, na ich podstawie nie można wskrzesić spółki i wpisać jej do Krajowego Rejestru Sądowego. Jak to często bywa, prawo sobie, a rzeczywistość sobie... Ze zdumieniem przeczytała w internecie, że w dziwnych okolicznościach udało się reaktywować aż kilkadziesiąt spółek, ale z odzyskaniem majątku już nie było tak łatwo, chociaż adwokaci nowych właścicieli zapewniali, że są krok od sukcesu. Tylko paru osobom udało się przejąć majątek i to dość dawno, bo na początku lat dziewięćdziesiątych. Ten fakt mógł jednak rozbudzić czyjąś wyobraźnię. Trafiła też na informację, że prokuratura w Tarnobrzegu oskarżyła cztery osoby o próbę wyłudzenia trzystu czterdziestu jeden milionów złotych na podstawie akcji zakupionych na rynku kolekcjonerskim.

Milena zamknęła laptopa. Przyjrzała się swoim dłoniom. Wydały się jej takie anonimowe, bez biżuterii na palcach, bez lakieru na paznokciach i bez odcisków. Przypomniała sobie dłoń Izabeli Lipiec z obrączką z białego złota na palcu. Powinna sprawić sobie równie efektowną biżuterię, dzisiaj jednak musi wystarczyć lakier, zdecydowała się na łososiowy odcień. Czy Kamil zauważy, że pomalowała paznokcie? Raczej nie, bo to nie wykroczenie. Uśmiechnęła się na wspomnienie jasnych i skupionych oczu komisarza Soroki. Współpraca z nim to największa zaleta przenosin do Elbląga. Zauważyła też, że funkcjonariusze, począwszy od pięknej sierżant Beaty Gryś po doświadczonych techników kryminalistyki, wszyscy oni patrzyli na komisarza z szacunkiem, a nawet uwielbieniem. Chyba już widzieli w nim przyszłego naczelnika wydziału kryminalnego, ona sama życzyła mu tego awansu z całego serca.

Zanurzyła pędzelek w buteleczce i położyła na kolejny paznokieć warstwę połyskującego lakieru. A może jednak Kamil zauważy lakier i nawet mu się spodoba, i zdobędzie się na jakąś sympatyczną uwagę? To on będzie prowadził dzisiejsze spotkanie na komendzie. Z pełną świadomością odstąpiła mu kierowanie śledztwem, ale nie dała się zepchnąć na boczny tor. Miał tylko ją wyręczyć w koordynowaniu prac zespołu i przypilnować, aby funkcjonariusze wywiązywali się ze swoich obowiązków.

Przez kilkanaście minut przerzucała ubrania w szafie w poszukiwaniu stroju, w którym dobrze wyglądałaby w telewizji. Będzie mówić o tragicznej śmierci dwóch osób, musi ubrać coś klasycznego, wyjęła więc z szafy czarną marynarkę i czarną spódnicę.

W prokuraturze czekały na nią protokoły przesłuchań, przez weekend funkcjonariusze przepisali kilkanaście godzin nagrań. Wiedziała, czego się po nich spodziewać, bo Kamil zdążył ją poinformować o najistotniejszych kwestiach. Milena usiadła wygodnie i wzięła do ręki pierwszy protokół. Czytała szybko, nie notowała swoich spostrzeżeń, nie było na to czasu.

Za piętnaście dwunasta rzuciła ostatni dokument na biurko, koniec tego dobrego, teraz prędko na komendę. Spotkanie zespołu odbywało się w sali konferencyjnej. Usiadła obok Konarskiego. Naprzeciwko miała Beatę, Rumuna i Pocięchę. Na szczycie stołu usadowił się naczelnik wydziału kryminalnego, inspektor Jerzy Kamiński. Komisarz stał pośrodku sali. Dawało się wyczuć panujące wśród zebranych napięcie. Zwyczajowe w tym gronie przekomarzenia i żarty dziś nie wchodziły w grę, nikt się nawet nie uśmiechnął. Sprawa była poważna, pierwsze podwójne zabójstwo w Elblągu od dwudziestu lat. Trzeba działać szybko i sprawnie, inaczej mogą zapomnieć o sukcesie.

Kamil zaczął podsumowywać to, co już wiedzieli. Po omówieniu domniemanej właścicielki feralnych pończoch zauważył:

– Te czarne pończochy mówią nam jedną bardzo ważną rzecz: skoro morderca ich użył, to znaczy, że nie miał przy sobie własnego narzędzia, czyli nie planował morderstwa.

Komisarz zrobił dłuższą pauzę, którą wykorzystał Pocięcha.

– Sprawca mógł przyjść z własnym narzędziem, ale widząc pończochy... Może wydały mu się bardziej praktyczne. Zawsze bezpieczniej posłużyć się narzędziem, które nie ma ze sprawcą nic wspólnego, którego sam nie kupił, które nie pochodzi z jego domu i tak dalej. Mam rację?

Kamil przytaknął.

– Okey, zgadzam się, że taka ewentualność jest możliwa, ale trzymajmy się statystyk, które mówią, że jeśli sprawca przyniesie na miejsce zdarzenia własne narzędzie, to zwykle go używa, chyba że przeszkodzi mu siła wyższa. W naszej sprawie uznajemy więc, że morderstwo było niezaplanowane, a już na pewno nie w przypadku Ester Kucharczyk.

Komisarz mówił stanowczym tonem, nawet jego postawa fizyczna wyrażała zdecydowanie. Stał wyprostowany, na lekko rozstawionych nogach. W rękę trzymał plik kartek, ale nie zerkał do nich.

– Morderstwo było niezaplanowane, ale nie pozbawione motywu. Jak wiecie, Henryk Szymański był kolekcjonerem historycznych papierów wartościowych. Dzień wcześniej kupił na aukcji trzy walory zakładów Schichaua za tysiąc sześćset dziesięć złotych i jeden Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce S.A. za cztery tysiące złotych. Trzymał te akcje w swoim pokoju, najprawdopodobniej w sejfie. Po morderstwie papiery zniknęły, możemy więc uznać, że to po nie sprawca przyszedł i z ich powodu zabił.

– Komisarzu, naprawdę wierzysz w ten motyw? – zapytał inspektor Jerzy Kamiński.

Wszyscy spojrzeli w stronę dużego, siwego mężczyzny. Wyglądał jak siedemnastowieczny korsarz. Bujny zarost, pomarszczone czoło, ostre rysy twarzy...

Inspektor mówił dalej niskim głosem:

– Parę starych kartek wartych sześć tysięcy? To ma być motyw? Za tymi walorami coś musi się jeszcze kryć, ja bym szukał, no wiecie, może długi, w tym kierunku bym poszedł, może ten cały Szymański od kogoś pożyczył większą mamonę i nie chciał oddać. Trzeba to wszystko posprawdzać, jego rachunki bankowe, bilingi telefoniczne, czy był karany i takie tam, popytać rodzinę, sąsiadów, gdzie bywał, może trafimy na coś ciekawego.

Milena dobrze rozumiała naczelnika. Też zastanawiała się, czy warto zabijać dla akcji wartych niecałe sześć tysięcy złotych. Czy nie lepiej było przelicytować Szymańskiego? Ale teraz, po przesłuchaniach, wie, że w kolekcjonowaniu cena przedmiotu jest sprawą drugorzędną. W tym środowisku liczy się rywalizacja, gra, układy, stopniowe wspinanie się po szczeblach sławy, wszystko to wciąga jak hazard i staje się ważniejsze od samych walorów. Nie wystarczy mieć pieniądze i skupywać wszystko co popadnie, trzeba jeszcze mieć nosa i wiedzę. Można kupić walor za cztery tysiące złotych i okryć się sławą albo też ośmieszyć. Tam panowały inne zasady i w śledztwie trzeba je uwzględnić, o czym na szczęście komisarz Soroka wiedział.

Kamil zwrócił się do naczelnika:

– Panie inspektorze, sędzę, że kolekcjonerzy z panem by się nie zgodzili, dla nich tych parę starych kartek to coś więcej. Jedna dobrze zakupiona akcja może wywindować zwykłego zbieracza na kolekcjonerski szczyt, a o tym właśnie marzy większość z nich. Jak chcecie złapać ten klimat, to poczytajcie sobie ich fora. Niektórzy wierzą, że można na podstawie akcji odzyskać stare fabryki. Sprawca też mógł w to wierzyć.

– No to już jest coś – wtrącił naczelnik. – Cała fabryka to już jest jakiś motyw.

Jasne oczy komisarza zatrzymały się na twarzy Mileny. Oczekiwał od niej, że wyjaśni zebrany prawne możliwości przejęcia przedwojennego majątku. Streściła im więc to, co zdążyła ustalić na podstawie swoich internetowych poszukiwań. Gdy tylko umilkła, zabrała głos sierżant Gryś:

– Teraz trzeba sprawdzić, czy zachowały się księgi wieczyste, w których Zakłady Schichaua i fabryka lokomotyw figurują jako właściciel. No i oczywiście trzeba też sprawdzić, czy ktoś w ostatnim czasie próbował to ustalić. Ja mogłabym się tym zająć.

Beata niemal wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź komisarza. Gdy ten kiwnął głową na zgodę, odetchnęła z ulgą. Widać było, że rozpiera ją duma, wyprostowała się, wypinając biust. Czuła się teraz ważna, bo w swoim mniemaniu otrzymała zadanie niezwykle istotne dla śledztwa.

Kamil spojrział w okno, potem na notatki, wyglądało na to, że zbiera myśli, w końcu zwrócił się do naczelnika:

– Panie inspektorze, sądzę, że może mieć pan rację, za tymi skradzionymi walorami coś się kryje. Tak naprawdę nie o nie chodziło, a najważniejsze było pozbycie się Henryka Szymańskiego. Zazdrość, rywalizacja, zemsta. Dlatego musimy się przyjrzeć bliżej relacjom między miłośnikami starych papierów.

– Komisarz zwinął w rulon trzymane w ręku kartki. – Mamy pięciu podejrzanych, wszyscy są kolekcjonerami, podczas morderstw przebywali na terenie hotelu i, co nie powinno nas dziwić, zgodnie twierdzą, że lubili i szanowali ofiarę.

Kamil przybliżył im sylwetkę Bogdana Mikulskiego i Janusza Kruka. Podkreślił, że żaden z nich nie ma alibi, zwrócił też uwagę na ewentualny motyw w przypadku Kruka, który podejrzewał Szymańskiego o skupywanie akcji na zlecenie amerykańskich Żydów.

– Skoro można stracić życie, bo nie wygląda się jak Polak, to tym bardziej z powodu wysługiwania się tym krwiopijcom, Izraelitom – zauważył Rumun.

Milena uśmiechnęła się do aspiranta Nowaka. Nie przeszkadzało mu, że nazywają go Rumunem, sam chętnie żartował ze swojej południowej urody, ale nie mógł przeboleć, że go skatowano z powodu śniadej cery i czarnych oczu, a raczej z tego powodu, że został uznany za człowieka gorszego rodzaju. Od Kamila wiedziała, że od tamtego zdarzenia Nowak stał się zagorzałym przeciwnikiem wszelkich ruchów rasistowskich i nacjonalistycznych.

Komisarz przystąpił do przedstawiania sylwetek kolejnych podejrzanych:

– Jest też dwóch radców prawnych z Ławy, Michał Niewiadomski, dwadzieścia osiem lat, żonaty, jedno dziecko, oraz Sławomir Kania, jego rówieśnik. Przyjechali razem jednym samochodem i mieszkali w tym samym pokoju. Kolekcjonowaniem papierów wartościowych zajmują się od trzech lat. Niewiadomski powiedział, że pociąga go magia starych walorów, a Kania przyznał, że chodzi mu głównie o prestiż. Szanujący się prawnik musi zbierać albo obrazy, albo akcje, no jeszcze w grę wchodziłaby biała broń. W czasie morderstwa obaj przebywali w numerze, a więc nawzajem zapewniają sobie alibi. No, Niewiadomski ma jeszcze dodatkowe, udzielał wtedy porad na forum prawniczym, zalogował się o dziesiątej dwadzieścia siedem, a ostatni wpis umieścił o jedenastej pięć. Jeżeli chodzi o motyw, w tym przypadku nie mamy żadnej w miarę przekonującej hipotezy.

– Dlaczego nie wrócili do Ławy po licytacji? – zainteresował się inspektor Kamiński.

– Kania miał klienta w Elblągu. Był z nim umówiony na szesnastą w piątek. Z tego powodu właśnie zostali.

Milena przypomniała sobie obu prawników, błyskotliwi i zaciekawieni. Niewiadomski próbował ją podpytywać o szczegóły zdarzenia. Z kolei trochę zaniepokojony Kania oznajmił, że będzie teraz przysłuchiwać się uważnie kolekcjonerom. Który z nich najbardziej żałuje Szymańskiego? To najstarsza i najlepsza metoda wykrycia sprawcy.

– Został nam jeszcze jeden podejrzany – mówił dalej komisarz. – Karol Milewicz, prosty chłop, a od razu zajarzył, o co w tym wszystkim biega – nie o ładne kartki, lecz przejęcie majątków. Już trochę na ten temat wiedział z internetu, no ale nie ma to jak rozmowa ze specjalistą, a za takiego uważał Henryka Szymańskiego. Przyszedł więc w piątek do hotelu, do budynku wszedł o dziesiątej czterdzieści dwie. Na

jego prośbę Ester zadzwoniła do ofiary o dziesiątej czterdzieści cztery. Podobno Henryk powiedział, że zaraz zejdzie, ale tego nie zrobił. – Komisarz zaczął chodzić po pomieszczeniu. – Załóżmy, że Milewicz czekał i się bardzo niecierpliwił, bo naprawdę spieszyło mu się do roboty. Ile mógł czekać na Szymańskiego? Dziesięć minut? A zatem o dziesiątej pięćdziesiąt pięć rusza do windy. O jedenastej wchodzi do numeru ofiary, piętnaście, siedemnaście minut później pojawia się tam Ester. A zatem tylko kwadrans na kłótnię i uduszenie ofiary. Mało czasu, jak myślicie? – Kamil nie czekał na odpowiedź, lecz kontynuował swój wywód: – Tylko sprzeczka wchodzi tutaj w grę jako powód morderstwa. Bo wyobraźmy sobie, że do pokoju Szymańskiego wparowuje hydraulik i domaga się prawdy. Chce wiedzieć, czemu służy to skupowanie walorów. Henryk wyśmiewa go i każe mu wyjść. Milewicz nie daje się jednak spławić, chodzi przecież o wielkie pieniądze. Staje się nachalny, agresywny, żąda przyjęcia go do tego interesu. Szymański ma już dosyć nieproszonego i irytującego gościa, odwraca się do niego plecami. Wtedy Milewiczowi puszczają nerwy, łapie pończochę, zarzuca Henrykowi na szyję i dusi. Dałby radę to zrobić, jako hydraulik ma silne ręce, a dodatkowo działał w gniewie. Potem bierze walory i wychodzi. Ale niestety za drzwiami już stoi Ester. Wciąga ją do pokoju i dusi drugą pończochą. O jedenastej dwadzieścia osiem Milewicz wybiega z hotelu. Za tym, że to on jest sprawcą, najbardziej przemawia w tej chwili fakt, że nie znaleźliśmy akcji. Ktoś musiał je wynieść, a nasz hydraulik jest jedną z trzech osób, które po morderstwie zdążyły wyjść z hotelu. Dwie pozostałe to profesor Emiliusz Sokołowski oraz Adam Ados, aktor z Olsztyna, który prowadził licytację. Ci dwaj raczej nie mają nic wspólnego z Szymańskim.

Wyglądało na to, że komisarz ma tylko jednego podejrzanego. To trochę zaniepokoiło Milenę. Wiedziała, że typowanie konkretnej osoby na sprawcę na tym etapie śledztwa może okazać się zgubne. Niech lepiej wszyscy będą podejrzani, a najlepiej ten, kto ma stuprocentowe alibi i szczerzy uśmiech na twarzy. Na szczęście komisarz znowu okazał się profesjonalnym śledczym. Odetchnęła z ulgą, gdy zaczął rozdzielać pomiędzy nich kolejne zadania. Rumun miał jechać do Olsztyna i wraz z tamtejszymi funkcjonariuszami przeszukać mieszkanie ofiary, sprawdzić jej komputer, korespondencję, rachunki,ilingi, notatki, a także popytać sąsiadów i rodzinę. Beatę, oprócz przejrzenia ksiąg wieczystych, czekało prowadzenie dokumentacji śledztwa. Pociecha i Konarski mieli przyjrzeć się wszystkim podejrzanym, prześwietlić ich historię od dnia narodzin. Do obowiązków Mileny i komisarza nadal należały przesłuchania. Inspektor Jerzy Kamiński podniósł się, podziękował wszystkim za spotkanie i jako pierwszy opuścił salę konferencyjną. Za nim wyszli Pociecha i Konarski.

Milena wstała, Rumun również, Kamil zbliżył się do stołu.

– Czy w rzeczach ofiary były klucze od mieszkania? – zapytał Rumun.

– Tak, zaraz je otrzymasz – odpowiedział Kamil.

– Tylko wrzucę pizzę na ruszt i ruszam do Olsztyna.

– Nie spiesz się. Właściwie byłoby lepiej, gdybyś pojechał jutro rano. Dzisiaj i tak niewiele już tam zdziałasz. O samo mieszkanie nie musimy się martwić. Na nasze polecenie zabezpieczyli je już w piątek.

Aspirant kiwnął posłusznie głową i wyszedł.

Beata wciąż siedziała przy stole i obracała w palcach czerwony długopis. Wyglądało na to, że chce pogadać z komisarzem na osobności. Kamil tymczasem zwrócił się do Mileny:

– Skoczysz dziś do Anny Markowskiej? Nie zgodziła się przyjechać na przesłuchanie. Bardzo cierpi po tragicznej śmierci przyjaciela, tak właśnie powiedziała mi przez telefon.

– Konferencję prasową mam o siedemnastej, zdążę z nią porozmawiać.

– Chodź, dam ci jej adres – powiedział komisarz i ruszył w stronę drzwi.

Milena pożegnała się z Beatą i poszła za nim. Gdy przekraczała próg, usłyszała, że policjantka zaczyna pstrykać długopisem.

W gabinecie komisarza stały trzy biurka, to najbliższe okna należało do niego. W pomieszczeniu unosiła się woń dymu papierosowego.

– Dalej tu palisz – stwierdziła Milena.

– Beata też – oznajmił.

– A Pocięcha?

– A on się nie skarży.

Kamil wyrwał z notesu kartkę i podał Milenie.

– Podgórna, gdzie to jest?

– Na Zawadzie, dwie ulice ode mnie. Tam jest tylko jeden blok, trafisz bez problemu.

Włożyła kartkę z adresem do kieszeni.

– Sierżant Gryś chyba nadal na ciebie czeka w sali konferencyjnej.

– Jak będzie chciała, to mnie znajdzie – odpowiedział sucho.

– Dlaczego ty ją tak traktujesz?

– Niby jak? – zapytał zdumiony.

– Jakoś mało życzliwie się do niej odnosisz – powiedziała Milena.

– Mało życzliwie? Ty wiesz, ile ja jej czasu poświęciłem? Ile ją nauczyłem? Jak tu się pojawiła, to była zieloniutka jak trawka po deszczu... Wszystkich traktuję jednakowo, nie mam zamiaru jej wyróżniać. Może tam u was w prokuraturze nadskakuje się kobietom, ale tu jest komenda policji.

Milena zaczęła ten temat, bo zwyczajnie była ciekawa, co łączy najprzystojniejszego funkcjonariusza w mieście z najładniejszą policjantką. Nie raz się nad tym zastanawiała i nawet nadstawiała ucha, ale do prokuratury nie docierały plotki z komendy. To, że sierżant Beata Gryś leci na komisarza, zauważyła od razu, samego Kamila jednak rozgryźć nie potrafiła. Podejrzewała, że tych dwoje połączył gorący romans, ale komisarz, jak przystało na profesjonalistę, rozdziela życie prywatne od zawodowego. A żeby nikt go nie posądził o faworyzowanie Beaty, na wszelki wypadek jest dla niej w pracy dość oschły.

– Idę już. Jak dowiem się coś ciekawego od Anny Markowskiej, to do ciebie zadzwonię.

– Zaczekaj – poprosił.

Znowu spojrzała na niego.

– Zapytałem Markowską o tego wytatuowanego koka, z którym przyszła na aukcję. To jej syn, Łukasz Markowski, ksywa Karaluch. O trzynastej ma się stawić na przesłuchanie. Znam go, ma u nas kartotekę, włamanie do sklepu spożywczego, dilerka, pobicie. Przez ostatnie trzy lata było o nim cicho, sądzę, że gdzieś za granicą się zadekował, teraz wrócił. Podpytaj jego matkę, może coś jej się wymyslnie. Bez powodu Karaluch na tę licytację by nie poszedł, coś mu chodziło po tej łysej główce i na pewno to nie była wesz.

– Okey, zapytam.

Miała już wyjść, ale podeszła jeszcze do korkowej tablicy, do której przyczepiona była tylko jedna karteczka.

– Czy to tablica sierżanta Pocięchy?

– Tak, jego. Nigdy nic nie umieszcza, nie lubi tej metody gromadzenia i porządkowania informacji, woli smartfona.

– A wiesz, że umieścił tutaj wiadomość dla ciebie i Beaty?

– Tak? – zdziwił się Kamil.

Również podszedł do tablicy i przeczytał półgłosem tekst zanotowany równym, drobnym pismem na kartce: *Papieros to śmierdzące ziele, z ogniem po jednej i głupcem po drugiej stronie.*

Skierowała się do drzwi. Gdy odwróciła się w progu, komisarz trzymał już w ustach papierosa i szukał w biurku zapalniczki.

Anna Markowska mieszkała w długim bloku z wielkiej płyty, na drugim piętrze. Milena wraz z trójką chłopców weszła do klatki schodowej, potem do windy. Jeden z dzieciaków przyłożył palec do przycisku przy numerze siedem. Gdy winda ruszyła, Milena uśmiechnęła się i powiedziała:

– Hej.

Spojrzeni na nią jak na wariatkę. Jeden z chłopców, najniższy i pryszczaty, powiedział:

– Niech pani lepiej uważa, bo ktoś zobaczy, że pani zaczepia chłopaków w windzie, i panią oskarżą.

– Oskarżeniem o pedofilię – dodał najstarszy, może dwunastoletni. Z kieszeni za dużej, czarnej kurtki wyjął komórkę i zrobił jej zdjęcie.

Milena wciąż się uśmiechała.

– Mnie interesują starsi chłopcy, na przykład Łukasz Markowski. Znacie go? Wiecie może, gdzie mieszka?

– Na drugim – odpowiedział szybko pryszczaty.

– Ach, na drugim – powtórzyła Milena i nacisnęła dwójkę.

– Niech pani da sobie spokój z Karaluchem, on nie będzie pani chciał, pani jest dla niego za stara – odezwał się trzeci chłopiec.

Winda zatrzymała się na siódmym piętrze, Milena stanowczym ruchem rozłożyła ręce, nie pozwalając chłopcom wyjść.

– Ostro się robi – rzucił pryszczaty.

– Spokojnie, mnie tylko Łukasz interesuje.

Winda ruszyła w dół.

– Przecież powiedziałem, że pani jest za stara dla niego. Poza tym on ma dziewczynę w Norwegii, mojemu bratu powiedział, że to zajebista dupa. Na pewno jest młoda i ładna, a nie jak pani. – Roześmiał się głośno. Dobrze wiedział, że ją obraża, i bardzo był z tego dumny.

– Stara Łukasza powiedziała mojej starej, że ta laska Karalucha ma kasy jak lodu i że Karaluch już nigdy nie będzie musiał pracować, tylko sobie otworzy warsztat i inni będą na niego tyrać – wtrącił się pryszczaty.

Chłopak w czarnej kurtce dorzucił fachowym tonem:

– Jeśli ona jest kasiasta, to Karaluch zwinie jej całą kapustę i wróci do Polski.

Winda zatrzymała się na drugim piętrze. Zanim Milena wysiadła, usłyszała jeszcze, jak trzeci z dzieciaków mówi do kolegów:

– A wiecie, że on jest teraz w Elblązkowie i zrobił jakiś odjechany numer? Ale nie wiem co, bo brat nie chciał mi gadać. Podśluchałem tylko, jak mówi Karaluchowi, żeby nie srał w gacie, bo już po sprawie i teraz trzeba tylko cicho siedzieć.

Milena stanęła przed drzwiami Markowskich i przycisnęła dzwonek. Zastanawiała się, czy w mieszkaniu jest Łukasz. Za pół godziny powinien pojawić się na komendzie, a więc może jeszcze nie zdążył wyjść. Drzwi otworzyła kobieta w czarnym szlafroku i pomarańczowych kapciach. Patrzyła na Milenę zaskoczona.

– Jestem prokuratorem, przyszedłam z panią porozmawiać o Henryku Szymańskim.

– A tak, policja mi powiedziała, że prokurator mnie odwiedzi. Ale nie pomyślałam, że kobieta i że tak szybko.

Anna Markowska poprowadziła ją do kuchni i wskazała na krzesło przy wąskim stole.

– Przepraszam, że w kuchni, ale mam nieposprzątane od czasu, jak się dowiedziałam, nie jestem w stanie. Wzięłam urlop w pracy. Nie wiem, jak ja się pozbieram po tym wszystkim.

– Pani Anno, domyślam się, że Henryk Szymański był dla pani kimś bliskim.

Kobieta ciężko opadła na krzesło i zasłoniła twarz rękami. Milena mimowolnie pomyślała, że ten gest



jest nazbyt teatralny, ale zaraz zganiła się w duchu. Każdy ma prawo rozpaczać w taki sposób, który przynosi mu ulgę. Ona sama po zaginięciu syna i męża płakała po cichu i tylko w odosobnieniu, i przede wszystkim krótko, czego teściowie nie potrafili jej wybaczyć.

– On mnie tak kochał, uwielbiał mnie, świata poza mną nie widział, chciał się żenić – zaczęła mówić Markowska, pociągając nosem. – Zrobię dla nas kawę, dzisiaj jeszcze nie piłam.

Za chwilę w jej dużych białych dłoniach znalazły się dwie żółte filizanki, a potem puszka z kawą.

– Od dawna zajmuje się pani kolekcjonowaniem?

– Od czterech lat, najpierw poznałam Harry’ego i on mnie tym zaraził. W pensjonacie na Mazurach się poznaliśmy, od razu się we mnie zakochał.

– Czy pan Szymański mówił może, że czuje się zagrożony? Był z kimś w konflikcie?

– Nie – odpowiedziała cicho.

Milena miała już na ustach kolejne pytanie. Czuła, że jest z kategorii tych, które dopiero po jakimś czasie okazują się kluczowe. Wiele takich z pozoru nieważnych pytań zadała podczas przesłuchań, a usłyszana odpowiedź nabierała znaczenia w toku śledztwa. Spojrzała wprost w zaczerwienione oczy Anny i zapytała, kładąc nacisk na każde słowo:

– Na czym najbardziej zależało Henrykowi Szymańskiemu?

Pani Markowska odpowiedziała bez wahania:

– Na mnie.

Milena pomyślała, że to jednak jeszcze nie jest jej kluczowe pytanie. Patrzyła na ociężałe ciało kobiety, na jej obwisłe duże piersi, na podwójny podbródek, pomarszczoną szyję i szarą twarz. Porównywała ją z piękną i młodą Alberthine Kügelgen, z którą Szymański prawdopodobnie spędził noc.

– Czy tamtego dnia była pani w pokoju hotelowym pana Henryka, po licytacji, wieczorem?

Spodziewała się, że Anna zaprzeczy, ale ta powiedziała cicho:

– Tak, poszłam do niego.

Milena ze zdumieniem zauważyła, że ta prawie sześćdziesięcioletnia kobieta czerwieni się jak nastolatka. Wygląda na to, że Soroka się pomylił, to nie piękna Alberthine spędziła noc z ofiarą, lecz Anna Markowska.

– Miała pani tamtego wieczora na sobie czarne pończochy, prawda?

Anna przestała mieszać kawę, cała znieruchomiała jak w kadrze.

– Czarne pończochy? Nie, zwykłe cieliste rajstopy, takie najbardziej lubię. Skąd pani przyszły do głowy pończochy?

Milena machnęła lekceważąco ręką. Zaczęła się zastanawiać. Czyżby to sprawca przyniósł te pończochy? Używane? Co za nieostrożność. A może to jednak Alberthine Kügelgen je zostawiła? Dopiero ekspertyza to wyjaśni, ale na nią niestety trzeba jeszcze poczekać co najmniej dwa dni.

– O której godzinie opuściła pani hotel? Jak długo trwał wasz wspólny wieczór?

– Nie wiem, nie patrzyłam na zegarek, ale to był bardzo krótki wieczór. W jego pokoju spędziłam jakiś kwadrans i potem musiałam wyjść. Gdybym została, to by się źle skończyło, bo mój syn... To przez niego. On tamtego dnia był ze mną na licytacji. Zabrałam go, bo chciał zobaczyć, jak taka impreza wygląda. Po aukcji kazałam Łukaszowi wracać do domu i powiedziałam, że ja też zaraz wrócę. – Anna poprawiła szlafrok na piersiach, napiła się kawy i mówiła dalej: – Henryk poszedł odebrać akcje, a ja do restauracji po szampana i kieliszki. Gdy stamtąd wychodziłam, zobaczyłam mojego syna, stał w recepcji i rozmawiał z Ester, to jego koleżanka, jej też mi bardzo szkoda, taka młoda... No i właśnie jak go zobaczyłam w recepcji, to uciekłam z powrotem do restauracji, żeby mnie nie zobaczył i się niczego nie domyślił. Mówię pani, zazdrosny syn gorszy niż zazdrosny mąż. W końcu udało mi się przemknąć do pokoju Henryka. Gdy już tam byłam, zadzwoniłam do Łukasza i powiedziałam mu, że będę nocować

u znajomej. – Anna westchnęła głęboko. Gdy znowu podjęła temat, jej głos zaczął się załamywać: – Ja chyba nie umiem kłamać albo to Łukasz jest taki przenikliwy. Nie uwierzył mi. Pięć minut później wpadł do pokoju Henryka i powiedział, że zachowuję się jak dziwka. Kazał mi się zbierać, zagroził, że rozpieprzy cały pokój, jeżeli z nim nie wyjdę. Nawet nie pożegnałam się z Harrym, on akurat był w łazience, ani nie zadzwoniłam do niego, bo było mi wstyd, że mam takiego syna. Henryk też do mnie nie zadzwonił, ale myślę, że następnego dnia na pewno by się ze mną skontaktował. – Pociągnęła głośno nosem.

Milena dyskretnie zerknęła na zegarek, nie chciała spóźnić się na konferencję. Szybko przeszła do dalszych pytań.

– Widziała pani te wylicytowane walory w pokoju Henryka?

– Nie, nie widziałam.

– Czy pan Szymański był zdenerwowany, wtedy w pokoju, gdy pani do niego przysłała?

– Nie, wydaje mi się, że nie. Był bardzo zadowolony z siebie, z zakupu tych akcji. Zdenerwowany był wcześniej, przed licytacją i w trakcie chyba też, ale później pełen relaks.

– A nie obawiał się, że ktoś mu skradnie te walory?

– Nie wiem, chyba nie – Anna wzruszyła ramionami.

– To po co je chował do sejfu? Czy to nie jest zbyt duża ostrożność? Może jednak obawiał się kradzieży?

– Harry zawsze wynajmował pokój z sejfem, taki po prostu miał zwyczaj. Wiele osób tak robi.

Milena wsłuchiwała się w cichy pomruk lodówki i wodziła wzrokiem po popielatych kafelkach z pożółkłymi od starości fugami.

– Może coś panią zaniepokoiło w czasie licytacji albo zaskoczyło?

– Wszystkich nas zaskoczyło, że na aukcji pojawił się walor Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce.

Taka byłam dumna, że Harry’emu udało się go wylicytować. Ta przegrana dopiekła sędziemu Lasockiemu, oj, dopiekła, zniknął zaraz po licytacji, nawet nie pogratulował Henrykowi. – Anna uśmiechnęła się po raz pierwszy podczas tej rozmowy.

– Henryk Szymański i sędzia Lasocki nie lubili się?

– Nie, to nie tak, ja myślę, że oni się szanowali. Każdy z nich czuł, że ma godnego przeciwnika.

Milena dopiła kawę.

– Jak pani syn zareagował na śmierć pani przyjaciela? – zapytała.

– W ogóle nie skomentował tego ani jednym słowem. Wściekł się jedynie, że Ester zginęła. Ja myślę, że Łukaszowi zrobiło się głupio za jego zachowanie w hotelu, to dobry chłopak, naprawdę.

Milena wstała, Anna również. Stały przez chwilę naprzeciwko siebie, dwie kobiety ubrane na czarno, jedna w szlafroku, druga w eleganckim kostiumie.

– Za parę dni ktoś do pani przyjdzie z protokołem do podpisania – powiedziała Milena, po czym opuściła mieszkanie Anny Markowskiej.

Na korytarzach prokuratury kręciło się już mnóstwo dziennikarzy. Milena minęła dwóch mężczyzn z kamerami. Usłyszała, że na coś narzekają, chyba na oświetlenie. Na drodze stanęła jej jakaś kobieta, przez chwilę zastanawiała się, skąd ją zna. No tak, przecież to dziennikarka dużej stacji.

Gdy okazało się, że konferencja odbędzie się na zewnątrz, a nie, jak pierwotnie ustalono, w jednej z sal prokuratury, Milena wróciła do swojego gabinetu i usiadła za biurkiem. Postanowiła dać mediom dziesięć minut. Przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić do Kamila Soroki i zaprosić go do siebie na kolację. Zrobiłaby naleśniki z mięsem i papryką. Powinni się spotkać i pogadać o tym morderstwie, tylko we dwoje. Interesowało ją na przykład, jaką sytuację zastał komisarz w rodzinnym domu Ester. Był tam w piątek późnym wieczorem i podobno pojechał też następnego dnia wraz z panią psycholog. Patrzyła na

swoją komórkę i zastanawiała się, czy zadzwonić. A co jeżeli Kamil opacznie zrozumie jej zaproszenie? Odłożyła w końcu aparat i wyszła z gabinetu.

Dziennikarze stali półkolem przed schodami prowadzącymi do budynku, było ich ze czterdziestu. Zauważyła cztery telewizje ogólnopolskie, świadczyło to o dużej atrakcyjności tematu. Hotel jako miejsce zbrodni, dwie ofiary, właściwie nie można się dziwić takiemu zainteresowaniu.

Gdy zaczęła mówić, oślepił ją błysk fleszy. Przez chwilę nie widziała twarzy stojących wokół ludzi, jedynie ciemne sylwetki. Spokojnym głosem przedstawiła całą sprawę i poprosiła o pytania. Wzrokiem powiodła po dziennikarzach i nagle dech jej zapało. Do przodu przepychał się wysoki mężczyzna w czarnej zamszowej kurtce ze śladami zużycia na łokciach. Właśnie po tej kurtce go poznała. To był jej teść, Zbyszek. Co on tu robi? Dlaczego przyszedł na konferencję, a nie wprost do jej gabinetu? Pomyślała, że teść dowiedział się czegoś tak ważnego o Pawle i Krzysiu, że nie mógł tego powiedzieć przez telefon. Zbyszek trzy lata temu zwolnił się z Urzędu Miasta i cały swój czas poświęcił prywatnemu śledztwu mającemu na celu odnalezienie syna i wnuka. W poszukiwaniu próbował wciągnąć kolegów Pawła, dziennikarzy, co na początku nie było trudne, bo to przecież był gorący temat, zaginięcie męża i syna pani prokurator Łempickiej. Przez trzy tygodnie wydzwaniali do niej z mediów i prosili o wywiad, choćby o parę słów komentarza. Tylko raz wystąpiła przed kamerami, poprosiła męża, żeby wrócił, zapewniła, że on i Krzys są dla niej najważniejsi. Zbyszek był wściekły. Jak mogła publicznie prosić Pawła, żeby wrócił? Przecież na pewno zostali porwani. Spokojnie wyjaśniała teściowi, że prawdopodobnie Paweł się trochę pogubił, z jego głową ostatnio nie było zbyt dobrze. Po tych słowach teść uderzył ją w twarz.

Patrzyła na znękaną oblicze Zbyszka Krola. Wyglądał na więcej niż sześćdziesiąt trzy lata. Nie tak dawno mógł się poszczycić bujną szpakowatą czupryną, teraz pozostały po niej tylko rzadkie siwe kosmyki. Milena poczuła, że przeszywa ją dojmujący smutek i żal za radosnym i przepełnionym miłością życiem, które już nigdy nie będzie jej udziałem. Miała ochotę uciec, ale w tej chwili ktoś skierował do niej pytanie.

– Czy policja ma już podejrzanych?

Milena oblizwała usta i z pewnym trudem zaczęła mówić:

– Na tym etapie śledztwa mogę powiedzieć, że wszystkie ślady zostały zabezpieczone i dzięki nim sporo już wiemy o sprawcy. Czekamy teraz na ekspertyzy biegłych, które pozwolą na ustalenie tożsamości sprawcy i jego szybkie ujęcie.

– Czy to prawda, że mordercą jest któryś z gości hotelowych?

– Ze względu na dobro śledztwa w kwestii podejrzanych nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Czy na nagraniu z hotelowego monitoringu znajduje się morderca?

Milena powoli przesunęła wzrok na twarz kolejnego dziennikarza i powiedziała o wiele spokojniej:

– Będziemy to wiedzieć, gdy ustalimy, kto jest sprawcą.

Obecność Zbyszka wytrąciła ją z równowagi, ale już dochodziła do siebie. Zdołała stłumić w sobie rozpacz, tylko jeszcze cisnęło ją trochę w piersiach. Zdobyła się na odwagę i ogarnęła wzrokiem wszystkich dziennikarzy. Mignęła jej gdzieś czarna kurtka i trochę dalej podniesiona ręka, kiwnęła głową w stronę zgłaszającej się osoby. Miała wrażenie, że rozpoznaje piegowatą twarz młodego mężczyzny. Tak, to on w dniu morderstwa kręcił się przed hotelem. Wtedy też miał na sobie czerwoną kurtkę.

– Mikołaj Bukowski, Elbląska Gazeta Internetowa. Pani prokurator, chciałem zapytać, bo...

Zaskoczyło ją, że jest dziennikarzem. Tamtego dnia przed hotelem wzięła go za wścibskiego nastolatka.

– Słucham pana – powiedziała zachęcająco Milena.

Chłopak wyciągnął kartkę z kieszeni i zerknął na nią. Wyglądało na to, że młodego przedstawiciela lokalnych mediów zjadła trema i zapomniał, o co chce zapytać. Dziennikarze zaczęli się niecierpliwić,

ktoś z przeciwległej strony zadał pytanie:

– Czym ofiary zostały uduszone?

– Ze względu na dobro śledztwa nie mogę ujawnić narzędzia.

Młody, piegowaty dziennikarz ponownie zabrał głos, co spotkało się z pomrukiem niezadowolenia pozostałych przedstawicieli mediów.

– Ja w kwestii tej, no, tak zwanej reaktywacji spółek.

Milena była zaskoczona pytaniem. Od morderstwa mijała trzecia doba, a żadne z mediów nie wysunęło jeszcze hipotezy, że to chęć zdobycia ogromnego majątku mogła być motywem zbrodni w hotelu „Pod Lwem”.

– Zapewniam państwa, że policja i prokuratura rozważają każdy motyw, również ten. Pragnę też poinformować, że reaktywacja spółek na podstawie dokumentów pochodzących z przestępstwa jest niemożliwa, a więc na pewno sprawca nie wykorzysta akcji w tym celu.

– Ale ja nie o to chciałem zapytać. Chodziło mi wręcz o coś przeciwnego.

Patrzyła na piegowatą twarz chłopaka i myślała, że zbyt często dziennikarze przychodzą na konferencję nieprzygotowani i nawet nie wiedzą, o co zapytać.

– Pani prokurator, czy to nie było tak, że ktoś zabił i ukradł walory, żeby nie dopuścić do reaktywacji?

Milena w myślach powtórzyła jego słowa: *Żeby nie dopuścić do reaktywacji*. Nie pomyślała o tym wcześniej, młody dziennikarz ją zaskoczył, ale nie zamierzała się do tego przyznać. Pewnym głosem odpowiedziała:

– Każdy motyw jest skrupulatnie analizowany. Taką hipotezę też rozważamy.

Znowu przesunęła wzrokiem po dziennikarzach, nie dostrzegła teścia.

– Dlaczego prokuratura elbląska milczała przez trzy dni? Czy nie należało od razu pierwszego dnia ostrzec wszystkich kolekcjonerów w Polsce?

Wybaczała mediom wiele, choćby to, że rozpowszechniają nieprawdziwe informacje, że nielegalnymi metodami docierają do akt śledztwa i wkładają w jej usta słowa, których nie wypowiedziała. Wściekała się jedynie wtedy, gdy siali niepotrzebną panikę. Aby zapobiec ewentualnej jutrzejszej histerii zbieraczy, spojrzała w oko kamery TVP i zdobywając się na najbardziej przekonujący ton, powiedziała:

– Gdyby istniał choć cień podejrzenia, że takie zdarzenie może się powtórzyć, na pewno już pierwszego dnia prokuratura wydałaby stosowny komunikat. Na szczęście takiego zagrożenia nie ma.

Wśród dziennikarzy zawrzało, nagle wszyscy próbowali zadać pytanie. Zaczęli się do niej zbliżać, jakby chcieli ją zamknąć w ciasnym kręgu.

– Dziękuję państwu za przybycie – oznajmiła stanowczo i odwróciła się. Wolnym krokiem, żeby nie wyglądało to na ucieczkę, weszła do budynku prokuratury.

Pół godziny później zaparkowała pod swoim blokiem na Gwiazdnej. Gdy wchodziła do klatki, zauważyła Zbyszka. Przyjechał za nią. Przywitała go dość oficjalnie. Weszli do mieszkania.

– Chcesz spaghetti? – zapytała. – Zostało mi z wczoraj, z łososiem.

Były to pierwsze słowa, jakie do niego wypowiedziała od czterech miesięcy. Nie odpowiedział. Podpaliła gaz pod patelnię.

– Nie mam parmezanu – oznajmiła.

Zbyszek wciąż milczał, zaczynało ją to irytować. Po co przyszedł, skoro nie ma nic do powiedzenia?

– Masz jakieś nowe informacje o Pawle i Krzysiu? – zapytała w końcu drżącym głosem.

– Ty, prokurator, o to pytasz? Co zrobiłaś, żeby odnaleźć swojego męża i synka? Nic, nic nie zrobiłaś.

– Zrobiliśmy wtedy wszystko, co należało – odpowiedziała, mieszając makaron. – Minęły już trzy lata, a nad tą sprawą nadal pracuje grupa znakomitych funkcjonariuszy.

– A może ty nie chcesz, żeby oni wrócili, bo przeszkadzali w tej twojej pracy. Paweł nie raz

wspominał o twoich powiązaniach z panami w białych kołnierzykach, a ja głupi mu nie wierzyłem.

Zmniejszyła gaz i przykryła patelnię pokrywką.

– Zbyszek, opamiętaj się, co ty w ogóle mówisz?! Moje dziecko zaginęło trzy lata temu i nie ma dnia, żebym się o niego nie martwiła, żebym nie rozmyślała, czy jest najedzony, czy tęskni za mną, czy nie jest mu zimno.

Zamilkła, bo głos się jej załamał.

– No właśnie, Krzys, tylko o nim mówisz. A Paweł, on się już dla ciebie nie liczy?

Chciała zaprotestować, ale nie zrobiła tego. Przez te trzy lata przeklinała Pawła w myślach, nie potrafiła mu wybaczyć, że zabrał jej syna, choć wiedziała, że to choroba psychiczna nim kierowała.

Wszystko zaczęło się bardzo niewinnie. Paweł prowadził kronikę kryminalną w „Gazecie Olsztyńskiej”, założył też własny blog: „Kryminalny Olsztyn”. Pewnego dnia umieścił tam tekst o zastraszaniu lokalnych przedsiębiorców i zacytował jej wypowiedź z ich prywatnej rozmowy. Nie mogła uwierzyć, że zachował się tak nieodpowiedzialnie. Kilka miesięcy później zaczął pisać o olsztyńskich pedofilach. Nigdy nie zapomni dnia, gdy prokurator Sandecki wszedł do jej gabinetu i oznajmił, że nie ma żadnej sieci pedofilów, że Paweł wszystko sobie wymyślił, oskarżył niewinnych ludzi i wywołał panikę wśród rodziców. Dodał też, że trzeba tę sprawę jakoś zręcznie wyciszyć, bo Paweł może mieć poważne kłopoty. Przez jej umysł z trudem przedzierała się myśl, że u męża mógł ujawnić się jakiś rodzaj zaburzenia psychicznego. Schizofrenia, to słowo tętniło jej w głowie. Znała takie przypadki z autopsji, ludzie pojawiający się na policji lub w prokuraturze i zgłaszający wymaginowane przestępstwa. Zdobyła się na rozmowę z Pawłem. Powiedziała mu o swoich obawach i poprosiła, żeby poszedł do psychiatry. Nie zdenerwował się, po prostu zgodził się na wizytę, to powinno ją zaniepokoić, ale ona się ucieszyła, że tak łatwo jej poszło, przecież najtrudniej jest przekonać wariata, że jest wariatem. Paweł udał się na kilka wizyt, po dwóch miesiącach psychiatra zapisał mu w karcie, że jest zdrowy. Potem było już tylko gorzej, zaczął pisać na swoim blogu o niej, o jej rzekomych powiązaniach z mafią. Życie w domu stało się nie do zniesienia, rano przy śniadaniu oskarżał ją, a wieczorem błagał, żeby zerwała wszelkie kontakty ze zorganizowaną grupą przestępczą. Tłumaczył jej, że sprowadza na nich wszystkich niebezpieczeństwo, któregoś dnia mafia ich załatwi, jego i Krzysia również. Prosił ją, żeby uciekli, żeby znikli, zapewniał, że opracował perfekcyjny plan ucieczki. Plan rzeczywiście był perfekcyjny, Paweł nie pozostawił żadnych śladów, choroba nie przyćmiła jego sprytu i inteligencji, a może nawet je wyostrzyła.

– Po co przyjechałeś?

– Po kasę, już się nam skończyły oszczędności, a poszukiwania kosztują.

– Najpierw mnie oskarżasz, nie liczysz się z moimi uczuciami, a teraz chcesz pieniędzy?

Miała ochotę mu powiedzieć, żeby wypierdalał z jej mieszkania, ale pomyślała, że być może Zbyszkowi uda się któregoś dnia wpaść na trop syna i wnuka. Chyba warto zainwestować w jego śledztwo, choćby dla własnego spokoju, dla poczucia, że niczego nie zaniedbała, nie przegapiła.

– Podeślij mi mailem numer konta – poprosiła.

Widziała, że Zbyszek zerknął na patelnię, z której unosiła się apetyczna woń spaghetti. Po raz drugi już nie zaproponowała, żeby razem zjedli.

Gdy zamknęła drzwi za teściem, poczuła ból w klatce piersiowej. Rozpacz, którą z wielkim trudem stłumiła w czasie konferencji, teraz powróciła ze zdwojoną siłą. Wyrzuciła spaghetti, potem poszła do pokoju i rzuciła się na łóżko. Twarz wcisnęła w poduszkę i zaczęła płakać.

## Rozdział VIII

Kamil stał przy otwartym oknie i palił. Nosem wypuścił siwy obłok dymu. To już ósmy papieros tego dnia, a jeszcze nie ma trzynastej. Zdjął pokrywkę z blaszanego pudełka po cukierkach i strzepnął do środka popiół. To była ich wspólna popielniczka, jego i Beaty.

Spojrzał na sierżant Gryś. Siedziała przy biurku zwrócona do niego profilem. Skrzyżowała nogi na wysokości łydek i lekko wsunęła je pod krzesło. Niezwykle dziewczęcy sposób siedzenia... Wpatrywała się w monitor, delikatny ruch warg wskazywał, że czyta. Uśmiechnął się. To był jego sukces, ta jej zdolność pracy ze zgromadzonym materiałem. Policjant śledczy pracuje głównie przy biurku, powtarzał to każdemu w tym wydziale. Sam podczas ostatniego weekendu wiele godzin spędził przed komputerem, czytał protokoły, przeglądał zdjęcia i uzupełniał plan śledztwa.

Zgasił papierosa w blaszanym pudełku. Było już dziesięć minut po trzynastej, Łukasz Markowski vel Karaluch spóźniał się na przesłuchanie. To właściwie typowe dla tego rodzaju drobnych przestępców, chcą pokazać, że w dupie mają policję. W końcu zawsze jednak przychodzą, bo boją się kary. Chwilę później dali znać z portierni, że Markowski na niego czeka.

– Zaprowadź go do pokoju przesłuchań – polecił Beacie.

– Mam protokołować to przesłuchanie?

– Nie, przy tobie będzie się popisywał, sam sobie poradzę.

Karaluch siedział tyłem do drzwi, ręce trzymał w kieszeniach i patrzył na stojącą za biurkiem sierżant Gryś. Gdy Kamil wszedł, Beata ruszyła do wyjścia.

– Zaraz, zaraz, to nie pani będzie ze mną rozmawiać? – zawołał Karaluch, podnosząc się z krzesła.

– Siadaj – powiedział Kamil, przechodząc obok niego.

Karaluch zaniemówił na moment.

– O! Komisarz Sroka we własnej osobie, niech mnie.

Kamil bardzo nie lubił, gdy nazywano go Sroką. Tak właśnie do niego mówił ojczym, cedził to słowo przez zęby z wielką pogardą. Te, Sroka, polecisz po browar, tylko szybko skrzydełkami machaj, mówił, a potem rechotał.

Karaluch rozparł się na krześle, włożył ręce do kieszeni dresów i ciągnął:

– Niezłe tu macie suczki, a może powinienem powiedzieć sroczki. Ta blondynka, no, no, nie powiem, mogłaby mi obrączki założyć i mnie zrewidować. Dla niej zdjąłbym dres, super dupcia.

Kamil nie raz słyszał tego rodzaju teksty, zwykle je ignorował. Przysunął sobie klawiaturę i zanotował kogo przesłuchuje oraz w jakiej sprawie, wstawił datę i godzinę.

– O, umiemy pisać, a jak tam z czytaniem, panie komisarzu Sroka? A słyszał pan ten kawał? Przychodzi pies do biblioteki i prosi o parę książek, bo szef kazał mu poczytać. Bibliotekarka proponuje, że znajdzie mu coś lżejszego, a on na to, że nie trzeba, bo jest wozem. Dobrze, no nie?

– Masz komórkę? – zapytał komisarz.

– Tak.

– To ją pokaż.

– Po co?

Łukasz był wyraźnie zaskoczony.

– Pokazuj, no już!

Wyciągnął z kieszeni czarny aparat i trzymał go w ręku na wysokości swojej klatki piersiowej.

– Powinieneś zmienić komórkę – oznajmił stanowczo Kamil.

Markowski wzruszył ramionami i szczerze zdziwiony zapytał:

– Po co?

– Na szarą, Karaluch, na szarą, wtedy miałbyś chociaż jedną szarą komórkę.

Markowski schował aparat.

– Gdzie byłeś w piątek dwudziestego piątego października między dziesiątą a jedenastą trzydzieści? –

zapytał bardzo oficjalnym tonem komisarz.

Chłopak podrapał się za uchem.

– W piątek? Co ja robiłem w piątek? Aha, już wiem, kręciłem się po dzielni i przeprowadzałem staruszki przez ulicę.

– Umiesz wskazać którąś z tych staruszek? I módl się, żeby cię pamiętała, bo inaczej staniesz się głównym podejrzanym w sprawie o podwójne morderstwo.

Uwadze komisarza nie umknęło, że chłopak prawą dłoń zacisnął w pięść, poza tym zachował spokój. Jeżeli Karaluch ma coś na sumieniu, to twarz na pewno go zdradzi. Odsunął klawiaturę i zapytał ponownie:

– No co, wskażesz jakąś staruszkę, która zapamiętała, że ją przez ulicę przeprowadzałeś?

– No, panie komisarzu, przecież pan wie, jak to jest na Zawadzie. Jak się komuś nie wpierdoli, to człowieka nie zapamiętają, a ja w piątek nikomu nie wpierdoliłem.

– To znaczy, że nie masz alibi.

– No, no, panie komisarzu Sroka, co za zdolność wyciągania wniosków, szacun – powiedział Karaluch, uśmiechając się szyderczo.

– W czwartek dwudziestego czwartego października byłeś na licytacji w hotelu „Pod Lwem”, po co tam poszedłeś?

– A jak powiem, że matka mnie poprosiła, żebym z nią szedł, to pan, komisarzu Sroka, mi uwierzy?

– Uwierzę, że cię poprosiła, ale nie uwierzę, że z tego powodu poszedłeś.

– Ja się swojej mamy słucham – powiedział Łukasz, przywołując na twarz minę niewiniątka, co w zestawieniu z kwadratową szczęką i wystrzyżoną głową dało komiczny efekt.

– No, Karaluch, po co poszedłeś na tę aukcję? Darmowe wino cię skusiło? A może planujesz opylić kolekcję swojej matki i chciałeś się zorientować w cenach? A może chciałeś pobyć w towarzystwie inteligentnych osób, od których nie wali jak z murzyńskiej chaty? Zawsze to jakaś odmiana, co?

Karaluch pochylił się do przodu, złoty łańcuch zwisający z jego karku zakołysał się.

– Inteligentnych osób? Oni wszyscy są równo pojebani. Żal mi ich, mojej matki też, ciuła te stówki, żeby kupić jakiś kolejny stary papier, a one nawet do podarcia dupy się nie nadają. – Markowski z powrotem oparł się o krzesło, włożył ręce do kieszeni. – Poszłem tam, żeby ponabijać się z tych pojebańców. Tak się brechtałem, że aż szczena mnie bolała. Nie powiem, jedno dziełko mi się podobało, takie dwa orły, jeden miał dwie głowy i na piersiach tego orła był drugi orzeł, taki nasz, polski. Gościu, który to wymyślił, miał łeb. Chciałem nawet ten papier kupić, żeby mieć na wzór, bobym se taką dziarę z orłami walnął na mułach, ale zrezygnowałem. Po co stówę dawać za obrazek, jak mogę se go z sieci ściągnąć.

Kamil przysunął sobie klawiaturę i zanotował wypowiedź chłopaka. To może być prawda, że wybrał

się na licytację z ciekawości, żeby potem kumplom opowiadać, jakich wariatów widział.

– Czy twoja matka opowiadała ci o Henryku Szymańskim?

– Nie.

– Ale wiedziałeś o jego istnieniu?

– Powiedziałem przecież, kurwa, że mi o nim nie mówiła. Ona go prawie, że tak powiem, nie znała.

Karaluch był zły. Górna warga uniosła mu się do góry i zaczęła lekko drżeć. No pięknie, trafił w czuły punkt, Kamil postanowił drażnić temat.

– Twoja matka z tym starym się bzykała. Nie wiedziałeś?

– To nieprawda. Ona poszła do jego pokoju, żeby z nim tylko szampana wypić, a potem ze mną wróciła do domu.

– Świadkowie mówią...

– Świadkowie gównie wiedzą. Ester też takie głupoty pierdoliła o mojej matce, mała suka, sama na pewno nie lepsza była. Założę się, że po pokojach latała i robiła laskę starym Szkopom za dziesięć eureków.

Komisarz długo pamiętał rozwścieczoną twarz Karalucha, z górną wargą drgającą, z zębami odsłoniętymi jak u psa. Krzesło było już puste, a on wciąż widział tę twarz i zastanawiał się, czy chorobliwie zazdrosny o matkę Markowski mógł zabić Henryka Szymańskiego. Parę godzin temu naczelnik przekonywał, że to nie o walory chodziło, nie o tych parę starych kartek, lecz o coś innego. Dlaczego nie zazdrość? Kamil przywoływał znane mu fakty i odnosił je do Karalucha jako sprawy. Morderstwo niezaplanowane... No jasne, przecież Markowski to nie jest typ zabójcy. Poszedł do kochanka matki, żeby go zniechęcić do dalszych randek. Musiało tam dojść do ostrej sprzeczki, no i udusił Szymańskiego. Ester była jego koleżanką, rozmawiał z nią w dzień licytacji, wtedy się mogli dogadać, że ona zostawi mu otwarte drzwi na tyłach hotelu albo nawet da klucz. Czy każdy z pracowników miał własny klucz? A jeżeli tak, to gdzie jest ten Ester? Nie znaleźli na terenie hotelu skradzionych walorów, to też przemawia za Karaluchem jako sprawcą. Zabrał je, bo leżały na widoku, i wyniósł z hotelu, może nawet zdołał pomyśleć, że w ten sposób naprowadzi policję na fałszywy trop. Niespodziewane najście Ester było Karaluchowi na rękę. Usunął jedyną osobę, która wiedziała o jego obecności w numerze trzydzieści dwa.

Komisarz spojrział na leżący przed nim protokół, na duże, równe litery w podpisie Markowskiego. Zaczął czytać od początku, ale po chwili przestał. To nie w treści powinien szukać odpowiedzi, lecz w zachowaniu Karalucha. Było na pokaz, informował wszystkich, że ma gdzieś całą zawszoną psiarnię, że nikogo się nie boi i nic mu nie robią. Gdyby miał na sumieniu podwójne morderstwo, w jego zachowaniu byłaby jakaś rysa, pęknięcie, przez które przezierałby lęk. Strach najtrudniej ukryć, bo jak tu zapanować nad powiększonymi, rozbieganymi źrenicami, nad napiętymi mięśniami wokół oczu, nad nadmierną aktywnością gruczołów potowych? Karaluch się nie bał, co do tego komisarz nie miał żadnej wątpliwości. Zdenerwował się dopiero, gdy pojawił się temat związku jego matki z Henrykiem Szymańskim.

W drzwiach do pokoju pojawiła się Beata:

– Konferencja zaraz się zacznie, oglądasz z nami?

Kamil miał świadomość, że sprawca w tej chwili też siedzi przed ekranem telewizora i czeka niecierpliwie na pierwsze słowa pani prokurator, żeby upewnić się, że jest bezpieczny, że policja nie wpadła na jego trop. Usłyszy coś zupełnie przeciwnego. Milena prawdopodobnie powie, że czynności trwają i że ujęcie sprawcy to kwestia czasu. Tak się zwykle mówi. Bo niby jaki inny komunikat prokuratorzy mieliby przekazywać mediom? Podaje się informacje społecznie pożądane, czyli takie, które uspokoją ludzi i pokażą służby w dobrym świetle.



Zbliżenie kamery na twarz prokurator Mileny Łempickiej-Krol, odpowiadającej na pierwsze pytanie. Kamil zauważył, że jest spięta, a nawet zdenerwowana. Co jest? Po trzynastu latach pracy powinna być przyzwyczajona do mediów. Kamera zatoczyła koło, pokazując liczną grupę dziennikarzy. Na ekranie telewizora pojawił się Mikołaj Bukowski. Znali go dobrze na komendzie, choć pracował w gazecie dopiero od roku. Młody dziennikarz był wścibski, uparty i niestety bystry. Komisarz nie lubił go. Miał powód. Ten piegowaty gnojek miał na niego haka.

– Mąż Łempickiej podobno był psychiczny – odezwała się nagle Beata. – Do dziś go nie znaleźli, dzieciaka też nie, przeszukali wszystkie jeziora w Olsztynie.

– Też słyszałem o tym zaginięciu – wtrącił Rumun. – To jakaś tajemnicza sprawa. Były nawet podejrzenia, że to mafia ich uprowadziła, aby mieć w garści panią prokurator.

Na ekranie telewizora Milena dziękowała mediom za przybycie. Potem, ignorując kolejne pytania, odwróciła się i zniknęła za drzwiami prokuratury. Kamil zdążył mimowolnie zarejestrować, że ładnie wygląda w wąskiej, czarnej spódnicy. Tak w ogóle nieźle wypadła. Na pewno lepiej niż jej poprzednik, prokurator Jakubowski, któremu na trzeźwo język zwykle odmawiał posłuszeństwa.

Rumun przyciszył telewizor, odwrócił się do komisarza i powiedział:

– Jeżeli któryś z naszych podejrzanych miałby zabić, żeby nie dopuścić do przejęcia przedwojennego majątku, to tylko Janusz Kruk, to pasuje do tej jego obsesji, że za Szymańskim stali Żydzi.

Sierżant Gryś też się obróciła w jego stronę.

– A więc chcecie motyw sprowadzić do obsesji, zwykłego urojenia? – zapytała z lekką irytacją. – A ja czuję, że coś w tym jest. Tu chodzi o wielkie pieniądze, te wszystkie fabryki i ziemia, przecież to gigantyczna kasa, a za tym idzie władza, wpływy. Hermetyczne środowisko, tam musiała zawiązać się jakaś grupa, która ma ambicje, żeby rozdawać karty. Może Szymański nawet należał do tej grupy, ale był zbyt samodzielny, zaczął przeszkadzać.

– No, no, ale teraz pojechałaś, za dużo amerykańskich kryminałów się oglądało – przygadał jej Pocięcha.

Kamil i Rumun zgodnie pokiwali głowami.

## Rozdział IX

Rumun zaparkował pod blokiem, w którym znajdowało się mieszkanie Henryka Szymańskiego. Droga do Olsztyna zajęła mu więcej czasu niż zakładał, to przez ulewny deszcz. Od strumieni wody było aż siwo, wycieraczki nie nadążały oczyszczać szyby. Przez trzydzieści kilometrów włókł się żółwim tempem. Wysłał esemes do posterunkowego Walczaka z Olsztyna, że się spóźni jakieś dwadzieścia minut. Walczak miał mu pomóc przeszukać mieszkanie Szymańskiego. Rumun wysiadł i rozejrzał się. Posterunkowego jeszcze nie było. Pomyślał, żeby pójść na górę i wziąć się do roboty, miał przecież klucze od mieszkania ofiary, zrezygnował jednak. Nie wiadomo, jakim typkiem jest posterunkowy Walczak, może to służbista, który potem odmówi mu podpisania protokołu, bo nie był obecny od początku przeszukania. Rumun zaczął spacerować po chodniku. Znał trochę te okolice. Niedaleko stąd znajdował się Klub Strzelecki „Kormoran”. Pięć lat temu w Ostródzie na kursie sędziowskim klasy III poznał trzech członków tego klubu, potem widywali się sporadycznie na różnych zawodach.

Rumun lubił strzelać i przede wszystkim miał do tego dryg, o czym przekonał się jako ośmiolatek. Dziadek zabrał go do wesołego miasteczka, on chciał na karuzelę, ale dwaj kumple dziadka woleli postrzelać. Wielka drewniana przyczepa, tarcza i mnóstwo pluszowych zabawek do wygrania, najpierw te zabawki go zainteresowały, a potem wiatrówka. Dziadek powiedział:

– Chodź, strzelisz sobie, tylko nie chwal się babci.

Wiatrówka była ciężka i taka przyjemna w dotyku, gładka i trochę ciepła. Trafił już za drugim razem i wygrał pomarańczowego tygrysa. Kumple dziadka sięgnęli do kieszeni po kasę na dalsze strzelanie. Za trzecim razem pudło, za czwartym wygrał misia koalę. Był zmęczony, pot zalewał mu oczy, ale strzelał dalej, popędzany głośnym aplauzem trzech dorosłych mężczyzn. Nie rozumiał jedynie, dlaczego pan po drugiej stronie lady jest taki zły. Rok później rodzice zapisali go do sekcji strzeleckiej Klubu Sportowego Orzeł. Pierwszego dnia trener pozwolił mu tylko patrzeć, jak starsi chłopcy strzelają z pistoletu i z karabinku. Następnego dnia zapytał, jaką broń wybiera. Rumun wybrał pistolet. Chciał nauczyć się strzelać z pistoletu tak dobrze jak amerykańscy gliniarze. Lubiał wyobrazać sobie, jak jedzie z zawrotną prędkością czerwonym kabrioletem. Jedną ręką trzyma kierownicę, a drugą celuje z pistoletu w opony pędzącego obok wozu, którym uciekają przestępcy, a wiatr rozwiewa mu czarną czuprynę. Zaplanował sobie, że zostanie policjantem, bo to przecież jedyny zawód, w którym będzie mógł strzelać. O żołnierce nie myślał, bo przecież akurat nie było wojny i na żadną się nie zapowiadało. Wygląda jednak na to, że się pomylił. Już od trzynastu lat był policjantem i jeszcze ani razu nie nacisnął spustu, a jego kolega z Szesnastego Batalionu Dowodzenia na misji w Afganistanie, rzekomo stabilizacyjnej, miał okazję sobie postrzelać.

Rozejrzał się, posterunkowego Walczaka nadal nie było widać. Aspirant ironicznie pomyślał, że jeszcze parę minut czekania, a ludzie, biorąc go za Rumuna, zaczną rzucać mu złotówki. Zawsze jakiś sposób na dorobienie do policyjnej pensji, z wyglądu też można czerpać korzyści. W końcu zbliżył się do niego wysoki, chudy chłopak, który wyglądał jak gimnazjalista przebrany za policjanta. Z kieszeni

zwisały mu słuchawki. W jednej dłoni trzymał nadgryzionego pączka, drugą wyciągnął do aspiranta.

– To dla mnie zaszczyt – powiedział z pełnymi ustami.

– Dla mnie też – odpowiedział mechanicznie Rumun.

Chłopak zrobił wielkie oczy, co miało oznaczać, że jest niezmiernie zdziwiony.

– Co pan, przecież ja jestem zwykłym posterunkowym.

– A ja zwykłym aspirantem.

– Tak, tak, zwykłym aspirantem, a kto dwa razy z rzędu wygrał policyjne mistrzostwa Polski w strzelaniu?

Rumun tylko się uśmiechnął. Z bagażnika wyjął kilka plastikowych worków różnej wielkości i ruszyli na górę. Najpierw zajrzeli do każdego pomieszczenia. Wszędzie panował porządek, dywany były odkurzone, naczynia pozmywane, żadnych porozrzucanych ubrań, nawet kaptcie stały równo ustawione przed łóżkiem. Rumun nie znał się na urządzaniu wnętrz, ale odniósł wrażenie, że wszystkie sprzęty znajdujące się tutaj zostały gustownie dobrane i przede wszystkim są wysokiej jakości. Lokal musiał być niedawno remontowany, na co wskazywały białe sufity i niewybrakowane fugi między kafelkami.

– Wiemy, czego szukamy? – zapytał posterunkowy Walczak.

– Przede wszystkim dokumentów, listów, rachunków, wyciągów z banku, no i poza tym czegoś ciekawego, cokolwiek by to było.

Zaczęli od kuchni, zakładając, że przeszukanie tego pomieszczenia pójdzie im najszybciej. Przetrzęsneli wszystkie szafki, zawierające zdumiewająco dużo naczyń. Otwierali każdy słoiczek, każdą puszkę i torebkę, oczekując, że znajdą w środku pieniądze, dokumenty, a może nawet złoto. Kosz na śmieci był pusty, w lodówce uchowało się trochę warzyw i jakieś mrożonki.

– Znaleźliście kogoś z rodziny Szymańskiego? – zagadnął Rumun.

– Nie, zupełnie nikogo. Siostrę miał tylko, ale wyjechała do Australii dawno, całe wieki temu, nie udało nam się jej namierzyć. Szukałem jej na portalach społecznościowych, no bo tam się podaje czasami nazwiska panieńskie, ale nic z tego, jak kamień w wodę. Jakichś znajomych ten cały Szymański na pewno miał. Oni powiedzą, czy miał kontakt z siostrą. Jego komórkę przecież macie, no nie?

– Tak, mamy – odpowiedział zdawkowo aspirant.

Wczoraj on i komisarz przez dwie godziny siedzieli nad telefonem Szymańskiego. Spis kontaktów nie był zbyt imponujący, kilku kolekcjonerów, antykwariuszy, numer telefonu sąsiada, protetyka, telefon do restauracji i do korporacji taksówkarskiej. Wybrali numer niejakiego Zygmunta Gołębińskiego, okazało się, że był to dobry znajomy denata. Od niego dowiedzieli się, iż Henryk narzekał na brak funduszy, czasami nawet pożyczał pewne sumy, żeby móc kupić jakąś akcję, ale zawsze oddawał. Innych kłopotów nie miał, no jeszcze dokuczał mu ból pleców, to było zeszytniające zapalenie stawów kręgosłupa. Gołębiński nie wiedział, czy Henryk utrzymywał kontakt z kimś z rodziny, po prostu na takie tematy nie gadali. Na pytanie, czy ktoś groził Szymańskiemu, odpowiedział od razu, że nie, ale po chwili dodał, że kiedyś, jakieś piętnaście lat temu, Heniek dostał list z informacją, że zginie, ale sprawa szybko się wyjaśniła. Pogróżkę przysłał mu trzynastoletni dzieciak, syn jego współnika, Leszka Kołtuna. Chłopak uważał, że to Heniek jest odpowiedzialny za upadek firmy i śmierć jego ojca. Ten cały Kołtun po bankructwie faszerował się prochami uspokajającymi i serducho mu nie wytrzymało. A firma nie upadła przez Heńka, lecz z powodu nieuczciwych kontrahentów.

Funkcjonariusze weszli do dużego pokoju, tutaj wzdłuż ścian stały regały wypełnione książkami i segregatorami zawierającymi kolekcję starych akcji. Rumun podszedł najpierw do segregatorów, zajmowały dwie półki, stały równo jeden za drugim. Na grzbiecie każdego przyklejona była kartka z informacją, co mieści się wewnątrz. Wyciągnął pierwszy segregator, w którym miały znajdować się akcje europejskich uzdrowisk. Niewiele w nim było walerów, może około dwudziestu. Przyglądał się

przez moment akcji Towarzystwa Wód Mineralnych Vannes, pochodzącej z 1902 roku. Rama z motywem geometryczno-roślinnym i kwiatowe tło oraz rzucający się w oczy nominal, tysiąc franków. Nie znał się zupełnie na sztuce graficznej, ale ten walor wydał mu się interesujący. Kilka minut później, gdy miał już za sobą przejrane dwa kolejne segregatory, uznał, że wszystkie walory są do siebie podobne, zawsze jakaś ozdobna ramka i wyeksponowany nominal.

– Te akcje są chyba coś warte, nie? – zagadnął posterunkowy.

– To podobno jedna z większych kolekcji w kraju, ale ile jest to warte, nie mam pojęcia.

– I wszystko przejdzie na Skarb Państwa, szkoda.

– Tylko wtedy, jeżeli nie znajdziemy testamentu i nie odnajdzie się siostra Szymańskiego.

– A może byśmy tak jeden segregator... Tak sobie, no żeby na zmarnowanie wszystko nie poszło – zaczął niepewnie Walczak.

Rumun spojrział na niego, ale nie z potępieniem, raczej z ciekawością.

– No, żartowałem – powiedział posterunkowy i zachichotał, ale jakoś nerwowo. – Przecież nie proponowałbym czegoś takiego gliniarzowi, którego nie znam.

Aspirant zostawił Walczaka przy segregatorach, a sam przesunął się do regału z książkami. Powinien wszystkie przekartkować, książki mogą być ważnym źródłem informacji. Czasami czytany list odkłada się na otwartą książkę, gdzie zatrzęsnięty, pozostaje na wiele miesięcy albo lat. Poza tym widokówka albo rozdarta koperta trafiają między strony jako zakładka. Może w którejś z tych książek znajduje się list od siostry Szymańskiego i przejrzenie wszystkich pozycji to jedyny sposób, żeby ustalić jej adres? A może znajdą kartkę z groźbami albo szantażem, może ofiara była prześladowana od kilku miesięcy? Przekartkowanie każdego egzemplarza zajęłoby zbyt dużo czasu, wziął więc pierwszą książkę, wygiął jej okładki do tyłu i machał nią, trzymając kartkami w dół. Podobnie postępował z następnymi pozycjami. Jeżeli list leży między stronami parę lat, to tak łatwo nie wypadnie. Machając książką, chwycił więc wszystkie kartki i powoli puszczał po kilkanaście stron. Z „Karaibskiej tajemnicy” Agathy Christie wyleciało opakowanie po czekoladzie. Godzinę zajęło mu sprawdzenie całego regału i nic więcej nie znalazł. Jeszcze raz przesunął wzrokiem po grzbietach książek. Pamiętał, że w rzeczach ofiary znaleziono książkę o Prusach Wschodnich. Wziął pierwszą z brzegu pozycję, „Wielkie rodziny Prus Wschodnich”, i machinalnie odczytał nazwisko autora, Leon Szulc. Drgnął. To musi być ten sam Leon Szulc, który w piątek wraz z żoną powiesił się w mieszkaniu na Rechniewskiego. Rumun otworzył książkę, dedykacja, świetnie: *Szanownemu koledze, Henrykowi, Leon Szulc*, i data: maj 2011. Ponad dwa lata temu profesor podpisał książkę Szymańskiemu. Wygląda na to, że panowie się znali, Szulc raczej nie nazywałby kolegą przypadkowo poznanego człowieka. Dwóch znających się mężczyzn, być może nawet zaprzyjaźnionych, ginie tego samego dnia w tym samym mieście, jeden się wiesza, a drugi zostaje zamordowany. Rumun pomyślał, żeby poszukać punktu stycznego między tymi zgonami, ale w końcu uznał to za pozbawione większego sensu. Komórka Szymańskiego wskazywała, że przed śmiercią nie kontaktował się z Leonem Szulcem. Numeru profesora na pewno nie było wśród ostatnich dziesięciu połączeń zarówno wykonanych, jak i odebranych.

Zostawił Walczakowi biblioteczkę i poszedł do drugiego pokoju. Tutaj pod oknem stało ogromne biurko, a na nim komputer. Uruchomił go. Żadnych filmów, książek ani plików muzycznych, jedynie kilka zdjęć ze spotkań kolekcjonerskich i jakieś fotki znad jeziora oraz parę artykułów o tematyce historycznej. Może ostatnio odwiedzane strony coś więcej powiedzą, pomyślał Rumun i otworzył przeglądarkę. Aukcje internetowe, strona Stowarzyszenia Kolekcjonerów Historycznych Papierów Wartościowych, witryna banku i polskich kolei, a także portal miłośników Prus Wschodnich. Ciekawie się zrobiło, gdy sprawdził, jakie hasła wpisywał Szymański w wyszukiwarce: *śmierć samobójcza, samobójstwo, jak odebrać sobie życie?* Planował się zabić? Absurd, przecież w takim wypadku nie jechałby na aukcję, nie

zabiegałby o powiększenie swojej kolekcji o kolejne unikatki. A może miał ambicję pozostawić po sobie wyjątkowy zbiór w spadku dla jakiegoś muzeum? Jest jeszcze jedna możliwość: dowiedział się, że Leon Szulc i jego żona planują samobójstwo i chciał im jakoś pomóc w realizacji tego zamysłu, choć każdy normalny człowiek próbowałby odwieść swoich znajomych od odebrania sobie życia.

Wyłączył komputer i zajrzał do biurka. Wsunął pierwszą z dwóch szuflad – tak jak się spodziewał, zobaczył stertę papierów. Wyjmował każdy dokument pojedynczo i oglądał go. Lubił przeszukiwać szuflady, bo zwykle kryły mnóstwo informacji, chociaż w ostatnich latach miejsce szuflad zaczął zajmować twardy albo wirtualny dysk. Na szczęście Szymański był zwolennikiem tradycyjnych dokumentów, starego dobrego papieru, który można pognieść i porwać w chwili złości. Rumun przeglądał rachunki, zdjęcia, urzędową i prywatną korespondencję, wyrwane z notesu kartki, szukał znajomych nazwisk. Znalazł wizytówkę profesora Leona Szulca i sędziego Edwarda Lasockiego, która wykonana była na wzór starego waloru, z ozdobną ramką i numerem telefonu w miejscu nominału.

W palcach Rumuna znalazł się cienki papier złożony na cztery części. Rozłożył go. To była kartka z zeszytu, a na niej kilka linijek tekstu zapisanego czarnym długopisem.

*Zginiesz już niedługo, ty bezwzględny oszuście, zapłacisz za wszystko. Zginiesz, nikt i nic cię nie uratuje, wyrok już zapadł. Zaczynij się bać, bo to już niedługo, będziesz się dusić z braku powietrza, gały ci wyjdą na wierzch i język też. Zasłużyłeś na taką śmierć. Zginiesz!*

Rumun domyślił się, że jest to ten list, o którym mówił znajomy ofiary. Napisany piętnaście lat temu przez chłopca, który obciążył winą za śmierć swojego ojca właśnie Szymańskiego. Dzisiaj mogło zaskakiwać to, że dzieciak pisał właśnie o uduszeniu. Zapowiedział prawdziwy koniec Henryka Szymańskiego. Jakimś dziwnym trafem rzeczywistość dotrzymała kroku zapisanym słowom.

W drugiej szufladzie jako pierwsza leżała duża biała koperta ze starannie wykaligrafowanym napisem: *Moja ostatnia wola*. Nie była zaklejona. Policjant wyjął ze środka zapisaną odręcznym pismem kartkę. Na samej górze widniała data, czwarty października 2013, a więc Szymański sporządził testament na dwadzieścia dni przed śmiercią. Aspirant pospieszenie przesuwał wzrokiem po tekście i z każdym kolejnym słowem rosło jego zdumienie. Co temu szalonemu kolekcjonerowi przyszło do głowy? Co za pomysł, żeby w taki niedorzeczny sposób wytypować sobie spadkobiercę? Z testamentem w ręku wyszedł z pokoju. Drzwi do łazienki były uchylone, zajrzał do środka. Walczak pochylał się właśnie nad koszem do bielizny.

– Znalazłeś coś jeszcze?

– Kurde, nic, ten facet jest czysty jak łąza, żadnych świerszczyków, nielegalnych prochów, mandatów, chociaż żeby jakaś ulotka z agencji towarzyskiej, ale też nie. Mam wrażenie, że ktoś był tu przed nami i wyczyścił mieszkanie.

Rumun oparł się o futrynę i od niechcienia zapytał:

– Chciałbyś zgarnąć kasę za te walory w segregatorach?

– A co, zmienił pan zdanie? Opylimy parę sztuk na lewo?

Młody policjant wyciągnął z kosza na bieliznę dwa ręczniki, a następnie czarny dres. Sprawdzał jego kieszenie.

– Ja mówię o wszystkich segregatorach, o wszystkich walorach.

Walczak znieruchomiał.

– Przecież to niemożliwe. Co pan napisze w protokole? Że nie znaleźliśmy w mieszkaniu żadnych papierów wartościowych? Nie, ja na to nie idę.

Wrzucił dresy do kosza. Rumun podał mu testament Szymańskiego.

– Czytaj głośno.

Walczak uniósł pytająco brwi, ale spełnił polecenie:

*Ja, Henryk Szymański, syn Stanisława i Marii, urodzony dnia 25 czerwca 1951 roku w Kętrzynie, na wypadek mojej śmierci pozostawiam niniejszy testament i swoim spadkobiercą czynię zwycięzcę najbliższego biegu na orientację mającego miejsce w województwie warmińsko-mazurskim. Treść mojej ostatniej woli powinna zostać upubliczniona na kilkanaście dni przed biegiem. W spadku pozostawiam kolekcję historycznych papierów wartościowych w liczbie ponad dwóch tysięcy trzystu sztuk oraz lokal mieszkalny w Olsztynie przy ulicy Zimowej.*

– Ile jest warta kolekcja – nie mam pojęcia, ale mieszkanie dwieście tysięcy minimum, niezła kasa.

– Niezła – potwierdził osłupiały Walczak.

Policjant wyglądał na poruszonego. Gdyby trafił na ślad mordercy, nie wzbudziłoby to w nim większych emocji.

– Kurwa, w kilka godzin można zgarnąć porządny szmal, przecież ja na tyle muszę zapierdalać przez dziesięć lat. Kiedy będzie ten bieg na orientację i gdzie?

– Nie wiem, ale śledź media, na pewno powiedzą – odpowiedział Rumun, po czym wrócił do pokoju i zaczął pakować do plastikowego worka dokumenty, które uznał za istotne dla sprawy.

## Rozdział X

Znowu siedzieli w sali konferencyjnej, ale było to mniej oficjalne zebranie niż przed dwoma dniami. Tym razem bez naczelnika, Jerzy Kamiński został wezwany do Warszawy. Milena, nie podnosząc głowy znad protokołu sekcji zwłok Ester Kucharczyk, podziękowała Rumunowi za kawę, którą przed nią postawił.

Wiedziała, co znajdzie w protokole, przecież była obecna przy sekcji i rozmawiała z lekarzem. W jej wyobraźni po raz kolejny odtworzył się ten sam obraz, wychudzone ciało młodej dziewczyny na stole sekcyjnym. Milena niejedne zwłoki oglądała już w prosektorium, ale ten widok wyjątkowo ją poruszył, może dlatego, że Ester wyglądała bardzo młodo, niemal jak dziecko. Z trudem opanowała drżenie rąk i warg. Dopiero gdy lekarz otworzył czaszkę dziewczyny, jamę brzuszną i klatkę piersiową, Milena odzyskała zupełny spokój. Rozkrojona Ester nie wyglądała już tak żałośnie i niewinnie, nie przywodziła na myśl żywej i czującej istoty. Teraz to były przede wszystkim obnażone kości, odpreparowane płyty skórno-mięśniowe, wyjęte i poddane oględzinom narządy wewnętrzne. Sine kawałki mięsa, które trzeba dokładnie przebadać, aby poznać przyczynę śmierci, bo czarna pończocha zaciśnięta na szyi wcale nie była dowodem na to, że dziewczyna zginęła w wyniku uduszenia.

Młody lekarz wydawał się zadowolony z obecności pani prokurator. Była widzem, przed którym można było popisać się wiedzą i wprawnym preparowaniem zwłok. Głośno informował ją o każdym swoim kolejnym posunięciu i wyjaśniał, o czym świadczą znajduwane ślady. Mówił więcej niż trzeba było, chętnie robił dygresje do innych przeprowadzonych przez siebie sekcji. Obawiała się, że te werbalne wycieczki mogą go rozpraszać, ale nie przerywała mu. W pewnej chwili zapytał, czy ona wie, kiedy przeprowadzono pierwszą sekcję zwłok. Odpowiedziała, że wie. Jego to jednak nie powstrzymało od poinformowania, że pierwszej sekcji dokonał lekarz wezwany do zbadania zwłok Cezara. Stwierdził on, że spośród dwudziestu trzech ran doznanych podczas zamachu tylko jedna, drążąca do klatki piersiowej, była śmiertelna.

Lekarz zachęcał ją do pytań. Zadała ich niewiele. Chciała wiedzieć, czy Henryk Szymański nie został najpierw ogłuszony. Medyk sądowy nie stwierdził uderzenia ani w czaszkę, ani w kark. Interesowały ją też ślady zadrapań na ramieniu i na biodrze ofiary. Lekarz nie miał wątpliwości... Pochodziły od paznokci i powstały na kilka godzin przed śmiercią. Wykluczył też możliwość, jakoby Szymański sam się tak zadrapał, jego paznokcie były przycięte przy samej skórze. Milena domyślała się, że to ślad po paznokciach kobiety, pamiątka po miłosnym zbliżeniu.

Mężczyzna otworzył szyję ofiary i wyciągnął tchawicę wraz z językiem. Naciął te narządy i przyglądał się im, szukając pęknięć błony wewnętrznej, a także krwawych podbiegnięć. Przy tej czynności pokazało się niewiele krwi, bo prawie cała spływała do wnętrza spreparowanej już klatki piersiowej. Lekarz obejrzał kręgi szyjne. Nie spieszył się. Można było odnieść wrażenie, że próbuje przedłużyć scenę finałową tego makabrycznego spektaklu. Milena uśmiechnęła się, to nie pierwszy medyk sądowy, który dawał jej do zrozumienia, że wyłącznie dzięki sekcji zwłok śledczy są w stanie rozwiązać sprawę morderstwa. Czekwała cierpliwie na jego słowa. Śmierć nastąpiła w wyniku wstrzymania dopływu krwi

utlenowanej do mózgu, to było pierwsze ustalenie lekarza, potem doprecyzował: zadzierzgnięcie.

Milena zawsze uczestniczyła w sekcji od samego początku aż po ostatnie cięcie. Tylko ona była w stanie właściwie zinterpretować ślady na zwłokach, odnieść je do całego kontekstu, którego przecież medyk sądowy nie znał, bo nie widział miejsca zdarzenia czy odzieży ofiary. Nie wiedział, co mówili świadkowie i jakie wersje kryminalistyczne przyjęto w śledztwie. To była wiedza, którą posiadał prokurator. W sobotę spędziła pięć godzin w prosektorium, przyglądając się preparacji zwłok Ester Kucharczyk i Henryka Szymańskiego. A w niedzielę kolejna autopsja. Tym razem na stole sekcyjnym znalazły się zwłoki państwa Szulców. Ta sekcja trwała o wiele krócej, zaledwie trzy i pół godziny. Lekarz, starszy mężczyzna z kocią bródką, w ogóle nie zwracał na nią uwagi, pracował w milczeniu. Po zakończeniu preparacji zwłok Leona Szulca zakomunikował, że zgon nastąpił w wyniku przerwania rdzenia kręgowego na odcinku szyjnym. Tę samą przyczynę śmierci ustalił, przygotowując zwłoki Marianny Szulc. Tym samym potwierdził, że państwo Szulcowie zginęli w wyniku powieszenia.

Wczoraj Rumun pokazał im testament Henryka Szymańskiego. Zdumieni patrzyli na zapis, identyczny z ostatnią wolą Szulców. To nie mógł być przypadek. Szymański i Szulc musieli porozumieć się co do testamentów. Ale dlaczego na spadkobiercę wytypowali zwycięzcę biegu na orientację, a nie na przykład zwycięzcę jakiegoś lokalnego konkursu historycznego? Przecież obaj byli miłośnikami historii Prus Wschodnich. Co ich łączyło z biegami na orientację? I Szymański, i Szulcowie zginęli tego samego dnia, przy czym kolekcjoner został zamordowany, a profesor i jego żona prawdopodobnie popełnili samobójstwo. No właśnie, prawdopodobnie.

Milena spodziewała się, że sekcja zwłok Szulców wykaże, iż zginęli w wyniku ucisku pętli na szyję zaciąganej ręką, a dopiero potem powieszeni. Medyk sądowy nie potwierdził jej podejrzeń. Szulcowie zginęli w wyniku powieszenia, ale według prokuratora to nie wykluczało udziału osób postronnych. Silny mężczyzna chyba dałby radę powiesić dwie starsze osoby, zwłaszcza Mariannę, wychudzoną i schorowaną. Ale w takim wypadku Szulcowie zapewne by się bronili, drapiąc i kopiąc. Poprosiła więc medyka sądowego, żeby pobrał do badania próbkę spod paznokci obu ofiar. Wyniki przysły dzisiaj. U staruszki znajdował się naskórek jej męża. Milenie przyszła do głowy upiorna myśl, że Leon najpierw powiesił żonę, a potem targnął się na własne życie. Pod jego paznokciami nie znaleźli obcych mikrośladów.

Prokurator uniosła głowę i zobaczyła, że komisarz Soroka popija jej kawę. Przez chwilę przyglądała się jego dłoni. Była to bardzo męska dłoń. Długie palce, gruby nadgarstek, grzbiet pokryty ciemnymi włoskami. Wyobraziła sobie silną dłoń Kamila na swoich plecach, przesuwaną się z góry na dół aż do pośladków, a potem z powrotem w górę, do karku. Miała wrażenie, że na moment przeniosła się w jakiś inny wymiar, gdzie nie było czasu i przestrzeni, jedynie wilgotna, wibrująca zmysłowość. Komisarz odstawił szklanekę. Przysunęła ją do siebie.

– To moja kawa.

Wzrok Kamila powędrował w stronę siedzącej na końcu stołu sierżant Beaty Gryś.

– Zrobisz mi kawę! – zawołał do niej.

Uśmiechnęła się i zapytała:

– Awansowałam na twoją osobistą sekretarkę?

– Wcześniej kawę robił Rumun, teraz twoja kolej.

Beata wstała powoli, z gracją obeszła stół i stanęła za plecami komisarza. Nachyliła się i sięgnęła po jego szklanekę. Jej palce na moment zatrzymały się na ramieniu Kamila, a długie jasne włosy otarły się o jego ucho. Wyglądało to na pieszczotę, czułość, którą można okazać ukochanemu w obecności innych. On jednak zdawał się tego nie zauważać. Zniecierpliwiony, machnął głową, uchylając się od pasma jej włosów. Gdy wróciła ze świeżo zaparzoną kawą, komisarz zwrócił się do zebranych z pytaniem, które od



paru godzin nurtowało wszystkich:

– Kto skorzystał na śmierci Szymańskiego i Szulców?

Patrzyli na siebie niepewnie, bo odpowiedź wcale nie była taka prosta. W końcu Rumun powiedział:

– Ja uważam, że najbardziej skorzysta organizator biegów na orientację.

– No nie, nie organizator, przecież wszystko przypadnie zwycięzcy – odezwała się Beata.

– Czyli komu? – zapytał Pocięcha.

Znowu odezwał się aspirant:

– No właśnie, dlatego mówię, że najbardziej skorzysta organizator, przecież to on wytycza trasę i ma kontrolę nad uczestnikami. Żaden problem wystawić swojego człowieka, który wygra bieg, i załatwione, dwa spadki zgarnięte.

– A jak to wygląda prawnie? – zapytał komisarz. – Nie można tych testamentów podważyć? Przecież organizator rzeczywiście może zrobić przekręt i na wszystkim położyć łapę.

Spojrzeli na Milenę, to pytanie było skierowane do niej. Odsunęła protokół sekcji zwłok Ester Kucharczyk i powiedziała:

– Testamenty tracą ważność, gdy się okaże, że spadkobierca przyczynił się do śmierci spadkodawcy. To chyba oczywiste? – Każdy z obecnych kiwnął głową na znak, że tę kwestię rozumie. Milena mówiła dalej: – Gdy zamknę sprawę samobójstwa Szulców, to ich ostatnią wolę będzie można zrealizować, ale na razie mam podstawę, żeby tego nie robić. Podobnie jest z testamentem Szymańskiego, mogę zablokować jego wykonanie na czas śledztwa, ale nie dłużej. A to, że organizator może manipulować przy wynikach zawodów... jeżeli wpłynie takie doniesienie, to zajmiemy się tym i znowu realizacja testamentów zostanie wstrzymana.

Kamil zgarnął leżące przed nim dokumenty, uniósł je i pokazując im, powiedział:

– Słuchajcie, tu mamy ważniejsze tropy. Wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby organizator biegów czy jakiś potencjalny zwycięzca udusił Szymańskiego i nakłonił do samobójstwa Szulców. – Jasne oczy komisarza zatrzymały się na twarzy Rumuna. – Przesłuchasz prezesa klubu „Harpagan”. To oni organizują u nas biegi. Pocięcha, ty spróbujesz ustalić, skąd znali się Szymański i Szulc oraz jakiego rodzaju to była znajomość. A my, pani prokurator, pojedziemy do Braniewa pogadać z Bogdanem Mikulskim.

Milena zdziwiła się, myślała, że ponowne przesłuchania przeprowadzą osobno, ona pojedzie do Braniewa, a komisarz do Białegostoku, do Janusza Kruka. Obaj panowie kłamali, twierdząc, że nie byli w pokoju hotelowym Szymańskiego. Analiza śladów daktyloskopijnych zaprzeczyła ich zeznaniom. Na drzwiach szafy zabezpieczono odcisk całej dłoni Mikulskiego. Kruk był o wiele ostrożniejszy, znaleźli jedynie niewielki fragment linii papilarnych odbitych na futrynie łazienki, jakby niechący musnął częścią opuszka to miejsce.

– Okey. Pojedziemy razem, to nawet dobry pomysł.

Skusiła ją możliwość bezpośredniej współpracy z tak znakomitym śledczym. Już czuła rozkosz na myśl o wspólnych przesłuchaniach. Będą mogli się zabawić w dobrego prokuratora i złego policjanta, a potem na gorąco gdzieś w przydrożnym barze przeanalizują nowe zeznania.

Kamil podniósł się pierwszy, zaraz za nim Pocięcha i Rumun, Milena dopiła zimną już kawę i też wstała. Przy stole wciąż siedziała sierżant Gryś.

– A ja też dostanę jakieś nowe zadanie? – zapytała słodkim głosem.

Beata zakończyła już swoje dochodzenie w Wydziale Ksiąg Wieczystych i przed godziną zaprezentowała im interesujące wyniki. Pierwsza Fabryka Lokomotyw istniała nieprzerwanie przez dziewięćdziesiąt sześć lat i swoją upadłość ogłosiła zaledwie sześć miesięcy temu. Obecnie jej majątek był zabezpieczony przez syndyka na poczet wierzycieli. Policjantka przytoczyła opinie pojawiające się na forach, a dotyczące upadłości Fabloka. Obcy kapitał, złodzieje, mafia, Żydzi – bardzo pasowało to do

obsesji Janusza Kruka.

W przypadku zakładów Schichaua sprawa wyglądała zgoła inaczej. Przed wojną należało do nich prawie pół Elbląga, między innymi imponujący, zabytkowy budynek przy Bramie Targowej, który dzisiaj miał już innego właściciela. Kilka nieruchomości w mieście nadal jednak należało do nieistniejących zakładów. W ostatnich latach nikt się nimi nie interesował, bo w Wydziale pozostałby ślad po takim zgłoszeniu. Kamil trafnie zauważył, że niektórym niepotrzebny jest zapis w księgach wieczystych, wystarczy wiara, plotka, legenda, że nadal wszystko należy do Schichaów. Po krótkiej dyskusji ustalili, że nie należy jeszcze skreślać zamiaru przejęcia przedwojennego majątku jako motywu morderstwa.

Beata tym razem nie otrzymała nowego zadania, nie wyglądała jednak na poważnie rozgniewaną tym faktem. Przed chwilą miała swoje pięć minut. Wszyscy zebrani słuchali w skupieniu, gdy referowała wyniki swojego dochodzenia.

Milena szła za komisarzem Soroką do samochodu. Zaczynało kropić, temperatura spadła o kilka stopni, przytrzymała poły płaszcz, żeby ochronić się przed wiatrem.

– Co cię najbardziej uwiera w naszym śledztwie? – zapytała, gdy wsiedli już do samochodu.

Jego dłonie mocniej ścisnęły kierownicę, niebieska tkanina koszuli napięła się na przedramieniu. Nie musiała widzieć twarzy Kamila i tych jego dziwnych jasnych oczu, żeby wiedzieć, że coś go niepokoi. Czekala, aż się odezwie. Oznajmił w końcu:

– Te cholerne walory chodzą mi po głowie. Dlaczego ich nie znaleźliśmy? One powinny być gdzieś w hotelu.

Była trochę zaskoczona, choć musiała przyznać, że chwycił się słusznego tropu. Po prostu koncentrował się na pierwszym motywie, jaki przyjęli. Założyli przecież, że sprawca zabił, bo chciał wejść w posiadanie akcji. Dopiero potem uznali, że może wcale nie o walory chodziło, lecz o nienawiść, zazdrość bądź jakiś konflikt pomiędzy ofiarą a sprawcą. Od wczoraj mają jeszcze jeden motyw, testament, spadek, jest on najbardziej nieprawdopodobny, bo w tym przypadku muszą połączyć samobójstwo Szulców i morderstwo Szymańskiego. Ona szła już za tym trzecim motywem, a Kamil przeciwnie, myślami pozostał przy pierwszym i chyba miał rację.

Od kwadransa jechali drogą ekspresową S 22, nazywaną przez okolicznych mieszkańców „Berlinką”, gdyż powstała w miejsce dawnej autostrady łączącej Berlin z Królewcem. Milena nie znała tych terenów, rozglądała się więc z zaciekawieniem. Przez dłuższy czas po obu stronach drogi ciągnęły się ciemne pola, gdzieniegdzie stał dom. W końcu wjechali w las. O dach samochodu uderzały pojedyncze krople deszczu.

– Oni mieli mało czasu, jakieś dwadzieścia minut – stwierdziła.

– Mówisz o Mikulskim i Kruku?

– Tak. Gdy pojawiłam się w hotelu, oni byli w holu, gotowi do wyjścia. Pamiętam, że Kruk był bardzo zdenerwowany. Udawał, że czyta gazetę.

– Dwadzieścia minut, to wcale nie tak mało, tyle wystarczy, żeby zniszczyć duże i sztywne kartki. Można je porwać w drobny mak i spuścić w kiblu. Można też je spalić, ale nie trafiliśmy na ślady popiołu. W dwadzieścia minut można też spokojnie schować dokumenty. Tylko gdzie? Rumun prawie tynk zdjął ze ściany i ich nie znalazł.

Milena wyobraziła sobie, że stoi w pokoju hotelowym i trzyma w dłoni cztery sztywne kartki sporego formatu, ma niewiele czasu na to, żeby je ukryć, żeby się ich pozbyć. Skrytka musi być na zewnątrz, poza jej pokojem, żeby w razie czego odsunąć od siebie podejrzenie. Myślami przeniosła się na korytarz hotelowy. Tutaj widziała tylko jedno miejsce, gdzie można coś ukryć, szyb windy, ale tam funkcjonariusze szukali i nic nie znaleźli. A może... okno, dlaczego wcześniej o tym nie pomyśleli? Ten sposób wyniesienia akcji z hotelu wydał jej się nagle bardzo prawdopodobny.

– Może sprawca wyrzucił walory przez okno, oczywiście przekazując je w ten sposób komuś zaufanemu. Co ty na to?

Kamil ożywił się.

– Już o tym myślałem. Najbardziej pasuje mi Janusz Kruk, jego żona w tym czasie przebywała na zewnątrz, pamiętasz, rzekomo zrobiła sobie wycieczkę nad morze. Wróciła do hotelu już po tym, jak ja się tam pojawiłem. Kruk zorientował się, że policja jest w hotelu i że natychmiast musi się pozbyć walorów, wyrzucił więc je żonie przez okno. – Milena milczała. – Co, naciągana trochę ta wersja? – mruknął.

Prokurator wiele spraw prowadziła niemal w pojedynkę. Funkcjonariusze oczywiście byli obecni, ale jakby na marginesie. Zwykle samotnie analizowała dowody i zeznania, wysuwała rozmaite hipotezy i je podważała. Teraz było inaczej. Miała obok siebie gliniarza zaangażowanego w sprawę. Mogli nawzajem weryfikować swoje wersje, wytykając sobie błędy i szukając właściwego tropu. Bardzo jej to odpowiadało. Jeszcze przed chwilą hipoteza o wyrzuceniu walorów przez okno wydawała jej się wielce prawdopodobna, ale gdy Kamil ją zwerbalizował, jej umysł natychmiast zamienił się w skaner wyłapujący błędy. – Jeżeli Kruk miałby swojej żonie rzucić papiery przez okno po przybyciu policji, to ona miałaby bardzo mało czasu, żeby je ukryć. Pamiętaj, że gdy przyszedłam do hotelu, to Krukowie już siedzieli razem na kanapie w holu. Poza tym gdzie miałaby je ukryć? Ich samochód sprawdziliście. W pobliżu nie ma też żadnego śmietnika. No i jeszcze brać trzeba pod uwagę przypadkowych przechodniów, stał tam chociażby ten młody dziennikarz. Gdyby zauważył, że ktoś coś rzuca z okna, na pewno zgłosiłby to na policję.

Milena rozejrzała się. Znowu szerokie pasy ciemnej ziemi rolnej, przeplatane szarozielonymi odcinkami łąk. Daleko na horyzoncie stało kilka saren. Już nie padało. Ostatnia chmura odpływała na zachód, odsłaniając czyste niebo.

– Jeżeli nie Mikulski i nie Kruk, to kto? Kto miał realne szanse wynieść te papiery albo sprytnie ukryć je w hotelu?

– Mógł je wynieść licytator, on opuścił hotel zaraz po morderstwie – powiedział Kamil.

– Pan z młotkiem miałby być mordercą? Przecież on nie jest kolekcjonerem, nie znał ofiary, nie pasuje.

– My tego nie wiemy – zauważył komisarz. – Nie przesłuchaliśmy go, nie mamy jego linii papilarnych, a przypominam ci, że Konarski zabezpieczył w pokoju ofiary ślady daktyloskopijne, których nie udało nam się zidentyfikować. Ados miał się u nas stawić w poniedziałek, ale poprosił Beatę o przełożenie przesłuchania na po Wszystkich Świętych. Niestety, zgodziła się, bo to przecież celebryta.

Droga do Braniewa zajęła im czterdzieści pięć minut, Kamil jechał szybko, bez problemu trafił też na ulicę, na której mieszkał Bogdan Mikulski. Przez chwilę siedzieli w samochodzie i patrzyli na dom pracownika leśnego. Był to budynek piętrowy, oddzielony od ulicy ogrodzeniem z siatki. Nie było widać drzwi wejściowych, zapewne znajdowały się z tyłu. W milczeniu wysiedli, dotarli do podwórka, na którym stało kilka niewielkich budynków skleconych z podejrzanych materiałów. Wyglądało to prawie jak siedlisko bezdomnych, ale dało się też zauważyć swoisty porządek, nie walały się tutaj żadne śmieci ani resztki budowlane. Usłyszeli skrzypnięcie, uchyliły się prowizoryczne drzwi w szopie pokrytej blachą falistą, ze środka wyszedł starszy mężczyzna. Sylwetkę miał wyprostowaną i szczupłą, z kolei jego twarz była niemłosiernie pomarszczona i pożółkła. Milenie przyszło do głowy, że to jakiś bezdomny mieszkający na podwórku Mikulskiego za jego zgodą albo i nie. Okazało się jednak, że starszy pan to teść Bogdana. Powiedział, że zięć jeszcze z lasu nie wrócił, i posłał ich do domu, do córki.

Bogdan razem z żoną i dwójką nastoletnich dzieci zajmował parter budynku, dwa pokoje połączone ogromną kuchnią. Pośrodku stał długi stół przykryty białą serwetą. Na kuchence aromatycznie bulgotał garnek z zupą grzybową.

Pani Mariola Mikulska wytarła dłonie w fartuch, który miała na sobie, a potem uścisnęła wyciągniętą rękę Mileny. Była lekko zdenerwowana. Gdy Kamil powiedział, kim są, uderzyła ręką w udo.

– Do jasnej ciasnej, a ten mój jeszcze w lesie. Zaraz po niego zadzwonię, ale nie wiem, czy usłyszysz, bo maszyna wyje i wtedy nie słychać telefonu.

Cofając się, rozwiązywała fartuch, chyba paski z tyłu się splątały, bo szarpnęła mocniej. W końcu go zdjęła, odsłaniając niezwykle smukłą figurę. Była podobna do ojca, u niej również młodzieńcza, szczupła sylwetka kontrastowała z głębokimi zmarszczkami wokół oczu i ust.

– Kawkę zrobię państwu, bo i tak będziecie musieli poczekać na mojego ślubnego.

– Za kawę dziękujemy – powiedziała Milena, ale pani Mikulska jej nie słuchała. Już nalewała wody do czajnika, cały czas trzymając komórkę przy uchu. Najwidoczniej Bogdan nie odbierał.

Kamil pochylił się nad wiaderkiem stojącym na niskim taborecie.

– To gąski? – zainteresował się.

– Tak, moja teściowa była dziś rano na grzybach, ja nie mam kiedy, bo dzieci, bo obiad i zawsze tyle roboty.

– Pani mąż spodziewał się, że ponownie zostanie przesłuchany? – zapytała Milena, zajmując miejsce za stołem.

– No tak, no skoro skłamał za pierwszym razem, to znaczy nie powiedział prawdy... Ja zawsze wiem, kiedy on...

Kamil wszedł jej w słowo, zadając kolejne pytanie:

– To z gąsek gotuje pani zupę?

Milena wiedziała, że komisarzowi chodzi o to, żeby rozproszyć uwagę pani Mikulskiej. Kobieta prowadziła dwie rozmowy jednocześnie i jeszcze co chwilę wybierała numer na komórce. Nawet jeżeli jest coś, o czym mąż zabronił jej mówić, to zaraz straci czujność i im to wyzna.

– Nie, nie z gąsek, z kurek, miałam trochę zamrożonych. Kurki na zupę nadają się najlepiej, bo takie pachnące, aromat dają jak należy.

Zalała kawę w dwóch filiżankach i postawiła je na stole. Ponownie wybrała numer męża.

– Pani mąż bardzo źle zrobił, że nie powiedział od razu prawdy. Za składanie fałszywych zeznań grozi kara – powiedziała Milena.

Kobieta, wyraźnie przestraszona, złapała się za serce.

– Jaka kara? Chyba nie finansowa?

– Pozbawienie wolności do lat trzech. – Milena upiła kawy. – I po co pan Bogdan zataił prawdę? Myślał, że się o tym nie dowiemy?

– No ja mu to samo mówiłam, że naiwny i głupi, jakby nigdy kryminałów nie oglądał. Nawet mu gadałam: jedź do Elbląga na policję i przyznaj się, że byłeś w pokoju tego pana, co go zabili. A on mi na to, że może lepiej nie, bo może nie znajdziecie tam żadnych jego śladów. Bałwan. Tłumaczyłam mu, że tam wszystko proszkiem posypaliście i każdy najmniejszy odcisk macie. No i miałam rację, no nie?

Kamil pił kawę, stojąc.

– Jakie grzyby jeszcze rosną? – zapytał.

– Tylko gąski, szare i zielone, im nawet przymrozek nie szkodzi – odpowiedziała pani Mariola.

Pokrywka na garnku zaczęła podskakiwać, zmniejszyła więc płomień, po czym znowu sięgnęła po komórkę.

– Możemy zapomnieć o tych fałszywych zeznaniach – zaczęła Milena. – Szkoda człowieka, po co ma iść do więzienia. Niech lepiej zajmie się utrzymaniem rodziny. No ale drugi raz na kłamstwa nie przymknę oka.

– Ależ on powie prawdę, caluszką prawdę jak na spowiedzi – zapewniła kobieta.

– Po co pani mąż poszedł do pokoju Henryka Szymańskiego?

– Żeby zobaczyć z bliska akcje, no te, na których była narysowana lokomotywa, bo mój mąż takie właśnie zbiera. Przyznał się, że chciał tę akcję wtedy kupić, ale nie miał tyle kasy, na szczęście. Gdyby je kupił, Jezu, aż się boję pomyśleć...

Głos pani Mikulskiej załamał się, jej usta zaczęły drżeć. W tej samej chwili zadzwoniła komórka, przyłożyła ją natychmiast do ucha.

– Przyłaż mi tu biegiem, zaprowadzisz ludzi do ojca – powiedziała i się rozłączyła.

– Czy pani mąż poszedł do pokoju Henryka Szymańskiego, aby od niego odkupić te akcje?

– Uchowaj Boże, gdyby on je kupił za cztery tysiące, to ja bym go udusiła własnymi rękami. Przed tamtym mordercą może by uciekł, ale nie przede mną.

– Dlaczego pan Bogdan nie powiedział nam o swojej wizycie w pokoju ofiary?

– Jak to dlaczego? – zdziwiła się pani Mikulska. – Zwyczajnie się bał, że go weźmiecie za mordercę. Przecież on to zwykły drwal, a tam wśród kolekcjonerów to wielcy ludzie, lekarze, sędziowie, sami ważniacy. Jeśli trzeba by było kozła ofiarnego, to mój Bogdan najlepiej by się nadawał. Ja tam się nie dziwię, że on się bał powiedzieć prawdę.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do kuchni wpadł nastolatek w granatowej bluzie.

– Mama, jestem!

– Synu, ile ty masz lat, a gdzie „dzień dobry”?

– Dzień dobry – bąknął chłopak.

– Chyba nie ma sensu, żeby państwo czekali na Bogdana, komórki nie odbiera, a wróci dopiero jak się ściemni. Syn podjedzie z państwem do lasu i zaprowadzi do niego.

Pani Mikulska chciała im jeszcze na odchodnym wcisnąć reklamówkę pełną grzybów, ale oboje grzecznie odmówili. Pojechali do nadleśnictwa Giedyle, po pokonaniu dwudziestu kilometrów zaparkowali na leśnej drodze. Wysiedli i usłyszeli huk pracującej maszyny.

– To ojciec – oznajmił chłopak i ruszył w las.

Nie było tu żadnej ścieżki, przedzierali się z trudem przez niskie, splątane pokrzywy i kolczaste krzaki. Milena pożałowała, że nie ma kaptura przy płaszczu. Ostre gałęzie uderzały ją w twarz, krople wody nieprzyjemnie drażniły kark. Weszli między młode świerki. Odsuwała rękami giętkie gałęzie, gęsto pokryte igłami. W końcu las zaczął się przerzedzać, teren pod nogami wyrównał, narastał też huk pracującej maszyny.

Bogdan na ich widok natychmiast wyskoczył z kabiny.

– Pani prokurator? – zapytał raczej z zakłopotaniem niż ze zdziwieniem czy przestachem. – Boże drogi! Ten mój dzieciak ciągnął was przez krzaki. Michaś, czemu nie przyprowadziłeś państwa drogą?

– Przez krzaki bliżej – odpowiedział chłopak.

– Może pójdziesz się przejść? – zwrócił się komisarz do chłopca.

Michaś spojrzał na ojca, ten kiwnął głową i powiedział:

– Tylko niczego nie włączaj.

Chłopak wyraźnie ucieszony ruszył w stronę maszyny, chwilę później siedział już w kabinie.

– Ile pana syn ma lat? – zapytał komisarz.

– Piętnaście – odpowiedział Bogdan.

– No to jak wyjdzie pan z więzienia, syn będzie już pełnoletni.

Pytanie o wiek dziecka, zadawane od wieków przez wszystkie służby na całym świecie, powtarzane przez amerykańskich aktorów aż do znudzenia, stało się najbardziej wyświechtaną sztuczką policyjną, a jednak wciąż działało.

– Ja do więzienia? Za co? – odezwał się Bogdan.

– Za składanie fałszywych zeznań – głos komisarza był spokojny i chłodny.

Milena patrzyła na nich. Bogdan był wyższy, szerszy w ramionach, jego nogi wyglądały na masywniejsze, ale to sylwetka Kamila wydawała się dominować. To przez sposób trzymania głowy, zawsze prosto, oraz rąk, dłoni swobodnie opartych na biodrach.

– Był pan w pokoju Henryka Szymańskiego, mamy na to dowód, a pan poświadczył nieprawdę. Jest pan teraz naszym głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo.

W lesie panowała zupełna cisza, żadnego szmeru, trzasku łamanej gałązki, ptaki milczały uspięne późną godziną. W tej ciszy rozległ się nagle ostry głos komisarza:

– Gdzie są akcje?!

Milena aż drgnęła. Bogdan cofnął się o krok.

– Cooo? – zapytał lekko wystraszony.

– Nie zrozumiałeś? Pytam, gdzie są akcje zakładów Schichaua i walar Pierwszej Fabryki Lokomotyw?!

– Ja nie wiem – odpowiedział drwal i wyciągnął przed siebie ręce w obronnym geście, jak gdyby bał się, że komisarz zaraz go uderzy.

– Chciałeś odkupić od Szymańskiego ten walar, ale nie miałeś kasy, zaproponowałeś mu jakieś śmieszne pieniądze. No i co było dalej? – Kamil teraz niemal krzyczał.

Otworzyły się drzwi od kabiny, w której siedział Michaś Mikulski. Chłopak wyjrzał na zewnątrz. Ojciec natychmiast kazał mu zamknąć się z powrotem w środku.

– Powiedziałem tylko Heniowi – zaczął Bogdan – że gdyby planował sprzedać ten walar, to żeby w pierwszej kolejności pamiętał o mnie, że będę odkładał co miesiąc parę groszy i zbieram, ile trzeba. Heniu powiedział, że na razie nie będzie go sprzedawał.

– Wtedy się zdenerwowałeś, tak?

Drwal spojrzał na Milenę, szukał u niej pomocy.

– Panie Bogdanie – zaczęła mówić spokojnym, wręcz łagodnym tonem. – Tylko ode mnie zależy, czy dzisiejszą noc spędzi pan w domu czy w areszcie. Musi mnie pan przekonać, żebym nie wystawiała nakazu zatrzymania.

– Ja mam robotę, muszę te wszystkie sosny... jak się nie wywiążę, to mogę zapomnieć o kolejnym zleceniu. Pani prokurator chyba rozumie, że ja mam rodzinę do utrzymania. Muszę pracować.

– Nie, panie Bogdanie, tak mnie pan nie przekona – powiedziała spokojnie. – Niech pan nam powie prawdę, co się wtedy stało w pokoju Henryka Szymańskiego.

– No przecież ja mówię prawdę. Przysięgam na zdrowie moich dzieci, że prawdę gadam. Zamiast się za mną uganiać, wzięlibyście lepiej w obroty tego osiłka, który przyszedł na licytację z panią Anią. On wyglądał na takiego, co by mógł...

– Dobra, dobra, bez pouczania organów ścigania – powiedział komisarz, ale tym razem spokojnie, a nawet poufale. Tym samym tonem zapytał: – O której godzinie wszedł pan do pokoju ofiary?

Drwal podrapał się w głowę. W końcu bąknął:

– No rano.

– Pan chyba koniecznie chce spędzić noc w areszcie – powiedziała Milena.

– Pani prokurator, ja nie mam pojęcia, która wtedy była godzina. Gdybym wiedział, że godzina będzie ważna, tobym spojrzał na zegarek i nawet zapamiętał.

Gdzieś nad ich głowami w gałęziach zatrzepotał ptak. Milena odruchowo uniosła głowę.

– Dobra, zaczynamy od nowa – powiedział komisarz. – O której pan tamtego dnia wstał? Czy to pan pamięta?

– Pamiętam. Po ósmej było. Zły byłem, że tak późno, o tej porze powinienem być już w lesie. No, wstałem, ogoliłem się i ubrałem, potem do restauracji, ale tylko na kawę. Potem pomyślałem sobie, że

wpadnę do Henia i obejrzą tę akcję.

Zdołali ustalić, że Bogdan wszedł do numeru Szymańskiego około dziewiątej i prawdopodobnie nikt go wtedy nie widział. Spędził w środku około kwadransa, w tym czasie nikt inny nie przyszedł ani nie pukał do drzwi. Pan Henryk był już ubrany i wyjątkowo radosny.

– Gdy mnie zobaczył w drzwiach, to prawie na szyję mi się rzucił, aby uściskać, ale to nie z mojego powodu taki szczęśliwy był. Niby nie pierwszy raz wylicytował najlepsze walory, ale nigdy aż tak się nie cieszył.

– Gdzie Szymański trzymał akcje? Skąd je wyjął?

– No, z sejfu – zaczął Bogdan. – On zawsze brał pokój z sejfem. Ja swoje walory do torby, a Heniu do sejfu. Ostrożny był... A i tak go okradli i jeszcze zamordowali.

– Schował przy panu walory z powrotem do sejfu? – zapytał Kamil.

Drwał pokręcił przecząco głową.

– Położył je na łóżku. Wykonał taki ruch, jakby chciał je na stolik położyć, ale tam nie było miejsca, bo szampan i dwa kieliszki stały, takie do wina. Z takich samych piliśmy na licytacji.

– Czy kiedykolwiek Szymański mówił panu o profesorze Szulcu?

– Nie, chyba nie.

Robiło się coraz ciemniej, pośród drzew mrok gęstniał wyjątkowo szybko. Pnie i gałęzie zlewały się w jedną szarą całość. Dobrze jeszcze były widoczne składowane z dala od rozłożystych drzew kłody, pocięte zgrabnie i równo.

– Muszę odprowadzić maszynę – mruknął Bogdan. – Zostawiam ją na podwórku u jednego gospodarza, Andrzeja Suszyńskiego, tu, w Giedylach.

– Dobra, kończymy. Dziś pana nie zabieramy – powiedział komisarz.

W leśnym półmroku Milena dostrzegła, że Bogdan się odprężył. Poruszył się, wypuszczając głośno powietrze z płuc, jak gdyby przez ostatnie dwadzieścia minut ktoś go trzymał na muszce, a teraz opuścił broń. Ona z kolei czuła, że w jej organizmie zachodzi reakcja odwrotna. Do tej pory stała rozluźniona, przerzucając ciężar przesłuchania na Kamila. Teraz narastała w niej czujność, a wraz z nią napięcie mięśni. Umysł analizował każde usłyszane przed chwilą zdanie. Szukała jakiejś sprzeczności, czegoś nielogicznego. Już to miała. Otworzyła usta, ale Kamil ją uprzedził, zadając pytanie, które przed chwilą pojawiło się w jej głowie.

– Wyszedł pan z pokoju ofiary około dziewiątej trzydzieści. Dlaczego nie opuścił pan od razu hotelu? Przecież się panu spieszyło do lasu, do roboty. Sam pan powiedział, że był zły, że obudził się tak późno.

To pytanie Bogdana nie zaskoczyło, odpowiedział od razu:

– To przez Henia. Jak byłem u niego w pokoju, to mi powiedział, że bym się nie spieszył z wsiadaniem za kierownicę, bo skacowany jestem i jeszcze wódką ode mnie jedzie. Przyznałem mu się, że poprzedniego wieczora pochlałem trochę z żalu za tym walorem kolejowym. Posłuchałem go i zostałem w hotelu do dwunastej, bo do tej godziny miałem pokój.

Milena poinformowała Mikulskiego, że jutro pojawi się u niego funkcjonariusz z protokołem do podpisania. Ten gorliwie zapewnił, że podpisze wszystko, co będzie trzeba, po czym zawołał syna. Michaś niechętnie wysiadł z maszyny. Usłyszał, że ma odprowadzić do wozu panią prokurator i pana policjanta, a potem może wrócić. Milena uśmiechnęła się do chłopca.

– Zostań, sami trafimy do samochodu. Chyba wilki nas nie zjedzą – powiedziała.

– Z tymi wilkami to nie żarty – odezwał się drwał. – Leśniczy gadał mi, że w okolicy krąży wataha. W Estonii do nich strzelają, uciekają stamtąd aż do nas – wyjaśnił. – Ale niech państwo się nie boją – dodał szybko. – Wilki nie atakują ludzi. My tu się martwimy tylko o zwierzęta.

Następnie wytłumaczył im, jak mają się kierować do samochodu. Po śladach jego maszyny dojdą do

drogi, a potem w prawo, byle nie skręcali w las, bo po ciemku mogą zabłądzić.

Szli szybko, po lewej stronie ciągnęły się krzaki, za nimi widać było pola i dalej znowu drzewa, po prawej mieli ciemniejszą otchłań lasu. Droga była dłuższa, ale z pewnością łatwiejsza do pokonania. Po piętnastu minutach dotarli do samochodu. Milena zauważyła, że na tylnym siedzeniu leży reklamówka z grzybami. Pokazała ją Kamilowi.

– No to nie masz wyjścia, musisz zaprosić mnie na jajecznicę z gąskami. W innym razie doniosę, że przyjąłeś prezent w trakcie czynności służbowych – oznajmił bardzo poważnie komisarz.



# Rozdział XI

Milena skierowała się do pokoju, w którym profesor i jego żona przed pięcioma dniami zawiśli w oknie niczym lalki na wystawie. To był jej pomysł, żeby przyjechać do mieszkania Szulców. Chciała sprawdzić, jaka tutaj jest widoczność po zmierzchu. Wszedł za nią. Lampa uliczna dawała tyle światła, że bez większego problemu można było dostrzec zarys mebli. To na pewno wystarczyło, żeby wejść na krzesło i włożyć głowę w pętlę.

Milena zbliżyła się do okna. Stał obok niej. Patrzyli na kamienicę naprzeciwko, tam mieszkała Ester. Czy znała Szulców? Z widzenia zapewne tak. To właściwie niesamowite, że oni wszyscy się, mniej lub bardziej, ale jednak znali. Ester poznała Henryka Szymańskiego w hotelu. Szymański znał profesora Szulca, czego dowodem była dedykacja w książce kolekcjonera. No i profesorostwo znało, choćby z widzenia, Ester. Koło znajomości się zamyka... i wszyscy zginęli tego samego dnia.

Soroka powrócił myślami do hotelowego pokoju, do momentu, kiedy rozbierał zwłoki recepcjonistki. Niemal czuł pod palcami jej drobne ciało, jeszcze ciepłe i zarazem nienaturalne, jak gdyby dotykał jakiejś sztucznej materii. Żałował, że nie mógł jej wtedy dłużej i dokładniej pomacać. Czuł, że rośnie w nim podniecenie. Chyba lepiej byłoby, gdyby pracował w kostnicy.

Położył dłoń na plecach Mileny. Obróciła się w jego stronę. Objął ją ramionami i mocno przycisnął do siebie, zagłębiając twarz w jej włosach. Może nie była tak filigranowa jak Ester, ale równie szczupła. Poczł, jak długie palce Mileny zaciskają się na jego ramieniu. Przesunął dłoń na jej płaskie biodra. W jego wyobraźni odtworzył się obraz wychudzonych pośladków recepcjonistki. Nie chciał myśleć o Ester, ale ona, a raczej jej zwłoki utkwily w zakamarkach jego podświadomości i drażniły go seksualnie. Czasami w nocy zastanawiał się, czy to normalne. Czy nie powinien zgłosić się na jakąś terapię?

Milena odepchnęła go nagle i wyszła z pokoju. Jeszcze przez moment stał w ciemnościach, wpatrując się w rozświetlone okna naprzeciwko. Słyszał, że kobieta kręci się po kuchni. A zatem przekonała się do kolacji tutaj. Wymyślił to, bo był strasznie głodny, a poza tym wizja posiłku z panią prokurator w domu wisielców w jakiś sposób go podniecała. Usmażyli gąski i dodali dziesięć kupionych po drodze jajek. W całej kuchni unosił się aromat, który potęgował w nim uczucie głodu. Nie mają chleba... Trudno. Zaczęli jeść, na początku w milczeniu, ale po kilku kęsach Milena zagadnęła:

- Bogdan Mikulski robi wrażenie wiarygodnego. Też masz takie odczucie?
- No – odpowiedział Kamil, skupiony na jajecznicę.
- Powiedział, że Szymański był bardzo uradowany. Myślisz, że to z tego powodu? – zapytała.
- Tak, myślę, że z tego powodu. Na pewno był w siódmym niebie, że taka laska na niego poleciała. Ciekawe, czy znał niemiecki.
- Zapytaj o to Alberthine Kügelgen – powiedziała Milena. – Powinieneś ją ponownie przesłuchać, przecież ona też złożyła fałszywe zeznania. I na co właściwie liczyła? Nie rozumiem. – Milena przestała jeść. – Czy Niemcy naprawdę myślą, że u nas kryminalistyka ogranicza się do szkła powiększającego?

Zostawiła swoje linie papilarne nawet na spłuczce. Czy w ogóle ona jeszcze jest w Elblągu?

Komisarz powrócił myślami do soboty, kiedy to na kwadrans wpadł do Galerii EL, żeby zobaczyć wernisaż Alberthiny Kügelgen, a właściwie ją samą. Uczesana w dwa warkocze, w niebieskiej, jakby szkolnej sukience, stała w towarzystwie dyrektora galerii i po angielsku opowiadała o swoich drzeworytach. Bez zainteresowania przyglądał się jej pracom, nic na dłużej nie zatrzymało jego wzroku. Niemka podeszła do niego z lampką wina. Zapytała, jak mu się podoba Elbląg na jej pracach. Zaskoczony, spojrzął na drzeworyt, przed którym stali, i próbował na nim dojrzeć jakiś szczegół charakterystyczny dla miasta. Róg budynku z balkonem i schodami, nie znał tego miejsca. Mruknął, że ładne. Zastanowiło go, dlaczego Alberthine umieściła na swoich drzeworytach właśnie Elbląg. Skąd znała to miasto? Czy tylko ze zdjęć? Chętnie mu wyjaśniła, że o Elblągu słyszała już jako kilkuletnia dziewczynka, od swojej ciotki, również artystki, która tu się urodziła i mieszkała do czterdziestego piątego przy Schmiedestrasse 10. Pięć lat temu miała wernisaż w Galerii EL. Przyjechały wtedy obie. Miasto wydało się jej urocze, postanowiła je więc uwiecznić na swoich drzeworytach. Słuchał młodej Niemki i patrzył na jej smukłą sylwetkę. Pod cienkim materiałem rękawów wyraźnie rysowały się mięśnie. Wyglądała na wysportowaną, silną. W śledztwie założyli, że kobieta nie dałaby rady udusić Szymańskiego. Może to był błąd? Pamiętał, że Alberthine w dzień morderstwa opuściła hotel, ale tylko na krótko. Zapytał ją o to wyjście. Oznajmiła, że poszła jedynie do Galerii EL, żeby sprawdzić, czy już rozpoczęto rozpakowywanie jej prac. Potem z czarującym uśmiechem dodała, że ma alibi na czas morderstwa. Około jedenastej rozmawiała z dyrektorem Galerii, oczywiście telefonicznie. Kamil zapewnił ją, że to sprawdzi. Rzeczywiście na bilingu przy godzinie jedenastej dwie widniał numer telefonu z niemieckim prefiksem, a sama rozmowa trwała dwanaście minut. Dyrektor potwierdził, że chodzi o niemiecką artystkę. A więc to nie ona zabiła Szymańskiego.

Kamil nabił na widelec większy kawałek gąski, była soczysta, zjadł ją z przyjemnością.

– Chyba Alberthine jeszcze nie wyjechała – powiedział.

– Wiesz, wydaje mi się, że ona cierpi na gerontofilię.

Ostatnie słowo pani prokurator wypowiedziała w taki sposób, jakby mówiła o niebezpiecznej chorobie.

– Mam nadzieję, że gdy przekroczę sześćdziesiątkę gerontofilia będzie epidemią – oznajmił komisarz z szerokim uśmiechem.

Milena nie podchwyciła jego żartobliwego tonu. Z poważną miną wyjaśniła:

– To jest choroba, która bardzo destrukcyjnie wpływa na psychikę kobiet. Zrozum, że one się wstydzą swoich upodobań. Nie afiszują się ze swoim zboczeniem, dlatego oficjalnych partnerów wybierają młodych, a potrzeby seksualne zaspokajają po cichu, z dala od domu, tak jak to robi pani Alberthine. Kilka lat takiego życia i jest się wrakiem psychicznym, depresja i autoagresja murowane.

Gdy z ust Mileny padło słowo „zboczenie”, poczuł się nieswojo. Nie myślał o sobie jak o zboczeńcu, co najwyżej miał lekko odchylone zainteresowania seksualne. Żywe kobiety też go w końcu pociągały i to bardzo.

– W takim razie nie powinniśmy się dziwić, że z takim uporem zaprzecza spędzeniu nocy u Szymańskiego – zauważył Kamil.

Skończyli jeść jajecznicę. Posprząтали, potem odwiózł Milenę do domu. Umówili się na jutro na ósmą rano.

Zaparkował pod swoim blokiem. Przekroczył dzisiaj limit kilometrów przyznanym na jazdę prywatnym wozem w celach służbowych. Niedobrze. Jeśli jutro pojedzie swoją audicą do Białegostoku, to nie dostanie zwrotu kosztów. Chyba rano zadzwoni do Kamińskiego, niech mu po prostu wyda polecenie wyjazdu służbowego. Niestety od paru miesięcy musiał się liczyć z kasą, bo opłacał psi podatek – tak

nazywał wydatki związane z wykonywanym zawodem. Płaciło się różnym typkom za to, żeby gadali albo trzymali język za zębami. Nie tylko on to robił, tak pracowała większość policjantów. Ale jego nie było już stać na to, żeby dalej płacić temu gówniarzowi. Musi go przekonać, że dla dobra ich obu powinni zerwać dotychczasową umowę.

Kilka metrów za jego plecami rozległo się wołanie:

– Komisarzu Sroka!

Odwrócił się powoli i zobaczył w świetle lampy ulicznej Mikołaja Bukowskiego. Zbliżał się wolno, prowadząc rower.

– Po sałatę przyjechałem.

– W listopadzie miałeś przyjść. Zjeżdżaj! – warknął Kamil.

Był zły, że dziennikarz nachodzi go pod blokiem. Jest tak bezczelny, że następnym razem gotów pojawić się na komendzie. Kamilowi przyszło do głowy, żeby zabrać go do mieszkania i ostatecznie się z nim rozmówić. Zrezygnował jednak. Nie dzisiaj. Czuł, że w tej chwili brakuje mu daru przekonywania.

– Panie komisarzu, trochę zrozumienia – zaczął dziennikarz – jutro Zaduszki, pojutrze Wszystkich Świętych. Na grób dziadków wyjeżdżam, czasu nie będę miał.

– Bukowski, mam ci, kurwa, kalendarz kupić? Na listopad jesteście umówieni. Zjeżdżaj!

Chłopak z nieukrywaną satysfakcją zaczął mówić:

– No co, Sroka, na pewno ręce zacierasz. Masz w końcu sprawę, na której możesz wypłynąć. W województwie o tobie usłyszą, a może nawet w Warszawie? Jak tę sprawę rozwiążesz, to stołek naczelnika wydziału kryminalnego będzie twój. Co nie? Przecież Kamiński już niedługo na emeryturkę... Szkoda by było, żeby to teraz zaprzepaścić. Mam rację?

– Słuchaj – zaczął Kamil – ja potrafię zadbać o swoje interesy i radzę ci, żebyś ty pilnował swoich...

– Dlatego jestem tu dziś, panie komisarzu – wszedł mu w słowo dziennikarz.

– Bukowski, dobrze ci radzę, dbaj o swoje interesy i przyjdź w listopadzie, jak się umawialiśmy. I nie przeginaj, bo źle skończysz.

Nie czekając na odpowiedź dziennikarza, wszedł do klatki schodowej. Za trzy dni ten gówniarz znowu tu się pojawi i wtedy Kamil będzie musiał go przekonać... A może zastraszyć? Próbował znaleźć coś na Bukowskiego, ale niestety... Żadnej bójkki czy kradzieży, żadnych podejrzanych znajomych, nie upijał się i nie ćpał. Nigdy nawet nie przekroczył dozwolonej prędkości ani nie zaparkował w niedozwolonym miejscu. Bo niby czym? Tym swoim rowerem? Kamil długo nie odpuszczał sobie lustracji dziennikarza. Wierzył, że na coś trafi. Skoro ten dzieciak zdobył się na szantażowanie komisarza policji, to może nie robi tego pierwszy raz? Kamil dotarł do jego bilingów i przy pomocy zaprzyjaźnionego hakera włamał się do jego skrzynki elektronicznej. Niestety, znowu pudło. Rodzina krystaliczna, nie ma do czego się przyczepić. Kamil zaczął ponownie się zastanawiać, czy nie podsunąć Bukowskiemu jakiejś dziwki, która najpierw go uwiedzie, a potem oskarży o gwałt. Wtedy on mógłby zaproponować dziennikarzowi zatuszowanie całej sprawy pod warunkiem, że ten przestanie go szantażować. Nie miał jednak żadnej pewności, jak zachowałby się tamten. A co jeżeli puszcza mu nerwy i ujawni ten kretyński filmik z Soroką w roli głównej?

Zadzwoiła Beata.

– Jestem w pizzerii na Podgórznej. Wpadniesz?

Nie silił się na jakąś zręczną wymówkę. Powiedział krótko:

– Nie.

Po dłuższej pauzie Beata zagadnęła:

– Mam dla ciebie interesujące informacje o Krukach.

– Przyślij mi je mailem.

– Kamilku, czy nie możesz być miłszy?

Nie miał ochoty dalej ciągnąć tej rozmowy. Powiedział, że czeka na informacje o Krukach, i się rozłączył. Pół godziny później Beata zadzwoniła do domofonu. Wpuścił ją. Musiał przyznać, że wygląda niezwykle atrakcyjnie w brązowej krótkiej spódnicy i włosach zwyczajnie związanych w kitkę. Podała mu pudełko z pizzą.

– Z boczkim, tak jak lubisz – oznajmiła.

– Dzięki, ale jestem już po kolacji – odpowiedział.

Zignorowała jego słowa. Usiadła na kanapie po turecku, odsłaniając całe uda i powiedziała:

– Pomogę ci z tą pizzą. Dawaj talerze.

Beata była urocza, lubił ją, chociaż czasami zbyt nachalnie mu się narzucała. Mimowolnie zaczął porównywać ją z Mileną. Gdyby miał związać się z którąś z nich, raczej wybrałby Milenę. Przeczynał, że pani prokurator nie zmieniłaby jego dotychczasowego życia, nie miałaby wobec niego specjalnych oczekiwań. Potraktowałaby go tak jak on ją, czyli jako miłą przygodę. Beata przeciwnie, wtrącałaby się we wszystko. Przemebłowałaby nie tylko jego mieszkanie, ale i jego samego. I nie tak łatwo byłoby z nią zerwać, przecież pracują razem. Chyba musiałby prosić o przeniesienie. Ale co wtedy ze stanowiskiem naczelnika wydziału kryminalnego? To był teraz jego cel.

Oderwał wzrok od smukłych ud sierżant Gryś i patrząc w jej zielone oczy, zapytał:

– Co masz na Kruków? A właściwie, czemu ty z tym do mnie przychodzisz? Przecież to Pociecha ich sprawdzał.

– Przypominam ci, że Pociecha teraz ustala, co łączyło Szymańskiego z Szulcami.

Otworzyła mały plecak i wyjęła kilka kartek.

– Potem sobie poczytasz. Ja najważniejsze zaraz powiem. Grażyna Kruk, a właściwie Grażyna Maćkowiak, w wieku osiemnastu lat rzuciła liceum, wyjechała z Kętrzyna do Warszawy, gdzie zaczęła pracować jako prostytutka. – Beata spojrzała na Kamila, wyraźnie spodziewając się jakiejś reakcji. Nic jednak nie powiedział. – W roku 1989 została aresztowana w związku z podejrzeniem okradzenia swojego klienta, izraelskiego turysty. Przyznała się, zwróciła część kasy i dostała wyrok w zawiasach. Potem poznała Janusza Kruka, być może był jej klientem. Wtedy on rozkręcał różne biznesy, miał firmę transportową, jeden stary samochód, którym woził ryby i jeszcze coś tam innego. Otworzył też w Warszawie budkę z zapiekankami. W dziewięćdziesiątym piątym roku wszystko się posypało. Zaczął wtedy sprowadzać kosiarki z Niemiec. Nie zapłacił cła, nie uregulował płatności wobec dostawcy. Zamknął w końcu firmę, komornik zajął jego samochód i jakieś inne ruchomości. Kolejny interes rozkręcił już ze swoją żoneczką. To była taka działalność, coby za znaczki skarbowe nie trzeba było płacić. – Beata umilkła na moment, żeby posilić się pizzą. – Ciekawa jestem, czyj to był pomysł, jego czy jej. Biznes wymagał trochę nakładów finansowych, drogie hotele, markowe ubrania, restauracje, ale przynosił też zyski. Pojawiali się pod fałszywymi nazwiskami w jakimś Sheratonie bądź innym Marriocie, gdzie odgrywali rolę zamożnego biznesmena i sekretarki. Grażyna Kruk w windzie albo w hotelowym barze zagadywała jakiegoś samotnego pana, zwykle cudzoziemca. Potem on ją zapraszał do swojego pokoju, bynajmniej nie na wspólne oglądanie telewizji. – Beata podsunęła komisarzowi kartki, które wcześniej położyła na stole, i powiedziała: – Przyznaj, że miała warunki.

Kamil nie miał okazji widzieć wcześniej Grażyny Kruk, to Milena ją przesłuchiwała. Teraz patrzył na niewielkiego formatu zdjęcie platynowej blondynki z okazałym biustem.

Beata szybko skończyła swój kawałek pizzy i oznajmiła:

– Skubali tych naiwniaczków aż miło, Niemców, Norwegów, Szwedów. Zwykle to Grażyna Kruk przetrząsała ich pokoje i kieszenie. Czasami robił to jej mąż. Ona oczywiście wcześniej dostarczała mu klucz, który dyskretnie wyjmowała z marynarki gościa. Potem trafili w Krynicy na prezesa spółki

węglowej. Przyszło im do głowy, że szantażem wyciągną od niego więcej. Parę fotek z Grażynką, potem groźby, że wyślą je jego żonie. Gościu zapłacił, ale najpierw powiadomił policję. Janusz Kruk dostał trzy lata, a jego żoneczka nic. Powiedział, że ją do tego zmuszał.

– A dzisiaj jaką działalność prowadzi Kruk? – zapytał Kamil.

– Całkowicie legalną, produkcja opakowań. Mam coś jeszcze – dodała z uśmiechem.

Wyjęła z plecaka papierosy i zapalniczkę w kształcie małego srebrnego pistoletu. To był prezent od całego wydziału, dostała ją, gdy awansowała na sierżanta. Kamil wynalazł tę zapalniczkę na jakiejś amerykańskiej aukcji. Wyciągnął z kieszeni zmiętą paczkę swoich fajek i wygrzebał z niej ostatniego papierosa. Podała mu ogień, pochylając się tak mocno, że poczuł bijące od niej ciepło przesiąknięte wonią słodkich perfum. Narastało w nim podniecenie.

– Czytanie protokołów w kółko przyniosło jakiś efekt. Utkwiło mi w głowie zeznanie Karoliny Potockiej. Wspomniała, że w hotelu w Malborku zostało okradzione małżeństwo kolekcjonerów z Amsterdamu. Pamiętasz? Stracili laptopa i karty kredytowe, ale nie walory. To było dwa lata temu. Zadzwoiłam do Potockiej i ona potwierdziła, że w tym hotelu mieszkali też Krukowie. Sprawdziłam to jeszcze u źródła. – Kamil wyciągnął papierosa z ust. – Tak, wiem, co teraz powiesz. To żaden dowód na ich winę, ale posłuchaj mnie jeszcze. Dochodzenie w sprawie tej kradzieży zostało zamknięte, sprawcy nie wykryto. Podejrzewali kogoś z hotelu, pracownik albo gość, a dlaczego? Bo kamera miejska nie zarejestrowała w tym czasie nikogo podejrzanego w okolicy hotelu. A to, że nie wzięli walorów, też wskazuje na nich. Chcieli w ten sposób skierować podejrzenie na jakiegoś zwykłego złodzieja, który nie zna się na historycznych papierach wartościowych. Beata jedną dłonią ścisnęła poręcz kanapy, w palcach drugiej obracała żarzącego się papierosa. Nie mogąc się doczekać na komentarz Kamila, odezwała się znowu:

– W ostatni piątek chcieli oskubać Szymańskiego, tylko coś im nie poszło. Tak właśnie myślę, to moja hipoteza. Pamiętaj, że to jest moja hipoteza.

## Rozdział XII

Kamil obudził się o szóstej. Założył dres, umieszczając pod lewą pachą kaburę ze służbowym glockiem. Zawsze zabierał broń do domu. Rumun i Pocięcha też nie rozstawali się ze swoimi pistoletami. Z Beatą było inaczej. Gdy jej zwrócił uwagę, że nie może nosić broni w torebce i powinna ubierać po służbie coś obszerniejszego, żeby kabura nie rzucała się tak w oczy, zaczęła zostawiać swoją broń na komendzie. Doszedł do wniosku, że robi to, bo nie chce już słuchać jego ciągłych pouczeń. Tłumaczył jej cierpliwie, że jeżeli czuje się zagrożona, to powinna nosić pistolet po służbie, tylko dla własnego dobra musi przestrzegać przepisów. Machnęła ręką lekceważąco i bąknęła, że wystarczy jej, iż musi pilnować broni w czasie pracy. Poza tym kto by się ośmielił podnieść rękę na córkę komendanta.

Nie przy każdym wyjściu z domu zabierał pistolet. Nosił go wtedy, gdy rozsądek mu nakazywał, że tak trzeba, a nie strach. Na przykład podczas porannego joggingu po leśnych ścieżkach Bażantarni. Wiedział, że gdyby banda dresiarzy chciała dać mu nauczkę, to las nadaje się do tego idealnie. Wsiadł do samochodu i prawie pustymi ulicami dojechał na miejsce. Codziennie robił tę samą pętlę, zaczynał na szlaku żółtym, wbiegał na Górę Chrobrego, a potem wracał szlakiem niebieskim, w sumie pięć kilometrów. Rozpiął bluzę pod szyją i zaczął biec, najpierw powoli, po pięciuset metrach przyspieszył. Wsłuchiwał się w swój równy oddech i w ciszę lasu. Powietrze było wilgotne i zimne, przesycone wonią ziemi. Na drzewach znajdowało się niewiele liści, ale za to pod stopami całe mnóstwo.

Zaczął rozpamiętywać wczorajszą rozmowę z Beatą. Sierżant Gryś chciała się wykazać, udowodnić całemu wydziałowi, swemu ojcu również, że jest dobrą śledczą. On to zauważał. Cenił zwłaszcza jej zapał. Wielu funkcjonariuszy poddawało się rutynie, ale nie ona. Dostrzegał też jej wady. Przede wszystkim jak już trafiła na jakiś trop, to podciągała wszystkie znane sobie dowody pod własną wersję wydarzeń, a to, co jej nie pasowało, zwyczajnie pomijała. Próbowwała przekonać go, że to Janusz Kruk jest sprawcą. A gdy przedstawiał jej fakty, które mogłyby temu zaprzeczać, wpadała w złość, uznając, że traktuje ją mało poważnie. Przystępna przeszłość Kruka nie była dostatecznym argumentem przemawiającym za jego winą. Beata wysunęła tezę, że kierowała nim chęć zysku, a to nie pasowało Kamilowi. Przecież tych skradzionych walorów nie da się teraz sprzedać na wolnym rynku, a szarej strefy w tej branży podobno nie ma. Już raczej chorobliwe podejrzenia Kruka, że Szymański działa na rzecz wywiadu izraelskiego czy Bóg wie kogo tam, stanowiły bardziej prawdopodobny motyw.

Wbiegając na Górę Chrobrego, nie zwolnił tempa. Na szczycie zatrzymał się na parę sekund i spojrzał na miasto. Z wysokości dziewięćdziesięciu trzech metrów wyglądało skromnie, kilka wieżowców i kościołów. Zaczął zbiegać, powoli, żeby się nie pośliznąć na przegniłych liściach. Na szczęście z tej strony zbocze nie było aż tak strome. Gdy teren zrobił się płaski, ponownie przyspieszył i omal nie zderzył się z bażantem, który wyfrunął z krzaków. Zaklął. Skąd ten bażant? Przecież od dekady nikt tu nie widział tych ptaków, mimo że las właśnie od nich wziął swoją nazwę.

Obok wozu komisarza pojawiły się cztery kolejne samochody, w tym granatowy ford, z którego wysiadł postawny mężczyzna w czarnym dresie. Kamil poznał nieruchomą jak maska twarz sędziego Lasockiego.

Kiwnęli sobie głowami i sędzia pobiegł w stronę lasu. Soroka nie mógł się powstrzymać, żeby się za nim nie obejrzeć. Lasocki biegł wyprostowany, z podniesioną głową i rękami blisko tułowia. Nawet w czasie joggingu zdawał się roztaczać sędziowski majestat. Kamil zetknął się z nim parę razy na sali rozpraw, gdy zeznawał jako świadek w prowadzonych przez siebie sprawach. Patrzył wtedy z podziwem na tego człowieka w todze, który całą osobą przywoływał otoczenie do porządku.

Wsiadł do samochodu i odjechał. Na komendzie musiał dość długo czekać, aż Kamiński wyda mu służbowe polecenie wyjazdu do Białegostoku prywatnym wozem. Zatrzymał go Rumun, komunikując, że nie zdołał umówić się z organizatorem biegów na orientację, wszystko przez Święto Zmarłych. Komisarz wpadł jeszcze na moment do Beaty, głównie po to, żeby z nią zapalić.

Gdy zajechał po panią prokurator, była już prawie dziewiąta. Milena wsiadła do samochodu i uśmiechnęła się do niego, ale jakby na siłę. Trzymała w ręku reklamówkę ze zniczami. Poinformował ją, że w schowku znajduje się notatka o Krukach. Wyciągnęła kartki, które dostał od Beaty, i zaczęła czytać. Rewelacje o przeszłości małżeństwa Kruków nie zrobiły na niej większego wrażenia. Zauważyła jedynie, że brakuje informacji o aktualnej sytuacji pary. Jak prosperuje ich firma? Czy mają kredyty? Jakies długi? Czy nachodzą ich windykatorzy? Patrzył przed siebie na drogę i zastanawiał się, co jest z Mileną. Gdzie się podziało to wielkie zaangażowanie, entuzjazm? Skąd nagle ta obojętność? Przecież to ona parę dni temu wytypowała Kruka jako jednego z podejrzanych. Spojrzał na nią. Miała odwróconą głowę w stronę okna. Widocznie nie chciała, żeby widział jej twarz. Chyba w tych zniczach powinien doszukiwać się przyczyny dzisiejszego nastroju pani prokurator.

Gdy minęli Pasłek, odezwała się:

– Zajedziemy na cmentarz w Olsztynie, przy Poprzecznej.

– Okey – zgodził się.

Usprawiedliwiającym tonem dodała:

– Powinnam jutro jechać na cmentarz, ale sędzia Lasocki powiedział, że tylko pierwszego listopada będzie mógł się ze mną spotkać.

Kiwnął głową na znak, że rozumie. Na szczęście znalazł wolne miejsce parkingowe blisko cmentarza. Milena wzięła reklamówkę i pobiegła. Odprowadzał wzrokiem jej szczupłą sylwetkę w czarnym długim płaszczu. To musiał być dla niej trudny czas. Wszystkich Świętych... Domyślał się, że w takim dniu musiała myśleć, czy jej syn i mąż jeszcze żyją. Daleki był od empatii, wolał się nie wczuwać w dramat rodzinny Mileny, ale zwyczajnie ciekawiło go, jak to było z tym zaginięciem, czy to rzeczywiście cios wymierzony przez jakąś zorganizowaną grupę przestępczą. Pani prokurator wróciła po kwadransie, zdyszana i bledsza niż zwykle. Ruszyli. Ponownie zatrzymali się pięćdziesiąt kilometrów przed Białymstokiem i wypili kawę w przydrożnym barze. Milena siedziała w zapiętym po szyję płaszczu i wpatrywała się we włączony telewizor. Nie próbował wciągnąć jej w rozmowę. Widać było, że woli pomilczeć i być może porozmyślać.

Gdy wjechali do Białegostoku, było już po piętnastej. Zrezygnowali z odwiedzenia Janusza Kruka w jego zakładzie, ruszyli od razu do mieszkania. Prowadzeni przez GPS, znaleźli ulicę i blok. Wysiedli. Dopiero teraz Kamilowi przyszło do głowy, że Krukowie – tak jak pół Polski – mogli wyjechać na groby. Przyłożył palec do przycisku domofonu. Mijały sekundy, nikt nie podniósł słuchawki. Cholerne święto.

– Może jeszcze nie wrócili z pracy – powiedziała Milena. – Poczekamy do szesnastej w samochodzie, potem zadzwonimy na ich komórki.

Nie czekali długo. Wkrótce zobaczyli zieloną skodę parkującą niedaleko. Krukowie wysiedli, komisarz i Milena również. Szli naprzeciw siebie. Kiedy dzieliło ich zaledwie sześć, może siedem metrów, Janusz Kruk rzucił się do ucieczki. Kamila to zaskoczyło, sekunda zawahania, potem napiął mięśnie i zaczął biec. Kruk obejrzał się i przyspieszył. Kamil mógłby zwiększyć nieco tempo i za kilkanaście sekund

dopaść uciekającego, ale uznał, że nie ma takiej potrzeby. Lepiej go zmęczyć. Ten facet ma już pięćdziesiąt lat, zaraz wysiadzie. Biegł za nim równym tempem w odległości dwudziestu metrów. Nagle Kruk skręcił między niskie budynki. Komisarz przyspieszył, nie powinien tracić go z oczu. Trzy, cztery sekundy później też skręcił w to samo miejsce i omal nie stanął jak wryty. Miał przed sobą wąską uliczkę o długości na oko piętnastu metrów, biegnącą między dwiema ścianami szczytowymi budynków, na końcu której nie było widać Kruka. Komisarz przyspieszył, ale zaraz zatrzymał się, bo kątem oka dostrzegł uchylone drzwi. Pchnął je i wpadł do środka. Schody w dół. Zbiegł po nich. Wąski i ciemny korytarz. Ruszył w lewo, jedne drzwi, szarpnął, zamknięte. Teraz na prawo, tutaj też jedne drzwi, na nich kłódka, ale otwarta. Zajrzał do środka, pusto. Zaklął. Z powrotem na górę i uliczką do końca. Wybiegł na podwórko, piaskownica, kilka huštawek, ławki, na wprost i po bokach kolejne bloki. Nigdzie żadnego człowieka. Rzucił się w lewo z nadzieją, że tędy pobiegł Kruk. Dojrzał kobietę siedzącą w samochodzie. Podbiegł do niej i gwałtownie otworzył drzwi. Wrzasnęła wystraszona.

– Czy widziała pani mężczyznę w biało-granatowej kurtce?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi i nierozumiejącymi oczami. Pokazując jej swoją odznakę, zapytał ponownie:

– Policja. Czy pani widziała biegnącego mężczyznę?

– Ja nic nie zrobiłam – wydukała w końcu kobieta.

Był wściekły na siebie. Mógł dorwać Kruka od razu, ale nie, postanowił, że go zmęczy i zniechęci do uciekania przed policją. Dał się wykiwać jak dzieciak.



## Rozdział XIII

Patryk stał przy oknie i patrzył na pustą ulicę. Był dzisiaj na grobie swojej mamy, wrócił z cmentarza przed godziną i nie wiedział, co ze sobą zrobić. Najchętniej by poszedł nad rzekę. Spacerując po bulwarze i po mostach, w tę i z powrotem, zawsze się uspokajał. Z mamą też tam chodzili, zwłaszcza wtedy, gdy była zdenerwowana albo smutna. Nad rzeką, patrząc na dzikie kaczki, uspakajała się i nawet czasami uśmiechała.

Tamtego tragicznego dnia nie mogła wyjść z domu, bo mąż zamknął ją w mieszkaniu na klucz. A kto wie? Może gdyby wtedy wyszła na spacer nad rzekę, nie stałoby się to wszystko? To była niedziela, sześć lat temu, zima. Jego ojciec, sędzia Edward Lasocki, zabrał go na lodowisko. Patryk nie lubił jeździć na łyżwach, ale musiał, bo ojciec był zwolennikiem wszechstronnej aktywności fizycznej. Sam grał w tenisa, jeździł konno i biegał. Uważał, że jego dzieci powinny uprawiać co najmniej kilka dyscyplin sportu. Swoją córkę Izabelę od małego zabierał do Kadyn na konie. Jeździła znakomicie, ponadto pływała, grała w siatkówkę, a ostatnio zaczęła skakać ze spadochronem, czym naprawdę zaimponowała ojcu. Patryk nie lubił wysiłku fizycznego. Lejący się pot, trzęsące się nogi, ból mięśni, po co to wszystko? Gdy miał siedem lat, ojciec zabrał go pierwszy raz na konie. Bał się podejść do tych ogromnych zwierząt. Bardzo jednak chciał, żeby tata był z niego zadowolony, zbliżył się więc do białej klaczy, a ta wierzgnęła tylnymi nogami. Gdy Patryk zobaczył końskie kopyta niemal nad swoją głową, zsiąkł się ze strachu. Ojciec warknął przez zęby: *Cienias*, i kazał mu wracać do samochodu. Jedyną dyscypliną sportu, do jakiej Patryk się przekonał, było strzelectwo. Od dwóch lat chodził do Klubu Sportowego Orzeł, ponadto sędzia nie szczędził pieniędzy na prywatny trening.

Tamtego zimowego dnia obaj jeździli na łyżwach. Ojciec szybko i sprawnie, on powoli i niezdarnie. Rozkładał ręce szeroko, żeby nie stracić równowagi, i odpychał się nogą. Ojciec podjechał do niego i oznajmił chłodno, że łyżwy są do jeżdżenia, a nie do stania. Patryk wyprężył wszystkie mięśnie i ruszył. Niestety nogi mu się rozjechały. Klepnął tyłkiem o lód. Ojciec złapał go za ramię i szarpnięciem postawił z powrotem. Chłopak się rozpłakał. Po godzinie męczarni wrócili do domu. Pobiegł od razu do pokoju mamy, żeby się do niej przytulić, żeby poczuć jej delikatną dłoń na włosach. Zawołał ją. Cisza. Zobaczył, że drzwi do łazienki są uchylone. Wpadł do środka. Wiedział, że to, co widzi, jest straszne. Mama kuciała pod kaloryferem, ale jakoś tak dziwnie, nienaturalnie wykręcona jak szmaciana lalka. Nie zauważył wtedy sznura zaciśniętego na jej szyi, bo długie brązowe włosy go zasłaniały. Utkwiły mu w pamięci jej czerwone kapcie, jeden leżał pośrodku łazienki, drugi tuż przy drzwiach. Zaczął wrzeszczeć. Czuł, jak krzyk wydobywający się z jego wnętrza rozrywa mu płuca i gardło. Silny cios spadł na jego twarz. Skulił się, skomlać. Kolejny cios, mocniejszy, sprawił, że umilkł. Wtedy usłyszał głos ojca, nakazujący mu iść do pokoju. Podniósł głowę i zobaczył jego twarz, niesamowicie opanowaną. Żaden mięsień nie drgnął na obliczu sędziego. Przez ułamek sekundy Patryk pomyślał, że skoro ojciec jest spokojny, to mamie nic nie grozi. Przez kolejnych kilka godzin siedział nieruchomo na łóżku i ogarniało go coraz większe przerażenie. Słyszał głosy dobiegające z mieszkania. Jacyś ludzie do nich przyszli i długo nie wychodzili.

Chciał wyrzucić i zapytać, co z mamą, ale bał się ojca, który zapewne uzna, że chłopak przeszkadza. Czekał więc dalej. Krótko przed północą drzwi do jego pokoju się otworzyły i stanął w nich sędzia. Powiedział beznamiętnie i cicho, że mama nie żyje, a Patryk jutro nie pójdzie do szkoły. Kazał mu iść spać, po czym zamknął drzwi, zostawiając jedenastoletniego chłopca samego.

Wtedy zaczęło się jego życie w potwornej samotności. Puste, zimne dni w ciszy i bezczynności. Do nikogo się nie odzywał. Na początku próbowali z nim rozmawiać nauczyciele i psycholog, ale później i oni się odsunęli. Ojciec przez pierwsze miesiące po śmierci mamy prawie w ogóle go nie zauważał, potem ich relacje wróciły do normy, czyli zaczęło się strofowanie i stawianie kolejnych wymagań, którym Patryk nie potrafił sprostać. Siostra miała własny dom i wpadała do nich rzadko. A jak już przychodziła, to spędzała czas z ojcem, a nie z nim. Patryk nienawidził swojej samotności i bał się jej. Z przerażeniem myślał o kolejnym dniu, w którym nikt go nie będzie kochał, nikogo nie będzie obchodził. Codziennie modlił się o miłość ojca i siostry, ale Bóg go nie słuchał. W końcu zrozumiał, że On też ma go gdzieś. Najpierw nienawidził jedynie swojej samotności, potem nienawiść skierował wobec ludzi. Nienawidził wszystkich bez wyjątku, a najbardziej własnego ojca.

Patryk pogłaskał trzymaną na rękę fretkę. Miała delikatne futerko i była jedyną żywą istotą, która się do niego przytulała. Uwielbiał czuć jej drżące i ciepłe ciało przy swoim sercu. Dostał ją dwa lata temu od kolegi, który wyjeżdżał na stałe do Portugalii. Tam podobno nie wolno trzymać tych uroczych zwierzątek w domach.

Przez tydzień udawało mu się utrzymywać obecność fretki w tajemnicy, ale w końcu uciekła z pokoju. Sędzia znalazł ją bujającą się na zasłonce w salonie i kazał mu pozbyć się tego śmierdziucha z mieszkania jak najszybciej. Patryk oczywiście się zgodził, odkładał jednak oddanie fretki z dnia na dzień, aż minęły dwa lata, a ona nadal tu była. Pilnował, żeby siedziała tylko w jego pokoju, ale to było trudne. Wystarczyła chwila nieuwagi, a fretka czmychała przez niedomknięte drzwi. Raz sam ją wyniósł z pokoju razem z bluzami przeznaczonymi do prania. Ojciec od czasu do czasu mu przypominał, że ta paskuda ma zniknąć. Zrzędził, że śmierdzi w mieszkaniu, i groził, że któregoś dnia utopi ją w toalecie. Nie dało się ukryć, że od zwierzątka trochę cuchnęło.

Patryk postawił fretkę na parapecie. Pokręciła się w kółko, jakby chciała złapać własny ogon. Potem wbiła pazurki w jego sweter i wdrapała mu się na ramię. Lubiała być blisko niego, ze wzajemnością. Odkąd się pojawiła, samotność nie była aż tak trudna do zniesienia. Miał kogoś, kto na niego czekał każdego dnia, do kogo mógł mówić i kto był przywiązany do niego całym sobą.

Postawił fretkę na podłodze. Od dwóch lat nie miał dywanu, w ten sposób łatwiej było mu utrzymać czystość. Wszystko w pokoju miał urządzone z myślą o zwierzaku. Nawet szafę odsunął od ściany po tym, jak raz tam się wcisnęła i później nie mogła wyjść. Włożył do tekturowego pudełka jedno ciastko i dwie suszone śliwki. To był jej największy przysmak, chociaż kurczakiem też nie gardziła. Patrzył, jak drepcze wokół pudełka, następnie wchodzi do niego i wbija małe ostre ząbki w ciastko.

Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą cicho drzwi. Ojciec nie znosił trzaskania drzwiami, mama nauczyła go więc zamykać je niemal bezgłośnie. Już w wieku pięciu lat umiał wyjść z pokoju czy z łazienki niezauważony.

Wolnym krokiem powlókł się do kuchni. Tam pani Lucyna kończyła właśnie robić deser. Na kredensie stało już pięć pucharków z bitą śmietaną i owocami. Poleciała mu wstawić je do lodówki. Dzisiaj na obiedzie miało być wyjątkowo więcej osób, on z ojcem, Izabela z Rafałem i jeszcze jakaś prokuratorka, która prowadziła sprawę tego podwójnego zabójstwa w hotelu „Pod Lwem”. Patryk podziwiał mordercę. Co za siła charakteru. Jakaż determinacja. Wielu ludzi marzy, żeby kogoś zabić, i na zbrodniach popełnianych w myślach się kończy. Sami tchórze, a tutaj... pełna realizacja. Chciałby poznać tego mordercę, porozmawiać z nim. Zapytałby go, czy miał moment zwątpienia. Czy taka zbrodnia przynosi

satisfakcję, spełnienie? Czy dodaje pewności siebie?

Wszedł do salonu. Ojciec siedział z książką w fotelu. Podniósł wzrok na Patryka, ten wstrzymał oddech, oczekując mało przyjemnych słów. Nie pomylił się.

– Zmień koszulę, cuchniesz – powiedział ostro sędzia. – I pozbądź się w końcu tego śmierdziucha.

Patryk wrócił do pokoju. Otworzył szafę i przez chwilę zastanawiał się, którą koszulę założyć. Jemu to było obojętne, ale ojcu niestety nie. Chciał uniknąć kolejnej krytyki, zastanawiał się więc, która bardziej pasuje. W końcu wybrał niebieską. Gdy ją wkładał, rozległ się dzwonek do drzwi. Pierwsza przyszła prokuratorka. Ojciec zabrał ją do swojego gabinetu. Czy to znaczy, że będą w cztery oczy rozmawiać o śledztwie? Patryk podszedł na palcach do drzwi gabinetu i wyteżył słuch. Stary Lasocki opowiadał o kolekcjonowaniu historycznych papierów wartościowych.

Kolejny dzwonek. Szwagier wszedł pierwszy, podszedł do Patryka i podał mu rękę. Rafał zawsze ścisnął dłonie bardzo lekko. Dorosły mężczyzna, a uścisk jak u jakiejś anorektyczki.

– Co słyhać u ciebie? – zapytał Rafał.

Patryk odpowiedział, siląc się na nonszalancki ton:

– U mnie bez zmian, ale słyszałem, że u ciebie dużo się dzieje, dwa trupy...

Patryk od tygodnia myślał o jednym: może jego szwagier otarł się o mordercę, rozmawiał z nim, był przecież dyrektorem i miał kontakt z gośćmi. Chciał wypytać go o wszystko. Czy kogoś podejrzewa? Czy widział ciała? Czy on też był przesłuchiwany?

– Tak, w hotelu doszło do strasznego morderstwa, ale ty się lepiej tym nie interesuj.

– Dlaczego nie?

– Bo to nie jest temat dla dzieci – odpowiedział Rafał i uciął rozmowę.

Izabela weszła do pokoju. Rzuciła krótkie *cześć* Patrykowi i zwróciła się do swojego męża, prosząc go, aby nalał jej koniaku. Ten posłusznie zbliżył się do barku.

Patryk lubił porównywać ludzi ze zwierzętami, w ten sposób łatwiej było mu określić ich osobowość. Rafał przypominał mu psa, ale nie rasowego, lecz kundla, który próbuje się przypodobać swojemu panu, Izabeli. Z nią się liczył, dla niej się starał, ale ona tego nie doceniała. Była taka jak ich ojciec, zapatrzona w siebie i wymagająca bezwzględnego posłuchu. Związek Izabeli i Rafała jawił mu się jako kalka małżeństwa ich rodziców. Patryk był przekonany, że Rafał skończy niedługo tak jak mama. Też się powiesi albo podetnie sobie żyły własną brzytwą. Zrobi to, bo nie będzie mógł dłużej znieść obojętności Izabeli, jej egoizmu i wyższości. Nie będzie domagał się szacunku dla siebie, bo przecież kundle się nie buntują.

Rafał podał kieliszek żonie, która już nie zwracała na niego uwagi. Teraz zainteresowała się książką pozostawioną przez ojca na stoliku pod oknem. Patryk patrzył na kształtny profil siostry i myślał, że gdyby nie ta jej kamienna twarz, byłaby naprawdę piękną kobietą. Kartkowała książkę, lekko pochylona do przodu. Na jej smukłej szyi bujało się złote serduszko. Kojarzyła mu się z perskim kotem, który domaga się podziwu jako najmądrzejszy na świecie. Była notariuszem, ale to nie ona służyła ludziom, ale oni jej do tego, aby mogła utwierdzać się w swojej wielkości. Patryk życzył siostrze, żeby nigdy nie miała dzieci.

Do salonu wszedł ojciec, prowadząc prokuratorkę. Jakaż ona była brzydka, chuda, blada, z cienkimi włosami, bez cienia uśmiechu. Podszedł do niej Rafał i uściśnął jej dłoń. Izabela odpowiedziała na powitanie kiwnięciem głowy. Patryk podniósł się powoli, podszedł do kobiety i pocałował ją w rękę. Nie lubił w ten sposób witać się z paniami, ale ojciec oczekiwał takiego zachowania.

Usiedli do stołu. Pani Lucyna wniosła pieczoną kaczkę, ziemniaki, kilka surówek. Zaczęli jeść. Rozmowa na początku się nie kleiła. Patryk czekał, aż prokuratorka przejdzie do tematu morderstwa, ale ona niespodziewanie zaczęła mówić o samobójstwie jakichś ludzi, którzy byli klientami Izabeli.

Zastanawiał się, jakie zwierzę mu przypomina. Hienę? Bo była taka brzydka i chuda? Spojrzał na ojca, który siedział obok kobiety. Kiedyś kojarzył mu się z lwem, teraz raczej z dzikiem, surowym i tratującym wszystko, co mu stanie na drodze.

Nagle do chłopaka dotarło pytanie zadane przez Rafała:

– Jakież postępy w śledztwie?

– Zachowanie jednego z podejrzanych wskazuje na to, że może być sprawcą. Ukrywa się od wczoraj.

Wiemy też, że był w pokoju ofiary, choć temu zaprzeczał.

– Kto to jest? – zadał kolejne pytanie Rafał.

Patryk zauważył, że jego szwagier czeka w wielkim napięciu na odpowiedź.

– To Janusz Kruk – wyznała prokuratorka po dłuższej pauzie.

Rafał ze świstem wciągnął powietrze w płuca i cicho, jakby z wysiłkiem powiedział:

– Nie pamiętam osoby o tym nazwisku. Poznaję osobiście wielu gości, ale tego człowieka... Chyba nie.

– Ja go znam – wtrącił się ojciec z niewzruszoną jak zwykle twarzą. – To kolekcjoner, przyjeżdża na aukcje z żoną. W tamten czwartek także widziałem ich razem. Czy ona też jest zamieszana w morderstwo?

Patryk aż przestał jeść. Co takiego? Morderczy duet? Prokuratorka powoli, z namysłem, wypowiadała kolejne zdania, chyba wolałaby już zmienić temat.

– Ja i komisarz Kamil Soroka przesłuchaliśmy panią Kruk. Przez cztery godziny zaprzeczała, że mieli z tym morderstwem cokolwiek wspólnego.

Kobieta chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nagle drgnęła i zajrzała pod stół, po czym pochyliła się i podniosła fretkę, przytuliła ją do piersi i gładziła delikatnie dwoma palcami po grzbiecie. Patryk się podniósł, żeby odebrać zwierzątko z jej rąk.

– Jest urocza – wyszeptała, patrząc mu prosto w oczy.

Przełknął ślinę nerwowo, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Trochę cuchnie – odezwała się Izabela.

– Każda żywa istota trochę cuchnie, my, ludzie, również – powiedziała prokuratorka, uśmiechając się szeroko, chyba pierwszy raz dzisiejszego wieczoru.

Patrykowi zrobiło się gorąco na sercu. W tym domu od dawna nikt nie uśmiechał się tak szczerze.

– Myślałam, żeby adoptować kota, ale fretka chyba jest sympatyczniejsza.

Podła mu zwierzątko. Gdy ich dłonie się dotknęły, poczuł, że uściśnęła lekko jego palce. Nic takiego, lekki uścisk, a daje tyle radości. Dlaczego nikt z jego rodziny nie jest jak ta kobieta?

## Rozdział XIV

Gdy dwa dni temu Milena wspomniała pani Karolinie, że prezes Lasocki zaprosił ją na obiad, ta sensownie zauważyła, że sędzia jest wolny. Niemal wbrew woli Mileny ta myśl zagnieździła się w jej umyśle. Zwłaszcza że chyba podobała się Edwardowi. Co prawda z jego niewzruszonej twarzy było ciężko cokolwiek wyczytać, ale wobec niej zachowywał się bardzo szarmancko. Trzy dni temu zostawiła mu w sądzie wiadomość, że chciałyby się spotkać. Następnego dnia rano czekał na nią przed budynkiem prokuratury. Stał w rozpiętym płaszczu, pod którym widać było granatowy garnitur i białą koszulę. Zaproponowała, żeby porozmawiali chwilę w jej gabinecie. Wziął ją pod ramię i poprowadził korytarzem. Milenie przyszła wówczas do głowy absurdalna myśl, że w taki sposób sędzia mógłby poprowadzić ją do ołtarza, a raczej do stołu w urzędzie stanu cywilnego. Skąd ten pomysł? Przecież nigdy nie patrzyła na Edwarda Lasockiego jak na mężczyznę. Owszem, zauważyła, że jak na swój wiek jest atrakcyjny, ale nie wywoływało to w niej żadnych emocji. Inaczej było z komisarzem Kamilem Soroką, który zdawał się wydzielać w jej obecności zwiększoną ilość feromonów.

Do tej pory policjanci odnosili się do niej ze sporym dystansem. Była prokuratorem, kimś ważniejszym od nich, należało się z nią liczyć i w żadnym wypadku nie spoufalać. Komisarz przeciwnie, traktował ją w pracy jak partnerkę. Czasami wyczuwała, że patrzy na nią jak na atrakcyjną kobietę i tylko relacje służbowe nie pozwalają mu okazywać jej swojego zainteresowania. Długo nie przyznawała się przed sobą, że Kamil się jej podoba. Takie zauroczenie w jej wieku, to niestosowne. Poza tym nie chciała rywalizować z młodą i piękną sierżant Gryś, bo podświadomie czuła, że przegra.

Dwa dni temu w mieszkaniu Szulców komisarz objął ją, zamykając mocno w swoich silnych ramionach. Nie potrafiła o tym nie myśleć, nie rozpamiętywać rozkosznej chwili i tego, co wtedy czuła. To nie było zwykłe podniecenie, lecz coś więcej. Swego rodzaju oszołomienie bliskością drugiego człowieka. Gdy tak stała przy nim i opierała czoło o jego ramię, gdy rozkoszowała się jego bliskością, uzmysłowiła sobie nagle, jak bardzo jej brakuje fizycznej bliskości synka, tego drobnego i ruchliwego ciała, jego oddechu przesiąkniętego landrynkami. Przeraziła się tego uczucia. Odepchnęła Kamila i uciekła do kuchni. Była roztrzęsiona, rozbita. Chciała wrócić do domu. Miała już wyjść, ale stwierdziła, że w pustym mieszkaniu na pewno się nie uspokoi. Wzięła nóż i zaczęła obierać gąski. Przez jej wyobraźnię szybko przepływały rozmaite obrazy, niczym pocięty i chaotycznie zmontowany film. Widziała swojego synka zajadającego się lodami, potem Pawła taszczącego rowerek na piętro domu jej rodziców. Nagle przed jej oczami stanął pokój hotelowy, a w nim dwa ciała. Z całej siły skoncentrowała się na tym obrazie i powtarzała sobie, że nie wolno jej myśleć o Krzysiu, bo się rozklei. Gdy do kuchni wszedł Kamil i zobaczyła jego spokojną, wręcz zubożoną twarz, zaczęła narastać w niej wściekłość. W jakiś niezrozumiały sposób miała mu za złe ten spokój. Zdołała jednak dzięki temu zepchnąć gdzieś w głąb podświadomości tęsknotę za synem i zaczęła rozmyślać o śledztwie.

Następnego dnia pojechała z komisarzem Soroką do Białegostoku. Po drodze wstąpiła na cmentarz. Poczowała ból na widok posprzątanym, przyozdobionym kwiatami i zniczami grobów. Robota brata.

Poczuła się jak wyrodna córka, nawet nie pomyślała, że należałoby tu zrobić porządek.

Szybko zapaliła znicze i postawiła je na grobach. Nie modliła się, nie wspominała swoich bliskich, zwyczajnie nie miała na to czasu. Zanim odwróciła się od grobów, pomyślała jeszcze, że to dobrze, że są tylko dwa krzyże, a nie trzy. To bardzo dobrze, że nie musi stawiać znicza na grobie własnego dziecka. Gdy wróciła do samochodu, oczekiwała, że Kamil zapyta o Krzysia i Pawła. Chciała, żeby okazał jej zainteresowanie. Niestety, milczał.

Drzwi otworzył Edward Lasocki. Wyglądał okazale w popielatej koszuli i grafitowym krawacie. Nie zdziwiła się, że miał na stopach ciemne pantofle. Elegancki mężczyzna, jakim bez wątplenia był sędzia, nie przyjmuje kobiety w kapciach czy skarpetkach. Podała mu butelkę wina. Podziękował i odstawił ją na szafkę. Poszli do jego gabinetu. Spodziewała się, że zobaczy ściany przyozdobione historycznymi papierami wartościowymi. Ale że będzie ich aż tyle? Wisiały w rzędach jedne pod drugimi, chyba ze czterdzieści sztuk. Usiedli na czarnych, skórzanych fotelach. Sędzia postawił na dzielącym ich stoliku dwa kieliszki i napełnił je bursztynowym płynem.

– To gruziński koniak – oznajmił. – Napijemy się przed obiadem.

Milena wychyliła alkohol, założyła nogę na nogę i spojrzała na swoje odsłonięte kolano. Ze zdumieniem spostrzegła, że wcale nie jest kościste.

– Panie Edwardzie, mam do pana kilka pytań – zaczęła.

– Pani Mileno, proszę pytać – zachęcił.

– No więc trochę sobie poczytałam w internecie o historycznych papierach wartościowych. Sporo już wiem, ale... jak kolekcjonerzy odnoszą się do możliwości przejęcia przedwojennego majątku na podstawie tych akcji?

Sędzia dopiero teraz odstawił kieliszek na stół. Wsparł ręce na poręczach fotela i zaczął mówić:

– Pani prokurator, kolekcjonerzy dobrze wiedzą, że nie są prawowitymi właścicielami akcji, a więc nie mogą domagać się wskrzeszenia spółek i zwrotu przedwojennego majątku. Takie prawo mają tylko legalni spadkobiercy papierów wartościowych. I dlatego w ostatnich latach pojawiło się niemało przypadków fałszerstw dokumentów legalizacyjnych. Ze smutkiem muszę stwierdzić, że to nasze prawnicze środowisko najczęściej dopuszcza się tych fałszerstw. Pocieszające jest to, że od 2009 roku ABW przygląda się wszystkim spadkobiercom, którzy próbują odzyskać przedwojenny majątek. Przedstawiane przez nich testamenty są gruntownie prześwietlane.

Milena słuchała uważnie, a to, co usłyszała, odnosiła do motywu, jakim mógł kierować się Janusz Kruk. To on był teraz ich głównym podejrzanym. Czy rzeczywiście przekonanie, iż Szymański działał na zlecenie Żydów, popchnęło tego człowieka do zbrodni? Skąd wzięły się te obsesje Kruka w racjonalnym środowisku kolekcjonerów? Co je podsycało?

Gdy tylko sędzia umilkł, zadała kolejne pytanie:

– Czy jednak ci mniej świadomi kolekcjonerzy nie wierzyli w ducha, że z czasem staną się właścicielami wielkich fortun? Czy podczas waszych spotkań nie szeptano po kątach o tych nielicznych przykładach reaktywacji spółek? A czy czasem nie mówiono, że Żydzi planują odzyskać swoje przedwojenne firmy i wykorzystają do tego zabytkowe papiery?

– Pani Mileno, nie ma mniej świadomych kolekcjonerów, no, może są ci początkujący, którzy muszą uzupełnić swoją wiedzę. Ludzie zwykle myślą, że nasze hobby polega na gromadzeniu przedmiotów, nic bardziej mylnego. My zajmujemy się też zdobywaniem wiedzy o emisjach i towarzyszących im wydarzeniach. Nasze stowarzyszenie organizuje wykłady, konferencje, wystawy, wydajemy rocznik poświęcony historycznym papierom wartościowym. My wszyscy jesteśmy w tym temacie bardzo wyedukowani.

Milena wpatrywała się w kamienną fizys Edwarda Lasockiego i zastanawiała się, czy ten człowiek

kiedykolwiek się uśmiecha. Nie chciałyby codziennie patrzeć na jego srogie oblicze. Miał nieprzyjemną twarz, owszem, przystojną, ale rysy, te najbardziej indywidualne włókna mięśni biegnące od warg w stronę nosa, oczu i uszu, sprawiały, że wyglądał na wiecznie rozgniewanego.

– Czy pan wie, dlaczego właśnie o to wypytuję?

– Tak, wiem. Ustala pani motyw zabójstwa. Poznacie motyw – znajdziecie mordercę. Proste i prawdziwe. Sprawca na pewno nie ukradł walorów, aby się wzbogacić. To pewne.

– To po co je ukradł? Dlaczego z ich powodu zabił?

Sędzia się poruszył na fotelu, jakby chciał zająć wygodniejszą pozycję.

– A te spektakularne kradzieże obrazów ze światowych muzeów? Gdzie trafiają te płótna? Do sejfów bogatych miłośników sztuki. To nie jest żadna inwestycja kapitału, bo przecież tego obrazu nigdy nie będzie można sprzedać.

– Pan wie, kto był na tej licytacji, pan ich zna. Kogo pan podejrzewa?

– Nikogo. Poza tym nie znam wszystkich, widziałem tam nowych ludzi. Nie wiem, czy to są kolekcjonerzy czy dopiero kandydaci na kolekcjonerów. Przykro mi, pani Mileno, ale nie wskażę pani sprawcy.

Spojrzała na walory wiszące na ścianach, wszystkie w złotych, cienkich ramkach. Identycznie oprawione były także trzy fotografie stojące na regale. Na pierwszym zdjęciu rozpoznała piękną Izabelę. Drugie przedstawiało nastoletniego chłopca o dużych ciemnych oczach. Na trzecim zobaczyła surową twarz sędziego.

– Panie Edwardzie, pan też brał udział w licytowaniu akcji zakładów Schichaua i waloru Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce. Dlaczego pan tych walorów nie wylicytował?

– Bo zrobił to Henryk Szymański?

Milena nie miała zamiaru ukrywać swojego niezadowolenia. Tego typu lakonicznych i wykrętnych odpowiedzi sędzia może udzielać natrętnym dziennikarzom, ale nie jej, nie prokuratorowi.

– Czy mógłby pan coś więcej dodać? – zapytała chłodno.

– Pani Mileno, proszę uwierzyć, że moja odpowiedź jest prawdziwa. Tak, mogłem licytować dalej, bo mnie na to stać, ale to nie sztuka wykupić wszystkie najlepsze walory w kraju. Proszę zrozumieć, że kolekcjonowanie to nie tylko gromadzenie przedmiotów, to również udział w życiu całego środowiska, w różnych wydarzeniach, choćby w aukcjach. I uczestniczy się w nich na określonych prawach, z poszanowaniem innych. Tamtego dnia Szymański licytował lepiej. Nie miałem wyjścia, musiałem spasować, gdybym tego nie zrobił, prawdopodobnie bym się ośmieszył. I przede wszystkim nie miałbym radości z zakupu przepłaconej akcji.

Milena kiwała głową na znak, że rozumie. Właśnie taką wizję kolekcjonowania sobie wyrobiła, gdy przesłuchiwała tych kilku zbieraczy w hotelu „Pod Lwem”.

– Jakim kolekcjonerem był Henryk Szymański? – zapytała.

– Dobrym. Świadomie nabywał akcje i udało mu się stworzyć interesującą kolekcję. Aż się boję, w czyje ręce ona teraz trafi. Proszę mi uwierzyć, że nieodpowiedzialny spadkobierca może narobić niemałego zamieszania w naszym środowisku. – Sędzia westchnął, jakby chciał podkreślić, że naprawdę się martwi o kolekcję Szymańskiego. Po czym kontynuował: – Dobrze byłoby, gdyby skontaktował się ze mną, udzieliłbym mu kilku praktycznych rad. Nie powinien na przykład próbować pozbyć się kolekcji w całości. Wypuszczając pojedyncze walory, więcej za nie dostanie. No i dla nas lepiej, jak atrakcyjne rzeczy pojawiają się na aukcjach stopniowo. Wtedy z większą świadomością można budować własną kolekcję.

– Ustalenie spadkobiercy nie jest takie proste.

– Dlaczego nie? Jak dobrze kojarzę, to Szymański nie miał rodziny, tak?

– Swoją kolekcję i mieszkanie zapisał... zwycięzcy biegu na orientację.

Żaden mięsień na twarzy sędziego nie drgnął, ale chyba jej słowa go poruszyły, bo pochylił się i ostrzejszym tonem powiedział:

– Tak jak profesor Szulc.

Milena nie była zaskoczona, że sędzia wie o ostatniej woli starszego małżeństwa. Nic dziwnego, że Izabela poinformowała ojca o tak oryginalnym zapisie.

– Zastanawiamy się, dlaczego ich testamenty są takie same, Szymańskiego i Szulców. Cała trójka zginęła tego samego dnia, a więc spadki będzie można zgarnąć podczas jednych zawodów na orientację. Nie uważa pan, że to może rodzić pytania?

Sędzia milczał, Milena również. Czekwała, aż Edward Lasocki wypowie się na temat zapisów testamentowych. Zapytał w końcu:

– Czy Henryk Szymański znał się z małżeństwem Szulców?

– Tak – odpowiedziała.

– No to wszystko jest jasne. – Sędzia lekko uderzył otwartą dłonią w poręcz fotela i ciągnął: – Szymański nie miał rodziny. Domyślam się, że Szulcowie też nie. No i któregoś dnia przy kawie albo czymś mocniejszym wpadli na pomysł takiego właśnie testamentu. Ja to widzę jako chichot zza grobu. A pani?

– Może ma pan rację, może to tylko żart z ich strony, ale... No właśnie, jakoś mam problem, żeby wierzyć w przypadki. Ta ich śmierć, całej trójki jednego dnia. Przypadek?

– Jest pani prokuratorem. Pani obowiązkiem jest podejrzewać, a nie wierzyć. – Podniósł się. – A teraz chodźmy na obiad.

Gdy weszli do salonu, trzy pary oczu skierowały się w ich stronę. Błękitne tęczę Izabeli były spokojne, wręcz nieruchome, jakby właśnie poddawała się badaniu okulistycznemu. Rafał, przeciwnie, miał spojrzenie rozbiegane. Jego zielone oczy wydawały się szukać nerwowo punktu zaczepienia, w końcu zatrzymały się na twarzy Mileny. Ukłonił się lekko i podszedł, aby uścisnąć jej dłoń. Ponad jego ramieniem zobaczyła trzecią parę oczu, ciemnych i dużych. To zapewne syn Edwarda Lasockiego i brat Izabeli, niepodobny do żadnego z nich. Twarz chłopca była drobna i żywa. Pod jasną skórą drgały mięśnie. Gdy pochyłał się nad jej dłonią, jego policzki zaczerwieniły się lekko.

Sędzia wskazał jej krzesło. Usiadła. Rodzinny obiad, ojciec z dwójką dzieci i zięciem, i jeszcze ona, obca. A gdyby należała do tej rodziny, jak by się czuła? Źle. Ta odpowiedź pojawiła się w jej głowie bardzo szybko, prawie równocześnie z pytaniem. Wołała inną atmosferę przy posiłkach, taką, jaka panowała u niej w kuchni, gdy zasiadali do stołu we troje, ona, Paweł i Krzys. Ileż wtedy było śmiechu i przekomarzania się! A tutaj kamienne i surowe twarze. No i jeszcze to wiszące w powietrzu zakłamanie. Spojrzała na dyrektora Lipca. On kłamał na pewno. Zdradzał swoją żonę przez wiele miesięcy z młodsiutką recepcjonistką. A inni w tym gronie? Czy mają coś na sumieniu? Izabela, taka piękna. Kto wie? Może nie pozostawała dłużna swojemu mężowi? A sam sędzia? Milena uśmiechnęła się na wspomnienie zeznań Janusza Kruka, który wskazywał na Lasockiego jako na sprawcę. Pozostawał jeszcze chłopiec w niebieskiej koszuli, syn Edwarda. Wyglądał na piętnaście lat. Za młody, żeby go podejrzewać o coś naprawdę poważnego.

Na stole pojawiła się pieczona kaczka. Pachniała kusząco i wyglądała smakowicie. Milena nałożyła sobie udko, sporo ziemniaków i trzy surówki. Nikt nie miał tak wypełnionego talerza jak ona, ale nie zamierzała się tym przejmować. Przyszła tu na obiad i chciała się najeść, tym bardziej, że jej lodówka świeciła pustkami.

Gdy tylko zakończyli kurtuazyjną wymianę zdań o pogodzie, zapytała Izabelę o testament Szulców.

– Kiedy pani zamierza go upublicznić?



– W poniedziałek to zrobię – odpowiedziała lakonicznie Izabela.

– A czemu nie we wtorek? – zapytała zaczepnie Milena.

Chciała wprowadzić trochę luzu do rozmowy. Dlaczego nie mają tak po prostu pogawędzić sobie przy obiedzie? Izabela jednak zachowała służbową powagę, może temat nie ten. Uprzejmie wyjaśniła, że ma obowiązek upublicznić zapis testamentowy na kilkanaście dni przed zawodami. Właściwie dziś powinna to zrobić, ale ze względu na Święto Zmarłych poczeka do poniedziałku.

Milena patrzyła na jej nienaganną fryzurę, na wzorowy układ ciała, łokcie blisko tułowia, plecy wyprostowane, nadgarstki lekko uniesione. Nawet żuchwą pani notariusz poruszała harmonijnie i z gracją. Izabela przestała jeść. Skrzyżowała sztucze nad talerzem i zaczęła mówić:

– Zastanawiałam się nad formą komunikatu dla mediów. Czy informować o tragicznej śmierci profesora i jego żony? Jak pani myśli? Nie rozpisywali się dotąd o ich samobójstwie, no bo akurat był inny temat, dużo ciekawszy, morderstwo w hotelu „Pod Lwem”. Tak sobie myślę, że może po prostu wysłę mediom kopię testamentów.

– To dobry pomysł – powiedziała Milena.

– Już mówiłem Belli, że znakomity – podjął Rafał. – Niech redakcje same decydują, jak tego newsa podać czytelnikom. Myślę, że w pierwszym zdaniu będą pisać właśnie o samobójstwie Szulców. Już widzę te komentarze... – Rafał zerkał na żonę, jakby chciał się upewnić, czy na pewno mówi rzeczy, które ona życzy sobie usłyszeć. – Spodziewam się, że niejeden wpis dotyczyć będzie dylematów, czy wypada walczyć o spadek po samobójcach. Wielu na pewno będzie w sieci bojkotowało same zawody, no i uczestników też. – Dyrektor Lipiec spojrział teraz na sędziego, a jego twarz wyrażała pełne napięcia oczekiwanie. Chyba liczył na to, że teść wyrazi podobną opinię albo chociaż w jakikolwiek sposób zareaguje na jego słowa. Edward Lasocki zignorował jednak zięcia.

Milena poinformowała Izabelę i Rafała o testamencie Szymańskiego. Oboje się zdziwili, że kolekcjoner również zapisał swój majątek zwycięzcy biegu na orientację. Rafał zaczął zliczać, ile może wynieść nagroda w „Harpaganie”, wyszło mu, że około miliona.

– Tak, to niezła fortunka – zaczął sędzia – i dlatego myślę, że ludzie nie będą mieć dylematów. Wydaje mi się, że zgłosi się sporo chętnych. Sam się zastanawiam... Ta kolekcja po Szymańskim, trochę jej szkoda.

Milena nie była pewna, czy dobrze zrozumiała sens ostatnich słów sędziego. Izabela też miała wątpliwości, bo zapytała:

– Tato, czy ty planujesz wziąć udział?

– Zastanawiam się nad tym. Gdy studiowałem, często biegałem na orientację, raz w Bieszczadach, pięćdziesiąt kilometrów. Zająłem wtedy trzecie miejsce.

Rafał nie ukrywał swojego zaskoczenia.

– Tato chce z całą chmarą ludzi uganiać się po lesie? Nie rozumiem. Po co?

– Dla kolekcji, żeby nie wpadła w niepowołane ręce. Oczywiście nie wziąłbym jej dla siebie. Przekazałbym ją stowarzyszeniu. Na zebraniu walnym zaplanowalibyśmy, co z nią dalej zrobić, jak ją wprowadzić na rynek aukcyjny.

Izabela poprawiła złote serduszko na szyi.

– Tato, czy warto się tak fatygować? – zapytała. Jej twarz nie wyrażała niepokoju, ale chyba się martwiła o ojca, bo przekonywała go dalej: – Wygranie takich zawodów, przy tak wielkiej konkurencji, nie będzie łatwe. Szanse na zwycięstwo nieduże, a wysiłek... Zastanów się jeszcze.

Wyglądało na to, że Edward Lasocki podjął już decyzję i nie zamierza jej zmienić. Wyciągnął rękę w stronę córki, prosząc ją tym stanowczym gestem, żeby umilkła. Sam oznajmił:

– Moi drodzy, to nie tak, jak sobie wyobrażacie. Ja nie mam zamiaru ścigać się z bandą dzieciaków.

Zresztą większość z nich wykruszy się po dziesięciu kilometrach albo nawet wcześniej. Ja będę rywalizował z profesjonalnymi zawodnikami, bo tacy też przyjadą na biegi, zapewne z całej Polski. Czy mam szansę? Jakież mam. Weźcie pod uwagę, że moim atutem będzie dobra znajomość terenu. Objechałem rowerem całą Wysoczyzną Elbląską i przebiegłem chyba przez każdą leśną ścieżkę.

Przy stole na moment zapadła cisza, którą przerwał Rafał:

– Właściwie tato nie jest bez szans. Będziemy tacie kibicować.

Rafał poparł pomysł teścia wbrew woli żony i teraz z obawą zerkał na Izabelę. Ta rzeczywiście była niezadowolona. Mało przyjemnym tonem powiedziała do męża:

– A może wyręczyłbyś tatę w tych zawodach?

– Ależ kochanie, ja? – Na wysokim czole Rafała Lipca pojawiły się krople potu.

Milenie wystarczyło dwadzieścia minut, żeby poznać relacje między członkami tej rodziny. Tutaj rządził sędzia. Izabela próbowała dorównać ojcu siłą charakteru i stanowczością. Oboje nie lubili sprzeciwu i obojga cechował niemały egoizm. Rafał całkowicie im się podporządkował. Prawdopodobnie miał nadzieję, że w ten sposób zyska ich uznanie. Mylił się jednak. Niczego nie ugrał, ale za to wiele stracił, przede wszystkim poczucie własnej wartości. Może próbował to poczucie odzyskać, wdając się w romans z młodą recepcjonistką. Teraz Milena inaczej patrzyła na związek Rafała z Ester. Dziewczyna zapewne była w niego zapatrzona, podziwiała go i uwielbiała bez żadnych zastrzeżeń. Jakaż odmiana w porównaniu z wymagającą i egoistyczną żoną.

Rafał rozpiął górny guzik przy koszuli i wykonał ruch, jakby chciał obetrzeć czoło z potu, powstrzymał się jednak. Patrzył teraz niespokojnie na Milenę. Nagle zapytał:

– Jakież postępy w śledztwie?

Zauważyła, że brat Izabeli uniósł głowę i znieruchomiał. Nawet nie przełknął jedzenia trzymanego w ustach. Widać było, że wielce zajmuje go sprawa podwójnego morderstwa w hotelu „Pod Lwem”. Nic dziwnego, na pewno w ostatnich dniach tylko o tym mówiło się w szkole i na Facebooku. Teraz chłopiec ma okazję dowiedzieć się czegoś więcej, a potem będzie mógł pochwalić się tą wiedzą.

Znowu miała pusty talerz. Odłożyła widelec. Widziała wlepiony w siebie wzrok chłopca. Czekał z zapartym tchem na jej słowa. Miał duże ciemne oczy, trochę podobne do oczu jej synka. Chciała zasłonić się tajemnicą śledztwa, ale zmieniła zdanie. Niech brat Izabeli ma to, na co tak czeka. Poinformowała zebranych o ucieczce Janusza Kruka.

Ciemne oczy chłopca wciąż wpatrywały się w Milenę. Górna warga lekko mu drgała, odsłaniając niezwykle białe zęby. Uroczy dzieciak. Taki zainteresowany śledztwem. Może to przyszedł prokurator? Albo sędzia jak ojciec? Chłopiec bezgłośnie wypowiedział dwa, trzy słowa. Milenie zdało się, że prosi ją, aby coś jeszcze wyjawiała. Nie miała zamiaru nic więcej mówić. I tak posunęła się za daleko, podając nazwisko podejrzanego.

Drgnęła, czując, że coś wchodzi jej na stopę. Kot? Nie, to była fretka, najprawdziwsza w świecie fretka. Wyciągnęła do niej rękę. Fretka uznała to za zaproszenie i wspięła się na dłoń Mileny. Potem przesunęła się na przedramię i przywarła brzuchem do rękawa koszuli. Cudowna, słodka, rozkoszna, Milenie brakowało określeń. Przesunęła dwoma palcami po grzbiecie fretki. Dopiero teraz zauważyła, że naprzeciw niej stoi syn sędziego. Oddała mu zwierzątko z głębokim przekonaniem, że sprawi sobie takie samo.

Do salonu weszła gosposia z kawą. Sędzia przyniósł ze swojego gabinetu gruziński koniak. Atmosfera zrobiła się swobodniejsza. Milena próbowała wciągnąć w rozmowę brata Izabeli, przychodziło jej to z trudem. Chłopiec czerwieniał się i odpowiadał krótkimi zdaniami. Gdy ponownie zaczęła wypytywać o fretkę, rozluźnił się nieco. Sporo wiedział o tych zwierzątkach i to nie tylko o hodowli. Wspomniał, że na obrazie Leonarda da Vinci „Dama z łasiczką” jest właśnie fretka, samiec albinos, a nie żadna łasiczka

czy jakiś tam gronostaj.

Brat Izabeli przypadł jej do gustu. Tak bardzo się różnił od pozostałych członków rodziny. Trochę nieśmiały, ale też naturalny i chyba bardzo wrażliwy. Tylko ona próbowała nawiązać z nim rozmowę. Pozostali pomijali go z pełną konsekwencją. Był dla nich tylko dzieckiem. Chłopiec pierwszy skończył swój deser. Podziękował, powiedział jeszcze, że musi się uczyć angielskiego, i wyszedł z pokoju.

Milena powoli dopijała kawę. Nie miała ochoty wracać do pustego mieszkania. A może zadzwoni do Kamila i zaproponuje mu przechadzkę po mieście? To zły pomysł, jest już późno i chyba nawet pada. Nie zważając na gospodarza i jego rodzinę, wstała i podeszła do okna. Strugi deszczu lśniły w świetle lampy ulicznej. Nie wzięła parasolki. To nic, wróci taryfą, a gdy znajdzie się już u siebie, zadzwoni do brata i powiadomi go, że była wczoraj na cmentarzu, i podziękuje mu za posprzątanie grobów.

Sędzia stanął obok niej.

– Lubię, gdy pada. Rzadko się do tego przyznaję, ale pani chyba może?

– Nie wykorzystam tej informacji przeciwko panu. Obiecuję.

Pochylił się do niej i przyciszonym głosem zapytał:

– Pani Mileno, ten Janusz Kruk to pewne? Macie coś na niego?

Konspiracyjny szept Edwarda Lasockiego obudził w niej czujność. Gdyby to pytanie zadał przy stole, odpowiedziałyby zgodnie z prawdą, że Kruka najbardziej obciąża jego ucieczka. Teraz jednak wołała udzielić wymijającej odpowiedzi.

– Wie pan, jak to jest – zaczęła ostrożnie. – Może i mamy mocne dowody, ale może się też okazać, że to Kruk będzie musiał nam udowodnić, że jest winny.

Czekała na kolejne pytanie sędziego i zastanawiała się, o co tu chodzi. Kilka dni temu Janusz Kruk próbował ją przekonać, że to Edward Lasocki zamordował Szymańskiego. A teraz sędzia... Czyżby panów trawiła aż tak ogromna wzajemna nienawiść?

Deszcz tracił na intensywności. Może jednak wróci pieszo. Przechadzka przyda się po obfitym obiedzie. Chciała odejść od okna, ale sędzia zatrzymał ją, kładąc dłoń na jej przedramieniu. Niedwuznacznie zasugerował, aby przyjrzała się Łukaszowi Markowskiemu. Milena była zaskoczona, że sędzia podsuwa jej ten trop. Dlaczego nie wspomniał o nim dwie godziny temu, u siebie w gabinecie? Wyglądało na to, że chce odwrócić jej uwagę od Janusza Kruka. Czy to możliwe?

– Komisarz Soroka przesłuchał Markowskiego – powiedziała. – Ten chłopak jest poza wszelkimi podejrzeniami. To na pewno nie on.

Nadal patrzyła na mokrą ulicę. Nie na twarz sędziego, bo po co? Jego kamienne rysy nic jej nie powiedzą. Pojedyncze krople spływały po szybie.

– Wypogadza się – zauważył Edward Lasocki. Poklepał ją poufale po przedramieniu i dodał: – Proszę tak nie ufać komisarzowi. To dobry funkcjonariusz, ale pani jest od niego lepsza. Niech pani sama przesłucha Markowskiego.

Kochane pochlebstwo, tak łatwo przy jego pomocy pokierować drugim człowiekiem, ale nie nią.

## Rozdział XV

Biuro organizatora biegów na orientację „Harpagan” mieściło się w prywatnym mieszkaniu. Z wąskiego korytarza Rumun przeszedł do pokoju, w którym stały jedynie biurko z komputerem oraz fotel obrotowy. Usiadł na nim. Pochylił się, żeby przeczytać na monitorze dwa słowa wpisane w wyszukiwarce internetowej: *Leon Szulc*.

W drzwiach pojawił się chłopak. Trzymał w ręku butelkę ze smoczkiem.

– Napije się pan czegoś?

– Mleka? Nie, dziękuję, od trzydziestu lat nie piję.

– Mam jeszcze kawę.

Rumun ponownie podziękował. Gospodarz wyszedł i za chwilę wrócił, niosąc mały taboret. Postawił go przy drzwiach i usiadł na nim. Zdjął okulary i przetarł oczy. Miał chłopięce rysy, które odejmowały mu lat, ale liczne, drobne zmarszczki wokół oczu wskazywały, że może mieć już trzydziestkę.

– Jest pan prezesem „Harpaganu”? – zapytał funkcjonariusz.

– Tak – odpowiedział. – Przepraszam, że nie przyjmuję pana w garniturze, ale lubię wygodę. – Złapał za sweter na brzuchu i rozciągnął go maksymalnie. – Przepraszam też, że sekretarka panu nie otworzyła drzwi, ale akurat dzisiaj dałem jej wolne.

Rumun rozparł się w fotelu i zagadnął, ale bez tego ironicznego tonu, który pojawił się w wypowiedzi jego rozmówcy:

– No to, panie prezesie, zarobi pan na najbliższych zawodach. Sześćdziesiąt złotych wpisowego.

– Zwykle zgłasza się dwieście, trzysta osób. Teraz na pewno będzie więcej. Ale ile? Nie mam pojęcia. Już ustaliliśmy, że gdy lista przekroczy dwa tysiące zgłoszeń, zamkniemy ją. Więcej to już nie ma sensu. Biegi na orientację to nie pochod ani procesja.

– A więc dwa tysiące razy sześćdziesiąt złotych, sto dwadzieścia tysięcy, niezła sumka – podliczył aspirant.

Prezes obracał w palcach okulary. Nagle zaczął się im przyglądać, jakby był zaskoczony, że w ogóle trzyma je w ręku. Prawdopodobnie nie należały do niego, wyglądały na damskie, to przez te czerwone oprawki.

– Liczymy na trochę większy zysk.

– Jeszcze większy? A jak? – zapytał Rumun.

– Chcemy podnieść wpisowe do stówy. Byłoby więc dwieście tysięcy, ale trzeba od tego odliczyć podatek, no i inne koszty, wydruk dwóch tysięcy map, puchary, dyplomy. Planujemy przygotować kuchnię polową, grochówka, gorąca herbata i kawa.

– Znał pan profesora Szulca? – zapytał funkcjonariusz.

– Nie, nie znałem, nawet nigdy o nim nie słyszałem. – Prezes kiwnął głową w stronę komputera. – Właśnie próbowałem czegoś się o nim dowiedzieć.

– A Henryka Szymańskiego też pan nie zna?

– Nie, nie znam. Kto to jest?

– To kolekcjoner historycznych papierów wartościowych, zamordowany dziesięć dni temu w Elblągu, w hotelu „Pod Lwem”. Słyszał pan o tym?

– Jasne, że słyszałem. Wszędzie o tym trąbili. Dlaczego pan o niego pyta?

– Bo on również zapisał swój majątek zwycięzcy biegu na orientację. Mieszkanie w Olsztynie i kolekcję zabytkowych papierów.

Prezes był wyraźnie zaskoczony.

– Ja pier... Co to jest? – Zachichotał. – Ja się niedługo będę bał odebrać telefon, żeby nie usłyszeć, że ktoś zginął tragiczną śmiercią i zostawił spadek „Harpaganowi”. Kurde, ja chcę normalnie żyć.

– Nie domyśla się pan, dlaczego oni sporządzili zapis na rzecz zwycięzcy biegu na orientację? – pytał dalej funkcjonariusz.

– Wpisywałem w wyszukiwarce nazwisko Szulc i takie słowa, jak biegi, zawody, „Harpagan”, sport. Niestety, na nic nie trafiłem. Wie pan, my działamy od dwudziestu lat, może kiedyś ten Szulc brał udział w naszych zawodach, i może nawet wygrał. Sprawdziłem listy startowe z ostatnich trzynastu lat, bo mam je w komputerze. Żadnego Szulca nie znalazłem. Może wcześniej... Niestety, nie mam list startowych sprzed dwutysięcznego roku.

– Wielu będzie chciało te zawody wygrać. Chyba się pan ze mną zgodzi? – Prezes przyznał mu rację. – Na pewno zgodzi się pan też z tym, że zawodnicy będą próbowali was, organizatorów, wykiwać i zapewnić sobie wygraną. Ja chcę wiedzieć, czy to możliwe.

– Oczywiście, że tak. Wystarczy, że zawodnik zostanie do kolejnego punktu podwieszony samochodem. Ale to nie gwarantuje mu wygranej, bo ktoś inny będzie sprawniej odnajdywał zaznaczone na mapie punkty. To w końcu bieg na orientację.

– Czyli mam rozumieć, że tylko przy waszej pomocy... – zaczął aspirant.

– Tak – potwierdził prezes, nie dając mu skończyć zdania. – Możemy tak zrobić, żeby konkretny uczestnik wygrał te zawody. – Mężczyzna spojrzał w bok i dodał: – Ale my jesteśmy uczciwi.

Rumun się uśmiechnął. Nie miał wątpliwości, że tę możliwość organizatorzy brali pod uwagę. Prawdopodobnie to nie uczciwość odwiodła ich od ustawienia zawodów. Raczej obawiali się, że cała sprawa się sypnie, a wtedy straciliby nie tylko nagrodę zapisaną zwycięzcy, ale też reputację.

– Czy mógłby pan krótko nakreślić mi, na czym polega ten cały „Harpagan”? – poprosił funkcjonariusz. – Wystarczy parę zdań. Ja już trochę poczytałem o tym, ale niech pan do mnie mówi jak do laika.

– Sto kilometrów w dwadzieścia cztery godziny, dałby pan radę? Zapewne pan myśli, że tak, bo przecież jest pan wysportowanym gliniarzem. Ale niech mi pan wierzy, to nie takie proste. Startowali u nas żołnierze po misji w Afganistanie i wymiękli. Wszyscy dostają mapy z zaznaczonymi punktami, w których trzeba się stawić o określonej porze. Nie przyjdiesz na punkt kontrolny na czas i już cię nie ma w zawodach. Zawsze tworzymy dwie pętle po pięćdziesiąt kilometrów. Startujemy o dwudziestej pierwszej, a więc pierwszą pętlę robi się po ciemku. Zawsze się boję, że ktoś nam zejdzie na serce podczas zawodów. Ludzie nie zdają sobie sprawy, co to za wysiłek. Choć większość jest dobrze przygotowana, fizycznie i pod względem ekwipunku. Ja raz ukończyłem „Harpagan”, ale na osiemdziesiątym kilometrze miałem halucynacje. Bo wie pan, w czasie biegu...

Rumun obawiał się, że mężczyzna zaraz zacznie opowiadać o własnych przeżyciach, żeby temu zapobiec, podniósł się i oznajmił:

– Dziękuję panu, tyle informacji w zupełności wystarczy.

Prezes też wstał i stopą odsunął taboret, umożliwiając wyjście z pokoju. Chyba nie chciał, żeby funkcjonariusz opuścił jego mieszkanie z jakimiś wątpliwościami, bo powiedział jeszcze:

– Możemy odwołać elbląski „Harpagan”.

– Chce pan zrezygnować z zarobienia tych dwustu tysięcy? Szkoda by było.

– Szkoda, ale skoro macie mnie podejrzewać...

– My pana o nic nie podejrzewamy. Moja wizyta tutaj to tylko formalność.

Uścisnęli sobie dłonie i Rumun wyszedł. Wyglądało na to, że organizatorzy nie mieli nic wspólnego z samobójstwem Szulców ani tym bardziej z zamordowaniem kolekcjonera historycznych papierów. Wiedział to, zanim tu przyjechał. Od czterech dni głównym podejrzanym był Janusz Kruk, niestety nadal pozostający na wolności.

Aspirant szybko zbiegał po schodach. Spieszyło mu się. Przed nim jeszcze godzinny powrót do Elbląga, a chciał zdążyć na strzelnicę, żeby chociaż przez godzinę postrzelać. Nie wystarczały mu obowiązkowe szkolenia, organizowane dwa razy do roku dla pionu kryminalnego. Jeżeli nadal chciał wygrywać ogólnopolskie zawody strzeleckie, nie tylko policyjne, to musiał trenować więcej. Chodził na komercyjną strzelnicę przynajmniej raz w tygodniu. Żałował jedynie, że nie mógł tam używać służbowego walthera. Na szczęście strzelnica posiadała duży wybór broni krótkiej i długiej. Lubił celować, naciskać spust i trafiać. Wszystko w strzelaniu było fantastyczne, nawet ten huk i jednoczesny kop w rękę. Przyjemne było napięcie mięśni na plecach i karku, gdy przymierzał się do strzału. Ważne były też nogi, mocne, utrzymujące całą sylwetkę w bezruchu. Nogi faktycznie miał mocne, przekonywał się o tym zawsze na egzaminie ze strzelania dynamicznego, kiedy trafiali do celu po wysiłku fizycznym. Bieg, pompki, rzucanie piłką lekarską, pokonywanie płotków i potem trzy sekundy na oddanie strzału. Stawał w rozkroku, nogi ugięte w kolanach, w prawym ręku broń, lewą ręką podtrzymywał prawą w łokciu, wstrzymywał oddech i strzelał, idealnie.

Zaparkował na ulicy Junaków i poszedł na strzelnicę. Nie musiał się legitymować, znali go tu dobrze. Pobrał broń i amunicję. Zwykle strzelał z pistoletu walther P-99, kaliber 9 milimetrów, bo to jego model służbowy, tym razem wziął karabinek mauser 98k, 7,92 milimetry. Na strzelnicy znajdowało się siedem stanowisk. Na pierwszym torze zobaczył Patryka, syna sędziego Lasockiego. Rumun rozmawiał z nim parę razy i obserwował go trochę podczas treningu. Musiał przyznać, że chłopak nieźle strzela. Należał do sekcji strzeleckiej Klubu Orzeł, ale chyba było mu mało, skoro przychodził jeszcze tu. Patryk strzelał zwykle z pistoletu beretta 92SF, kaliber 9 milimetrów. Rumun zapytał go kiedyś, dlaczego akurat ta broń. Chłopak trochę zmieszany wyjawiał, że berettę ma jego ojciec i że od dziecka marzył o strzelaniu właśnie z takiego pistoletu.

Aspirant zajął piąty tor. Załadował broń, po czym uklęknął, przysiadając na piętach. Pochylił się do przodu, wykorzystując kolano jako podpórkę. Miał do tarczy dwadzieścia pięć metrów. Wymierzył, wstrzymał oddech i strzelił. Huk i odrzut. Trafił w sam środek, znakomicie. Nadal klęczał, ale bez przysiadania na piętach. Teraz było trudniej, bo nie mógł oprzeć ręki na kolanie. Podniósł karabinek, wymierzył, wstrzymał oddech i pociągnął za spust. Znowu w sam środek.

– Brawo – powiedział ktoś za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył Patryka Lasockiego. Stał ze swoją berettą, trzymając ją przepisowo lufą w dół i nie dotykając spustu.

– Chciałbym tak trafiać jak pan – powiedział nieśmiało.

– Chcesz rady?

– Tak – odpowiedział chłopak z nadzieją w głosie.

Rumun podniósł się z kolan i powiedział poważnie:

– Oprócz tarczy wyznacz jeszcze sobie jakiś inny cel.

Patryk drgnął. Mięśnie na jego twarzy napięły się.

– Jaki cel? – zapytał ciszej.

– No na przykład jak trafisz trzy razy pod rząd do tarczy, to dopiero wtedy pójdziesz na pizzę albo zjesz

czekoladę, czy co tam lubisz. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedział. Po chwili dodał: – Ja mam cel, niejeden.

Chłopak chciał już odejść, ale Rumun zatrzymał go, mówiąc:

– Pamiętaj, żeby naciskać spust bez zastanowienia, strzał musi cię zaskoczyć. Jeżeli będziesz myślał o tym, że zaraz pociągniesz za spust, to nie trafisz w tarczę, możesz nawet wtedy zerwać strzał.

– To wiem, instruktor też mi tak mówił.

Patryk podziękował jeszcze za radę i skierował się do wyjścia.

## Rozdział XVI

Milena przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. Starła się spojrzeć na siebie z dystansem, trochę cudzymi oczami. Przeciętna? Ładna? Na pewno nie uznałyby siebie za jakąś maskarę. Ma ładne zęby. Powinna je częściej pokazywać. Uśmiechnęła się.

– Co? Jakieś miłe wspomnienia? – zapytała młoda fryzjerka nakładająca właśnie farbę na jej włosy.

– Tak – odpowiedziała machinalnie Milena.

Teraz próbowała dostrzec w swojej twarzy coś więcej niż tylko szczegóły fizjonomiczne. Jaką kobietę widzą ludzie, patrząc na jej rysy? Pewną siebie? Stanowczą? Konsekwentną? Czy widać po niej, że jest kimś ważnym? Ciekawe, co o niej myśli choćby ta młoda fryzjerka.

W salonie było przytulnie. Wygodne fotele, cicha muzyka, jasne światło elektryczne, zdjęcia pięknych kobiet na ścianach, oczywiście każda w innej, efektownej fryzurze. Sielankową atmosferę zakłócała jedynie woń amoniaku.

Milena przyknęła oczy i założyła nogę na nogę. Potrzebowała chwili relaksu, kilku minut zupełnego odprężenia, ale właśnie w tym momencie w jej torebce zadzwoniła komórka. Może komisarz telefonuje, żeby ją powiadomić, że w końcu ujęto Janusza Kruka? Tydzień temu, zaledwie parę godzin po ucieczce Kruka, wyjednała w sądzie decyzję o tymczasowym aresztowaniu. Dzięki niej mogła wydać postanowienie o poszukiwaniu podejrzanego listem gończym. Kamil mówił, że to wszystko niepotrzebne. On przesłucha Grażynę Kruk i zaraz dowie się, gdzie przepadł jej mąż. Tymczasem pani Kruk zapewniała go przez cztery godziny, że mąż jest niewinny, ale nie zgłosi się na komendę, bo uważa, że chcą go zrobić w to morderstwo, a za wszystkim na pewno stoi sędzia Lasocki.

List gończy z fotografią Janusza Kruka, oczywiście bez danych personalnych, ukazał się w lokalnej prasie codziennej i na stronach gazet internetowych. Nikt jednak nie zadzwonił, nie napisał. O co tu chodzi? Czy to znaczy, że Janusz Kruk nikomu nie ufa i nie korzysta z żadnej pomocy? Ale przecież tak nie można się długo ukrywać. Tym bardziej, że na żonę nie mógł liczyć, była pod stałą obserwacją policji. Zniknięcie Kruka dręczyło ją również z innego powodu, przypominało zniknięcie Pawła i Krzysia. Wtedy, trzy lata temu, też nikt nie zadzwonił i nie poinformował, że widział jej męża i syna.

Komórka wciąż dzwoniła. Milena naliczyła już dwanaście sygnałów. To musi być coś ważnego. Obróciła głowę w stronę torebki leżącej na kanapie.

– Podać? – zapytała fryzjerka.

– Tak, bardzo bym prosiła.

Telefon ucichł. Wygrzebała go z torebki i spojrzała na wyświetlacz. Nie, to nie Kamil, tylko pani Karolina z administracji. Milena wysłała do niej esemes z informacją, że za pół godziny wróci do prokuratury.

Wizyta w salonie trochę się jednak przeciągnęła. Fryzjerka niespiesznie zmywała farbę z jej włosów, a potem z namaszczeniem suszyła je i modelowała. Na szczęście efekt był zadowalający. Milena z uśmiechem przeciągnęła palcami po miękkich, jasnokasztanowych pasmach zasłaniających jej uszy.



W prokuraturze czekał na nią niespodziewany gość: Adam Król, licencjonowany detektyw, który w dniu morderstwa był w hotelu. Podobno śledził Karolinę Potocką, szukając dowodu na jej małżeńską zdradę.

– Pan do mnie? – zapytała, nie ukrywając zaskoczenia.

– Tak, pani prokurator. Przyjechałem pani pomóc w śledztwie. Stało w miejscu, prawda?

Niestety miał rację. Nie rozmawiała o tym z komisarzem, ale od dwóch, trzech dni dręczyło ją poczucie, że śledztwo im się rozmywa. Z jednej strony mieli coraz więcej konkretów, wyniki z laboratorium kryminalistycznego, kolejne ekspertyzy, kilkadziesiąt przesłuchanych osób. No i co z tego? Właściwie nic. Janusz Kruk, główny podejrzany, wciąż był nieuchwytny. Bez niego nie ruszą do przodu. Żeby chociaż znalazły się skradzione walory... Ale i tu porażka. Przetrzęsli mieszkanie Kruków i zakład pracy. Kamil osobiście kierował przeszukaniem. Akcji nie znaleźli.

Zgarnęła protokoły i włożyła je do teczki.

– Proszę, niech pan usiądzie i mówi, co ma. Mam nadzieję, że jakieś konkrety, bo nie lubię, jak marnuje się mój czas.

– To nie zajmie długo, zapewniam, tylko półtorej minuty.

Położył przed nią pendrive'a i powiedział:

– Tu jest nagranie z tamtej nocy z hotelu. U Karoliny Potockiej był wtedy pewien gościu. Wyszedł od niej o szóstej rano, ale potem wrócił. To może być sprawca. – Adam Król bezszelestnie przesunął się w stronę drzwi. Otwierając je, wyszeptał: – I już mnie nie ma. Znikam.

– Niech pan wraca – rozkazała Milena.

Cofnął się i wyraźnie zadowolony, usiadł posłusznie naprzeciw niej. Stary pies, uradowany tym, że może jeszcze się komuś przydać.

Podpięła pendrive'a do komputera i zapytała:

– Kto to jest, ten gościu?

– Może niech lepiej sama go pani zobaczy.

Milena otworzyła plik i ujrzała na monitorze pusty korytarz hotelowy.

– Korytarz? – zdziwiła się.

– Chyba nie myślała pani, że zainstalowałem kamerę w numerze pani Potockiej i w dodatku skierowaną wprost na łóżko?

Właśnie tego się spodziewała, filmu, na którym Karolina Potocka spoczywa na hotelowym łóżku w namiętnym uścisku z jakimś mężczyzną.

– Proszę przewinąć na pierwszą osiem – polecił detektyw.

Kamera została tak umieszczona, żeby zarejestrować twarz zbliżającej się osoby. Wreszcie go zobaczyła, ciemna, postawna sylwetka i łysa czaszka. Sędzia Edward Lasocki. Nie miała żadnej wątpliwości, to był on, choć jego rysy jeszcze pozostawały niewidoczne. Szedł pewnym, swobodnym krokiem. Dobrze wiedział, że tam, gdzie się udaje, zostanie przyjęty z otwartymi ramionami. Nie zapukał do drzwi swojej kochanki. Po prostu nacisnął klamkę i wszedł.

Karolina Potocka, piękna, filigranowa, z dużymi brązowymi oczami, i Edward Lasocki, przystojny, męski... Ładna z nich para, pomyślała z goryczą Milena. Jak w ogóle mogło jej przyjść do głowy, że to ona wzbudziła zainteresowanie sędziego?

– Wyszedł od niej o szóstej dwanaście – odezwał się Adam Król.

Przewinęła film. Sędzia wychylił głowę z pokoju i rozejrzał się, potem wyszedł i szybko oddalił.

– O dziewiątej dwie pani Karolina poszła do restauracji, wróciła o dziewiątej czterdzieści trzy – poinformował detektyw. Potwierdzenie tych słów także znajdowało się na nagraniu. – Sześć minut później przyjdzie do niej ten łysy gościu.

Rzeczywiście, o dziewiątej czterdzieści dziewięć na korytarzu hotelowym ponownie zjawił się sędzia Lasocki, ale już inaczej ubrany. Teraz miał na sobie czarny, rozpięty płaszcz, a pod nim granatowy garnitur i białą koszulę. Niósł w ręku niewielkie pudełko, trochę większe od tabliczki czekolady. Spędził w numerze kochanki prawie godzinę. Wyszedł o dziesiątej czterdzieści pięć. W tym czasie zginął Szymański, a kilkanaście minut później Ester. A w dodatku monitoring hotelowy nie zarejestrował, że sędzia wchodzi do hotelu, a potem go opuszcza.

Milenie zrobiło się nagle bardzo gorąco. Nie przejmując się obecnością detektywa, ściągnęła sweter przez głowę. Została w granatowej, bardzo obcisłej koszulce na krótki rękaw. Spojrzała na Adama Króla. Pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: *No dalej, niech pani coś jeszcze zdejmie.*

– Dlaczego dopiero teraz pan do mnie z tym przychodzi? Przecież od morderstwa minęły już dwa tygodnie.

Uśmiechnął się.

– Sądziłem, że pani sobie poradzi bez moich materiałów. Poza tym byłem zajęty. Z panią Potocką musiałem najpierw się dogadać. Bo wie pani, szczęście małżeńskie najważniejsze. Trzeba dbać o trwałość podstawowej komórki społecznej. Prawda? Mogę powiedzieć, że dzisiaj mam na swoim koncie jeden uratowany związek.

Milena chciała, żeby Adam Król już sobie poszedł. Miała nowy trop i myślała tylko o tym, aby się nim zająć. Musi dobrze się zastanowić, co teraz robić, jak to rozegrać. Na pewno powinna przesłuchać Karolinę Potocką. Piękna kolekcjonerka powie wszystko, wystarczy dać jej do zrozumienia, że mąż się dowie o jej romansie. Nie powinna mieć też problemu ze zdobyciem odcisków palców sędziego. Wystarczy, że zaprosi go na kawę.

– Zaraz protokół spiszemy i będzie pan wolny. Oczywiście pendrive zostaje u mnie.

Otworzyła plik z formularzem i zaczęła szybko pisać. Detektyw odezwał się:

– Mnie w szkole milicyjnej uczono, że przestępca zawsze ukrywa narzędzie zbrodni jak najdalej od miejsca zdarzenia i jak najdalej od swojego domu. Nadal tego uczą?

– Tak – odpowiedziała Milena, patrząc na monitor i stukając w klawiaturę.

– No właśnie, a ja mam zupełnie inne obserwacje. Najlepiej zostawić narzędzie na miejscu zbrodni i nie brać żadnych fantów. Broń Boże nic nie brać, bo przez fanty najczęściej się wpada. A pani do jakich wniosków doszła?

Wydrukowała protokół i podsunęła go wraz z długopisem Królowi. Podpisał bez czytania.

– No więc tak sobie myślę – kontynuował swój wywód – że sędzia nie zabrałby walorów z miejsca zdarzenia. On na pewno nie jest taki głupi, żeby je brać i potem gdzieś chować czy niszczyć. Po co mu taki kłopot?

Milena odruchowo kiwnęła głową i oznajmiła:

– Gdybym coś jeszcze chciała wiedzieć, skontaktuję się z panem, dziękuję.

Detektyw zdawał się nie zauważać, że został poproszony o opuszczenie gabinetu.

– A zatem te walory muszą tam być, w pokoju hotelowym ofiary... Prawda? – powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

Ale ich tam nie ma, pomyślała Milena i w tej samej chwili dotarło do niej, co powiedział detektyw, co od paru minut usiłował jej uzmysłowić. To było jak olśnienie, niemal równe boskiej epifanii, a jednocześnie towarzyszyła temu rozsądna refleksja. Dlaczego o tym nie pomyśleli wcześniej? Przecież to powinna być najnormalniejsza czynność procesowa, przeszukanie pokoju ofiary pod kątem ewentualnego ukrycia tam walorów. Owszem, komisarz przeszukał to pomieszczenie, ale jedynie jako miejsce pobytu Henryka Szymańskiego. Nie zaglądał za kratki wentylacyjne, pod wykładzinę czy za szafę. Błąd. Okazało się, że były milicjant, wyrzucony ze służby ponad dwadzieścia lat temu, ma lepszy zmysł

śledczy niż ona i komisarz.

Nie miała zamiaru pokazać detektywowi, że ją zaskoczył.

– Proszę wracać do śledzenia niewiernych żon, a ja się zajmę łapaniem morderców.

Gdy Adam Król wyszedł, złapała za komórkę i wybrała numer komisarza.

– Wiem, gdzie mogą być akcje zakładów Schichaua i walor Pierwszej Fabryki Lokomotyw.

– Gdzie?

– W pokoju numer trzydzieści dwa.

Cisza, a potem jedno słowo wypowiedziane przez zaciśnięte zęby:

– Kurwa!

– Kiedy możesz być w hotelu? – zapytała.

– Za chwilę.

Wciągnęła przez głowę sweter. Jeszcze płaszcz i komórka do kieszeni. Wyszła. W hotelu była przed komisarzem. Odebrała klucz i pojechała na trzecie piętro.

Podwójne łóżko z trzema poduszkami, dwa białe fotele i czarny stolik. Nic tu się nie zmieniło, nawet akcesoria pozostały te same, wysoka lampa z mlecznym kloszem i dwa zdjęcia Elbląga w antyramach. Zaskoczyło ją, że pokój jest taki nieduży. Może łóżko zostało wysunięte bardziej na środek? Nie, raczej nie. To dwa trupy optycznie zwiększały wielkość pomieszczenia.

Zdjęła płaszcz, włożyła rękawiczki i przykucnęła przy łóżku, sprawdziła, czy coś jest przyklejone od spodu. Z brzegu na nic nie natrafiła. Położyła się na podłodze. Teraz sięgała dalej. Przesuwała dłonią i nic. Na dźwięk otwieranych drzwi poderwała się. To był Kamil. Wygładziła wąską spódnicę i poprawiła sweter.

– Jeżeli są tu te akcje, to za szafą – oznajmiła.

Kamil odsunął mebel, a ona przykucnęła i włożyła rękę w szczelinę, aż do łokcia. Niewygodnie jej było w wąskiej spódnicy. Sunęła dłonią w dół po ścianie, ściągając lepką pajęczynę. Nagle jej palce czegoś dotknęły. Serce zabiło mocniej. Tak, to na pewno one.

– Są! – zawołała.

Próbowała obrócić dłoń, żeby móc chwycić kartki. Niestety szczelina była za wąska. Cofnęła trochę ramię i wtedy, robiąc z dwóch palców nożyce, złapała kartki i wyciągnęła je na zewnątrz.

Istotnie, znaleźli papiery wylicytowane przez Henryka Szymańskiego. Rozłożyła je na łóżku. Rozpoznała słynną grafikę Józefa Mehoffera: pędząca lokomotywa, za którą leci anioł, a za nim orzeł. I trzy akcje zakładów Schichaua, w trzech kolorystykach: niebieskiej, rdzawej i zielonej. Dreszcze przeszły jej po plecach. Wreszcie je znaleźli.

Spojrzała na komisarza. Był wściekły. Stał przy niej z zaciśniętymi szczękami.

– Kurwa. Chyba odznakę oddam i na ochroniarza na parking pójdę, tam myśleć nie trzeba, nadam się. Kurr... Taki błąd. Cały hotel przetrząsnęliśmy, a tego pokoju nie. Najciemniej zawsze pod jebaną latarnią.

– Mamy nowego podejrzanego – rzuciła niespodziewanie Milena.

– Tak? Kogo?

– Sędziego Edwarda Lasockiego.

Kamil uśmiechnął się.

– Postanowiłaś nagle zaufać Januszowi Krukowi? Dlaczego?

– To nie chodzi o to, co mówił Kruk. Chociaż teraz inaczej patrzę na jego zeznania. Parę minut temu w prokuraturze odwiedził mnie Adam Król. Pamiętasz? To prywatny detektyw. Śledził Karolinę Potocką na zlecenie jej męża. No i co się okazało? Sędzia Lasocki odwiedził ją w nocy. Ale najciekawsze jest to, że wyszedł od niej po szóstej, potem wrócił przed dziesiątą i ponownie od niej wyszedł o dziesiątej

czterdzieści pięć. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedział Kamil.

Milena patrzyła na ściągnięte rysy komisarza. Był bardzo skupiony. Dobrze wiedziała, co teraz dzieje się w jego szarych komórkach. Szybka analiza sytuacji. Co wiedzą? Jak poprowadzić dalsze śledztwo? I jak przechytrzyć sędziego?

– Schował je, żeby dać nam fałszywy motyw – mruknął Kamil. – Jak go mamy teraz dorwać? Musimy coś na niego znaleźć i to szybko.

Komisarz uwierzył, że to sędzia może być sprawcą. Ona właściwie też uwierzyła, ale w momencie, gdy Kamil tak definitywnie się za tym opowiedział, w niej zrodził się antagonistą.

– Nie zapominaj, że Janusz Kruk też jest naszym podejrzanym – powiedziała.

Komisarz, jakby nie słysząc tego, co powiedziała, ciągnął dalej:

– Nie ma go na nagraniu z monitoringu. Wejście dla personelu... Tak... No tak, przecież jego zięć tu jest dyrektorem. Lasocki na pewno często bywał w hotelu. Założę się, że zna doskonale rozkład całego budynku. Tylko nie przewidział, że recepcjonistka akurat przyniesie Szymańskiemu bilety na koncert. Pamiętasz, jak ona leżała? Również. On jej nie upuścił po uduszeniu. Delikatnie ją położył, żeby upadające ciało nie narobiło huk. Sprawca nie wpadł w panikę, gdy ją dusił, był opanowany. A kto ma nerwy ze stali? Sędzia.

– To żaden dowód na winę Lasockiego, przynajmniej nie dla sądu – powiedziała Milena. – Musimy się zastanowić, co teraz...

– Przesłuchamy jeszcze raz personel i wszystkich gości – zaczął Kamil. – Może ktoś go wtedy jednak zobaczył w hotelu.

Milena przysiadła na brzegu łóżka i objęła dłońmi kolana.

– Gdyby ktoś go tamtego dnia widział w hotelu i to w dodatku po jedenastej, byłoby pięknie – powiedziała z nadzieją w głosie. – O dziesiątej czterdzieści pięć wyszedł od Karoliny Potockiej i później widziany po jedenastej. Musiałby się tłumaczyć, co robił przez pół godziny na terenie hotelu.

Krótki śmiech wydobył się z gardła Kamila.

– Sędzia by nam powiedział, że te pół godziny spędził u zięcia w gabinecie, a dyrektor Lipiec by to potwierdził.

Milena przyznała rację komisarzowi, tak właśnie by było. Świadców trzeba przesłuchać ponownie, ale muszą podjąć jeszcze inne działania. Tylko jakie? Kamil chyba zastanawiał się nad tym samym, bo powiedział:

– Ślady daktyloskopijne na tych papierach, no i na miejscu zbrodni, te, co zabezpieczyliśmy, mogą należeć do niego.

Milena spojrzała na akcje rozłożone na łóżku tuż przy niej. Kamil podsuwał jej typowe śledcze rozwiązania, a ona czuła, że to za mało na to, żeby podejść sędziego. Jeżeli nawet znajdą odciski palców Lasockiego na skradzionych walorach, to niczego nie udowodnią. Był przecież organizatorem licytacji i akcje musiały przejść przez jego ręce. A jeżeli linie papilarne zabezpieczone tu, w tym pokoju, okażą się pozostawione przez sędziego, to powie, że dzień wcześniej zaraz po licytacji wpadł do Szymańskiego, aby mu pogratulować.

Wstała. Pochyliła się nad walorami i zaczęła je układać jeden na drugim.

– Skoczę do recepcji – odezwał się Kamil. – Może będą mieli jakiś papier, to je zapakujemy. – Ruszył do drzwi.

– Nie – powiedziała ostro Milena.

Zatrzymał się. Z akcjami w dłoni podeszła do szafy, przykucnęła i włożyła je za tylną ściankę.

– To nie ma sensu – oznajmił. – Jeżeli myślisz, że sprawca po nie przyjdzie, to się mylisz. Jemu na nich

nie zależy. Gdyby mu zależało, toby je wziął wtedy.

Milena nie miała zamiaru przekonywać komisarza do swojego pomysłu. Sama czuła, że to się raczej nie uda. Ale w tej chwili nie przychodziło jej nic lepszego do głowy.

– Przesuń szafę na miejsce – poleciła.

Zrobił to. Milena wzięła swój płaszcz. W tej chwili drzwi otworzyły się z impetem. Do pokoju wpadł Rafał Lipiec. Był blady i lekko zdyszany. Miał rozpiętą marynarkę i górny guzik u śnieżnobiałej koszuli. W rękę trzymał gazetę.

– Przepraszam państwa, byłem poza hotelem, gdy do mnie zadzwonili z recepcji. W czym mogę pomóc?

– Dobrze, że pan jest – odezwała się Milena. – Planujemy wizję lokalną.

– Wizję lokalną? – zdziwił się dyrektor i zaraz zapytał: – To macie już podejrzanego?

Jego spojrzenie pobiegło w stronę łóżka hotelowego i zatrzymało się na ledwo zauważalnej nierówności w posłaniu, na niewielkiej fałdzie powstałej w wyniku nacisku bioder Mileny. Zmarszczył brwi.

– Ta wizja lokalna to z myślą o pokojówce Marcie – powiedziała Milena. – Bo widzi pan, przypuszczamy, że mogła wtedy coś jeszcze zobaczyć, jakiś drobny szczegół, którego nie pamięta. A wizja lokalna być może pozwoli jej odświeżyć pamięć.

Dyrektor wzruszył ramionami i zapewnił, że nie ma nic przeciwko temu. Odprowadził ich do wyjścia. Gdy zostali sami, Kamil zapytał:

– Ta wizja lokalna to po to, żebyśmy mogli zamontować kamerkę?

– Tak.

– Nie lepiej było powiedzieć mu, że wpadnę do numeru trzydzieści dwa, żeby porobić jeszcze trochę zdjęć? Po co zaraz wizja lokalna? I tak mamy roboty od cholery.

– Dyrektor może uwierzyłby w te zdjęcia, ale nie Lasocki. A w wizję lokalną obaj uwierzą.

## Rozdział XVII

Kamil siedział przy barze, przed nim stała pełna szklanka piwa. Trzymał w ręku smartfona i przeglądał nagłówki elbląskiej prasy internetowej. Dominował temat samobójstw. Od kilkunastu godzin pisano głównie o modzie na odbieranie sobie życia. Wystarczyły dwa nagłośnione zamachy samobójcze, żeby ludziska powariowali. Gdy pisze się o wolontariuszach, to jakoś nikt nie leci za darmochę pomagać innym. A tu wystarczy nagłośnić, że jakieś małżeństwo z sukcesem targnęło się na swoje życie, i już pojawili się naśladowcy. Dwa dni temu kolejny, tym razem bardzo młody, dwudziestoczwololatek, perkusista jednej z elbląskich kapel. Podobno jego dziewczyna odeszła do saksofonisty z innej grupy muzycznej. Zmieniła więc nie tylko faceta, ale i zespół. To prawie podwójna zdrada... No tak, z takiego powodu naprawdę warto odebrać sobie życie.

Media nadal interesowały się morderstwem w hotelu „Pod Lwem”. Trafił właśnie na artykuł poświęcony rodzinie Ester. Wypowiadał się Roman Kucharczyk. Mówił o bólu całej rodziny i dziękował sąsiadom za wsparcie. Wyraził także żal, że nikt z hotelu nie zadzwonił i nie złożył kondolencji. Artykuł opatrzony był zdjęciem Kucharczyka w białej koszuli i krawacie. Stał w towarzystwie synów, wspierając dłonie na ich ramionach.

Kamilowi zależało na sukcesie tego śledztwa, mogło go ono wywindować wysoko, na fotel naczelnika wydziału kryminalnego. Ale jeżeli ma się tak stać, to najpierw musi złapać mordercę i najlepiej, żeby zrobił to sam, bez udziału pani prokurator.

Ktoś zajął miejsce na sąsiednim hokerze. Zobaczył go kątem oka, czerwona kurtka i džinsy, Mikołaj Bukowski. Zawzięty gówniarz, wścibi pismak, jest wszędzie tam, gdzie go nie chcą. Kamil nie miał wątpliwości... dziennikarz przyszedł do klubu za nim. Od kilku dni nagabywał go o kasę. Straszyl, że jak nie dostanie kolejnej raty, to ujawni film i wszyscy poznają prawdziwego komisarza Sorokę.

– Panie komisarzu, zapłaci pan za moje piwo? Potem sobie pan odliczy od tego tysiąka, co jest mi pan winien za ten miesiąc.

Kamil zignorował dziennikarza. Dalej powoli popijał piwo i patrzył na rzędy kolorowych butelek. Miał ochotę wyjść, ale nie chciał, aby Bukowski pomyślał, że przed nim ucieka. Minuty mijały, z głośników płynęły klubowe rytmy. Ponownie wziął do ręki smartfona.

– Wysłałem panu wiadomość z załącznikiem, a do pana kolegi kopię – odezwał się chłopak.

W głowie Kamila zapanował na moment chaos. Nie mógł uporządkować myśli, zdominowanych przez potworne przecucie, wręcz pewność. Zalogował się do służbowej poczty. Tak, była tam wiadomość od tego cholernego gówniarza. Otworzył ją. Kopia do aspiranta Nowaka. Niedobrze, tragicznie, z Pocięchą by się jakoś dogadał, wytłumaczył, ale nie Rumunowi. Ten go nie zrozumie, potępi definitywnie. Co robić? Poczul w swoim wnętrzu dygot, wywołany narastającym lękiem i wściekłością. Spokojnie, byle nie stracić głowy. Najpierw musi sprawdzić załącznik. Może to jednak nie jest to nagranie. Kliknął w plik. Niestety... najgorszy fragment, kilkunastosekundowy, komisarz policji okładający prętem leżącego człowieka.

Napił się piwa. Wiedział, że Bukowski go teraz obserwuje. Nie może mu pokazać, że jest zdenerwowany, że zwyczajnie się boi.

– Komisarzu, czy może zmieniłeś zdanie? Jednak zapłacisz za moje piwo? – zapytał uprzejmie dziennikarz.

Kamil rozejrzał się. O tej porze niewiele osób znajdowało się w „Mjazzdze”. Kilkunastu gości, wszyscy przy stolikach, za barem nikogo. Wyciągnął zza paska służbowego glocka i przystawił go do głowy Bukowskiemu. Chłopak skulił się.

– Pamiętaj, że gdy ta sprawa wyjdzie na jaw, to mi będzie wszystko jedno. Ja pójdę na dno, a ty pod ziemię. Rozumiesz, kurwa, Bukowski, co mówię?

Schował broń do kabury i kilkoma łykami dopił piwo. Sądził, że na tyle przestraszył dziennikarza, że ten nie odważy się odezwać. Pomylił się jednak. Bukowski nachylił się do niego i powiedział:

– Leć do Nowaka i ratuj własny tyłek. Może zdążysz.

Miał ochotę walnąć głową dziennikarza o bar, ale musiał odpuścić. Nie tutaj... Nie teraz... Na to przyjdzie jeszcze czas. W tej chwili musi biec do aspiranta. Wyszedł z klubu i ruszył w stronę ulicy Tysiąclecia. Rumun miał dziś dyżur. Jeżeli na mieście nic się nie wydarzyło, to na pewno siedzi na komendzie w papierach albo na portierni, gdzie znowu dyskutuje o zawodach strzeleckich. Kamil pomyślał, żeby zadzwonić do niego i poprosić o usunięcie maila od Bukowskiego bez czytania. Już nawet wybierał numer, ale zrezygnował. Obawiał się, że tym telefonem może tylko zachęcić aspiranta do przeczytania wiadomości. Lepiej w cztery oczy poprosić... I dopilnować, żeby skasował. Zaczął biec. Ile czasu minęło od momentu, gdy dziennikarz wysłał tego cholernego maila? Dziesięć minut? Nie, raczej piętnaście. Przyspieszył. Gdyby jechała wolna taryfa, zatrzymałby ją. Grupa nastolatków zajmowała cały chodnik, rozstąpili się przed nim. Był już blisko. Jeszcze tylko sto metrów. Schody... Pierwsze piętro... Drzwi do pokoju aspiranta Nowaka były zamknięte. Otworzył je. Rumun siedział przed włączonym komputerem. Za późno? Kamil poczuł silny lęk, ścisnęło go w okolicach gardła. Nawet nie przypuszczał, że można odczuwać strach jako punktowy ucisk. Przycisnął dłonią walące serce. W tej samej chwili policjant obejrzał się. Na jego śniadej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Komisarz odetchnął z ulgą. A jednak się nie spóźnił.

– Co jest? Co tu robisz?

– Mam do ciebie prośbę – zaczął Kamil.

– Dawaj.

Komisarz zastanawiał się przez moment, jak ma to powiedzieć, żeby nie wzbudzić podejrzeń kolegi. Najlepiej wprost.

– Dostałeś na pocztę służbową wiadomość od Mikołaja Bukowskiego, no wiesz, od tego wścibskiego pismaka. Chciałem, żebyś ją usunął.

– Dobra, zrobi się – powiedział Rumun, ale nie złapał ani za myszkę, ani za klawiaturę.

Komisarz przybliżył się do niego. Cicho, ale bardzo stanowczo wypowiedział tylko jedno słowo:

– Teraz.

Aspirant zalogował się do swojej skrzynki. Klikając w przycisk usuń, zapytał:

– Ten dzieciak ma coś na ciebie?

– Takie tam... Szkoda gadać – odpowiedział komisarz. Widząc, że Rumun chce się wylogować, powstrzymał go, mówiąc: – Jeszcze z kosza usuń.

Funkcjonariusz zawahał się, ale potem wykonał polecenie.

– Dzięki – powiedział Kamil.

Poczuł wyraźną ulgę. Zagrożenie zostało odsunięte, ale miał świadomość, że na krótko. Wrócił do domu taryfą i od razu uruchomił komputer. Musiał zobaczyć to nagranie ponownie, ale tym razem na

dużym monitorze. Chciał się upewnić, czy analiza antropometryczna pozwoli na identyfikację jego osoby. Film został nagrany nocą, niestety wyjątkowo jasną. Dobrze pamiętał księżyc w pełni i cienie rzucane przez niskie drzewa. Czy wtedy go poniosło? Nie, raczej nie. Rozpoznał tego żuła. Obrzydliwy typ, katujący swoją starą matkę i upośledzonego brata. Kamil próbował dobrać się do niego parę razy, ale jak to zwykle bywa, nikt nie chciał zeznawać. Tamtej lipcowej nocy na ogródkach działkowych na Bielanych zobaczył przed sobą tę zapijaczoną mordę. Żuł też go rozpoznał. Splunął na Kamila i nazwał go Sroką. Komisarz nie zareagował, co rozwścieczyło żuła. Złapał za pręt i zamachnął się. Kamil wyrwał mu go bez problemu jednym, mocnym szarpnięciem. Czuł rosnącą nienawiść. Wręcz kipiał od nadmiaru złości, jakiejś niezdrowej energii. Uderzył. Trzask łamanych kości i nieludzkie wycie. Żuł zwałił się na ziemię. Miał złamane obie nogi. Kamil uderzył ponownie i jeszcze raz, zabił. Należało się pasożytowi. Nie mógł sobie jednak darować braku ostrożności. Dał się nagrać. Mikołaj Bukowski prawdopodobnie od kilku dni czatował z kamerą na Bielanych, licząc na ciekawy wakacyjny materiał. No i opłaciło mu się... Ze swoim filmem nie przyszedł od razu do Kamila. Czekał i obserwował, jak rozwinie się sytuacja, jak potoczy się śledztwo. Które oczywiście prowadził Kamil.

Pamiętał te gorące lipcowe dni. Osobiście przesłuchiwał wszystkich świadków, a nie było ich wcale mało. Czwooro nastolatków świętujących urodziny kolegi na jednej z działek, trzech działkowiczów nocujących na swoich ogródkach, młoda kobieta, która wybrała się na wyprawę po cudze plony, no i dwóch bezdomnych pijaczków zaznajomionych z żulem, którego zabił. Właśnie na tych bezdomnych postawił, ich wyznaczył jako sprawców. Liczył na to, że mają coś na sumieniu. Nie chciał posyłać za kraty dobrych ludzi. Szybko ustalił, że jeden z nich to recydywista. Siedział za włamania, napady rabunkowe, pobicia. Drugi mężczyzna długo jawił się wyłącznie jako ofiara drapieżnego systemu bankowego. Ale potem Kamil porozmawiał z jego byłą żoną. Wyjawiała mu, że to jej mąż zlecił podpalenie ich domu, dla odszkodowania oczywiście. Niestety sąsiad próbował ratować ich dobytek. Uduślił się. A ubezpieczalnia pieniędzy i tak nie wypłaciła.

Pierwsze przesłuchanie mu nie poszło. Obaj bezdomni zaprzeczali gorliwie. Ale już przy drugim zaczęli się gubić. Powoli i konsekwentnie udowadniał im, że kłamią. W końcu jeden z nich się załamał i płacząc, przyznał się do morderstwa. Kamil siedział nad tą sprawą całymi godzinami, bo przecież przyznanie to za mało, potrzebne były jeszcze dowody potwierdzające winę. Miał tylko ślady butów pozostawione przez bezdomnych przy ciele ofiary i butelkę po winie z odciskami palców wszystkich trzech, co dowodziło, że tej nocy razem pili.

W tamte lipcowe dni prawie w ogóle nie spał. Kawa, fajki i stres... Bał się, że coś się nie uda, że ktoś w końcu dopatry się nieścisłości albo zastanowi, w jaki sposób zapijaczony żuł zdołał tak dokładnie usunąć odciski palców z narzędzia zbrodni. Cała komenda podziwiała go za zaangażowanie. Na szczęście to były pierwsze dni Mileny w prokuraturze elbląskiej. Nie weszła jeszcze w ich środowisko, nie знаła nikogo, trzymała się więc na dystans i pozwoliła mu działać.

Soroka wstał od komputera. Starał się myśleć racjonalnie. Analizował swoje szanse, gdyby ten film trafił do biegłych sądowych. Nagranie niestety miało dobrą jakość, mimo nocnej pory. Metoda morfologiczno-porównawcza raczej nie przyda się ekspertom, no bo ani małżowiny usznej, ani jego cienkiej blizny ciągnącej się od brody do ucha nie było widać. Ale za to metoda konturowa na pewno potwierdzi, że to on jest na nagraniu. Oko kamery bardzo dobrze uchwyciło jego profil.

Co teraz? Ma płacić Bukowskiemu do końca życia? Nie! Nigdy! Rzucił kurtkę na krzesło, kaburę schował do szuflady. Poszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Trzy piwa... Powinno wystarczyć. Rozłożył się na kanapie z butelką w rękę, drugą postawił na podłodze. Włączył telewizor i bezmyślnie przerzucał kanały.

Zadzwoiła jego komórka.



– I co, zdążyłeś? – zapytał dziennikarz.

Kamil na pytanie nie odpowiedział, zamiast tego zakomunikował:

– Jutro o szóstej w Bażantarni.

– Rano? – zapytał Bukowski.

Kamil rozłączył się, nie udzielając odpowiedzi. Plan miał prosty, przestraszyć gówniarza tak, żeby odechciało mu się dalszego szantażu. Musi zacząć się bać. Musi uwierzyć, że pogrywanie z komisarzem policji może się dla niego bardzo źle skończyć.

Następnego dnia pięć po szóstej wjechał na leśny parking. Bukowski już czekał. Jego czerwona kurtka widoczna była z daleka. Mżyło, to dobrze, ludzi będzie mało. Kamil wysiadł z samochodu. Z bagażnika wyjął czarną kurtkę przeciwdeszczową. Włożył ją i naciągnął kaptur. Dziennikarz podjechał do niego na rowerze. Miał całą twarz mokrą od deszczu.

– Masz kasę?

– Mam – odpowiedział Kamil i zaczął biec.

Dziennikarz ruszył za nim rowerem. Po kilkunastu metrach zajechał mu drogę i powiedział:

– Dawaj kasę. Nie mam zamiaru moknąć.

Kamil wyminął go i pobiegł dalej. Na niebieskim szlaku było miękko. Zapewne siąpiło całą noc. Miejscami stały nawet spore kałuże, chyba pozostałość po ostatniej ulewie. Biegł z pochyloną głową, żeby ochronić twarz przed deszczem. Czuł, że dresowe spodnie robią się wilgotne i zaczynają nieprzyjemnie przylegać do nóg.

Bukowski znów go wyprzedził i zahamował tuż przed nim, tak gwałtownie, że bryzgi błota poleciały Kamilowi na kurtkę. Komisarz obejrzał się za siebie. Nikogo... Byli sami. Znakomicie. Zanim wyprowadził cios, Bukowski już się zasłaniał. Instynktownie wyczuł, że Kamil chce go uderzyć. Wyciągnięte przed siebie ręce niewiele mu jednak pomogły. Pięść komisarza wylądowała na jego podbródku. Dziennikarza odrzuciło do tyłu. Kamil złapał go za ramię i ściągnął z siodełka. Chłopak był lekko zamoczony, zatoczył się w stronę drzew. Złapał go w pól i jak taranem uderzył jego głową w pień najbliższego drzewa. Kontrolował siłę, nie miał zamiaru roztrzaskać mu czaszki czy złamać karku. Chciał jedynie wystraszyć gówniarza. Obrócił go w swoją stronę, trzymając za łokieć, żeby się nie przewrócił. Z czoła dziennikarza spływała krew, a z oczu łzy.

– Co, chcesz jeszcze kasę? – syknął Kamil. Wykręcił tamtemu rękę. Mikołaj jęknął. – Chciałeś, kurwa, jednego gliniarza napuścić na drugiego?! Głupcze!

Popchnął chłopaka, ten poleciał do tyłu, opierając się plecami o drzewo. Skulił się, widząc, że komisarz podnosi rękę. Kolejnego ciosu jednak nie było. Dziennikarz osunął się na kolana. Kamil stał przed nim, mówił cicho i dosadnie:

– Dobrze, że wysłałeś ten film do Nowaka, bardzo dobrze. Teraz masz przeciwko sobie dwóch gliniarzy, rozumiesz? Nowak zrobi wszystko, żeby mnie chronić, a ciebie zniszczyć. Już gromadzimy przeciwko tobie dowody. Słyszysz? Znajdziemy w twoim mieszkaniu narkotyki albo dziecięcą pornografię. No co, kręciłeś się z rowerem koło placów zabaw i zaczepiałeś małych chłopców. Co? Może myślisz, że to żarty, że my takich rzeczy nie możemy? Zapewniam cię, że z Nowakiem znajdziemy świadków, znajdziemy pokrzywdzone dzieci. Trafisz do pierdła, gdzie cię z miejsca przecwelują. Chcesz tego?

Deszcz się wzmógł. Kamil włożył dłonie do kieszeni i patrzył na dziennikarza. Ten próbował się podnieść, ale nie zdołał. Osunął się znowu na kolana i pochylił do przodu. Jego ciałem wstrząsnęły torsje i za chwilę z ust wytrysnął strumień wymiocin. Komisarz uznał, że już wystarczy. Ta lekcja powinna Bukowskiemu przemówić do rozsądku. Odwrócił się i wolno pobiegł w stronę parkingu.

## Rozdział XVIII

Kamil założył ręce za głowę i zaczął się przeciągać, aż fotel pod nim zatrzeszczał. Czuł się znakomicie. Wielotygodniowe napięcie w końcu z niego zeszło. Jego mięśnie znowu były rozluźnione, elastyczne. Co za ulga, jak gdyby ktoś go wypuścił z klatki. Dobrze, że postraszył Bukowskiego. Prawdopodobnie już nigdy nikogo nie zaszantażuje.

Komisarz skupił się na śledztwie. Wczoraj zaczęli ponowne przesłuchania świadków z hotelu „Pod Lwem”. Miał nadzieję, że któryś z pracowników tamtego dnia natknął się na Edwarda Lasockiego. Niestety, nikt go nie widział. Beata przeszła się po okolicznych sklepach i mieszkaniach. Pokazywała zdjęcie Lasockiego. Jedna kobieta go widziała z okna kuchni na pierwszym piętrze. Szedł chodnikiem szybko i na pewno miał rozpięty płaszcz. Ale kiedy to było? Tego już nie pamiętała. Jakiś mężczyzna rozpoznał na zdjęciu Lasockiego i bardzo się zdziwił, że policja pyta o sędziego. Czyżby coś przeszkrobał?

Wciąż nic na niego nie mieli. Kamera zamontowana na rogu szafy podczas wizji lokalnej przekazywała obraz przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tu, na komendzie, młodzi funkcjonariusze śledzili przekaz. Trzy godziny i zmiana, żeby nie stracili czujności. Wiedzieli, że czekają na sprawcę, który ma przyjść po walory ukryte za szafą. Kamil im naświetlił całą sprawę, dając do zrozumienia, że teraz od nich zależy sukces śledztwa. Osobiście wąpił, że ktokolwiek przyjdzie po te papiery.

Milena rozmawiała z Karoliną Potocką. Kolekcjonerka wyznała, że sędzia wprosił się na tę drugą wizytę w jej pokoju. Wychodząc o szóstej rano, zapowiedział, że wpadnie za trzy godziny, żeby ją jeszcze raz uściskać i ponadto obdarować. No i rzeczywiście przyniósł jej elegancką bransoletkę. Dlaczego nie dzień wcześniej? Może zapomniał, a może chciał mieć pretekst do pojawienia się w hotelu następnego dnia. Bardzo liczyli na analizę śladów daktyloskopijnych. Pani prokurator umówiła się z sędzią na kawę. Potem filiżanka z odciskami palców trafiła do laboratorium. No i znowu pudło. Żaden ze śladów ujawnionych w pokoju Szymańskiego nie należał do Edwarda Lasockiego. Mieli też nadzieję, że może ślad traseologiczny zabezpieczony w numerze trzydzieści dwa okaże się strzałem w dziesiątkę. Niestety, eksperci stwierdzili, że podeszwa odciśnięta na siedzeniu fotela należała do obuwia sportowego. A sędzia tego dnia miał na sobie eleganckie, skórzane buty, co zarejestrowała kamera detektywa.

Kamil wciąż liczył na to, że na coś trafi, przypadek, który pozwoli mu ująć sprawcę. Sędziego czy kogokolwiek innego, nieistotne... Ważne, żeby to on mógł sobie zapisać na koncie sukces.

Do pokoju wpadła Beata:

– Już jest! – Zawołała. – Dzwonili z dołu. Zaraz po niego idę.

Miała dzisiaj rozpuszczone włosy i małe srebrne kolczyki w uszach. Chciała zrobić wrażenie na Adamie Adosie, serialowej gwiazdce. Wszystko jedno, niech nawet kokietuje tego celebrytę, byle nie straciła głowy i zadała właściwe pytania.

Komisarz wszedł do pokoju z weneckim lustrem. Panowała tu zupełna cisza. Widział profil policjantki i twarz Adama Adosa. Musiał przyznać, że ten mężczyzna przyciąga wzrok. Czarne włosy ścięte na pazia

mocno odcinały się od jasnej karnacji i wyglądały jak peruka. Ubiór też miał oryginalny. Ni to sweter, ni sukienka, coś luźnego do kolan w błękitno-brązowe pasy. Pod spodem chyba bardzo obcisłe spodnie, poza tym wysokie buty do połowy łydki, w dodatku błyszczące od nadmiaru cekinów. Kamil włączył głośnik. Beata pytała, kto mu w hotelu przekazał wiadomość o morderstwie. Adam Ados zmarszczył brwi, jak gdyby się zastanawiał. Następnie się uśmiechnął i powiedział, że jakiś kolekcjoner. Przedstawiony przez niego rysopis wskazywał na Janusza Kruka.

Kamil drgnął. Jego czujność się wzmogła. Dobrze pamiętał treść protokołów przesłuchań innych osób. Janusz Kruk zeznał, że on i żona dowiedzieli się o morderstwie od drwała, Bogdana Mikulskiego. A drwał twierdził, że tę wieść przyniósł mu człowiek z młotkiem, czyli Adam Ados. O co tu chodzi? Kto z nich pierwszy poznał prawdę? Janusz Kruk, bo to on zabił? Potem, gdy mu o tym powiedział drwał, zdziwił się oczywiście, bo tak wypadło. A jeszcze w międzyczasie zdążył zamienić na ten temat parę słów z licytатorem.

Beata zadawała kolejne pytania. Ados potwierdził, że zapukał do drzwi kolekcjonera, który zajmował pokój po sąsiedzku, i przekazał mu tę tragiczną wiadomość. Ale ten barczysty mężczyzna z wąsami jak u szlachcica chyba mu nie uwierzył i w ogóle był jakiś zdenerwowany.

Kamil nie mógł oprzeć się wrażeniu, że celebryta gra twarzą. Robił miny, grymasy, okazując raz zdumienie, innym razem zniecierpliwienie, żeby za moment zaprezentować współczucie dla ofiar tego strasznego morderstwa. Nawet łzy stanęły mu w oczach, gdy mówił o starszym, siwym panu, któremu dzień wcześniej ścisnął rękę i składał gratulacje. A ta recepcjonistka poprosiła go o autograf, ale on nie miał czasu i obiecał, że następnego dnia...

Komisarz wyłączył głośnik. Musiał wracać do siebie. Zadzwoił telefon na jego biurku. Podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał zaskoczony. Niejaka Edyta Kucharczyk czeka na niego na dole? Miał już zapytać, w jakiej sprawie przyszła, ale w tej samej chwili coś zaskoczyło w jego głowie, jak gdyby dopiero teraz usłyszana informacja trafiła na odpowiednie szare komórki. Przecież tak nazywa się matka Ester. Kobieta rozglądała się niepewnie, ściskając w obu dłoniach czarną torebkę. Miała na stopach obuwie zupełnie niepasujące do tej pory roku, czarne pantofle na wysokim obcasie. Chyba zmarła, bo kuliała się, przez co wydawała się jeszcze drobniejsza. Ta kobieta pogrążona w rozpacz, taka dostojna i zarazem krucha, budziła w nim tkliwość mieszącą się z pożądaniem, ale także szacunkiem. Miał ochotę ją objąć i przytulić, przeciągnąć dłonią po jej gładko zaczesanych włosach, a potem wzdłuż kręgosłupa. Chciał poczuć pod palcami jej sprężyste mięśnie i twarde wypukłości kręgow. Jak pięknie byłoby móc przyłożyć twarz do tych niezwykle wąskich pleców i czuć poruszające się łopatki.

Uścisnął jej drobną dłoń.

– Chciałam panu coś pokazać – oznajmiła cicho.

Poprowadził ją do swojego gabinetu.

– W czym mogę pani pomóc?

– Znalazłam coś... – Otworzyła torebkę i wyjęła płytę. – Właściwie mój starszy syn na to trafił. Dałam mu laptopa Ester i znalazł to.

Wziął od niej płytę i włożył do stacji dysków.

– Co to jest?

– Jakies dokumenty, faktury – odpowiedziała cicho pani Kucharczyk i szeptem dodała: – no i zdjęcia z tym panem, intymne zdjęcia.

Kamil otwierał kolejne pliki. Rzeczywiście to były faktury opiewające na rozmaite kwoty. Hotel „Pod Lwem” płacił za szkolenie personelu, naukę języków obcych, pobyt integracyjny w Karpaczu, aranżację wnętrz i jakies bliżej nieokreślone konsultacje. Na którymś zdjęciu zobaczył Ester, siedziała na kolanach dyrektora Lipca i miała na sobie jedynie majtki. Wyraźnie pozowała do zdjęcia. Prężyła się, mocno

prostując plecy i opuszczając ramiona. Miała nieduże piersi o uroczym, szpiczastym kształcie. Palcem wskazującym lewej dłoni dotykała małego, różowego sutka. Dobrze pamiętał jej brodawki, jak i całe ciało, filigranowe, dziewczęce i przede wszystkim martwe.

Spojrzał na Edytę Kucharczyk. Siedziała w rozpiętej kurtce. Czarny materiał sukienki przylegał do jej nóg, podkreślając ich kształt, uda pozbawione krągłości i kościste kolana. Podobna była do Ester, a raczej to córka podobna była do niej. Korciło go, żeby zobaczyć kolejne zdjęcie Ester. Czy będzie równie zmysłowe, intymne? Zrezygnował jednak z dalszego oglądania. Zrobi to później, gdy będzie już sam.

– Dlaczego właściwie przyniosła mi pani te zdjęcia?

– Pomyślałam sobie, że one są ważne. Bo widzi pan, Ester miała je w laptopie, na płycie i na takim małym nośniku. – Pani Kucharczyk zakreśliła w powietrzu kółko, dając do zrozumienia, jakie rozmiary miał pendrive dziewczyny. – No i ten nośnik miała schowany w pudełku z rajstopami – dokończyła.

– Sprawdzimy, o co chodzi z tymi fakturami – oznajmił Kamil. Domyślał się, że nie bez powodu je sobie skopiowała, zapewne z komputera dyrektora Lipca.

Edyta Kucharczyk wyglądała na spiętą, ale zarazem niezwykle spokojną. Miał wrażenie, że jest to pozorny spokój, nienaturalny, że za moment ta kobieta wybuchnie płaczem albo krzykiem. Jej wąskie usta lekko zadrżały. Przycisnęła do nich dłoń. Po chwili zaczęła mówić, z trudem, jak gdyby coś utkwilo jej w gardle:

– Wydaje mi się... Jestem pewna, że moja córeczka zginęła przez te zdjęcia, bo coś wiedziała, a nie powinna. Pan mnie rozumie?

Rozumiał. Widział już takie przypadki, ludzi pogrążonych w rozpacz, którzy na wszelkie sposoby szukali odpowiedzi na pytanie, dlaczego bliska im osoba straciła życie. Zwykle nie przyjmowali informacji o wypadku, jakimś tragicznym zbiegu okoliczności, lecz doszukiwali się spisku, czyjegoś zamierzonego działania. Na wiosnę prowadził śledztwo w sprawie utonięcia w Nogacie pewnego pięćdziesięciolatka. Nie dopatrzyli się udziału osób trzecich, po prostu nieszczęśliwy wypadek. Mężczyzna, zarzucając wędkę, pośliznął się na mokrych deskach. Wpadając do wody, uderzył tyłem głowy w krawędź pomostu. Rodzina nie uwierzyła w tę wersję. Nachodzili prokuratora i jego także, domagali się wznowienia śledztwa. Prowadzili także własne. Wytypowali nawet paru podejrzanych, głównie sąsiadów.

Żałował, że od pani Kucharczyk dzieliło go biurko. Chciał wziąć ją teraz za rękę i poprosić, żeby dla własnego dobra pogodziła się ze śmiercią córki, bo inaczej grozi jej paranoja. Z każdym tygodniem, a potem dniem zacznie wyszukiwać nowe, coraz bardziej absurdalne powody jej śmierci i będzie próbowała do nich przekonać pół świata.

– Ester zginęła przypadkiem. Nie ona była celem sprawcy, zapewniam panią. Weszła do pokoju trzydzieści dwa, gdy przebywał tam morderca. Zabił ją, bo zobaczyła jego twarz.

W oczach pani Kucharczyk pojawiły się łzy. Zaczęła szybko mrugać.

– Te zdjęcia... – zaczęła.

Kamil jednak nie pozwolił jej dokończyć.

– Te zdjęcia nic nie znaczą – oznajmił ostro.

Kobieta zaczęła płakać, po cichu, bez szlochania. Nie był zbyt miły, ale dla niej tak będzie lepiej.

Łzy wciąż spływały po zapadniętych policzkach.

– Rozmawiałam z panią, u której moja córka wynajmowała pokój. No i ona uważa, że Ester wcale nie zginęła przypadkiem. Że to ten dyrektor ją zabił, skorzystał z okazji, że w hotelu był już jeden trup. Zabił Ester, bo wiedział, że to tamtemu pierwszemu mordercy policja przypisze to zabójstwo.

Kamil wyszedł zza biurka i zbliżył się do pani Kucharczyk. Położył dłoń na jej ramieniu. Miała drobne

kości jak u dziecka. Zdawał sobie sprawę z zagrożenia, dwie kobiety nakręcające się nawzajem w paranoicznych podejrzeniach. Musi ją przed tym uchronić.

– Pani Edyto, dyrektor Lipiec nie zabił Ester. Zrobił to ktoś inny, ja się dowiem kto. Obiecuję to pani.

Edyta Kucharczyk wstała. Nie straciła jednak jego dłoni ze swojego ramienia.

– Chciałabym porozmawiać z panią prokurator, ale nie pamiętam nazwiska. Czy mógłby pan?

Kamil napisał na kartce prywatny numer telefonu Mileny i wręczył go pani Kucharczyk. Może to dobry pomysł, żeby te kobiety ze sobą porozmawiały, w końcu obie straciły dzieci. Co prawda syn Mileny nie zginął, lecz zaginął, ale to przecież też tragedia, z którą sobie poradziła, może teraz uda się jej wyprowadzić matkę Ester z niezdrowych rozmyślań.

Kobieta zerknęła na kartkę z numerem telefonu i schowała ją do torebki.

– Odda mi pan płytę? – zapytała.

Przez krótki moment poczuł się nieswojo. Miał wrażenie, że ta kobieta go zdemaskowała. Domyśliła się, że ma zamiar wizualnie spenetrować intymne życie jej nieżyjącej córki.

Widząc, że komisarz się waha, dodała:

– Chciałabym pokazać zdjęcia pani prokurator.

Nie miał zamiaru wypuścić z rąk tych fotek. Sporo sobie po nich obiecywał. Łudził się, że to zdjęcie, które widział, to dopiero preludium, a kolejne będą jeszcze śmielsze.

– Czy mogę najpierw skopiować skany faktur?

Zgodziła się. Oczywiście przerzucił na swój komputer całą zawartość płyty. Odprowadził kobietę na dół. Nikt inny na niego nie czekał. Musi zadzwonić do świadka, z którym był umówiony, i zapytać, czy to jedynie spóźnienie czy zaplanowana absencja. Nie zdążył wybrać numeru. Do pokoju wpadła Beata, uśmiechnięta, z rozwianymi włosami.

– Już skończyłam – zakomunikowała i rzuciła mu na biurko protokół przesłuchania.

Z szuflady wyjęła papierosy i zapalniczkę w kształcie małego srebrnego pistoletu. Po chwili w jej palcach błysnął płomień. Usiadła na parapecie. Z ich trójki tylko ona się na nim mieściła. Przysunęła sobie jeszcze blaszane pudełko po cukierkach i zaczęła relacjonować swoje przesłuchanie. Mimo widocznego rozemocjonowania była rzeczowa. Mówiła to, co aktualnie dla sprawy było najistotniejsze:

– Nie widział sędziego w dniu morderstwa, jest tego pewny. Rozmawiał z Lasockim przez kwadrans po licytacji. Podobno sędzia był bardzo zadowolony z poprowadzenia aukcji. O morderstwie dowiedział się od Kruka, to znaczy nie podał jego nazwiska, tylko rysopis. Ciekawe, no nie? Na korytarz wyszedł jakieś dziesięć minut po tym, jak usłyszał krzyk kobiety. Zobaczył stojącego przy windzie Kruka i ten mu powiedział, że jakiś kolekcjoner został zamordowany, ale o recepcjonistce nie wspomniał. Dopiero z mediów Ados się dowiedział, że była jeszcze jedna ofiara.

Kamil wziął do ręki protokół. Jego wzrok przyciągnęły duże, zamazane litery u dołu. W jednej sekundzie złożyły się w dwa słowa: *Adam Kołtun*. Zaskoczenie, niedowierzanie i zrozumienie niemal jednocześnie zawładnęły jego umysłem. Miał to, na co czekał, przypadek, szczęśliwy traf. Domyślał się, że Ados to pseudonim artystyczny. Nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić prawdziwe nazwisko licytatora, nie było przesłanek, żeby to robić. Nazwisko Kołtun już raz pojawiło się w ich śledztwie. Tak nazywał się wspólnik Henryka Szymańskiego, który po bankructwie firmy zaczął brać całymi garściami prochy na uspokojenie, co go zabiło. Syn tego wspólnika, wówczas trzynastoletni chłopak, obwinił o tę tragedię Henryka i nawet groził mu śmiercią. List z pogrózkami sprzed piętnastu laty znalazł Rumun podczas przeszukiwania mieszkania kolekcjonera.

Spojrzał na sierżant Gryś. Machając nogą, mówiła dalej:

– Ados miał wrócić do Olsztyna rano, bo na ósmą był umówiony z młodzieżą na warsztaty teatralne. Dzieciaki go uwielbiają. No ale zasnął, a potem się już nie spieszył.

Kamil omal się nie roześmiał. Zaspał? I on ma w to uwierzyć? To co, może pan aktor nie potrafi ustawić budzika w komórce? A może został specjalnie? Kamil próbował odtworzyć sobie w głowie spotkanie po latach tych dwóch mężczyzn, Szymańskiego i Adosa. Jak to mogło wyglądać? Kołtun na pewno rozpoznał Henryka podczas aukcji, to mógł być dla niego szok. Zobaczył, że człowiek odpowiedzialny za śmierć jego ojca bawi się w najlepsze. Szymański w eleganckim garniturze, szytym na miarę, wydający sporą kasę na kapryś, jakim są zabytkowe walory, a stary Kołtun tymczasem był jedynie marną kupą kości na cmentarzu. Czy Adam Ados poszedł do pokoju Szymańskiego, żeby go zabić? Czy chciał tylko porozmawiać, a emocje tłumione przez lata wzięły górę?

– Nie mógł stawić się na przesłuchanie, bo nagrywa nowy serial dla TVP – powiedziała sierżant Gryś.

Kamil teraz już wszystko interpretował pod kątem Kołtuna jako sprawcy. Był jedynym świadkiem, który wcześniej nie został przesłuchany. Dlaczego? Bo po prostu tego unikał. Dwukrotnie dzwonił i prosił o przesunięcie terminu. Plan zdjęciowy to żadne wytłumaczenie. Ale w końcu musiał się tu pojawić i zapewne teraz myśli, że ma już wszystko za sobą, że mu się udało. Myli się, bo on, komisarz, go rozgryzł.

Kamil czuł, jak przyjemne podniecenie rozchodzi się po całym jego ciele. Super. Teraz musi działać racjonalnie, spokojnie i przede wszystkim sam, to ma być tylko jego sukces. Beata na szczęście nie skojarzyła nazwiska Kołtun. Ale Milena czy Rumun... Na roztargnienie tych dwojga nie może liczyć. Postanowił, że przez jakiś czas przetrzyma protokół przesłuchania Adosa w swoim biurku. Instynkt śledczego podpowiadał mu, że to jeszcze nic pewnego, tylko hipoteza, którą musi potwierdzić. Najpierw badania daktyloskopijne... Potrzebny mu dowód, że Kołtun był w numerze Szymańskiego. Potem przesłuchanie, podczas którego nastąpi przyznanie się do winy.

Odezwała się jego komórka. Mikołaj Bukowski? Co jest? Był pewien, że tego pismaka ma już z głowy.

– Komisarzu, wysłałem ci wiadomość, a kopię do... zresztą sam sobie sprawdź.

Strunami głosowymi dziennikarza zawładnęły emocje, złość i nienawiść. Każda sylaba drżała, jakby została przepuszczona przez urządzenie zniekształcające dźwięk. Nie docenił chłopaka, niestety. Dławiący strach powrócił.

– Co się stało? – zapytała Beata, zsuwając się z parapetu.

– Nic takiego. No wiesz, nie wszyscy mnie lubią.

Uśmiechnęła się.

– Sam sobie jesteś winny. Po co rozdajesz swój numer na lewo i prawo?

– Później pogadamy, ja teraz mam robotę. – Wyciągnęła rękę po protokół przesłuchania Adosa. Zdążył przycisnąć go dłonią. – Jak przeczytam, to ci oddam. Dołączysz go wtedy do dokumentacji i prześlesz do pani prokurator. Ale to dopiero jutro, dziś nie zdążę. A w ogóle to sprawdź, czemu ten świadek, co na dwunastą był umówiony, nie przyszedł.

Usiadła przy biurku i swoim zwyczajem skrzyżowała łydki, wsuwając je pod krzesło.

Kamil zalogował się do swojej poczty. Do kogo ten gówniarz wysłał kopię? Zmroziło go. Inspektor Jerzy Kamiński. Komisarz starał się opanować nerwy. Musi przekonać szefa do usunięcia wiadomości od dziennikarza. Wyszedł na korytarz. Wchodząc po schodach, podjął decyzję. Jeżeli teraz mu się uda, jeżeli Kamiński usunie maila i nie będzie niczego podejrzewał, on ostatecznie zakończy sprawę z Bukowskim. Właściwie nie ma wyjścia. Teraz, gdy jest o krok od rozwiązania sprawy podwójnego morderstwa, nie może sobie pozwolić na to, że ktoś pokrzyżuje mu plany.

Drzwi do gabinetu naczelnika były uchylone. Słyszał podniesiony głos Kamińskiego. Szef właśnie kogoś opieprzał, chyba przez telefon. Kamil wszedł do środka. Inspektor chodził po pokoju z komórką przy uchu.

– Nie mam czasu – warknął.

Po czym dalej czynił wymówki komuś po drugiej stronie słuchawki. Komisarz nie ruszył się z miejsca. Inspektor, nie odrywając aparatu od ucha, zapytał go:

– O co chodzi? – I zaraz nakazał: – Tylko krótko.

– Jeden dziennikarz omyłkowo przysłał ci materiały, które miały być dla mnie. Właśnie przed chwilą dzwonił w tej sprawie. Mógłbym rzucić na to okiem? Podobno coś wykrył. Ale wiesz, jak to jest z tymi młodymi, napalonymi dziennikarzami. Wydaje im się, że są na tropie...

– Dobra, dobra, wystarczy.

Podszedł do biurka i zalogował się do swojej poczty. Następnie wskazał Kamilowi fotel, a sam powrócił do przerwanej rozmowy telefonicznej. Soroka usiadł na miejscu szefa i skasował wiadomość od Bukowskiego. Usunął ją również z kosza. Nie mógł uwierzyć, że poszło mu tak łatwo.

## Rozdział XIX

Patryk wszedł do mieszkania. Przywitała go cisza. Nie lubił tego rodzaju ciszy, zupełnej, jakby grobowej. Nie było słycać odgłosów zza okna ani szumu w rurach. Nawet jego fretka nie drapała w podłogę, zapewne znowu drzemała. Żałował, że gosposia zdążyła wyjść przed jego powrotem. Gdy ona była w domu, robiło się trochę przyjemniej i przede wszystkim nie było tak przeraźliwie cicho. Wtedy różne dźwięki zapełniały to duże i ponure mieszkanie. Pralka hurkotała, zmywarka szumiała, odkurzacz warczał, a przez te dźwięki przebijał się głos pani Lucyny, nucącej pod nosem jakąś znaną melodię.

Patryk zdjął buty i bezszelestnie pokonał drogę z przedpokoju do kuchni. Otworzył lodówkę. Naleśniki z serkiem waniliowym, jego ulubione. To był deser, ponadto pani Lucyna przygotowała kurczaka. Na szczęście nikt nie pilnował, co je i czy w ogóle cokolwiek. Mógł więc zrezygnować z kurczaka i wziąć sobie naleśnika. Jadł, chodząc po kuchni bezgłośnie jak duch. Podpalił gaz pod czajnikiem, ale gwizdka oczywiście nie nałożył, bo ostry sygnał informujący o wrzeniu wody mógłby zirytować ojca, który zapewne siedzi w swoim gabinecie i czyta. Sędzia rzadko kiedy oglądał telewizję, w ogóle nie słuchał radia, czasami tylko spędzał czas przy komputerze. Zwykle czytał i to głównie grube książki, jakby o jakości lektury decydowała liczba stron. Patryk przeciwnie, nie czytał wcale, nawet lektur szkolnych. Nie poświęcał czasu na literaturę, bo chciał się czymś różnić od ojca.

Chłopak zalał herbatę, wziął jeszcze parę suszonych śliwek dla fretki i poszedł do swojego pokoju. Bezgłośnie otworzył, a następnie zamknął za sobą drzwi. Postawił kubek na biurku i zbliżył się do kartonu, aby wrzucić tam smakołyk. Zdziwił się, widząc w nim zwierzątko. To nie było jej ulubione miejsce do spania, na drzemkę wołała się wcisnąć choćby do jego plecaka albo pod zwinięty koc. Nagle zakłuło go w sercu. Fretka leżała inaczej niż zwykle. Nie była skulona, lecz dziwnie rozciągnięta i przekręcona na bok. Nie, to jedno słowo wypełniło go całego. Nie, to nie może być prawda. Suszone śliwki wysunęły mu się z palców i spadły obok kartonu. Wyciągnął rękę po fretkę, jeszcze z cieniem nadziei. Może jednak się pomylił. Niestety nie. Fretka, zwykle tak giętka i ruchliwa, teraz była bezwładna i nieruchoma. Patrzył na nią jak zahipnotyzowany, wciąż nie wierząc, że to się stało. Z każdą kolejną sekundą przerażająca prawda przepychała się przez jego umysł, pozostawiając po sobie tylko jedno dojmujące uczucie – rozpacz.

Z fretką przyciśniętą do piersi wyszedł z pokoju. Chciał, żeby ktoś mu pomógł, żeby ktoś go teraz wsparł. Chciał usłyszeć, że to nie jest koniec świata, że nie został sam. Poszedł do gabinetu, do ojca, do jedynej osoby, która była w mieszkaniu i mogła go teraz pocieszyć. Sędzia siedział w fotelu, z wyciągniętymi nogami, skrzyżowanymi na wysokości kostek. Trzymał książkę; odwracając kartkę, uniósł głowę. Patryk stał naprzeciwko niego, nadal przyciskał do piersi martwą fretkę. Łamiącym się głosem powiedział:

– Ona nie żyje.

Sędzia wyciągnął rękę po wysoką szklanę z przezroczystym płynem stojącą na niskim stoliku tuż przy fotelu. Dwa łyki i odstawił ją.



– Wyrzuć to ścierwo do śmieci – powiedział chłodno.

– Do śmieci? – zdziwił się Patryk.

– Tak, do śmieci. Ale nie w domu oczywiście, do śmietnika na zewnątrz.

Wzrok sędziego skierował się na książkę.

– Tato – powiedział błagalnym tonem Patryk.

– Mówiłem ci, żebyś się tego śmierdziucha pozbył. Mogłeś go komuś oddać. Nie oddałeś, to teraz masz trupie ścierwo. Mówiłem, że zrobię z nim porządek, no i zrobiłem. Jeszcze mi ręce śmierdzą. Domyć ich nie mogę.

Patryk pojął całą przerażającą prawdę. Spadła ona na niego jak betonowa bryła, przygniatając go i nie pozwalając ani oddychać, ani rozpaczać. Tylko jego myśli pozostały niezwykle logiczne. To jego ojciec zabił fretkę, prawdopodobnie skrzył jej kark własnymi rękami albo udusił. Drań, morderca, potwór, zapłaci za to. W Patryku ogromniała nienawiść do ojca. Nienawidził go od wielu lat, ale teraz to uczucie stało się niewyobrażalnie wielkie i higienicznie czyste, pozbawione wątpliwości czy wyrzutów sumienia. Nienawidził go i było to jedyne słuszne uczucie wobec tego człowieka, a właściwie potwora.

Chłopak patrzył na łysą czaszkę sędziego odcinającą się od czarnego oparcia. Czaszka nagle się rozprysła, jakby trafiła w nią kula z pistoletu. Taki powinien być koniec potwora. Ta myśl, a właściwie to postanowienie zawładnęło jego umysłem. Odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Wchodząc do swojego pokoju, trzasnął drzwiami, chyba pierwszy raz w życiu. Nie mógł fretki wyrzucić do śmietnika. Dała mu tyle ciepła, przez dwa lata osładzała jego samotność. Należał się jej godny pogrzeb. Włożył ją do pudełka po butach i wyszedł z mieszkania. Szedł przed siebie z nadzieją, że zaraz przyjdzie mu do głowy jakiś pomysł na miejsce pochówku. Po godzinie dotarł na Modrzewinę. Widmowe osiedle, jakieś budynki, przystanki autobusowe, drogi i ani jednego mieszkańca. Ponadto całe połączenie zarośnięte gęsto karłowatymi drzewami i najróżniejszymi krzewami. Patryk skręcił w krzaki. Miękka ziemia zapadała się pod jego butami. Parł do przodu, choć kolczaste gałęzie zdawały się zagrażać mu drogę. W końcu dojrzał to, czego podświadomie wypatrywał, pęknięcie w pniu drzewa. Gdyby fretka żyła, to na pewno by się tam wcisnęła. Wyjął ją z pudełka i włożył w szczelinę.

Twój grób, twoja trumna, pomyślał i ruszył w drogę powrotną. Gdy już znalazł się w swoim pokoju, poczuł totalną pustkę. Znowu był sam, tylko on i jego samotność. Położył się na wersalce, wsunął ręce pod głowę i patrzył w sufit. Czuł, że opuszczają go siły. Pograżył się w jakimś niezdrowym letargu. Nie był to sen, ale daleki był też od jawy. Nagle się ocknął. To cisza przywróciła go do stanu świadomości. Dlaczego jest tak cicho? Aha, to dlatego, że fretki już nie ma. Gdyby była, słyszałby jej dreptanie po drewnianej podłodze.

Nie, nie może się pograżyć w uczuciu beznadziei i przygnębienia. Musi działać, tylko to da mu siłę. Odtworzył sobie w wyobraźni czaszkę ojca na tle czarnego oparcia fotela. Łysa głowa rozpryskuje się na części, pokrwawione kawałki kości lecą w powietrze. Sędzia pozbawiony twarzy, pozbawiony życia... Tak, to jest jego cel. Spojrzał na zegarek. Północ. Podniósł się. W szafie znalazł bawełniane rękawiczki. Włożył je i cicho wyszedł z pokoju. Bezszelestnie przedostał się do gabinetu ojca. Włączył małą lampkę stojącą na biurku. Otworzył szufladę i wyjął beretę. Poczucił się lepiej. Lubił trzymać broń w dłoni, lubił jej ciężar, a przede wszystkim to uczucie, że może wszystko, nawet odebrać komuś życie. Często zakradał się do gabinetu ojca i wyciągał pistolet, a potem z palcem na cynglu groził w myślach swojemu ojcu, Izabeli, nauczycielom i kolegom. Teraz na wymaginowanych groźbach się nie skończy, teraz przejdzie do czynu.

Wycelował w zdjęcie ojca na regale, w jego klatkę piersiową. Sędzia zawsze radził mu i Izabeli, żeby w życiu mierzyli wysoko, uniósł więc pistolet nieco wyżej i wymierzył w czoło ojca, tuż nad nasadą nosa. Miał ochotę pójść teraz do sypialni sędziego i rozwalić mu czaszkę jednym celnym strzałem.

Wiedział jednak, że byłoby to bardzo nierozsądne. W ten sposób zgubiłby siebie, a przecież nie o to mu chodziło. Chciał się uwolnić od tyrana i żyć dalej, spokojnie, bez strachu i tego codziennego poczucia, że jest gorszy. Miał już plany, kiedy to zrobi. Obawiał się tylko jednego. Czy przed tym najważniejszym momentem, przed naciśnięciem spustu nie stchórzy? Może dla pewności siebie powinien zabić wcześniej kogoś innego? Kogoś, kogo bardzo nie lubi. Znalezienie takiej osoby nie powinno być trudne. Przecież nienawidzi połowy świata. Na śmierć z przyjemnością wysłałby całą swoją klasę, bandę snobów i kretynów.

## Rozdział XX

O siódmej piętnaście dyżurny policjant przyjął zgłoszenie. Dzwonił chłopak, przedstawił się: Patryk Lasocki. Zawiadomił, że jego kolega właśnie się zabił, strzelił sobie w głowę. Dyżurny uznał, że to żart. Bardzo młody głos dzwoniącego za tym przemawiał. Od paru dni, od czasu, gdy w mieście zwiększyła się liczba samobójstw, a media nagłaśniały czarną serię, telefonowali różni frustraci i dowcipnisie. W tym wypadku uwagę dyżurnego zwrócił fakt, że chłopak mówił o strzale w głowę, a nie o powieszeniu. To coś nowego. Zdecydował się wysłać patrol na zielony szlak Bażantarni. Trochę czasu minęło, zanim funkcjonariusze dotarli na miejsce. Zastali tam nastolatka siedzącego na ziemi i wpatzonego w swoje buty. Cztery metry dalej znaleźli zwłoki chłopaka z dziurą w głowie.

Było już za piętnaście ósma gdy do Rumuna dotarła informacja o trupie w Bażantarni. Ktoś się zastrzelił bądź został zabity przy pomocy broni palnej. Takiego zdarzenia w Elblągu dawno nie było. Ciekawe, co to za pistolet? Z jakiej odległości oddano strzał?

Komisarz tego dnia miał wolne, a więc Rumun przystąpił do montowania ekipy, która pojechałaby z nim do postrzału ze skutkiem śmiertelnym. Właściwie tę czynność zlecił Beacie, a sam pojechał po panią prokurator. Czekala na niego przed budynkiem prokuratury, ubrana w długi popielaty płaszcz i buty na wysokim obcasie. Przez chwilę się zastanawiał, czy ją uprzedzić, czym jest Bażantarnia i zielony szlak. Że raz pod górę, raz w dół, i to po rozmiękłych po deszczu ścieżkach. Ale jeżeli przyjdzie mu odwozić ją do domu i potem czekać aż się przebierze... To może potrwać, a on chciał już być na miejscu, żeby wszystkiego dopilnować. Nic więc jej nie powiedział. Czuł jednak, że ona poradzi sobie w każdej sytuacji. Zdejmie płaszcz, buty i choćby boso dotrze do zwłok.

Milena Łempicka zdumiewała go i fascynowała. Taka delikatna i niepozorna... Wydawałoby się, że nawet praca na poczcie powinna ją przerastać, a co dopiero stanowisko prokuratora okręgowego. Czasami poruszała się jak cień, żeby tylko nikomu nie wejść w drogę, albo stała na uboczu i jedynie się przyglądała. A jednak... Co za siła z niej emanowała... Niewielu miałoby odwagę się jej sprzeciwić. No, może jeden komisarz Soroka. Aspirant zauważył, że gdy pani prokurator pojawiała się na miejscu zdarzenia, wszyscy funkcjonariusze zaczynali zwawiej się poruszać i solidniej przykładać do swoich czynności.

Na parkingu w Bażantarni stało kilka samochodów, w tym wóz policyjny, w którym siedziały dwie osoby. Prewencja... oni pierwsi przyjęli zgłoszenie. Ale dlaczego siedzą w samochodzie, a nie zabezpieczają miejsca zdarzenia? Rumun zbliżył się z zamiarem pouczenia funkcjonariuszy. Z wozu wyskoczył młody policjant i mu zasalutował.

– Mam w wozie dzieciaka. Było ich dwóch. Jeden się zastrzelił, a ten drugi... można powiedzieć bez kontaktu. To znaczy nie odpowiada na żadne pytanie.

Rumun spojrzał na tylne siedzenie. Chłopiec o szczupłych ramionach, ciemne włosy, delikatny zarys szczęk jak u dziewczyny. Rozpoznał go. Nie raz widział go z profilu jak teraz. To był Patryk Lasocki.

Milena podeszła do niego.

– To jest syn sędziego Lasockiego – powiedział Rumun. – Znam go ze strzelnicy.

– Ja też go znam – oznajmiła Milena i zapytała: – Co on tutaj robi?

– Był na miejscu zdarzenia.

– Porozmawiajmy z nim chwilę – powiedziała Milena i otworzyła drzwi do samochodu.

Zajęła miejsce na tylnym siedzeniu obok Patryka. Rumun usiadł w fotelu kierowcy. Chłopak nie zareagował na ich obecność. Tkwił nieruchomo ze spuszczoną głową, wpatrując się w swoje dłonie leżące bezwładnie na udach.

– Cześć – powiedziała Milena. – Pamiętasz mnie? Byłam u was w domu. – Mówiła przyjaznym tonem, uśmiechała się delikatnie. Nie przyniosło to jednak rezultatu. Chłopak milczał. – A co u fretki? – pytała dalej, próbując nawiązać kontakt.

Patryk w odpowiedzi jedynie zacisnął szczęki.

– Z jakiej broni zabił się twój kolega? – zapytał Rumun.

Chłopak spojrzał na niego oczami zagubionego dziecka. Można było pomyśleć, że nie zrozumiał pytania. Po chwili jednak bardzo wyraźnie i pewnie wypowiedział kilka słów:

– Pistolet PM makarow, kaliber dziewięć milimetrów.

– Co tu razem robiliście? Przyszliście sobie postrzelać?

Patryk pokręcił przecząco głową.

– Dlaczego on miał przy sobie broń? Powiedz nam.

– Wziął ją, żeby mi pokazać – zaczął chłopak szeptem. – To pistolet jego ojca.

– A więc dotykałeś pistoletu. Trzymałeś go w ręku.

– Tak, ale tylko przez chwilę. Zaraz mi go zabrał.

– Zdążyłeś położyć palec na spuście?

Rumun mówił bardzo spokojnie. Nie chciał wywierać presji na Patryku. I tak wyglądał na mocno wystraszonego. Trzeba było jednak ustalić parę kluczowych faktów. Okoliczności nakazywały traktować chłopaka jak sprawcę.

Patryk skulił się i nie patrząc na Rumuna, powiedział:

– Na spuście? Tak, chyba tak. – Chłopak zasyczał, jakby coś go zabolalo, ale za chwilę kontynuował: – Nie chciał mi go dać do ręki. Wyglupiał się, celował we mnie. Mówiłem mu o zasadach postępowania z bronią, że tak nie można. Wyśmiał mnie. Najpierw strzelił w drzewo. – Chłopak znowu syknął. – Powiedziałem mu, że jest debilem i że powinien sobie w beret palnąć. Śmiał się i powiedział, że właśnie ma zamiar to zrobić. Przyłożył lufę do głowy. Debil, debil, debil! – ostatnie słowa wykrzyczał, uderzając pięścią w oparcie fotela.

– Spokojnie – powiedziała Milena i położyła dłoń na jego ramieniu.

W pobliżu zaparkował kolejny wóz policyjny. Wsiadło z niego trzech techników. Rumun spojrzał pytająco na panią prokurator. Chciał wiedzieć, czy to ona pokieruje śledztwem, czy może on ma się zająć wydawaniem poleceń.

Milena otworzyła drzwi i wysiadła. Zrobił to samo.

– Ja idę na miejsce zdarzenia – zaczęła mówić – a pan zostanie tu i dopilnuje, żeby zabezpieczono na chłopaku ślady po wystrzale. Potem proszę dołączyć do mnie. Zadzwoń też zaraz do sędziego, niech przyjedzie po syna na komendę.

Rumun wziął protokół od technika i wsiadł z powrotem do samochodu. Został teraz sam z Patrykiem. Patrzył na niego i myślał, że jego ojciec jest podejrzany o podwójne morderstwo. Czy syn poszedł w ślady rodziciela? Czy to jakaś skaza genetyczna? A może obaj są niewinni? Jeżeli ten dzieciak ma się przyznać do zabicia kolegi, to najlepiej teraz.

– Zastrześliłeś go? – zapytał. – Patryk patrzył na niego wielkimi oczami. Rumun miał dziwne wrażenie,

że widzi w nich pustkę. – No co? Spust sam pociągnął cię za palec? Ty tego nie chciałeś? Tak było?

Patryk przygryzł dolną wargę, a potem powiedział cicho:

– Sam się zastrzelił, sam. Przysięgam.

– Okey – powiedział Rumun.

W głębi duszy liczył na to, że Patryk się nie przyzna. Jeżeli dzieciaki mają zabijać, to już lepiej samych siebie, a nie kolegów.

Do samochodu wsiadł technik.

– Sprawdzimy, czy są na tobie pozostałości po wystrzale – poinformował Patryka.

Ten natychmiast wyciągnął ręce w stronę mężczyzny. Dobrze wiedział, skąd pobierane będą próbki – z grzbietu dłoni oraz z miejsca między palcem wskazującym a kciukiem. Rumun podał w protokole, że pobieranie śladów GSR ma miejsce w samochodzie policyjnym, i odnotował dokładną godzinę tej czynności, po czym zapytał chłopca:

– Jak blisko stałeś kolegi, gdy ten strzelił?

– Blisko, dwa, trzy kroki.

– Czy on strzelał z przyłożenia?

Nie musiał wyjaśniać, o co pyta. Patryk dobrze wiedział, że chodzi o odległość lufy od głowy ofiary.

– Nie wiem, ale zdaje mi się, że z przyłożenia – odpowiedział.

Rumun opisywał w protokole czynności technika, który właśnie przesuwiał jednym tamponem po brwiach Patryka, a drugim po jego włosach. Następnie obie próbki umieścił w dwóch różnych papierowych torebkach i przyczepił do nich metryczki. Gdy technik zaczął pobierać ślady z kurtki na wysokości klatki piersiowej, a potem z zagięć na rękawach, chłopak zaczął się niecierpliwić. Kręcił się i zerkał na Rumuna.

– Jeszcze chwila – poinformował technik, który również zauważył jego zniecierpliwienie. Rozpiął chłopakowi kurtkę i pobrał próbki ze swetra.

Rumunowi przyszło do głowy, że Patryka przycisnął pęcherz. Miał mu już nawet powiedzieć, że jak potrzebuje wyjść, to nie ma problemu. Nie zdążył się jednak odezwać. Chłopak nagle znieruchomiał i podniesionym głosem oznajmił:

– Ja wczoraj strzelałem. Na strzelnicy wczoraj byłem.

Aspirant zamierzał o to zapytać, bo to była ważna informacja. Pozostałości ze strzelania sprzed kilkunastu godzin musiały jeszcze znajdować się na chłopaku. Oczywiście nie na rękach, bo zapewne mył je nie raz, ale na ubraniu na pewno tak.

– Dobrze, że o tym mówisz – zaczął Rumun – ale nie masz czego się obawiać. Jeżeli na tobie znajduje się proch, to eksperci na pewno zdołają ustalić, z jakiej broni pochodzi. Czy z beretty, z której strzelasz na strzelnicy, czy z makarowa, którego użył twój kolega.

Wcale nie uspokoił tym Patryka. Wręcz przeciwnie, chłopak wystraszonym głosem zawołał:

– To nieprawda... Tego się nie da ustalić! Przecież to zwykły proch, w każdej broni taki sam.

– No niezupełnie – powiedział Rumun, pstrykając długopisem. – No bo wiesz, to jest tak, że w skład pozostałości po wystrzale wchodzi nie tylko drobiny prochu, ale też cząstki metalu. Pistolet makarow jest wykonany cały ze stali, beretta też, ale jest to zupełnie inna stal, lepsza, nierdzewna. Więc sam widzisz, że eksperci sobie poradzą. – Twarz Patryka się wykrzywiła, jakby przeszył go gwałtowny ból. Dopiero po chwili Rumun pojął, że to nie ból, lecz strach. Chłopak wystraszył się... Ale czego? Najprawdopodobniej tego, że znajdą na jego kurtce pozostałości po wystrzale, a on nie będzie mógł wykręcić się wyjaśnieniem, że to ze strzelnicy. – Gdzie masz rękawiczki?

– Nie miałem – odpowiedział Patryk zrezygnowanym głosem.

Gdy technik skończył swoją robotę, Rumun przeszukał chłopaka. Rękawiczek przy nim nie znalazł,

a powinien, bo zimno było, zaledwie sześć stopni. Może wyrzucił je gdzieś w lesie? Trzeba ich poszukać, bo mogą na nich być ślady po wystrzale.

## Rozdział XXI

Milena siedziała przy swoim biurku w prokuraturze i przeglądała akta. Od morderstwa w hotelu „Pod Lwem” minęło już dwadzieścia dni, dużo. Z każdym kolejnym oddalali się od rozwiązania tej sprawy. Czas działał na ich niekorzyść, czego najlepszym dowodem były nieubłagane statystyki. Większość spraw rozwiązuje się w ciągu kilkudziesięciu godzin od zdarzenia. Potem szanse na sukces drastycznie malały.

Dwa dni temu przystąpiła do ponownego przeglądania akt. Od nowa czytała każdy protokół, analizowała fotografie, przeglądała wykazy dowodów rzeczowych, zagłębiała się w opinie biegłych. Miała nadzieję, że na coś trafi. Najbardziej intrygowało ją, dlaczego Lasocki podsunął jej Łukasza Markowskiego jako potencjalnego sprawcę. Jaki miał cel w tym, żeby skierować jej uwagę na tego drobnego przestępcę? Może gdy znajdzie odpowiedź na to pytanie, uda się jej rozwikłać całą sprawę. Na razie ustaliła jedynie, że podczas licytacji Markowski robił głośne i nieprzyjemne uwagi pod adresem licytujących. Jednym słowem przeszkadzał. To mogło zdenerwować sędziego, był przecież organizatorem aukcji. Ale czy z tego powodu Lasocki sugerowałby, że Łukasz może mieć coś wspólnego ze śmiercią Szymańskiego i Ester? A może jednak sędzia wiedział coś więcej o Markowskim... Może powinna przesłuchać Łukasza? Komisarz już to zrobił na początku śledztwa i powiedział, że Karaluch jest poza wszelkimi podejrzeniami. A co, jeśli się pomylił? Przecież Markowski był kolegą Ester. Mogli się dogadać i wpuścić go bocznym wejściem. Milena wzięła do ręki protokół jego przesłuchania. Zazdrość o matkę, to dobry motyw do zabójstwa. Ale czy Karaluch jest na tyle bystry, żeby schować walory za szafę? Czy pomyślałby w tamtym momencie o podsuwaniu policji fałszywego tropu? Nie, na pewno nie. Do tego zdolny był tylko sędzia Lasocki.

Wciąż liczyła na to, że sędzia wróci do numeru trzydzieści dwa po walory, a wtedy policyjna kamera im go pokaże. Niewiele przemawiało za tym, że tak się stanie. Właściwie tylko szaleńcza pasja kolekcjonerska mogła pchnąć Lasockiego na miejsce zbrodni. Milena miała w głowie słowa Karoliny Potockiej, że kolekcjonowanie ma w sobie coś niezdrowego, że budzi ono w człowieku uczucie wiecznego nienasycenia. Chce się mieć coraz więcej i więcej. Czy sędziego czasem nie trawi pragnienie ponownego ujżenia niezwyklej grafiki Józefa Mehoffera? Milena miała nadzieję, że tak, że Lasocki złamie się i pójdzie po walory ukryte za szafą. Dlatego jeszcze go nie przesłuchała. Woląca czekać, aż sędzia popełni błąd. Tylko jak długo może sobie na to pozwolić?

Wzięła do ręki kolejny dokument. Była to notatka komisarza z rozmowy z Rafałem Lipcem, przeprowadzonej w dzień morderstwa. Pamiętała, jak to się odbyło. Najpierw ona przesłuchała dyrektora, a potem Kamil z nim porozmawiał, żeby ustalić, co go łączyło z recepcjonistką. Zaczęła przesuwac wzrokiem po zadrukowanej kartce. Chciała ją już odłożyć i przejść do ważniejszych dokumentów. Zatrzymała się na jednym z końcowych wersów. Miała wrażenie, że jej mózg nie może nadążyć za oczami. Litery składały się w słowa i zdania, ale ich sens docierał do niej zbyt późno. A przecież powinna jeszcze przeanalizować to, co czyta, i odnieść do znanych faktów. Miała już odłożyć notatkę, bo przecież nie jest taka ważna, ale jednak rzetelność śledcza zwyciężyła. Zaczęła czytać od

początku, tym razem wolniej.

Jest... Trafiała... Czegoś takiego właśnie szukała, nieścisłości w zeznaniach, wykluczających się faktów. Podeszła do okna. Wciąż trzymała w ręku notatkę. Znowu na nią spojrzała. Komisarz zapytał Rafała Lipca, w jakiej sprawie dzwonił do Ester na krótko przed jej śmiercią. A ten odpowiedział, że chodziło o trzech nowych kandydatów do pracy w recepcji, z którymi Ester miała spędzić następnego dnia po godzinie za kontuarem. Tylko że następnego dnia była sobota, a w sobotę dziewczyna nie pracowała. Wszystkie weekendy miała wolne. W tamtą sobotę planowała jechać do domu, do Bielnika, o czym wspominały i pani Kucharczyk, i Michalina Kwiatkowska. Czy dyrektor Lipiec skłamał? Może nie, może przekonał recepcjonistkę, żeby tego dnia przysłała jednak do pracy.

Milena wróciła do biurka i zaczęła w myślach rekonstruować znane już fakty. Ester o jedenastej jedenaście odbiera połączenie od przełożonego. Po czym bierze bilety dla Szymańskiego i kieruje się do windy. A może Rafał Lipiec poprosił ją, aby zaniósła bilety kolekcjonerowi. Zwabił ją do pokoju trzydzieści dwa. Czekał tam na nią, a jak weszła – udusił.

Milena znowu wstała i zaczęła chodzić po gabinecie. W jej głowie zarysowywała się nieprawdopodobna hipoteza. O tym, że dyrektor Lipiec mógł zabić Ester, powiedziała jej dwa dni temu Edyta Kucharczyk. Ale wtedy podeszła z ogromnym dystansem do tej wersji, wręcz zignorowała podejrzenia matki dziewczyny. Dlaczego tak się zachowała? No tak, z powodu komisarza. Uprowadził ją, że pani Kucharczyk się do niej zgłosi, i poprosił, żeby wyciszyła paranoję zrozpaczonej kobiety. I ona to zrobiła. Przez godzinę spokojnie tłumaczyła, że Ester jest przypadkową ofiarą, że nie była celem sprawcy. Pani Kucharczyk jako uzasadnienie swoich podejrzeń pokazała jej skany dokumentów, które znajdowały się w posiadaniu córki. To z ich powodu miała zginąć.

Milena wykręciła numer Kamila. Nie odebrał. Zadzwoiła więc do sierżant Beaty Gryś. Sygnał, jeden, drugi, trzeci. Co oni tam robią? W końcu usłyszała w słuchawce słodki głos policjantki.

– Co z fakturami dostarczonymi przez panią Kucharczyk? – zapytała Milena. – Sprawdziliście je?

– Tak. Wszystkie lewe.

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję? – zapytała dość ostro Milena.

– Bo dopiero teraz pani dzwoni – odpowiedziała uprzejmie Beata.

– Pani Beato, proszę dołączyć do akt sprawy wyniki z analizy tych dokumentów – poprosiła Milena. –

Czy gdzieś w pobliżu pani jest komisarz Soroka? – Zapytała jeszcze.

Chwila wahania, a potem Beata zdecydowanym głosem oznajmiła:

– Nie. Nie ma go tu.

Milena włożyła płaszcz. Za dwie godziny ma się odbyć spotkanie zespołu na komendzie. Wtedy Kamilowi i pozostałym funkcjonariuszom przedstawi swoje podejrzenia, ale najpierw musi coś jeszcze sprawdzić. W ciągu pięciu minut dotarła do hotelu „Pod Lwem”. Uśmiechnęła się na widok niskiej brunetki stojącej za kontuarem. Recepcjonistka, rozpoznając w niej prokuratora, oznajmiła:

– Pana dyrektora nie ma. Wszedł dziesięć minut temu.

– Nie szkodzi. Wpadnę innego dnia. Właściwie nic ważnego do niego nie mam. – Milena uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Jak się pani tutaj pracuje? – zapytała.

– Wszyscy znajomi o to mnie pytają. – Dziewczyna westchnęła. – Staram się o tym nie myśleć, że moja poprzedniczka została zamordowana.

– A złożyła pani swoją aplikację tutaj już po tym zdarzeniu? Czy wcześniej?

– Po zdarzeniu. W poniedziałek ukazała się oferta w internecie. Chętni mieli od razu przyjść do hotelu na rozmowę. Myślałam, że będę sama, że nikt na miejsce zamordowanej nie będzie chciał, ale przyszły jeszcze dwie dziewczyny. Wybrali mnie, bo mam doświadczenie. Pracowałam w hotelu w Amsterdamie.

– A wcześniej oferty nie było, że potrzebują tu do recepcji? – zdziwiła się Milena. – Bo wie pani, mnie



się wydaje, że mojej znajomej córka coś wspominała, że tu się będzie starać o stanowisko.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– Nie, na pewno tu wcześniej do recepcji nikogo nie szukali. Przynajmniej nie w internecie.

Milena życzyła jeszcze recepcjonistce miłego dnia i wyszła. Nie wróciła do budynku prokuratury, wolała się przejść. Na powietrzu będzie się jej lepiej myślało. Skierowała się na bulwar. A więc Rafał Lipiec kłamał, mówiąc, że dzwonił do Ester, aby ją poinformować o kandydatach umówionych na następny dzień. Żadnych chętnych do recepcji nie było. Ester po jego telefonie wzięła bilety i poszła do numeru trzydzieści dwa. Czy on kazał jej tam się udać? Jeżeli ją zabił, to dlaczego? Z powodu tych faktur? Przekreślił kilkadziesiąt tysięcy. Szantażowała go? Ale co chciała w zamian za milczenie? Pieniędzy? A może ślubu? Milena wzięła dyrektora Lipca za słabego człowieka, zupełnie podporządkowanego żonie i teściowi. Słamszonego przez tych dwojga, niewierzącego we własną wartość. Czy ktoś taki byłby zdolny do zabójstwa? Tak. Właśnie tacy ludzie zabijają. Słabi, wystraszeni, nieumiejący inaczej rozwiązać swoich problemów. Rafał Lipiec nie poradził sobie z szantażem.

Weszła na most i oparła się o barierkę. Miała jeszcze trochę czasu do spotkania na komendzie. Do prokuratury nie ma już po co wracać, niewiele zdążyłaby przeczytać. Stała więc i patrzyła w ciemną wodę. Przy brzegu pływały dzikie kaczki, dwa kaczoły spacerowały po betonowym nabrzeżu. Grupa nastolatków próbowała zagonić je do kanału. Milena powiodła wzrokiem za krzyczącymi mewami, które odleciały w kierunku wieży katedry Świętego Mikołaja. Znowu powróciła myślami do śledztwa. Dwóch sprawców, sędzia Lasocki, który zabił kolekcjonera, i dyrektor Lipiec, który pozbył się swojej kochanki. Czy panowie wiedzieli o swoich zbrodniach? Czy będą teraz kryć się nawzajem? Czy to w ogóle możliwe, że sprawców było dwóch? Trzeba pod tym kątem przeanalizować ekspertyzy biegłych.

Wolnym krokiem ruszyła w stronę swojego samochodu. Kwadrans później weszła do budynku komendy. Była przed czasem. Usiadła przy długim stole w sali konferencyjnej i czekała. Pierwsza przyszła sierżant Gryś. Przyniosła akta, kilkanaście grubych skoroszytów. Milena odszukała dokumentację fotograficzną i zaczęła ją przeglądać. Zwłoki mężczyzny z czarną pończochą zaciśniętą na szyi. Martwa dziewczyna leżąca na podłodze, kilkadziesiąt centymetrów od jej głowy kolejna czarna pończocha. A więc w wypadku Ester sprawca nie zostawił pończochy zawiązanej na szyi. Dlaczego? Czy to znaczy, że było ich dwóch? Dwie różne reakcje, raczej odruch niż przemyślana czynność. A może po prostu tak wyszło?

Beata i Pocięcha usiedli naprzeciw niej. Milena zerknęła na zegarek. Pięć po czternastej.

– Gdzie komisarz i aspirant Nowak? – zapytała.

– Nowak właśnie dzwonił – odezwała się sierżant Gryś. – Przeprasza, ale nie zdąży przyjść.

– A komisarz? – zapytała Milena.

Beata i Pocięcha spojrzeli na siebie.

– Nie wiemy, gdzie jest. Nie odbiera komórki – powiedziała sierżant Gryś, przekładając skoroszyty z aktami jakby czegoś szukała.

Milena była niezadowolona. Chciała zaprezentować Kamilowi swoją nową hipotezę i usłyszeć jego opinię. Wiele też sobie obiecywała po dyskusji w większym gronie. Miała wrażenie, że zostaje sama z tą sprawą. Szkoda.

– Co nowego mamy? – zapytała.

Głos zabrał sierżant Pocięcha:

– Ustaliłem, co łączyło Henryka Szymańskiego z profesorem Leonem Szulcem.

– Proszę mówić – ponagliła Milena.

Pocięcha wyjął parę kartek z notatkami i zaczął relacjonować:

– Obaj byli miłośnikami Prus Wschodnich i obaj należeli do Bractwa Jaszczurczego. Spotykali się na

zjeździe raz do roku, w dzień świętego Macieja, czyli 24 lutego. Od razu uprzedzam, to nie jest żadna dziwna sekta, normalne stowarzyszenie o charakterze kulturalnym. Ich głównym celem jest krzewienie wiedzy o Prusach. Mają odczyty w szkołach średnich. Wydają też książki, a właściwie broszury. Mają swoją stronę w sieci i na Facebooku. Na ostatnim zjeździe w lutym rozgorzała zacięta dyskusja. Pojawił się pomysł, żeby zorganizować konkurs na grę komputerową o Prusach i osobno na komiks o tej tematyce. Profesor Szulc i nasz kolekcjoner chcieli jednak czegoś więcej. Mówili, że muszą wymyślić coś takiego, o czym będą mówić nawet w telewizji. No i wpadli na pomysł tych testamentów. Bo u Prusów było tak, że urządziło się wyścig po majątek zmarłej osoby. Rozmieszczało się rzeczy nieboszczyka na przestrzeni kilku kilometrów, a potem ludzie gnali. Kto szybszy, ten złapał więcej.

– Rozumiem – powiedziała Milena.

– Rozmawiałem z prezesem Bractwa Jaszczurczego. Oni wolą teraz siedzieć cicho. Gdyby nie samobójstwo i morderstwo... toby nawet nagłośnili, że ten bieg na orientację z nagrodą to jest nawiązanie do pruskiej tradycji pogrzebowej. Ale okoliczności... Jednym słowem, cały ten wyścig ma teraz w sobie coś nieetycznego.

– Członkowie tego bractwa wiedzieli o testamentowych planach Szulca i Szymańskiego? – zapytała Milena.

– Tak.

Zapadła cisza.

– To co? – zagadnęła Beata. – Jakiś pasjonat Prus powiesił profesorostwo i zabił kolekcjonera, żeby mógł się dopełnić pruski obyczaj pogrzebowy?

Lekki ton policjantki wskazywał, że nie traktuje poważnie swoich słów.

– Jak inne tropy zawiodą, to sprawdzimy ten – odezwała się Milena i zapytała: – Mamy jeszcze coś nowego?

– Mamy – odpowiedział Pocięcha i spojrzał w swoje notatki. – Henryk Szymański był Żydem – oznajmił takim tonem, jakby wyjawiał najbardziej wstydliwą tajemnicę kolekcjonera. – Właściwie to jego matka była Żydówką, Teresa Adler, urodzona w Opocznie. Polska rodzina ją przygarnęła w czasie wojny i wychowała po katolicku. Szymański nie chwalił się swoim pochodzeniem. Dotarłem do jego kolegów ze szkoły średniej. Nie wiedzieli o tym.

– Ale Janusz Kruk mógł się dowiedzieć – wtrąciła Beata.

Milena zaczęła przyzwyczajając się już do myśli, że Janusz Kruk to jedynie znerwicowany osobnik opętany spiskowymi wizjami, który ukrywa się tylko dlatego, że prawnicza siatka pod przewodnictwem sędziego Lasockiego wrobi go w podwójne morderstwo. Pocięcha przypomniał jej, że Kruk to wciąż ich najważniejszy podejrzany.

– Mamy coś konkretnego przeciwko Krukowi? – zapytała, przekonana, że siedzący przed nią funkcjonariusze zaprzeczą. Sierżant Gryś ją jednak zaskoczyła.

– Tak. Kruk skłamał, mówiąc, że to drwal powiedział mu o zdarzeniu. To nie jest prawda. Janusz Kruk już wcześniej wiedział o morderstwie. Od kogo? Nie mam pojęcia. Ale na pewno wiedział, bo tę wieść przekazał Adamowi Adosowi.

– Skąd pani o tym wie? – zapytała Milena.

– Od Adama Adosa. To ja go przesłuchiwałam.

– Kiedy?

– Dwa dni temu.

Milena nie próbowała ukryć swojej złości. Tak ważne śledztwo, a do prokuratury nie dociera dokumentacja.

– Dlaczego nie dostałam protokołu tego przesłuchania? – zapytała.

– Komisarz powiedział, że pani przekazała, że ja już nie muszę – odpowiedziała Beata. Otworzyła teczkę i zaczęła przerzucać dokumenty. – Ten protokół gdzieś tu jest, zaraz go znajdę.

– Okey, pani Beato, potem pani go znajdzie i prześle do prokuratury – powiedziała pojednawczo Milena.

Skoro Kamil miał dostarczyć jej ten protokół, a tego nie zrobił, to znaczy, że nie jest aż tak ważny. Później się z nim zapozna, a teraz czas na jej hipotezę. Nakreśliła ją szybko, w punktach, i poprosiła o argumenty za nią i przeciw. Sierżant Pocięcha zaczął coś rysować w swoich notatkach. Funkcjonariuszka przystąpiła do składania skoroszytów na jeden stos, jakby szykowała się do ich zabrania. Nagle zaprzestała tej czynności i powiedziała:

– No tak, to możliwe, że Janusz Kruk zabił tylko Szymańskiego, a recepcjonistki już nie. Bo przecież Adosowi powiedział, że został zamordowany kolekcjoner, nic nie wspomniał o dziewczynie. Dlaczego o niej nie powiedział? – Beata zawiesiła głos i po chwili udzieliła odpowiedzi na swoje pytanie: – Bo po prostu nie wiedział, że ona też została zamordowana.

Pocięcha przestał mazać po swoich notatkach.

– Dwóch sprawców? Nie. To prawie jak z filmu. Nie. Myślę, że to niemożliwe – zaczął niepewnym tonem Pocięcha, ale z każdym kolejnym słowem nabierał przekonania co do słuszności swojego twierdzenia. – No bo jak to miałoby wyglądać? Kruk czy ktoś inny morduje kolekcjonera i opuszcza pokój. Chwilę później pojawia się tam dyrektor. Po co? Co on ma do Szymańskiego? Widzi martwego gościa i co? Tak od razu postanawia sobie, że zadzwoni po Ester i udusi ją drugą pończochą?

Milena musiała przyznać, że Pocięcha ma wiele racji. W jej głowie zaczął się formować nowy ciąg wydarzeń. Wystraszony Rafał Lipiec przychodzi do teścia i wyznaje, że ma kochankę, która go szantażuje. Malwersacja... kilka lat więzienia... ale nie to jest najgorsze. Jeżeli cała sprawa wyszłaby na jaw... Co z karierą Izabeli i sędziego? Może dalej funkcjonowałiby w środowisku. Ale jak znieść ironiczne uśmiechy kolegów i ich szeptki za plecami? Dyrektor prosi o pomoc w rozwiązaniu problemu. Wtedy Lasocki układa plan i przy okazji postanawia usunąć znenawidzonego kolekcjonera. To dlatego Rafał Lipiec pojechał po Ester do jej mieszkania. Wiedział, że ona tego dnia zginie, i musiał dopilnować, żeby była w pracy. To sędzia zabił ich oboje, a dyrektor jedynie zwabił kochankę do numeru trzydzieści dwa.

## Rozdział XXII

Kamil przekroczył dozwoloną prędkość o trzydzieści kilometrów. Nie przejmował się tym. W razie czego pokaże legitymację, bez gadania go puszczą i jeszcze zasalutują. Jechał do Olsztyna przesłuchać Adama Adosa, a właściwie Kołtuna. Na jego prośbę koledzy z komendy wojewódzkiej pobrali od Kołtuna odciski linii papilarnych. Dziś je otrzymał i porównał z tymi zabezpieczonymi w pokoju trzydzieści dwa. Tak jak się spodziewał, okazało się, że licytator był w pokoju Szymańskiego.

Nikogo na komendzie nie poinformował, że jedzie do Olsztyna. Beata dzwoniła już do niego kilka razy, Milena też. Prawdopodobnie chodziło o spotkanie zespołu. Nie będzie go na nim, co zapewne wszystkim wyda się niepojęte. Ale niebawem zaskoczy ich jeszcze bardziej, zatrzymując sprawcę. Znowu zadzwoniła jego komórka. Zerknął na wyświetlacz. Tym razem Rumun. Kamil odebrał i zapytał:

– Co tam?

– Była dzisiaj u nas siostra Mikołaja Bukowskiego – oznajmił aspirant. – Niepokoi się o brata. Trzy dni temu został pobity, a wczoraj wrócił do domu ze sporą kasą. Chce, żebyśmy mieli go na oku. Myśli, że coś mu grozi. Spisałem protokół i zastanawiam się, co z tym zrobić.

– Najlepiej będzie, jak z nim pogadasz – powiedział Kamil, siłąc się na swobodny ton.

– Właśnie miałem tak zrobić, ale wolałem się upewnić, że nie masz nic przeciw.

– A dlaczego miałbym mieć coś przeciw? – zapytał Kamil tym samym tonem.

– No wiesz... – zaczął aspirant i nagle urwał. Kamil się nie odezwał. Czekał, aż Rumun dokończy zdanie. Ten niespodziewanie zapytał: – Powiesz mi, co było w tym mailu od Bukowskiego, który kazałeś mi usunąć?

– Kurwa, Rumun, trochę zaufania – wrzasnął Kamil.

– Ja ci zaufałem, usuwając tego maila, a teraz chciałbym wiedzieć, co tam było.

Kamil ścisnął komórkę, aż zatrzeszczała. Szukał w myślach jakiegoś wyjaśnienia na to, co znajdowało się w mailu. Nie, nie powinien niczego wymyślać, bo przez nieostrożne kłamstwo może się tylko pogрузić.

– Jak będziesz rozmawiał z Bukowskim, to zapytaj go, co ci przysłał.

Kamil rozłączył się i rzucił komórkę na siedzenie pasażera. Nacisnął pedał gazu i wyprzedził kolumnę tirów. Czuł lekki niepokój. Nie był to już ten dławiący lęk sprzed trzech dni, ale jednak obawiał się, że sprawa z filmem może jeszcze wypłynąć. Spotkał się z dziennikarzem wczoraj rano w parku Modrzewia. Wręczył mu pieniądze w papierowej torbie. Dziennikarz zajrzał do środka i widząc banknoty, zapytał, czy to za cały rok z góry. Kamil odpowiedział, że to nie za rok, lecz za jego święty spokój do grobowej deski. Mikołaj ponownie zajrzał do torby i zapytał, ile tam jest. Kamil długo się zastanawiał, jaka suma może zamknąć usta dziennikarzowi na zawsze. W końcu zdecydował, że da mu sto dwadzieścia tysięcy. Bukowski się uśmiechnął, słysząc tę kwotę. Wyglądało na to, że otrzymał ofertę, o której nawet nie śmiał marzyć. Chciał wiedzieć, czy to koledzy komisarza złożyli się na tę sumę. Kamil udał, że nie słyszy ironicznego tonu w głosie dziennikarza. Spokojnie wyraził nadzieję, że to koniec sprawy. Bukowski

potwierdził kiwnięciem głową. Powiesił torbę na kierownicy i miał już ruszać, ale Kamil go zatrzymał. Powiedział dziennikarzowi, że go zabije, jeżeli nagranie wpadnie w czyjeś ręce. Lepiej więc, żeby nie zachowała się żadna kopia.

Kamil podniósł komórkę i wybrał numer Mikołaja Bukowskiego. Czuł, że dziennikarz będzie trzymał język za zębami. Teraz bardziej obawiał się o Rumuna, o jego policyjną przenikliwość. Niestety aspirant wyczuwał kryminała z daleka.

Bukowski odebrał i od razu zapytał ironicznie:

– Komisarzu, już się pan za mną stęsknił? A ja głupi myślałem, że mam pana z głowy.

– Zamknij się, Bukowski, i słuchaj. Twoja siostra była na komendzie. Zgłosiła, że cię pobito, i uważa, że coś ci grozi. W tej sprawie spotka się z tobą aspirant Nowak. Uważaj, żebyś czegoś nie chlapnął. To bystry gość.

– A ja myślałem, że aspirant Nowak o wszystkim wie. Przecież obaj mieliście ze mnie zrobić pedofila. Tak szczerze, to czułem, że w Bażantarni pan blefował.

– Dobra, dobra, nie wymądrzaj się, Bukowski. Pamiętaj, jak chcesz doczekać kolejnych urodzin, to się pilnuj.

Kamil rozłączył się. Wjechał już do Olsztyna. Kierował się do centrum, do teatru im. Stefana Jaracza. Postanowił zaskoczyć Adosa w pracy. Zadzwoił tam dzisiaj i dowiedział się, że aktor gra w spektaklu „Jajo węża”. Za dwadzieścia minut miała opaść kurtyna. W teatrze trafił na uroczą inspicjentkę, która na widok policyjnej odznaki natychmiast zaprowadziła go do garderoby Adosa.

– Proszę wejść – poprosił aktor.

Kamil przez chwilę stał zaskoczony, wpatrując się w klauna, potem przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi. Znalazł się w bardzo wąskim pomieszczeniu bez okien. Po jednej stronie wisały lustra, przed nimi stały krzesła. Pod przeciwległą ścianą ciągnął się rząd wieszaków z ubraniami. W elektrycznym świetle lśniły cekiny i sztuczne kamienie.

– My się nie znamy, więc wybaczy pan, ale poproszę o pokazanie legitymacji.

Kamil wyjął odznakę. Adam Ados przyjrzał się jej, po czym powiedział:

– Słucham, panie komisarzu.

Ados modulował swój głos zupełnie inaczej niż w rozmowie z Beatą. Teraz mówił powoli, przeciągając niemal każde słowo. Kamil nie miał pewności, czy w ogóle ma przed sobą Kołtuna. Inny głos, twarz ukryta pod warstwą białego pudru, z namalowanym pośrodku upiornym uśmiechem i jeszcze sztuczny nos oraz peruka.

– Zanim zaczniemy, proszę zmyć ten makijaż – poprosił komisarz.

Z gardła klauna wydobył się krótki, dźwięczny śmiech. Był on nienaturalny, sceniczny. Pasował do namalowanych, groteskowych ust.

– Gdybym to zrobił, to charakteryzatorka by mnie zabiła. Przykro mi, komisarzu, ale nie mogę zmyć makijażu, bo za cztery godziny znów wchodzę na scenę jako klaun.

– Nie będę przesłuchiwał klauna. Niech pan zdejmie ten czerwony nos i umyje twarz. Te kudły też proszę zdjąć.

– Nie zrobię tego.

– Chce pan porozmawiać na komendzie? Mogę zadzwonić po kolegów. Będą za dziesięć minut. Wyprowadzimy pana zakutego w kajdanki. No i przesłuchanie na komendzie potrwa długo, bo protokół trzeba będzie spisać, a my, funkcjonariusze, powoli piszemy. I nie zdąży pan na kolejne przedstawienie. No, panie klaunie, chce pan, żeby dzieci płakały za panem?

Klaun znowu się roześmiał.

– Ja nie gram w przedstawieniu dla dzieci. Proszę, komisarzu, nałożyć mi kajdanki i zadzwonić po

kolegów. Ja makijażu nie zmyję, wolę mieć do czynienia z policją niż z charakteryzatorką. Straszna kobieta, wszyscy tu się jej boimy.

Kamil tracił cierpliwość, był coraz bardziej rozdrażniony. Najpierw Rumun, a teraz ten pajac... Ten groteskowo wyglądający człowiek najprawdopodobniej udusił dwie osoby. Soroka przyjechał tu, żeby go przesłuchać, i bez tego nie wyjdzie. O wzywaniu patrolu przynajmniej na razie nie ma mowy. Postanowił rozpocząć przesłuchanie, choć wiedział, że gruby makijaż na twarzy podejrzanego bardzo utrudni mu tę czynność. Nigdy jeszcze nie przesłuchiwał człowieka w masce. Nie będzie mógł obserwować napięcia mięśni, drżenia warg, kropel potu zbierających się na czole i pod nosem, delikatnego drgania nozdrzy. Mimika mu zawsze tak wiele mówiła, a teraz... Może lepiej przełożyć tę rozmowę? Nie. Nie może zrezygnować w momencie, gdy sukces śledczy jest tak blisko.

Kamil usiadł na jednym z krzeseł i uruchomił dyktafon w komórce. Podał datę oraz godzinę, a następnie oznajmił, że przesłucha Adama Adosa w związku ze sprawą podwójnego morderstwa w hotelu „Pod Lwem”. Poinformował też aktora o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań. Mógł teraz zadać pierwsze pytanie.

– Czy w czasie pobytu w hotelu odwiedził pan Henryka Szymańskiego w pokoju trzydzieści dwa?

– Tak – odpowiedział klaun.

Kamil spodziewał się takiej odpowiedzi. Ados przecież nie był głupi. Dwa dni temu olsztyńska policja oficjalnie pobrała od niego odciski palców, informując go, że to na polecenie wydziału kryminalnego z Elbląga.

– Znał pan Henryka Szymańskiego? – pytał dalej Kamil.

– Czy znałem? Tak bym tego nie określił. Po prostu go pamiętam. Szymański był współnikiem mojego ojca. Ale to dawne dzieje.

– Dlaczego podczas pierwszego przesłuchania powiedział pan, że nie był w pokoju ofiary, i dał do zrozumienia, iż wcześniej nie znał Szymańskiego?

– Nie chciałem wam komplikować śledztwa. Powiedziałbym, że tam byłem, i skupilibyście się na mnie, zamiast szukać mordercy.

– To dziwne – oznajmił Kamil. – Świadkowie zwykle mówią prawdę, żeby nie komplikować śledztwa. A pan odwrotnie, skłamał. I to niby miało nam ułatwić sprawę? W dodatku składając fałszywe zeznania, naraził się pan na karę trzech lat więzienia. Myślę, że z innego powodu pan skłamał.

– Panie komisarzu, wydaje mi się, że pan bardzo chce mi powiedzieć, z jakiego powodu zataiłem prawdę. Słucham. Proszę mówić.

Kamil wyjął z kieszeni kopię listu, który Adam Ados napisał piętnaście lat temu. Podając go klaunowi, powiedział:

– Groził pan śmiercią współnikowi swojego ojca.

– Ach, pamiętam – powiedział egzaltowanym tonem klaun. – Skąd pan to ma, przecież ja to napisałem całe wieki temu. Pamiętam, na lekcji biologii to pisałem. Wychowawczynie o meduzach czy innych pantofelkach mówiła, a ja pisałem list do współnika mojego ojca. Tata już wtedy nie żył, przedawkował psychotropy.

– Po co pan poszedł do pokoju Szymańskiego?

– Żeby porozmawiać. Powiedzieć mu, że to właśnie ja. Nie poznał mnie. Wcale mnie to nie dziwi, bo przecież małym chłopakiem byłem, gdy mnie ostatni raz widział. A ja go poznałem od razu. Wypatrzyłem go na sali. Nawet mu kibicowałem, gdy licytował.

Kamil czuł, że to przesłuchanie idzie w złym kierunku. Chyba po prostu źle zaczął, nie dość ostro. Dał czas Adosowi na psychiczne przygotowanie się do obrony. Ukryty za maską klauna, odpowiadał sensownie i ze spokojem. Niedobrze.

– Czy Szymański się ucieszył z pana wizyty w swoim pokoju?

– A wie pan, że tak. Tak w ogóle to bardzo się zdziwił, jak mu powiedziałem, że jestem synem Mariana Kołtuna. Trochę powspominaliśmy mojego ojca, potem pożegnałem się i wyszedłem.

– Pan też się ucieszył z tego spotkania po latach?

– Tak, oczywiście – odpowiedział klaun.

– To musiał się pan bardzo zmartwić, gdy później dowiedział się pan, że wspólnik ojca został zamordowany – zauważył Kamil.

– Zmartwiłem się? Nie. Raczej byłem w szoku. Nie mogłem uwierzyć, że to prawda.

– I dlatego wziął pan torbę i szybko opuścił hotel, bez jakiegokolwiek próby ustalenia, czy to rzeczywiście chodzi o Henryka Szymańskiego.

– Opuściłem hotel, bo musiałem. Doba hotelowa kończyła się o dwunastej.

Kamil wyłączył dyktafon. Nie sposób przesłuchać klauna, bo zawsze wyjdzie z tego maskarada. Gdyby była tu widownia, to zapewne biłaby brawo, bo klaun spisał się znakomicie. Cały czas udawał głupiego i dlatego zdołał go przechytrzyć.

– Ma pan dla mnie balonik? – zapytał Kamil.

– Jaki balonik? – zdziwił się klaun.

– Klauni najpierw rozbawiają towarzystwo, a potem rozdają baloniki. Pan mnie już rozbawił, teraz czekam na balonik.

– Ja nie jestem takim klaunem, nie zabawiam publiczności.

Kamil popełnił błąd, zakładając, że bardzo szybko złamie Adama Adosa. Zaślepiła go wizja własnego sukcesu. Ale jeszcze nic straconego.

– Wystarczy tej klaunady – powiedział ostro komisarz, podnosząc się z krzesła. – Jest pan podejrzany o zamordowanie dwóch osób, Henryka Szymańskiego i Ester Kucharczyk. Wcześniej czy później to panu udowodnimy. Ja panu daję szansę na przyznanie się do winy w tej chwili. To może panu pomóc podczas procesu. Sąd patrzy przychylniej na tych, którzy dobrowolnie się przyznają. Przypominam też, że przyznanie się do winy daje panu możliwość przyjęcia bardzo korzystnej linii obrony. Mam na myśli niepoczytalność. No co? Powie pan, jak to było?

Kamil nie mógł ocenić, jakie wrażenie zrobiły jego słowa. Sztuczna twarz szczelnie zasłaniała oblicze Kołtuna. Wyprostowana sylwetka aktora też niewiele mu mówiła. Dłonie, tak ważne w niewerbalnej komunikacji, ginęły w za długich rękawach. Być może przebierał nerwowo palcami albo zaciskał pięści. Nie wiadomo.

Nagle z gardła klauna wydobył się teatralny, błazeński śmiech. Rozbawionym głosem powiedział:

– Ja zabiłem? Ja? – Znowu śmiech i zaraz bardzo poważnym tonem oznajmił: – Ja ich nie zabiłem. Przepraszam, ale pan, komisarzu, zajął za dużo mojego czasu. Chciałbym jeszcze wypić kawę i coś zjeść. Proszę już iść.

– Gdzie ukryłeś walory?

– Że co? – zdziwił się klaun.

Kamil już wiedział, że nie nakłoni Kołtuna do przyznania się, ale pozostawała mu jeszcze prowokacja. Postanowił do niej wykorzystać akcje.

– Słuchaj, Kołtun, wiem, że nie wyniosłeś ich z hotelu. Widziałem na nagraniu z monitoringu, jak sobie spokojnie wychodzisz z budynku. Na pewno ich wtedy przy sobie nie miałeś, bo nie byłbyś tak spokojny. Zorientowałeś się, że policja jest już w hotelu, wolałeś więc je gdzieś ukryć. Myślisz, że ja ich nie znajdę, ale zrobię to. Za pięć dni zamkniemy cały hotel i przeszukamy go od nowa, centymetr po centymetrze. Każdą deskę zerwiemy, każdy mebel przesuniemy i znajdziemy te akcje. A jak będą na nich twoje odciski palców, to do końca życia będziesz grywał błaznów w penitencjarnym kółku teatralnym.

Kamil czekał na reakcję klauna. Z tymi odciskami palców na akcjach jako kluczowym dowodem blefował. Miał jednak nadzieję, że udało mu się przestraszyć Adosa na dobre. Strach odbiera rozsądne myślenie. Jeżeli aktora ogarnie paniczny lęk, to popełni błąd. Liczył na to, że Kołtun w ciągu najbliższych dni pojawi się w Elblągu, oczywiście z fałszywą tożsamością, i wynajmie pokój trzydzieści dwa w hotelu „Pod Lwem”, żeby móc wyjąć walory zza szafy.

Klaun wyminął Kamila w milczeniu i wyszedł z garderoby. Komisarzowi nie pozostawało nic innego jak wrócić do Elbląga i poinformować cały zespół, że zarzucił haczyk na sprawcę. Jeżeli Ados przyjdzie po walory... On będzie mógł świętować największy sukces w swojej karierze.



## Rozdział XXIII

Patryk czuł ciężar beretty w kieszeni. W końcu nadszedł ten dzień. Dziś usunie ze swojego życia potwora, swojego ojca. Zaplanował wszystko z drobnymi szczegółami. To musi się udać. Chociaż jeszcze wczoraj zanosilo się na to, że cały jego plan legnie w gruzach. W internecie pojawił się bowiem komunikat, że „Harpagan” nie może się odbyć ze względu na obecność watahy wilków w okolicach Elbląga. Chłopak był zdruzgotany. Miał okazję zabić ojca z jego własnej broni w lesie, nocą... Kiedy trafią mu się drugi raz tak sprzyjające okoliczności? Na szczęście godzinę później pojawiło się sprostowanie. Bieg na orientację był niezagrożony. Komendant Straży Leśnej z Nadleśnictwa Elbląg zapewniał, że zaobserwowana wataha liczy tylko cztery sztuki, które nie stanowią zagrożenia, bo na pewno uciekną, gdy do lasu wejdzie dwa tysiące uczestników imprezy.

Zbliżała się dwudziesta pierwsza. Patryk stał w tłumie. Nie różnił się zbyt od tłoczących się wokół ludzi. Też miał plecak, buty trekkingowe oraz czołówkę i kompas na szyi. Coraz więcej osób trzymało mapy. Patryk nie zgłosił się na oficjalnego uczestnika, a więc on mapy z zaznaczonymi punktami nie otrzyma. Miał nadzieję, że to nie będzie problem. I tak nie miałby czasu, aby przyglądać się trasie. Musi przecież pilnować swojego ojca. Chwila nieuwagi i go zgubi. Teraz też go widział, szerokie ramiona i głowa zasłonięta czarnym kapturem.

Nagle tłum ruszył. Patryk wraz z nim. Śmiechy, okrzyki, błysk fleszy. Chłopak podniósł kołnierz kurtki, żeby zasłonić twarz. Nie chciał, aby utrwalono go na zdjęciu, które później trafi do sieci i ktoś go rozpozna, a komuś innemu wyda się podejrzane, że był na imprezie, na której został zastrzelony jego ojciec. Wyminęło go trzech chłopaków, zapewne niewiele starszych od niego. Wszyscy mieli numerki startowe na piersiach. On numerka nie posiadał. Żeby tylko z tego powodu nie zaczął budzić zainteresowania. Ale na szczęście ludzie parli do przodu, nie oglądając się na innych. Mijali go kolejni zawodnicy. Wyglądało na to, że już pojawił się duch rywalizacji. Ludzie podbiegali, jak gdyby za kilkaset metrów miała być meta, a przecież trasa liczyła sto kilometrów.

Coraz więcej osób zaczęło oddzielać Patryka od ojca, przyspieszył więc kroku i zbliżył się do niego na odległość dziesięciu metrów. Teraz było dobrze, bo widział całą jego sylwetkę. Nie bał się, że ojciec zaraz się odwróci i go zobaczy. Sędzia był egoistą do szpiku kości i nawet na takiej imprezie zwracał uwagę tylko na siebie. Współzawodnicy dla niego nie istnieli. Nie będzie się więc rozglądał, żeby sprawdzić, jak się wiedzie innym.

Chłopak z toczących się wokół rozmów wyłapywał znajome nazwy, Bażantarnia, Góra Chrobrego, Próchnik, Stagniewo. Miał już orientację, którędy wiedzie trasa. Nie wiedział jeszcze, w którym momencie strzeli ojcu w plecy. Po prostu będzie za nim szedł i gdy nadarzy się okazja, zrobi to. Nie powinien jednak zbyt długo zwlekać. Sędzia miał niesamowitą kondycję, mógł długo utrzymywać równe, szybkie tempo. A Patryk zapewne osłabnie i zacznie zostawać w tyle.

Zbliżali się do Bażantarni. Tłum się rozciągnął, ale nadal człowiek szedł przy człowieku. Niektórzy zaczęli włączać latarki. Zrobiło się bardzo widno i wesoło. Zaczęło ogarniać go podniecenie. Włożył

rękę do kieszeni i dotknął pistoletu. Miał nadzieję, że znajomy kształt beretty go uspokoi, ale nie... napięcie w nim rosło. Kilku chłopaków za jego plecami zaczęło śpiewać: *Do domu wrócimy, w piecu napalimy, nakarmimy psa*. Dołączył do ich głosów, podśpiewując: *Przed nocą zdążymy, tylko zwyciężymy*. Weszli do lasu i kierowali się na Górę Chrobrego szerokim traktem. Patryk nie włączył swojej czołówki. Wolał korzystać ze światła innych zawodników. Wydawało mu się, że w ten sposób jest mniej widoczny. Przez moment znalazł się tak blisko ojca, że mógł go dotknąć. Zwolnił trochę i pozwolił, aby między niego a sędziego weszły dwie osoby. Z ust chłopaka wydobywały się kłęby pary. Było jakieś pięć stopni. Prognozy zapowiadały, że nad ranem temperatura spadnie do zera.

Byli już prawie na szczycie i nagle kilka osób zaczęło zbiegać. Uskoczył w bok, żeby uniknąć potrącenia. Za chwilę kolejne osoby zaczęły iść pod prąd. Nie wiedział, o co chodzi. Czy oni już zrezygnowali z udziału w zawodach? Jeszcze kilka kroków i stanął na Górze Chrobrego. Było tutaj dużo ludzi, koło setki, skupieni w kilkusobowych grupach, pochylali się nad mapami. Patryk domyślił się, że ustalają dalszą trasę. Zaskoczyło go, że wybierają skrajne kierunki. Niektórzy wracali tą drogą, którą przyszli, inni szli dalej prosto, jeszcze inni pchali się w krzaki. Kryjąc się za plecami wysokiego chłopaka, obserwował swojego ojca. Sędzia podał kartkę jakiemuś mężczyźnie, a ten postawił na niej pieczętkę. Do mężczyzny ustawiła się nagle kolejka. Ktoś wołał, żeby nie zapominać o wpisaniu godziny. Błyskały flesze. Patryk schował prawie całą twarz w postawionym kołnierzu.

Sędzia spojrzął na mapę i ruszył dalej, ścieżką na północ. On za nim. Już nie było tak tłoczno. Przed nim ojciec, na lewo ciemno, na prawo trzaski gałęzi i światła latarek. Najwidoczniej kilka osób przedzierało się przez chaszczę. Za Patrykiem szła spora grupa. Oświetlali mu trasę swoimi czołówkami. Ze zdumieniem zauważył, że mówią gwarą, chyba śląską. Rozmawiali o nagrodzie, która stała się już legendą. Historyczne papiery wartościowe, złoto, antyki, obrazy wielkich mistrzów, to wszystko miało składać się na wygraną. Młodzi ludzie za jego plecami umawiali się, że niezależnie kto z nich będzie pierwszy na mecie, podzielą się nagrodą między sobą.

Patryk przystanął raptownie. Szum wody? Blisko, tuż pod nogami. Miał już włączyć czołówkę, ale doszli go Ślązacy i w świetle ich latarek zobaczył mostek. Dobrze, że w porę usłyszał szmer wody, bo gdyby wpadł do strumyka, byłoby bardzo źle. Rzucił się w stronę mostku, aby przejść jako pierwszy. Gdy pokonywał mokre deski, słyszał za sobą docinki Ślązaków. Głupcy, bezmózgowe dwunogi goniące za kasą. Tylko on tutaj miał ważny cel, nikt więcej. Kusilo go, żeby odwrócić się i pogrozić im pistoletem. Nie, tego zrobić nie może, bo musiałby zrezygnować z zastrzelenia ojca.

Sędzia znajdował się już jakieś dwadzieścia metrów przed nim. Chłopak przyspieszył. Na szczęście zdążył go dogonić przed rozwidleniem dróg. Ojciec skręcił w prawo, on za nim. Ślązacy poszli w lewo. A więc zostali tylko we dwóch. Dzielilo ich zaledwie dziesięć metrów. Patryk włożył rękę do kieszeni i dotknął beretty, oczywiście w rękawiczkach. Jeżeli policja znalazłaby broń, to zidentyfikują na niej tylko odciski palców sędziego. Ale pistolet po tym wydarzeniu zniknie, bo przecież inaczej być nie może. Patryk nie mógł sobie pozwolić na to, że ktoś kiedyś ustali, iż sędzia został zastrzelony ze swojej własnej broni. Miał dobry plan jak się jej pozbyć. Jutro rano wrzuci berettę do kanału. Jeżeli ktokolwiek kiedyś zapyta, gdzie jest pistolet sędziego, wzruszy jedynie ramionami. Wciąż trzymał się w odległości dziesięciu metrów od ojca. W momencie strzału powinien zbliżyć się na jakieś cztery metry. Będzie przecież strzelał idąc i to w dodatku do ruchomego celu. Lepiej nie ryzykować przy większej odległości. Nigdy przecież nie trenował strzelania dynamicznego, a już zwłaszcza nocą. Wyciągnął pistolet z kieszeni i położył palec na spuście. Poczł w sobie dygot. Nie mógł nad nim zapanować. Miał ochotę na moment przystanąć, nie mógł się jednak zatrzymać, bo wtedy ojciec za bardzo by się oddalił.

Patryk słyszał swój ciężki oddech i kroki na miękkiej ściółce. To już nie była ścieżka, przedzierali się przez las. Może nie powinien dłużej czekać? W oddali widział światła latarek i słyszał głosy

nawołujących się ludzi, ale w odległości pięćdziesięciu metrów nikogo nie było. Przyspieszył, unosząc rękę z pistoletem na wysokość oczu. Nagle rzuciło go na kolana. Omal nie wrzasnął. To jakaś grubsza gałąź... Potknął się o nią. Dobrze, że miał broń zabezpieczoną, bo inaczej mogłaby wystrzelić. Poderwał się i znowu przyspieszył, żeby zbliżyć się do ojca. Siedem metrów, sześć, pięć. But mu się rozwiązał. Co za pech. Czuł, że podeszwy mu grzęzną w coraz bardziej miękkim podłożu. Jeszcze parę kroków i zgubi but. Schował berettę do kieszeni. Pochylił się i zawiązał sznurowadło. Wyprostował się i od razu ruszył do przodu. Dwa kroki i raptem stanął zaskoczony. Gdzie jest jego ojciec? Nie było go, zniknął. Do tej pory sylwetka sędziego poprzedzona światłem latarki była dobrze widoczna, a teraz nic, ciemność. Patryk poczuł, że ogarnia go przerażenie, jak gdyby to jemu groziło niebezpieczeństwo, jak gdyby to na niego ktoś polował. Ruszył biegiem do przodu. Sędzia musi gdzieś tu być. Może drzewa go zasłoniły albo zszedł do jakiegoś wąwozu. Zaraz na pewno go dogoni. Kątem oka zobaczył po lewej stronie kilka osób idących gęsiego. Poruszali się równoległe do trasy Patryka. Może ojciec do nich dołączył, bo tam jest ścieżka? Miał już skręcić w lewo, ale w tej samej chwili zobaczył światło z przodu. To musi być on, szerokie ramiona, kurtka z kapturem, pewny krok. Patryk postanowił, że jak tylko uspokoi oddech, to go zastrzeli. Nie będzie dłużej czekał, bo znowu go zgubi albo zwyczajnie zostanie w tyle, pokonany przez zmęczenie. Zrobił przecież już jakieś osiem kilometrów. Nie będzie też zwracał uwagi, czy wokół znajdują się jakieś osoby. Ludzie, słysząc strzał, nie rzucą się przecież w stronę huk. Prawdopodobnie większość uzna to za żart.

Patryk zbliżył się do ojca na pięć metrów, za chwilę na cztery i pół. Wyciągnął berettę. Podniósł rękę do góry. Czy już odbezpieczyć i strzelić? Nie, jeszcze moment. Musi skrócić odległość między nimi, choćby o pół metra. Był tuż za plecami ojca, ale jeszcze nie strzelił. Dlaczego? Bał się? Nie, nie bał się zabić, bo przecież już to raz zrobił. Zabił tego głupiego Leśniaka. Strzelił mu w czachę. Wtedy nie spanikował. Po wszystkim umył w strumieniu ręce, oczywiście mydłem, żeby zmyć pozostałości prochu po wystrzale. Wybrał skrawek mydła, a nie rękawiczki, bo łatwiej się go pozbyć. Tak jak się spodziewał, policja szukała jego rękawiczek, no i nie znalazła. Wprawdzie technik zabezpieczył na prawym rękawie jego kurtki ślad po wystrzale z makarowa, ale tym się nie przejmował. Ważne, że dłonie miał czyste. Jego linie papilarne na tamtym pistolecie też nie były problemem, bo przecież przyznał się, że przez moment go trzymał. Wtedy się udało, to i teraz musi.

Znowu uniósł rękę z pistoletem i wycelował w plecy ojca. Tylko nie myśleć o tym, że musi nacisnąć spust, i nie zamykać oczu w czasie oddawania strzału. Czuł pod palcem cyngiel. Ale dlaczego ręka tak mu się trzęsie? To od marszu i nierównego oddechu. Chyba powinien się zatrzymać i przyjąć postawę strzelecką. Szedł jednak dalej. Myśli kłębiły mu się w głowie. Strzelaj! Dlaczego nie strzelasz? Usłyszał jakiś dziwny dźwięk. Co to było? Szloch? Tak, to był cichy, przejmujący szloch. Tak nie płacze osoba nieszczęśliwa, to było łkanie kogoś przerażonego. Ale kto to płakał? Przecież przed nim szedł tylko ojciec i nikt więcej. Co się dzieje? Ma omamy słuchowe? Strzelaj! No, strzelaj! Znowu szloch... To chyba jednak z jego gardła. Nie, nie może się rozbeczeć. Nie teraz, bo ojciec usłyszy i się odwróci.

Patryk zatrzymał się. Wstrzymał oddech i wycelował w oddalające się plecy sędziego. Teraz było lepiej, bo ręka już mu tak nie dygotała. Może dlatego, że podtrzymywał ją w łokciu. Zdążył jeszcze pomyśleć, że nogi mu za mocno drżą, i nagle stało się coś dziwnego. Ojciec stanął, jakby chciał, aby Patryk koniecznie trafił. Chłopak opuścił broń. Miał wrażenie, że ten moment trwa całe wieki. Sędzia wreszcie się poruszył. Światło jego latarki zaczęło się zmieniać. Patryk pojął, że ojciec schodzi w dół. A więc przystanął, bo tam zaczyna się wąwóz. Patryk wiedział, że nie da rady pokonać jaru. Chaszcze, zwalone pnie, potoki, zapadający się grunt, to było ponad jego siły. Czuł się skrajnie wyczerpany. Łzy płynęły mu po policzkach. Albo robi to, zanim sędzia tam zejdzie, albo w ogóle.

Z pistoletem w dłoni wyrwał do przodu. Nie zwolnił przed zejściem do wąwozu. Z przerażeniem

pomyślał, że jego podeszwy właśnie straciły przyczepność. Zjeżdżał w dół na butach. Tylko dlatego nie poleciał na twarz, że oparł się dłonią o plecy swojego ojca. Coś usłyszał. Chyba przekleństwo. To sędzia przeklął. Niemożliwe... przecież nigdy nie przeklinał.

Wiedział, że za sekundę ojciec się odwróci i go zobaczy. Odepchnął się od jego pleców i odskoczył na metr. Przeładował. Znajomy chrzęst zabrzmiał upiornie. Zdążył jeszcze pomyśleć, że nie jest złym człowiekiem, że jedynie dokonuje złej rzeczy, która potem przyniesie wiele dobrego. Nacisnął spust. Głośny huk ogłuszył go. Strzelał, nie celując. Nie był pewny, czy zabił. W tej samej chwili ciało ojca zważyło się w dół. Staczało się zboczem jaru, łamiąc gałęzie i gniotąc chaszczę. Nagle wszystko ucichło. Patryka przeraziła cisza. Żadnego szumu, żadnych trzasków, tylko jego oddech i urywany szloch. Patrzył na czarne drzewa wyłaniające się z mroku. Były nieruchome, nierzeczywiste, przerażające. Świat zastygł, stał się martwy.

Patryk biegł przed siebie, zupełnie nie kontrolując kierunku i potykając się o wystające korzenie. Wpadł do jakiegoś dołu. Podniósł się i biegł dalej. Nagle zobaczył światło. Odwrócił się i zaczął gnać w przeciwną stronę. Chyba biegli za nim, gonili go. Musi przyspieszyć, musi im uciec. Skręcił, żeby umknąć przed światłem czołówek. Nie, to był błąd. Z tej strony też nadbiegali. Otaczali go. Znowu skręcił i biegł dalej. Ostre gałęzie uderzały go w twarz. Czuł smak krwi w ustach. W ciemnościach instynktownie wymijał drzewa. Pomyślał, że to ryzykowne, zaraz rozbije głowę na jakimś pniu. Nagle poczuł mocny cios w piszczelę i wyrzuciło go do góry. Padł twarzą w wilgotną ściółkę i to go ocuciło. Leżał, oddychając ciężko. Nasłuchiwał. Ktoś szedł, chyba kilka osób, ale na szczęście oddalali się od niego. Usiadł. Nie miał przy sobie broni. Zaczął jej szukać wokół siebie, po omacku, przesuwając dłońmi po ściółce. Nie, w ten sposób jej nie znajdzie. Włączył czołówkę i rozejrzał się. Beretty nigdzie nie było. Musiała już wcześniej wypaść mu z kieszeni albo z ręki. Powinien wracać do domu. Nie miał pojęcia, gdzie jest, ruszył więc prosto przed siebie.

## Rozdział XXIV

Milena obudziła się z mocnym bólem głowy. Czy to kac? Wczoraj, gdy wróciła od Kamila, wypiała butelkę wina. Przymknęła oczy i przycisnęła poduszkę do czoła. Próbowwała ogarnąć myślami to, co stało się poprzedniego wieczora. Poszła do komisarza, żeby z nim porozmawiać o swoich podejrzeniach wobec dyrektora Lipca.

Kamil otworzył jej drzwi z butelką piwa w ręku. Zapytał, czy też ma ochotę na bronka. Podziękowała z uśmiechem i poprosiła o kawę. Patrzyła na jego ściągnięte rysy, na zaciśnięte szczęki, na pogniecioną i rozpiętą koszulę. Wyglądał na przepracowanego i zestresowanego. Milena podejrzewała, że to wciąż nierozwiązana sprawa podwójnego morderstwa tak go męczy. Chyba zdawał sobie sprawę, że awans może się oddalić. Jeżeli nie złapią sprawcy, na stanowisko naczelnika wydziału kryminalnego Komenda Główna przyśle kogoś z zewnątrz.

Usiadła na kanapie. Obok na podłodze stały cztery puste butelki. Kamil nie wracał z kuchni, podniosła się więc i poszła do niego. Stał oparty o kredens i wpatrywał się bezmyślnie w czajnik. Zaczęła mówić o Rafale Lipcu, o jego telefonie do Ester. Komisarz milczał, nawet na nią nie spojrzął, mówiła więc dalej o ewentualnym motywie. Że to prawdopodobnie z powodu lewych faktur, do których dotarła Ester. Kilkadziesiąt tysięcy złotych wyprowadzonych z hotelu... Dyrektor Lipiec spanikował, a może nie... Może wszystko było wymyślone przez sędziego. Dwie pieczenie na jednym ogniu. On się pozbył znenawidzonego kolekcjonera, a zięć kochanki.

Zaskoczyła ją reakcja Kamila.

– Co ty pierdolisz?! – wrzasnął.

Cofnęła się o krok. Myślała, że to go zainteresuje, że się ożywi, zacznie szukać dowodów na winę dyrektora. Czajnik zagwizdał. Komisarz jakby się ocknął. Mruknął: – Przepraszam. – Zalał kawę, po czym powiedział spokojnie: – Wysłałem do ciebie panią Kucharczyk, żebyś wyleczyła ją z paranoi. A okazuje się, że to ona cię zaraziła chorymi podejrzeniami. Jesteś prokuratorem...

– No właśnie, jestem prokuratorem – przerwała mu Milena. – I dlatego potrafię powiązać różne fakty, wyłapać nieścisłości i ułożyć je w logiczną całość. Jutro przesłucham Rafała Lipca. Lepiej jego niż sędziego.

– Myślę, że się rozczarujesz – powiedział Kamil. – Przepraszam, ale ciastek do kawy nie mam.

Poszła za nim do pokoju. Zła była, że komisarz nie podzielił jej podejrzeń. Chciała razem z nim prowadzić to śledztwo, a okazuje się, że zakończy je sama.

– Dlaczego nie przyszedłeś na spotkanie zespołu? Domyślałam się, że byłeś bardzo zajęty – dodała, wskazując na puste butelki obok kanapy.

– Widziałem się dziś po południu ze sprawcą.

– Z Rafałem Lipcem? – zapytała machinalnie.

– No co ty, przestań. Widziałem się z Adamem Adosem, czyli tak naprawdę Adamem Kołtunem.

– Kołtunem? – powtórzyła zaskoczona.

W głowie Mileny od razu pojawiło się kilka pytań. Żadnego nie zdążyła wypowiedzieć, bo komisarz odpowiedział na każde, jakby siedział w jej głowie i w mgnieniu oka odczytywał formującą się myśl. Opowiedział jej o trudnym przesłuchaniu klauna. Miał nadzieję, że udało mu się go wystraszyć, że teraz Kołtun zrobi błąd i niebawem pojawi się w hotelu, żeby zabrać walory ukryte za szafą.

Znowu prowadzili to śledztwo razem. Siedzieli naprzeciwko siebie i dyskutowali. Szukali przesłanek i dowodów przemawiających za winą każdego z podejrzanych, Adama Kołtuna, Rafała Lipca, Edwarda Lasockiego, a także Janusza Kruka. Milena musiała przyznać, że każdy z nich mógł być sprawcą. Zabezpieczone ślady nie obciążały jednoznacznie żadnego z tych mężczyzn. Doznawała tego samego wrażenia, co przy innych sprawach. To sprawca musi im udowodnić, że jest winny, a nie oni jemu. Bo nawet jeżeli zabezpieczyliby ślady biologiczne na narzędziu zbrodni, a więc na czarnych pończochach, to przecież każdy z podejrzanych mógł powiedzieć, że owszem, przez moment trzymał te pończochy w ręku, żeby je odsunąć na bok, żeby po prostu sobie zrobić miejsce do siedzenia. Teraz akcje ukryte za szafą były ich największą szansą na zakończenie śledztwa. Ten, kto po nie przyjdzie, będzie winny. A jeżeli nikt się nie zgłosi? Wtedy zaczną przesłuchiwać wszystkich podejrzanych od nowa. Może sprawca w końcu pęknie i się przyzna. A jak się przyzna, to będzie jeszcze musiał podać najdrobniejsze szczegóły swej zbrodni, aby oni mu uwierzyli.

Komisarz otworzył kolejne piwo. Milena odniosła szklanekę do kuchni. Powinna już wracać do siebie. Było późno. Weszła jeszcze do łazienki. Umyła ręce i wypłukała usta. Spojrzała w lustro i przeczesła palcami włosy. Obejrzała sobie kosmetyki Kamila. Sporo ich było jak na mężczyznę. Znalazła nawet krem do stóp i samoopalacz. Otworzyła jeszcze szafkę, rękawiczki lateksowe, kilka kostek szarego mydła, dwie strzykawki, gumowe klapki i waciki. Po co facetowi waciki? Nie wiedziała.

Kamil spał na siedząco, z głową odchyłoną na oparcie. Stała i patrzyła na niego jak nigdy dotąd, bezczelnie, wręcz lubieżnie. Pochyliła się i przesunęła palcem po jego bliźnie, od brody po ucho. Czują pod opuszką twarde zarost. Teraz sunęła palcem w dół, do zagłębienia obojczyków. Otworzył oczy. Patrzył na nią, chyba zaskoczony. Milena postawiła stopę na kolanie Kamila i wciąż wodziła palcem po jego ciele. Wsunęła dłoń pod rozpiętą koszulę i dotknęła jego sutka, potem położyła całą dłoń na jego sercu. Miał wyjątkowo gorącą skórę, a może to ona miała zimne ręce. Kamil objął jej nogę w kostce i wolno przesunął dłoń w górę, podnosząc nogawkę jej spodni. Niestety nogawka stawiała opór, bo była wąska. Milena zabrała rękę z jego serca i zaczęła zdejmować bluzkę.

– Nie – powiedział Kamil.

Opuściła ramiona gwałtownie i zabrała stopę z jego kolana. Była wściekła i rozczarowana. Odwróciła się, żeby odejść, ale nie zdążyła zrobić ani kroku. Kamil złapał ją za biodra. Stojąc za nią, wyszeptał wprost do jej ucha:

– Będzie tak, jak ja chcę.

Milena miała wrażenie, że do jej wnętrza ktoś wrzucił tysiacy rozżarzonych węgli. Paliły ją, pozbawiając niemal oddechu. Nigdy nie czuła jeszcze tak ogromnego podniecenia. Kamil pociągnął ją w dół na podłogę. Chciała powiedzieć, że na kanapie będzie im wygodniej. Zamiast słów z jej ust wydobyło się jedynie ciche westchnięcie. Wyciągnęła ręce, żeby go objąć, ale Kamil się odsunął. Ułożył ją na podłodze równo jak pod linijkę. Nogi miała trzymać wyprostowane, ręce wzdłuż tułowia i przede wszystkim miała się nie ruszać. Palcami zamknął jej powieki i zaczął zdejmować spodnie. Uniosła do góry biodra.

– Nie ruszaj się – syknął.

Podciągnął do góry jej bluzkę. Podniosła ramiona, żeby mógł ją z niej ściągnąć przez głowę. Znowu nakazał, żeby się nie ruszała. Leżała teraz nieruchomo w staniku, majtkach i rajstopach. Poczwała, że wsuwa rękę pod jej plecy i rozpina stanik. Otworzyła oczy. Natychmiast położył palce na jej powiekach,

zamykając je tak mocno, że aż zabolalo. Teraz sciagal z niej rajstopy. Dopiero w tej chwili do Mileny dotarlo, w co on sie bawi. W oględziny zwlok... Ta myśl ja zmrozila. Rozbieral ja jak trupa, a nie jak kochanke. Ani razu nie poczula na swojej skórze jego palców. Zdejmujac z niej ubranie, nie pieścił jej, nie całował.

Nie, ona w taki sposób nie chce się kochać. Poczula, że palce Kamila wsuwaja się pod material majtek. Szarpnal, sciagajac je z niej od razu do kolan. Krzyknęła i usiadła. Złapala za majtki, żeby je z powrotem nalozyc. Nie zdazyła. Kamil złapal ja za ramiona i przycisnal do podłogi.

– Puść mnie! – zawolala.

Przerazily ja jego oczy. Szeroko otwarte, pociemniale i tak nienaturalnie skupione.

– Nie ruszaj się – powiedzial stanowczo.

Przełknęła slinę z trudem. Przycisneta do podłogi, z majtkami opuszczonymi do kolan, czula się zupełnie bezbronna i upokorzona. Poza tym się bala, Kamil ja przerazal. Gdy ponownie zazadala, żeby ja puscił, nie zareagowal. Obracal jej ciało na lewo i prawo. Ogladal ja dokladnie, jakby szukal plam opadowych i wszelkiego rodzaju blizn. Polozyl ja na brzuchu i kolanem przycisnal jej plecy. Goraczkowo myslala, jak go powstrzymac. Na pewno nie powinna się szarpać, bo przynosilo to przeciwny skutek. Z policzkiem przycisnietym do drewnianej podłogi, tłumiac w sobie lek, wysilila się na w miare normalny ton i powiedziala:

– Kamil, przestań. To mi się nie podoba.

Podzialalo. Puscił ja. Uslyszala, jak wychodzi z pokoju. Podniosla się i zaczęła ubierac w pospiechu. Nie marnowala czasu na wkładanie majtek i rajstop. Wcisnela je do torebki. Potem po cichu, na palcach, opuścila mieszkanie Kamila. Po powrocie do domu czula się fatalnie. Wzięła prysznic i wypila butelke wina. Troche pomoglo.

Ale teraz, po przebudzeniu, wcale nie bylo lepiej. Byla wsciekla bardziej na siebie niz na niego. Nie powinna romansowac z facetami, z ktorymi pracuje, bo jak cos nie wyjdzie, to rzutuje to na relacje zawodowe. Co jej przyszlo do glowy, żeby się wczoraj do niego dobierac? Kretynka. I jak ona teraz bedzie z nim pracowac? Po czymś takim?

Usmazyla naleśniki. Potem jadla je, stojac przy oknie i patrzac na brzydka bryle kościoła Najswietszej Marii Panny. Z glowników plynęła banalna muzyka. Wlozyla dzinsy, z szafy wyjela gruby, biały sweter. Muzyka plynaca z radia nagle się urwala i zabrzmial przejetý głos. Mowil cos o „Harpaganie” w Elblągu. Milena wlasnie wciagala sweter przez glowe, wiec nie doslyszala. Podeszla do radia i podglosciła. Spikerka zapewniala, że o tym tragicznym wydarzeniu powiadomil stacje uczestnik „Harpaganu”. Jakie tragiczne wydarzenie? Redaktorka informowala teraz, że w lesie miejskim w Bazantarni jest juz policja, która próbuje ustalic, czy to nieszczęśliwy wypadek czy moze zabójstwo. Przypomniała tez, że nagroda za zwyciestwo „Harpaganu” przyciągnęła na tę impreze prawdziwe tłumy.

Milena wzięła do ręki komórke. Nikt do tej pory nie próbował się z nią skontaktowac. Dlaczego? Czyzby ta informacja okazala się jedynie żartem jakiegoś rozczarowanego zawodnika, który w ten wlasnie sposób postanowil zakłócić bieg? Zastanawiala się przez chwile, do kogo zadzwonic.

Rumun odebral juz po pierwszym sygnale.

– Czy cos się stalo na „Harpaganie”?

– Tak. Jedna ofiara śmiertelna... Wyglada to na morderstwo.

– Dlaczego nikt mnie jeszcze nie powiadomil? Czy ja muszę o takich rzeczach dowiadywac się z radia?

Aspirant nawet nie próbował się tłumaczyć. Pięc minut później Milena jechala juz w stronę Bazantarni. Rumun polecil jej zaparkowac pod Górą Chrobrego. Tam czekal na nią funkcjonariusz, który miał ja zaprowadzić na miejsce zdarzenia. Dobrze, że miała wygodne buty. W tym samym kierunku co ona zmierzaly tez inne osoby, glównie mlodzi mężczyźni, wszyscy z plecakami i butelkami wody w dłoniach.

Milena dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że bieg nadal trwa. Po trzydziestu minutach dotarli do miejsca zabezpieczonego przez funkcjonariuszy prewencji. Uczestnicy „Harpaganu” klęli głośno, dowiadując się, że nie mogą iść prosto.

Zbliżył się do niej Rumun.

– W jarze leżą zwłoki – oznajmił. – Lekarza jeszcze nie ma, ale na wypadek to nie wygląda. Ofiara ma ranę postrzałową.

Doszli do krawędzi jaru. W dole dostrzegła trzy znajome sylwetki, Pociecha, Konarski i komisarz. A więc Kamil też tu był. Poczuli się nieswojo. Właściwie powinna się go spodziewać w tym miejscu. Jeżeli to jest morderstwo, to najlepszy śledczy musi zaznajomić się ze sprawą.

– Proszę spojrzeć – odezwał się Rumun, wskazując połamane gałęzie i zgniecione chaszczki. – Ofiara została zastrzelona tutaj, a potem albo ktoś zepchnął ciało, albo samo poleciało w dół. Tu powinniśmy szukać łuski.

Zaczęli schodzić w dół powoli, bo zbocze było strome. Po pokonaniu dziesięciu metrów znaleźli się przy zwłokach. Wysoki, postawny mężczyzna leżał twarzą do ziemi. Miał na sobie czarną kurtkę, długą, sięgającą aż połowy ud. Jego głowę zasłaniał kaptur.

– Trafiony w plecy, między łopatki – powiedział Kamil.

Nie spojrzała na komisarza. Pociecha podał Milenie protokół. Był czysty. Machinalnie odnotowała datę i godzinę. Następnie zaczęła opisywać stan roślinności wokół zwłok. Niskie iglaki na lewo od ofiary są połamane i przewracane w prawą stronę. Na prawo od ciała gruba warstwa liści i cienki wysoki krzak, nieuszkodzony. Gorączkowo zastanawiała się, jak się stąd pozbyć Kamila. W końcu zwróciła się do niego:

– Przeszukaj las w promieniu trzech kilometrów. Ślady obuwia możesz sobie darować, za dużo ludzi tędy przeszło. Interesują mnie przedmioty znalezione na tym obszarze. Jasne?

– Jasne – odpowiedział Kamil i ruszył w górę jaru.

Teraz Milena zadała pytanie Nowakowi:

– Kto znalazł zwłoki i kiedy?

Aspirant zaczął relacjonować:

– To było półtorej godziny temu, pod sto dwanaście zadzwonił jeden z uczestników biegu. Powiedział, że natknął się na trupa. Na początku myślał, że ktoś zasłabł albo się pośliznął i po prostu tu spadł. Chciał pomóc i wtedy stwierdził, że gość jest martwy.

– Gdzie jest ten uczestnik, który dzwonił?

– Pobiegł dalej. Nawet na nas nie czekał, podał tylko orientacyjnie, gdzie jest to miejsce. Gdy byliśmy kilkaset metrów stąd, następni zawodnicy już dzwoniли i zgłaszali, że trafili na zwłoki. Gdy tu doszliśmy, stało przy nim dwóch chłopaków. Też pobiegli dalej, ale mam ich dane.

Milena spokojnym głosem zaczęła wydawać polecenia Rumunowi:

– Skontaktuje się pan z organizatorami i weźmie od nich listę uczestników. Spróbuje pan ustalić, kto jeszcze był przy zwłokach i przesłucha te osoby. Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy ktoś dotykał zwłok, czy może coś przy nich leżało. – Rozejrzała się i dodała: – Plecaka nie ma, a chyba powinien tu być.

Nie spuszczała z oka Konarskiego, który znalazł wgłębiony ślad prawego buta i przystąpił do jego pomiaru. Był to duży but, trzydzieści jeden centymetrów długości i dziewięć centymetrów szerokości, zwrócony czubkiem w stronę zwłok. Pociecha sfotografował ślad traseologiczny, a Konarski zaczął zabezpieczać go odlewem gipsowym.

Milena uświadomiła sobie, że Nowak wciąż przy niej stoi.

– O co chodzi? – zapytała.



– Czy mogę sprawdzić jego kieszenie? Może akurat ma przy sobie jakiś dokument.

Milena była zła na siebie. Przecież od przeszukania zwłok powinni zacząć. Poznanie tożsamości ofiary zazwyczaj pozwala wytypować sprawcę.

– Skończył pan fotografować? – zapytała sierżanta Pocięchę.

– Tak.

– W takim razie przekręćcie go na plecy – poleciła.

Konarski rozłożył folię obok zwłok, a Rumun i Pocięcha nie bez trudu obrócili ciało ofiary. Milena przesunęła wzrokiem po martwych rysach. Młody... Właściwie kogoś takiego spodziewała się ujrzeć. Latarka tkwiąca pośrodku czoła nadawała trupowi groteskowy wygląd. Na szyi miał zawieszony kompas. Z kieszeni wystawała mapa.

– Może go pan przeszukać – zwróciła się do Rumuna.

– Właściwie nie muszę. My go znamy – odpowiedział.

– Kto to jest? – zapytała z ciekawością.

– To Karaluch – odpowiedział Pocięcha i zrobił zdjęcie zwłokom leżącym na plecach. – Zapewne kasa go skusiła, bo miłośnikiem biegów na orientację to on raczej nie był. Nie spodziewałem się, że skończy z kulą w plecach. Musiał się nieźle komuś narazić.

– Karaluch? – zdziwiła się Milena.

Dobrze wiedziała, do kogo należy ta ksywka. Do Łukasza Markowskiego. W wyobraźni Mileny odtworzył się obraz zapłakanej kobiety w czarnym szlafroku i pomarańczowych kapciach. Anna Markowska nie mogła się pozbierać po śmierci przyjaciela... Jak więc poradzi sobie ze śmiercią syna?

– Jesteście pewni, że to Łukasz Markowski?

– To on, ale dla pewności jeszcze sprawdzę – powiedział Rumun i pochylił się, aby przeszukać kieszenie ofiary.

Milena opuściła rękę z protokołem. Właściwie powinna odnotować czynność aspiranta Nowaka, ale teraz była zajęta swoimi myślami. Został zastrzelony Łukasz Markowski, jeden z pierwszych podejrzanych w sprawie podwójnego morderstwa. Motywem tej zbrodni miała być zazdrość o matkę. Soroka po przesłuchaniu wyeliminował Karalucha z grona potencjalnych sprawców. Potem sędzia Lasocki powiedział jej, żeby nie ufała komisarzowi i sama przyjrzała się Markowskiemu, ale ona tego nie zrobiła. Wczoraj, gdy przeglądała akta sprawy, przyszło jej do głowy, że Karaluch może się okazać kluczem do rozwiązania zagadki śmierci kolekcjonera i Ester. Wydawało jej się, że wystarczy znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego sędzia Lasocki chciał zwrócić jej uwagę na Markowskiego. Dzisiaj ważniejsze było ustalenie, kto zabił chłopaka.

Rumun wyjął ze spodni ofiary prawo jazdy. Widniejące na nim nazwisko potwierdziło wstępną identyfikację.

– Może poszedł w prochy – powiedział sierżant Pocięcha.

Milena spojrzała na niego zaskoczona. Czy tylko ona łączyła to dzisiejsze morderstwo z tym z hotelu „Pod Lwem”? Komisarz Soroka na pewno poszedłby tym samym tropem. Nie miała jednak zamiaru do niego dzwonić i informować o tożsamości zwłok. Nie po tym, co wydarzyło się wczoraj.

Pół godziny później do jaru zszedł medyk sądowy. Pocięcha rozdał wszystkim rękawiczki i przystąpili do oględzin zwłok. Lekarz i Konarski rozebrali ofiarę. Milena obejrzała ubrania i opisała je w protokole. A Konarski zapakował każdą część garderoby do osobnej, papierowej torby i opatrzył metryczką. W obszernych kieszeniach kurtki Markowskiego Milena znalazła mapę, trzy batony, małą butelkę z wodą, jakieś tabletki i oczywiście komórkę. Zaczęła się zastanawiać, czy Karaluch miał w ogóle przy sobie plecak. Może jednak z niego zrezygnował na rzecz pakownych kieszeni.

Lekarz stwierdził obecność tylko jednej rany postrzałowej. Znajdowała się na plecach, cztery

centymetry na lewo od kręgosłupa, na wysokości siódmego kręgu. Pocisk przeszył skrzydło wytatuowanego tam orła. Medyk przewidywał, że kula utkwiała w sercu, ale dopiero podczas sekcji zwłok będzie można ustalić jej położenie w ciele. Pocięcha sfotografował ranę postrzałową i pozostałe tatuaże. Milena czekała, aż lekarz poda jej czas zgonu. Dwudziesta trzecia poprzedniego dnia, czternaście godzin temu... Zdziwiło ją, że zwłoki leżą tu już tak długo. Dlaczego nikt wcześniej ich nie zauważył?

Gdy Konarski z Pocięchą wkładali zwłoki do czarnego worka, wrócił Rumun.

– Rozmawiałem z prezesem „Harpaganu” – oznajmił. – Mają swoją bazę na Placu Jagiellończyka. Parę osób zgłosiło mi, że słyszeli strzał w okolicach dziesiątego kilometra trasy. To by się zgadzało, bo zwłoki leżą właśnie na ósmym kilometrze. Wszyscy pomyśleli sobie, że to żart. Prezes również. Gdy mi powiedziałem, że jeden z zawodników został zastrzelony, to zrobił się blady jak ściana. Chciał już przerwać biegi, ale zrezygnował. Bo niby jak ma to zrobić? Ludzie są w trasie, a on ma tylko ich nazwiska, nie numery telefonów.

Usiedli na zwalonym pniu. Rumun rozłożył mapę. Oboje pochylili się nad nią.

– To trasa pierwszej pętli – powiedział i wskazał palcem, w którym miejscu się teraz znajdują.

– Dziwi mnie, że wczoraj nikt go nie zauważył. Przecież takie tłumy biorą udział w tych zawodach – odezwała się Milena.

– Zostawiłem w bazie „Harpaganu” trzech ludzi. Mają przepytywać każdego uczestnika, który tam się pojawi.

– Ci, co znaleźli zwłoki, robili już drugą pętlę?

– Tak – odpowiedział Rumun. – Na drugą pętlę wyszło trochę ponad sześćset osób.

Milena zdrzała z zimna. Właśnie powiał chłodniejszy wiatr, strącając ostatnie liście z dębu rosnącego na krawędzi jaru. Po drugiej stronie wąwozu rozszumiały się sosny. Ten wiatr przywiał mgłę, ale jakąś dziwną, jakby rozrzedzoną i przenikliwie zimną. Wiele by teraz dała za kubek gorącej kawy.

– Markowski jest na liście uczestników? – zapytała.

– Tak – odpowiedział Rumun.

– Teraz pojedziemy do Anny Markowskiej – zaczęła mówić Milena. – Przede wszystkim trzeba ją powiadomić o śmierci syna, no i popytać. Może będzie wiedziała, z kim się zadawał, z kim miał na pieńku. Może coś podsłuchiwała. Matki już takie są, uszy im się bardzo wyciągają, gdy chodzi o własne dzieci. Potem spróbujemy dotrzeć do znajomych Karalucha.

Podniosła się, Rumun również. Ruszyli z boczem w górę jaru. Poczuła na twarzy oddech lasu, wilgotny i żywiczny. Znowu wstrząsnął ją dreszcz zimna. Nie chciałyby przedzierać się nocą przez te chaszcze i krzaki splecione ze sobą w namiętym uścisku. Dlaczego zimny i zamglony las kojarzy jej się z namiętnością? To chyba po wczorajszym wielkim podnieceniu i jeszcze większym rozczarowaniu. Cienka, ostra gałąź uderzyła ją w twarz. Skrzywiła się.

Szła za Rumunem. Mijali po drodze funkcjonariuszy, którzy przeszukiwali teren przylegający do miejsca zdarzenia. Nie mieli łatwego zadania, bo uczestnicy zawodów pozostawiali po sobie sporo śmieci, głównie opakowania po batonach. Każdy z tych papierków należało zabezpieczyć, bo przecież na którymś mógł znajdować się proch po wystrzale oraz linie papilarne. Taki ślad doprowadziłby ich wprost do sprawcy. Rumun narzucił szybkie tempo marszu. Była zmęczona. Otwartymi ustami łapała powietrze i potykała się o wystające z ziemi korzenie drzew. Po piętnastu minutach zaczęła zostawać w tyle. Rumun obejrzał się i przystanął. Gdy doszła do niego, wręczył jej dwa batony. Była mu bardzo wdzięczna, bo mijało już siedem godzin od śniadania i żołądek wysyłał intensywne sygnały do jej mózgu. Rozpakowała baton i zaczęła jeść. Gdy skończyła, zauważyła, że trzyma w ręku opakowanie identyczne z tymi, które pozostawiali po sobie uczestnicy zawodów.

– Skąd pan miał te batony?

– Dostałem w bazie „Harpaganu”.

Dotarli do jej samochodu i wtedy zadzwoniła komórka Rumuna. Odebrał. Wsiadła do wozu i czekała, aż aspirant skończy rozmawiać. Bolały ją nogi i trochę przemarzła. Gdy tylko ruszą, włączy ogrzewanie. Aspirant zajął miejsce obok niej. Uruchomiła silnik.

– Bingo – powiedział niespodziewanie.

– Co? Namierzył pan sprawcę? – zażartowała.

– Komisarz znalazł w lesie pistolet, pięćset metrów od zwłok.

– Blisko, za blisko.

– Nie, pani prokurator, nie za blisko, bo sprawca nie pozbył się go w tym miejscu. On go zgubił. Tam jest dół, wpadł do niego i broń mu wyleciała. Komisarz sprawdza, czy jest zarejestrowana.

Pół godziny później Milena siedziała na komendzie w pokoju aspiranta Nowaka. Oboje jedli pizzę. Rozmowę z matką Łukasza Markowskiego odłożyła na później. Na razie wysłała do niej sierżant Beatę Gryś z psychologiem. Teraz najważniejsza była broń znaleziona w Bażantarni, beretta 92SF, kaliber dziewięć milimetrów. Nawet jeżeli nie jest zarejestrowana, to może chociaż uda im się ustalić obrót tym konkretnym egzemplarzem. Gdzie się pojawił? Do kogo należał? Czy występował w związku z jakąś inną sprawą?

Do pokoju wszedł komisarz.

– No i co? Wiemy coś więcej? – zapytał Rumun.

– Tak, wiemy – odpowiedział Kamil i ciężko opadł na wolne krzesło. – Broń jest zarejestrowana, ale nie uwierzycie na kogo. – Spojrzał na dwa ostatnie kawałki pizzy i zapytał: – Mogę się poczęstować?

– Ta beretta należy do sędziego Edwarda Lasockiego – wyręczyła go Milena.

Właściwie chciała o niego zapytać, ale z jej ust wyszło pełne przekonania stwierdzenie. Po reakcji Kamila wiedziała, że trafiła.

– Nie rozumiem – powiedział. – Skąd ty to wiesz?

Milena z namaszczeniem wycierała palce chusteczką higieniczną i zastanawiała się skąd. Chyba jakiś impuls nakazał jej połączyć kilka faktów.

– Czy Lasocki jest na liście uczestników? – zapytała Rumuna.

Aspirant podniósł kartki leżące obok pudełka z pizzą i zaczął je przeglądać. Po chwili oznajmił:

– Tak, jest na liście.

– No właśnie, sędzia wspominał mi, że ma zamiar startować – powiedziała Milena.

– I na tej podstawie wywnioskowałaś, że to broń sędziego? Bo był na zawodach? Gratuluję umiejętności kojarzenia.

Kamil był zły. Prawdopodobnie myślał, że ona coś przed nim ukrywa i to nie tylko teraz, ale że od dawna mu nie ufa.

Zgniotła chusteczkę higieniczną i powiedziała:

– Sędzia miał coś do Łukasza Markowskiego, ale nie wiem co. Gdy byłam u niego na obiedzie... Pamiętasz, pierwszego listopada. Wtedy próbował mnie przekonać, żebym zajęła się Karaluchem, że to on może mieć coś wspólnego z morderstwem w hotelu.

Kamil patrzył na nią w skupieniu pociemniałymi tęczęwkami. Nagle powiedział:

– Sorry za wczoraj, chyba się nie spisałem.

Milena poczuła, że się czerwieni. Czy on musiał teraz ją przeproszać? Przy aspirancie Nowaku? Na szczęście Rumun nie zauważył jej zmieszania albo po prostu był taktowny. Przyciszonym głosem powiedział:

– Wczoraj Lasocki miałby zastrzelić Karalucha, a dwa dni temu jego syn swojego kolegę?

– Nie, nie – zaprotestowała Milena. – Przecież mamy ekspertyzy. Na dłoniach chłopaka nie było

śladów po wystrzale.

– Ale na prawym rękawie były – zauważył aspirant. – Myślę, że on miał rękawiczki i po zastrzeleniu kumpla gdzieś je schował.

Milena kręciła przecząco głową. Te podejrzenia były niedorzeczne. Przecież widziała tamtego dnia Patryka w Bażantarni. Był przerażony.

– Gdyby on schował gdzieś rękawiczki, to pan na pewno by je znalazł – powiedziała stanowczo. – Poza tym ten zastrzelony kolega miał na dłoniach ślady po wystrzale.

– No bo też strzelił, w drzewo – powiedział aspirant.

Każde z nich wierzyło w inną wersję tego zdarzenia. Milena przesłuchała już Patryka, wczoraj w budynku prokuratury towarzyszył mu adwokat. Chłopiec złożył obszernie i logiczne zeznania. W poniedziałek powinna otrzymać resztę ekspertyz i będzie mogła zamknąć sprawę samobójczej śmierci licealisty.

– Co teraz robimy? – zapytał komisarz.

Milena wyjęła komórkę i powiedziała:

– Sprawdźmy, gdzie teraz jest sędzia. Bieg jeszcze trwa, powinien więc być na trasie.

Wybrała numer i czekała. Jeden sygnał, drugi, trzeci... i głos Edwarda Lasockiego, bez zadyszki, bez jakichkolwiek oznak zmęczenia:

– Dzień dobry, pani Mileno, miło panią usłyszeć.

– Panie Edwardzie, dzwonię, żeby zapytać, jak panu udał się „Harpagan”.

– Niestety zakończyłem go krótko po północy. Pech. Skręciłem nogę w kostce i musiałem zejść z trasy. Domyślam się, że dzwoni pani do mnie również w związku z tym wydarzeniem na „Harpaganie”. Córka mnie o tym poinformowała przed godziną.

– No tak, podczas zawodów został zastrzelony chłopak.

– Raczej nie będę pomocnym świadkiem. Tak jak wielu innych zawodników usłyszałem strzał, ale zbagatelizowałem go. To było blisko dziesiątego kilometra, kilkanaście minut później skręciłem nogę.

Milena wymieniła z sędzią jeszcze parę uprzejmych zdań i zakończyła rozmowę. Trzy parujące kawy stanęły na biurku Rumuna. Przez kolejną godzinę ustalali plan działania. Milena podjęła decyzję, że postawi Edwardowi Lasockiemu zarzut zastrzelenia Łukasza Markowskiego. Sędzia zostanie przesłuchany w charakterze podejrzanego, a nie świadka, i to jeszcze dzisiaj w budynku prokuratury. Zastanawiała się nad tymczasowym aresztem. Uznała, że ten zdecydowany krok jest konieczny, bo w ten sposób może uda się zachwiać poczuciem pewności sędziego. Dzisiaj go zatrzymają, a w poniedziałek skieruje wniosek do sądu o tymczasowe aresztowanie podejrzanego. Ale jak ten wniosek ma uzasadnić? Obawą, że podejrzany ucieknie? A właściwie, dlaczego nie? Przecież ucieczka to w tej chwili jedyna szansa sędziego na uniknięcie dożywocia. Niewykluczone, że wniosek o areszt i tak zostanie odrzucony, bo przecież decyzję podejmą koledzy Lasockiego. Wtedy sędzia opuści areszt i zyska psychologiczną przewagę, tym bardziej, że nie będzie mogła go aresztować ponownie na podstawie tych samych dowodów. Ważne były najbliższe godziny, to, co uda się zrobić teraz, powinno zaprocentować później.

Kamil i Rumun poparli decyzję o zatrzymaniu Lasockiego. Gdy zasugerowała, że może lepiej poczekać na ekspertyzę z laboratorium kryminalistycznego i na wyniki sekcji zwłok, żeby mieć pewność, że to z beretty sędziego został zastrzelony Karaluch, obaj pokręcili głowami. Byli przekonani o jego winie i to ta skręcona noga ich najbardziej przekonała. Przecież pistolet znaleźli w pobliżu dołu, do którego ktoś wpadł, na co wskazywały ślady na ściółce. To tam Lasocki musiał skręcić nogę. Prawdopodobnie nie zauważył, że zgubił pistolet, bo w innym razie szukałby go do skutku.

Komisarz nakreślił na papierze plan zatrzymania sędziego Lasockiego. Wyznaczył liczbę funkcjonariuszy isamochodów. Każdy z góry miał wiedzieć, co należy do jego obowiązków. Pierwsza

rzecz, to natychmiast wysłać patrol pod dom sędziego, niech go pilnują. Milena czuła wzrost adrenaliny. Szybsze bicie serca i przyjemne dreszcze, lubiła to. O dziewiętnastej planowali wejść do mieszkania podejrzanego. Do tego czasu Kamil i Rumun mieli przygotować całą akcję, a ona mogła zająć się sobą. Wróciła do mieszkania i wzięła gorący prysznic. Potem długo nawilżała ciało migdałowym balsamem. Wysuszyła włosy i nadała im odrobinę puszystości. Na powieki położyła popielaty cień. Włożyła wygodną ciemnobrązową sukienkę z kaszmiru. W ostatniej chwili zrezygnowała z butów na wysokim obcasie. Czeka ją przecież jeszcze kilka godzin w prokuraturze, musi czuć się komfortowo podczas przesłuchania. Zdecydowała się więc na krótkie, brązowe botki. Wrzuciła do torebki leki przeciwbólowe i miętowe pastylki. Użyła jeszcze perfum i wyszła z mieszkania.

Zaparkowała trzysta metrów od kamienicy, w której mieszkał sędzia. Gdy dotarła na miejsce, komisarz Soroka i aspirant Nowak stali już na chodniku. Obaj mieli wejść z nią do mieszkania. Spojrzała na zegarek, za dwie dziewiętnasta. Nacisnęła przycisk domofonu. Odebrał Patryk. Przedstawiła się. Otworzył. Szli w milczeniu wąskimi schodami. Ona pierwsza, za nią komisarz, a na końcu aspirant.

Patryk stanął w otwartych drzwiach i patrzył na nich szeroko otwartymi oczami. Milena położyła mu rękę na ramieniu i poprosiła, żeby poszedł do swojego pokoju. Odwrócił się i bez słowa zniknął za pierwszymi drzwiami. Ruszyła do gabinetu sędziego. Lasocki siedział w fotelu. Miał na sobie szlafrok i piżamę. Obandażowaną nogę trzymał na pufie. Przy świetle lampki nocnej czytał książkę. Teraz odłożył ją na stolik, grzbietem do góry. Pochylił się do przodu i wsparł dłonie na poręczach fotela, jak gdyby chciał wstać.

– Pani prokurator, gdyby mnie pani uprzedziła o swojej wizycie, tobym panią przywitał w bardziej odpowiednim stroju.

Milena stała naprzeciw Lasockiego, obok niej Kamil, Rumun został w korytarzu. Oficjalnym tonem oznajmiła:

– Panie Edwardzie, zostaje pan zatrzymany pod zarzutem zabójstwa Łukasza Markowskiego. Zaraz funkcjonariusze przewiozą pana do prokuratury, gdzie złoży pan wyjaśnienia. Może pan skontaktować się ze swoim adwokatem, ale uprzedzam, że będę obecna przy pana pierwszej rozmowie z obrońcą.

Sędzia rozparł się wygodnie w fotelu i spokojnym głosem poprosił:

– Pani Mileno, proszę usiąść. Porozmawiamy. Pan, komisarzu, też niech usiądzie.

– Ma pan kwadrans. Proszę się ubrać, w innym razie zabierzemy pana w piżamie.

Twarz Lasockiego oświetlona tylko w połowie przez lampkę nocną nie wyrażała żadnych emocji.

– Może chociaż powie pani, na jakiej podstawie formułuje pani tak poważny zarzut – odezwał się z wyjątkową swobodą.

– Tak, z chęcią powiem – odezwała się Milena. – W pobliżu miejsca zdarzenia znaleziono pistolet, który zarejestrowany jest na pana nazwisko. Z tej broni prawdopodobnie został zastrzelony Łukasz Markowski.

– Droga pani prokurator, wygląda mi to na jakąś upiorną pomyłkę. Mój pistolet leży w szufladzie biurka. Tutaj.

Edward Lasocki podniósł się z fotela i pokuśtykał do biurka. Jedną ręką wsparł się o blat, a drugą otworzył szufladę. Znieruchomiał. W słabo oświetlonym pokoju prezentował się niczym posąg. Tylko pasek z jego szlafroka kołysał się lekko, rzucając na podłogę ruchomy cień.

– Nie rozumiem – powiedział, unosząc do góry brwi.

Milena nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Edward Lasocki bardzo nieudolnie udawał zdumienie. To uniesienie brwi na jego kamiennej twarzy wypadło wręcz komicznie.

– Muszę zapytać syna i panią Lucynę, to nasza gosposia... Może któreś z nich wzięło pistolet. Ja szuflady na klucz nigdy nie zamykałem, bo tu nie ma małych dzieci.

Milena już wiedziała, jaką linię obrony przyjmie sędzia. Przekona własnego syna, żeby ten przyznał się, iż wziął beretkę, a potem ją zgubił. Sąd może nawet w to uwierzyć, bo przecież chłopiec jest pasjonatem broni palnej i strzelania. Ogarnęła ją złość. Jak można własne dziecko wciągać w coś takiego? Ona na to nie pozwoli. Zbliżyła się do biurka, stając po jego drugiej stronie.

– Mamy mocne dowody na to, że zabił pan Łukasza Markowskiego, w innym razie byśmy tu nie przyszli – powiedziała, kładąc nacisk niemal na każde słowo.

– Pani Mileno, pani oszalała – powiedział spokojnie sędzia. – Dlaczego w ogóle ja miałbym zabić tego chłopaka? Gdyby się pani nad tym zastanowiła, toby pani tu teraz nie było.

– Zabił go pan, bo on swoimi wygłupami zepsuł panu licytację. To przez Markowskiego znowu pan przegrał z Szymańskim. Bardzo to pana rozdrażniło, och, jak bardzo, tak, że postanowił pan zabić ich obu, kolekcjonera i Markowskiego. Przy okazji zabił pan jeszcze Ester. Udowodnię to panu.

– Pani prokurator, pani naprawdę oszalała. Kto z takiego powodu morduje ludzi?

– Kto? Na przykład ktoś, kto nie potrafi znieść przegranej albo upokorzenia, nawet drobnego.

Sędzia spojrzał na komisarza i zapytał:

– Pan też podziela brednie pani prokurator?

Kamil nie odpowiedział. W przeciwieństwie do Mileny nie pozwolił sobie na wymianę zdań z podejrzanym. Ograniczył się jedynie do formułki, którą w takiej sytuacji należało wypowiedzieć.

– Wzywam pana do dobrowolnego wydania rzeczy osobistych, które miał pan na sobie podczas „Harpaganu”, a zwłaszcza kurtki.

– Wszystko zostało wyprane i teraz się suszy – powiedział Lasocki.

Milena pokiwała głową ze zrozumieniem. Sędzia chciał usunąć ślady po wystrzale ze swoich ubrań, dlatego je wyprał. To właściwie można przedstawić w sądzie jako dowód przeciwko niemu.

– A mapa, kompas, plecak, te rzeczy gdzie pan ma? – zapytał komisarz.

Sędzia milczał.

– W takim razie przeszukamy mieszkanie – oznajmił Kamil.

– Nie trzeba, dobrowolnie wydam te rzeczy – powiedział sędzia.

Komisarz włączył górne światło, usiadł przy biurku i przystąpił do spisывania protokołu zatrzymania.

– Jeżeli chce pan teraz się ubrać, to aspirant Nowak, który czeka za drzwiami, będzie panu towarzyszył – powiedziała Milena chłodnym tonem.

Sędzia wyprostował się i poprawił szlafrok.

– Za fotelem stoi kula. Mogłaby pani mi ją podać? – zapytał.

Milena bez słowa podała mu kulę. Wsparł się na niej i zaczął kierować się do drzwi. Stał w połowie drogi i powiedział do niej:

– Pani prokurator, złożę zażalenie. Będę się domagał sprawdzenia zasadności tego zatrzymania. Proszę się jeszcze zastanowić, może pani stracić stanowisko.

Milena spojrzała w twarz sędziego. Znowu prezentował kamienne oblicze.

– Zaprzeczy pan, że był w hotelu w dniu morderstwa?

– Nie, nie zaprzeczę. Byłem tam. Odwiedziłem moją przyjaciółkę Karolinę Potocką, o czym zapewne pani wie.

– A zaprzeczy pan, że był w pokoju trzydzieści dwa?

– Nie, nie zaprzeczę.

Milena starała się zachować spokój. Nie chciała pokazać, że nie mieli żadnych dowodów na obecność sędziego w pokoju kolekcjonera. Przecież nawet analiza śladów daktyloskopijnych zawiodła.

– Pani prokurator, wróżę pani spektakularną porażkę. Powinna pani wiedzieć, że na czas morderstwa w hotelu mam alibi. Zaraz po wyjściu od Karoliny przyszedłem tutaj, do mieszkania, żeby zabrać akta

jednej ze spraw. Mijałem się w drzwiach z synem, bo on w piątek kończy wcześniej. To było pięć, dziesięć minut po jedenastej. Patryk na pewno to potwierdzi. On ma dobrą pamięć.

– Zapytam go o to – powiedziała Milena.

Edward Lasocki wyszedł ze swojego gabinetu, a ona ciężko opadła na fotel, na którym wcześniej siedział sędzia. Wyłączyła lampkę nocną. Niepotrzebnie się świeciła teraz, gdy Kamil zapalił górne światło.

– Dobrze jest – mruknął komisarz, unosząc na moment głowę.

– Idę pogadać z Patrykiem – powiedziała. – Gdy Lasocki wróci, zapytaj go jeszcze, czy nie chciałby złożyć pisemnego oświadczenia. Gdyby chciał, to dołącz je do protokołu.

Wyszła na korytarz. Rumuna już tutaj nie było. Znając swoje obowiązki, poszedł za sędzią i nie spuścił go z oka, dopóki ktoś inny nie przejmie bezpośredniej obserwacji. Podeszła do drzwi, za którymi przed trzydziestoma minutami zniknął Patryk. Dopiero teraz poczuła prawdziwy niepokój. Zaraz zabierze temu chłopcu ojca, najbliższą osobę. Na pewno będzie przerażony. Musi spróbować go uspokoić, wesprzeć i delikatnie wyjaśnić, dlaczego zabierają sędziego. Zapukała cicho. Nikt się nie odezwał, uchyliła więc drzwi.

Patryk siedział skulony na brzegu wersalki. Na jej widok wstał. Zbliżyła się do niego. W jego oczach zobaczyła lęk i błaganie. Patrzył tak samo jak jej synek, gdy coś zbroił.

– Słuchaj – zaczęła cicho, łagodnie. – Twój tata pojedzie teraz z nami i raczej dzisiaj nie wróci.

– Dlaczego go zabieracie? – zapytał szeptem.

– Podejrzewamy, że twój tata zastrzelił na „Harpaganie” pewnego przestępcę.

Specjalnie użyła słowa: przestępcę. Może w ten sposób Patrykowi będzie łatwiej przeboleć tę całą sytuację. Niech ojciec jawi mu się jako ten, który wymierza sprawiedliwość nawet poza salą sądową. Chłopak objął się ramionami i opuścił głowę. Miała ochotę pogłaskać go po włosach albo po policzku i w ten sposób pocieszyć. Ograniczyła się jednak tylko do położenia dłoni na jego ramieniu i powiedziała:

– Nie martw się. Wszystko się wkrótce wyjaśni. – Zadrżał na całym ciele. Biedny dzieciak... Było jej go żal. – Podaj mi prywatny numer do swojej siostry, do Izabeli – poprosiła. – Zadzwoń do niej, żeby tu przyjechała. Nie powinieneś zostawać teraz sam.

Pokręcił przecząco głową i wyszeptał:

– Nie trzeba dzwonić. Sam zostanę.

Zaimponował jej siłą charakteru. Chciał zachowywać się jak dorosły, a nie jak dzieciak. Poprosiła jeszcze raz o numer telefonu. Niechętnie, ale go w końcu podał.

– Muszę zapytać o jeszcze jedną rzecz – powiedziała. – Czy pamiętasz ten dzień, gdy w hotelu „Pod Lwem” doszło do morderstwa?

Kiwnął twierdząco głową.

– O której wtedy wróciłeś ze szkoły?

– Jak zawsze w piątek, parę minut po jedenastej – odpowiedział.

– Czy tamtego dnia zastałeś w domu ojca?

Wydało jej się, że Patryk chce udzielić odpowiedzi, ale w ostatniej chwili zawahał się.

– Powiedz prawdę – poprosiła, dotykając delikatnie jego dłoni.

Przełknął ciężko ślinę i oznajmił:

– Nie, wtedy taty nie było w domu.

Łzy pojawiły się w jego ogromnych oczach. Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę, o co tak naprawdę zapytała. Nie skłamał, żeby ratować ojca, i chyba tego właśnie pożałował.

– Nie martw się – powiedziała. – Wszystko się ułoży. – Stojąc już przy drzwiach, odwróciła się

i zapytała jeszcze: – Gdzie jest twoja fretka?

– Zdechła – odpowiedział, nie patrząc na nią.

– Szkoda – powiedziała szczerze.

– Tak, szkoda – potwierdził.

Wróciła do niego i znowu położyła dłoń na jego szczupłym ramieniu. Dopiero teraz zauważyła, że ma zadrapany policzek.

– Wiesz, w przyszłym tygodniu wybieram się do hodowli fretek, bo chciałabym sobie kupić jedną. Może byś pojechał ze mną?

– Nie wiem – szepnął.

– To zastanów się. Pomógłbyś mi wybrać fretkę. I sobie może też byś jedną wziął?

Nie odpowiedział.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała jeszcze i wyszła z pokoju.

Stojąc w korytarzu, zadzwoniła do Izabeli. Poinformowała ją o zatrzymaniu sędziego i zasugerowała, że powinna przyjechać do brata. Pani notariusz przyjęła wieść ze stoickim spokojem. Wyraziła też nadzieję, że szybko wyjaśni się ta pomyłka, i zapewniła, że zajmie się Patrykiem.

Milena weszła do salonu. Konarski pakował właśnie do papierowych toreb mapę, kompas i plecak. Wyszła i skierowała się do gabinetu. Sędzia ubrany w czarny garnitur siedział przy biurku i coś pisał, zapewne oświadczenie. Komisarz czekał, chodząc w poprzek pokoju. Milena wyszła na zewnątrz. Potrzebne jej było świeże powietrze. Zbiegła po schodach i zatrzymała się na chodniku. Kilku przechodniów przystanęło i patrzyło na wozy policyjne. Zerkali też na nią. W świetle ulicznych lamp widziała ich pospolite twarze. To byli zwyczajni ludzie, a więc potencjalni mordercy. Mordercą zawsze okazuje się normalny człowiek.



## Rozdział XXV

Nagle z kamienicy wybiegł Kamil, a za nim Rumun. Ciało Mileny zareagowało szybciej niż jej umysł. Mięśnie ramion i bioder napięły się. Co się dzieje? A gdzie jest Konarski? Przecież on też był w mieszkaniu sędziego, dlaczego nie wybiegł razem z nimi?

Przed oczami mignęła jej twarz komisarza. Miał zaciśnięte zęby. Zawołał do dwóch funkcjonariuszy, aby poszli na górę po podejrzanego, a jej kazał wsiąść do samochodu. Wskoczyła na tylne siedzenie. Kamil i Rumun zajęli miejsca z przodu. Gdy ruszyli z piskiem opon, zapytała:

– Co się stało?

– Dali znać z komendy, że sprawca jest w hotelu – powiedział aspirant. – Przed chwilą wyjął walory zza szafy.

A więc pomyliła się, oskarżając sędziego o zabicie kolekcjonera i recepcjonistki, to była jej pierwsza myśl. Za chwilę pojawiło się pytanie, które natychmiast zwerbalizowała:

– Kto to jest?

Czekała na odpowiedź, a napięcie w niej rosło. Minęła jedna niesamowicie długa sekunda, a następnie druga, jeszcze dłuższa. Ani Rumun, ani Kamil nie odpowiadali na jej pytanie. Dlaczego milczą? O co tu chodzi?

– Dowiem się w końcu, kto jest sprawcą? – zapytała, nie ukrywając poirytowania.

– No właśnie nie wiadomo – odpowiedział aspirant.

– Nie wiadomo? – zdziwiła się.

A zatem to ktoś zupełnie nowy, pomyślała, ktoś nieznan, żaden z ich podejrzanych. Rumun zaskoczył ją jeszcze bardziej, mówiąc:

– Miał maskę na twarzy. Wyobraża pani to sobie? Przewidział, że znaleźliśmy walory i mogliśmy umieścić tam kamerę.

Wjechali na Kowalską. Przed hotelem stał już radiowóz. Jeden funkcjonariusz pilnował wejścia głównego, drugi drzwi bocznych. Pojawili się tutaj minutę wcześniej. Zameldowali komisarzowi, że nikt przez ten czas nie opuścił budynku. Kamil polecił przysłać jeszcze siedmiu ludzi, po czym weszli do środka.

W holu było ciepło i bardzo jasno. Światło rozchodziło się aż z pięciu ogromnych żyrandoli. Podeszli do kontuaru, za którym stała młoda brunetka. Uśmiechnęła się do nich, ale w jej oczach pojawił się niepokój. Dobrze wiedziała, że nie przyszli tutaj w celach prywatnych.

– Czy w ciągu ostatnich sześciu minut ktoś wyszedł z hotelu? – zapytał Kamil.

– Nie – odpowiedziała, kładąc obie dłonie na ladzie, jakby chciała udowodnić, że nie ma nic do ukrycia.

– A wyjściem bocznym?

– Tamte drzwi są zamknięte na klucz.

– A do restauracji ktoś wchodził albo z niej wychodził?

– Dzisiaj restauracja jest zamknięta, bo coś tam wymieniali.

– Pokój trzydzieści dwa został wynajęty?

– Nie.

– Proszę nam dać listę wszystkich gości hotelowych z numerami pokoi, które zajmują.

– To ja zadzwonię po pana dyrektora – powiedziała dziewczyna i chwyciła za słuchawkę.

Milena skierowała się do windy. Chciała coś sprawdzić. Widziała, że komisarz odprowadza ją wzrokiem, ale nie zatrzymał jej i nawet nie zapytał, dokąd idzie. Wjechała na trzecie piętro i wysiadła z windy. Być może ten wąski korytarz oświetlony nikłym światłem elektrycznym, z ciemnymi ścianami i wykładziną tłumiącą kroki, w innych okolicznościach wydałby się jej przytulny. Ale nie teraz, nie w chwili, kiedy miała świadomość, że w tym budynku przebywa podwójny morderca. Może właśnie stoi za drzwiami któregoś z tych pokoi i ją obserwuje. Przesuwała się powoli środkiem korytarza, rozglądając na boki i sprawdzając, czy jakieś drzwi nie są uchylone. Dotarła do numeru trzydzieści dwa i nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz, a zatem każdy mógł tu wejść, również sprawca, niezależnie od tego, kim był. Zanim włączyła światło, poczuła przejmujące zimno. To z powodu otwartego na całą szerokość okna. Z pokoju wyniesiono meble, została jedynie szafa, odsunięta teraz na parę centymetrów od ściany. Milena zamknęła drzwi i prędko wróciła do windy. Zjechała na sam dół.

W recepcji zastała już dyrektora Lipca. Stał przygarbiony i kurczowo trzymał się kontuaru, jakby nie wierzył, że jest w stanie samodzielnie utrzymać równowagę. Milena podeszła do niego i zapytała:

– Dlaczego z pokoju trzydzieści dwa zostały zabrane wszystkie meble?

– A czy to jakieś przestępstwo?

– Panie dyrektorze, ja tylko pytam. O nic pana nie oskarżam – wyjaśniła Milena.

– Przepraszam – bąknął.

Rafał Lipiec był wyraźnie zdenerwowany. Policzki mu drgały, a na czole lśnił pot. Milena zastanowiła się nad przyczyną jego stanu. Może boi się, bo wie, że już jesteśmy na jego tropie? Albo zwyczajnie jest rozdrażniony, bo zakłócamy funkcjonowanie hotelu? Albo też dowiedział się, że zatrzymaliśmy jego teścia, i stąd to zdenerwowanie?

Dyrektor zaczął wyjaśniać:

– W tym numerze będzie teraz gabinet pani Gosi, to znaczy naszej pani menadżer. Podjąłem tę decyzję wspólnie z nią, bo każdy, kto teraz bierze u nas pokój, zastrzega, żeby nie ten, w którym doszło do zbrodni. No to w gabinecie pani Gosi zrobimy jedynekę, a ona przeniesie się do numeru trzydzieści dwa.

Recepcjonistka podała komisarzowi kilka kartek i oznajmiła:

– To są wszyscy goście hotelowi. Tych, którzy akurat są poza hotelem, podkreśliłam, a ich klucze są u mnie.

– Proszę dać mi te klucze i jeszcze klucze do numerów, które nie zostały wynajęte – odezwał się Kamil.

Recepcjonistka spojrzała pytająco na dyrektora, ten zwrócił się do Mileny:

– Pani prokurator, czy mogłaby pani mi powiedzieć, o co tym razem chodzi? Bo pan komisarz nie był skory do udzielenia mi wyjaśnień, a chyba mam prawo wiedzieć, co się tutaj dzieje. Odstraszcacie nam gości, to chyba pani rozumie.

Milena przyciszyła głos, dając do zrozumienia dyrektorowi, że teraz kieruje swoje słowa tylko do niego:

– Mamy powód sądzić, że w tej chwili na terenie hotelu przebywa sprawca, dlatego przeszukamy hotel. Proszę też pana, aby ułatwił nam pan dostęp do każdego pomieszczenia, nie tylko do pokoi hotelowych.

Rafał Lipiec zachichotał nerwowo i zapytał:

– Co? Dostaliście anonimowy telefon z informacją, że tu jest morderca? Ktoś sobie żart zrobił, a wy tak na poważnie. – Znowu zachichotał i dodał: – No dobra, szukajcie. Tylko błagam, bądźcie uprzejmi

dla gości. My tu mamy wielu stałych klientów z Kaliningradu. Nie chciałbym, żeby zmieniali hotel.

Do holu weszło siedmiu funkcjonariuszy. Podzielili się na pięć grup ze względu na taką właśnie liczbę kondygnacji. Milena z młodym policjantem miała przeszukać piętro drugie. Wzięła od Kamila listę gości tam mieszkających.

– Kołtuna nie ma na liście – oznajmił komisarz. – Ale trzech mężczyzn wynajęło jedyne. Jeden teraz jest poza hotelem. Któryś z dwóch pozostałych to może być Kołtun.

Wchodzili po schodach. Nagle przed nimi pojawiła się para, oboje po trzydziestce, kobieta w grafitowej, błyszczącej sukience i w rozpiętym płaszczu oraz mężczyzna w eleganckich spodniach, do których nie pasowała sportowa kurtka. Komisarz wyciągnął legitymację i przedstawił się. Kobieta zρέcznie go wyminęła, mówiąc:

– Przepraszam, spieszmy się do teatru.

– Uprzedzam, że zostaną państwo zrewidowani przy wyjściu, a wasz pokój zostanie przeszukany pod waszą nieobecność.

– Nie zgadzam się! – zawołała kobieta histerycznie.

– W takim razie proszę z nami pójść do waszego numeru, to nie potrwa długo.

Kobieta zawahała się. Cofnęła się o dwa stopnie, ale w końcu machnęła ręką i powiedziała:

– Okej, możecie sobie pogrzebać w naszych rzeczach. Chyba policja nas nie okradnie.

Złapała swojego towarzysza za rękę i pociągnęła go w dół schodów.

– Klucz, proszę nam go dać! – zawołała za nimi Milena.

Mężczyzna cofnął się i podał jej klucz. Spojrzała na widniejący na nim numer, dwadzieścia pięć. Kamil pozostał na pierwszym piętrze, a Milena w asyście młodego policjanta ruszyła na piętro drugie. Zatrzymała się przed odpowiednim numerem i wsunęła klucz do zamka. Przekręciła go i otworzyła drzwi. Z bijącym sercem szukała włącznika światła. Nie bała się, nie była przecież sama. To raczej adrenalina dawała o sobie znać i to nie pierwszy raz tego dnia. Gdy rozbłysło światło, zobaczyła piętrzące się na podwójnym łożu ubrania. Spośród jaskrawych kolorów najbardziej wyróżniały się srebrzyste rękawy bluzki oraz czerwony szal wijący się w poprzek pościeli. Funkcjonariusz zajrzał do szafy i pod łóżko, Milena do łazienki. Nikt tu się nie ukrywał. Bardziej szczegółowe przeszukanie na razie sobie darowali, ich celem nie były przecież walory, lecz sprawca. Teraz skierowali się do numeru dwadzieścia siedem. Według listy tego pokoju nikt nie wynajął. Funkcjonariusz przekręcił klucz i otworzył drzwi. Rzeczywiście był pusty. Wyszli na korytarz. Milena drgnęła, widząc dyrektora Lipca. Na rękę trzymał płaszcz.

– Pani prokurator – zaczął szeptem. – Czy ja mogę wyjść? Moja żona dzwoniła i prosiła, żebym przyjechał. Podobno zaarrestowaliście mojego teścia. – Dyrektor zachichotał. – I to pod zarzutem morderstwa. – Kolejny chichot. – To co, mogę iść?

Rafał Lipiec mówił logicznie, ale intonacja i ten niepohamowany, nerwowy śmiech robiły nieprzyjemne wrażenie, jak gdyby nie był przy zdrowych zmysłach.

– Nie. Musi pan tu zostać. Proszę wrócić do swojego gabinetu. Zaraz do pana też zajrzemy, żeby sprawdzić, czy ktoś się u pana nie ukrywa.

– U mnie? Ukrywa się?

Rafał Lipiec znowu zachichotał. Odwrócił się i wciąż się śmiejąc, poszedł do swojego gabinetu. Milena miała ochotę pójść za nim, wiedziała jednak, że czynności muszą być wykonane zgodnie z planem. Najpierw przeszukanie, żeby upewnić się, że żaden z pozostałych podejrzanych nie przebywa na terenie hotelu.

Milena zapukała do numeru dwadzieścia sześć. Otworzyła im kobieta w średnim wieku. Miała na sobie śmieszny szlafrok z kokardkami, który wyglądał jak strój dla kilkuletniej dziewczynki. Towarzyszył jej

mężczyzna, chyba młodszy o parę lat. Poproszeni o dowody tożsamości, pokazali je bez zbędnych pytań. Nazwiska wskazywały, że nie są małżeństwem. Oboje wyglądali na mocno przestraszonych. Milena poinformowała ich, że policja szuka groźnego przestępcy, a funkcjonariusz zajrzał pod łóżko, do szafy i łazienki. Po wszystkim przeprosili i wyszli na korytarz. Kobieta wybiegła za nimi. Złapała Milenę za ramię i zaczęła szeptać wprost do jej ucha:

– Czy będziecie nas na przesłuchanie wzywać? Bo widzi pani, ja jestem dyrektorką szkoły w Braniewie, a ten pan to wuefista. Nie chcielibyśmy, żeby... No wie pani.

Milena zapewniła, że żadnych przesłuchań nie będzie. Poprosiła też, aby w ciągu najbliższej godziny nikt nie opuszczał pokoju.

Kolejny numer zamieszkiwało małżeństwo z dzieckiem. Otworzył im mężczyzna z brązowym misiem w dłoni. I on, i jego żona bardzo przejęli się faktem, że policja szuka u nich niebezpiecznego przestępcy. Kobieta chciała się już pakować i przenosić do innego hotelu, ale Milena przekonała ją, że nie ma żadnego zagrożenia. Wystarczy, że przez najbliższą godzinę nie będą wychodzić z numeru.

Wszystkie pokoje były urządzone na różowo i w tej kolorystyce dziwnie prezentowali się goście zajmujący numer dwadzieścia osiem. Byli to ogromni mężczyźni, nieogoleni, krótko ostrzyżeni, wszyscy trzej w czarnych bluzach. Przyjechali z Radomia i jeszcze parę godzin temu uczestniczyli w „Harpaganie”. Niestety nie zdążyli na jakiś punkt kontrolny i musieli wycofać się z dalszego udziału. W tej chwili, oglądając telewizję, spożywali piwo i chipsy. Niewiele ich obeszło, że jacyś ludzie kręcą im się po pokoju.

W dwóch kolejnych numerach także nie znaleźli żadnego z podejrzanych. Mieszkające tam kobiety trudno byłoby uznać za sprawców. Nawet jeżeli Adam Ados przysłał kogoś po te walory, to raczej nie kobietę, bo trudno byłoby jej odsunąć szafę od ściany.

Pozostało im jeszcze tylko jedno pomieszczenie na drugim piętrze, gabinet dyrektora. Milena zapukała i nie czekając na pozwolenie, nacisnęła klamkę. Rafał Lipiec siedział w płaszczu za biurkiem. Wyglądał źle. Gałki oczne prawie wychodziły mu z orbit, blade i wysuszone usta poruszały się, choć nic nie mówił. Funkcjonariusz zajrzał do szafy i łazienki, a potem pytająco spojrzął na Milenę. Podziękowała mu i pozwoliła się oddalić. Wyszedł.

– Panie dyrektorze, może porozmawiamy o Ester i tamtym dniu? – zagadnęła.

Rafał Lipiec milczał. Milena usiadła naprzeciwko niego i czekała. Na co? Na wyznanie skruszonego sprawcy? A może na telefon od komisarza z informacją, że znaleźli Adosa? Miała wrażenie, że jest bardzo blisko rozwiązania, jeszcze tylko chwila, parę minut, a może sekund. Niestety ktoś złośliwy przycisnął palcem wskazówki zegara, czas nie upływał, rozwiązanie nie przychodziło. Zastanawiała się, co ma powiedzieć, o co zapytać, jak przekonać dyrektora do wyznania prawdy. W końcu wypowiedziała formułkę, którą zwykle w takiej sytuacji mówiła i która niemal zawsze przynosiła skutek:

– Panie dyrektorze, my i tak dowiemy się wszystkiego, tylko od pana zależy, czy teraz czy za parę godzin.

Reakcja Rafała Lipca zaskoczyła ją. Nie odezwał się, ale jego twarz zaczęła się zmieniać. Spływał na nią spokój. Nie, to nie był tylko i wyłącznie spokój, raczej błogostan, coś jakby rozanielenie. Jeżeli twarz jest mimicznym odzwierciedleniem wnętrza, to ten człowiek właśnie osiągnął stan niebiańskiej szczęśliwości. Jej własne emocje ewoluowały w przeciwnym kierunku. Ogarnął ją niepokój. Dopiero teraz zauważyła, że dyrektor coś ściska w dłoni. To było niewielkie, płaskie pudełko. Rozpoznała je. Pudełko z fioletowym paskiem biegnącym wzdłuż dłuższej krawędzi, takie samo znaleźli podczas oględzin w pokoju trzydzieści dwa. Był to lek immunosupresyjny, przyjmowany przez pacjentów po przeszczepach, ale także przypisywany tym, którzy cierpią na poważne stany zapalne. Podczas śledztwa założyli, że lek immunosupresyjny znaleziony pod zwłokami kolekcjonera należał właśnie do niego.

Chorował przecież na zeszywniające zapalenie stawów kręgosłupa. Wygląda jednak na to, że to było błędne założenie.

Rafał Lipiec wyjął jedną tabletkę i włożył ją sobie do ust. Popił wodą, po czym wstał i ruszył do drzwi.

– Panie dyrektorze, to pan zabił Ester! – zawołała za nim Milena.

Nie odezwał się ani nie zatrzymał. Wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Pani prokurator wybrała numer komisarza. Gdy odebrał, zapytała:

– I co?

– Nic – odpowiedział krótko.

Nabrała do płuc powietrza, a potem niemal na jednym tchu powiedziała:

– To Rafał Lipiec jest sprawcą. Przed chwilą zażył przy mnie ten lek immunosupresyjny, który znaleźliśmy pod zwłokami Szymańskiego.

– Gdzie on teraz jest? – zapytał Kamil.

– Gdzieś na terenie hotelu. Przed chwilą wyszedł ze swojego gabinetu. Myślę, że może chce opuścić budynek.

– Dobra, zaraz powiadomię tych, którzy stoją przy wyjściu – powiedział Kamil i się rozłączył.

Milena schowała komórkę do kieszeni. Miała już wstać, ale właśnie w tej chwili w jej wyobraźni odtworzył się pewien obraz. Stało jej przed oczami rozanielone oblicze Rafała Lipca. Dopiero teraz pojęła, co oznacza ten dziwny wyraz twarzy. To decyzja o odebraniu sobie życia wprawiła go w taki stan. To nie mogło być nic innego. Dlaczego wcześniej się nie domyśliła?

Miała już wybrać po raz drugi numer komisarza, ale zrezygnowała. Za mało czasu, żeby przekonywać Kamila do swoich obaw. Tu trzeba działać natychmiast. Wiedziała, gdzie może znaleźć dyrektora. Powstrzyma go. Zerwała się i wybiegła na korytarz. Jej prędkie kroki na grubej wykładzinie były ledwo słyszalne. Schodami będzie szybciej niż windą, to przecież tylko piętro wyżej. Pokonywała stopnie po dwa na raz. Krew tętniła jej w skroniach, serce waliło. Czy zdąży? Była już na trzecim piętrze. Gdzieś trzasnęły drzwi. W ostatniej chwili dojrzała dwie sylwetki znikające w windzie. To chyba był Rumun z jeszcze jednym policjantem. To przecież on przeszukiwał trzecie piętro. Dopadła do pokoju trzydzieści dwa. Nacisnęła klamkę i wbiegła do środka. W świetle lampy ulicznej zobaczyła postać stojącą po prawej stronie. Był to dyrektor Lipiec. Mierzył do niej z pistoletu.

– Pod ścianę – rozkazał, pokazując Milenie ręką, gdzie ma stanąć. Nie ruszyła się. – No już!

Przesunęła się powoli w stronę wskazywanego miejsca. Nie czuła dławiącego strachu, raczej napięcie psychiczne. Oparła się plecami o ścianę i odetchnęła głęboko. Stali naprzeciwko siebie w ciemnym pokoju, ona i sprawca. Ona widziała go lepiej niż on ją, bo padało na niego światło z lampy ulicznej. Ale gdyby chciał ją zastrzelić, to nie miałby z tym żadnego problemu. Przecież dzieliły ich tylko trzy metry.

– Nie lubię pani – odezwał się Rafał Lipiec głosem, który nie wróżył nic dobrego.

Szkoda, pomyślała Milena, ale nie powiedziała tego głośno. Nie powinna go prowokować. Nie miała wątpliwości, że ten człowiek jest na emocjonalnej huśtawce i właśnie osiąga niebezpieczny pułap.

– Dlaczego mnie pan nie lubi? – zapytała, siląc się na spokojny ton.

– Bo pani zniszczyła mi życie – odpowiedział piskliwym głosem, jakby naśladował jakąś postać z kreskówki.

– Ja? – zdziwiła się. – A może to pan sobie sam zniszczył życie?

– Nie, niech pani nie próbuje mi wmówić, że sam sobie jestem wszystkiemu winien. Miałem doskonały plan, naprawdę znakomity. Bo najważniejsze to nie znaleźć się w kręgu podejrzanych, i to mi się udało. A pani wbrew logice upatrzyła sobie właśnie mnie, choć nie miała pani podstaw, bo nic na mnie nie mieliście. Przychodziła tu pani, do hotelu, do tego pokoju. I po co? Nie lepiej było siedzieć

w prokuraturze? Węszyła pani, aż znalazła te cholerne akcje. Mało tego, pojawiła się jeszcze pani w domu mojego teścia. I jeszcze wypytywała pani o mnie moich pracowników. Nieładnie, takie wścibstwo, wręcz nagonka. Ester była taka sama. Dręczyła mnie, nachodziła. Panoszyła się w tym hotelu jak właścicielka. Szpiegowała mnie, szantażowała. Całymi godzinami chodziła pod oknami mojego mieszkania. Była jak pijawka. Wpiła się we mnie i wysysała krew. Wiedziałem, że się nie odzepi, że mnie zniszczy, a na to pozwolić nie mogłem.

Milena wpatrywała się w Rafała Lipca, w jego kiwającą się na boki sylwetkę w ciemnym płaszczu. Niestety, nawet na moment nie opuścił ręki z pistoletem. Mimowolnie zarejestrowała fakt, że zaczyna padać deszcz. Przez otwarte na całą szerokość okno słychać było, jak duże, ciężkie krople uderzają o parapet.

– To pan udusił Ester?

– Tak, ja, to ja usunąłem ją z mojego życia, bo inaczej by mnie zniszczyła. Była wyrachowana i bezwzględna. Żadnej litości nie miała dla mnie, to dlaczego ja miałbym się nad nią zlitować? Prosiłem ją, tłumaczyłem, a ona nie i nie. Pijawka, harpia, sama by się nigdy nie odzepiła.

Szum deszczu narastał, stając się upiornym akompaniamentem dla słów dyrektora.

– A kolekcjonera kto zabił? – zapytała Milena.

Trzęsa się z zimna, bo do pokoju wpłynęła fala wyjątkowo chłodnego i wilgotnego powietrza.

– Kolekcjonera? – Rafał Lipiec był zdumiony, że o to pyta. – No przecież ja go zabiłem.

Ulewa zagłuszyła ostatnie słowa. Milena nie była pewna, czy je usłyszała czy tylko się ich domyśliła.

– Dlaczego?!

– Dla pani, żeby miała pani śledztwo, żeby miała pani motyw. Kolekcjoner był po to, aby nikt mnie nie podejrzewał, bo przecież ja nie miałem żadnego powodu, żeby go zabić. Usunięcie Szymańskiego to było zło konieczne, dla wyższego dobra. To jego śmiercią mieliście się zająć, a nie Ester. Rozumie pani? Ona was nie powinna w ogóle obchodzić.

– Rozumiem – powiedziała Milena. – Proponuję, żebyśmy zeszli teraz na dół. Pojedzie pan ze mną do prokuratury i złoży wyjaśnienia.

– Nie mogę – powiedział piskliwym tonem. – Wolę sobie strzelić w łeb, ale najpierw panią zabiję, bo to wszystko przez panią. Powinna pani szukać mordercy wśród kolekcjonerów albo znajomych Szymańskiego, a nie przyczepiać się do mnie.

Milena nie spuszczała oczu z ręki Rafała Lipca, w której trzymał pistolet. Lufa uniosła się parę centymetrów w górę. Miała wrażenie, że celuje wprost w jej głowę. Dopiero teraz dopadł ją strach, wręcz zwierzęce przerażenie w obliczu nieuchronnej śmierci. Otwartymi ustami łapała powietrze, ale ono nie chciało wpłynąć do płuc. Przez szum ulewy przebił się charakterystyczny trzask. To dyrektor odbezpieczył broń. Uniosła do góry ręce, jakby chciała zasłonić się przed kulą pistoletu. Huk ją zaskoczył, a chyba nie powinien. Wciąż stała i czuła ostry ból w sercu. Jakaś siła złapała ją za nogi i zaczęła wciągać w gorącą, gęstą otchłoań. Ze wszystkich sił próbowała dosięgnąć swojego tonącego umysłu.

Nagle jasne światło niemal ją uderzyło, jakby było czymś materialnym. Zacisnęła powieki i skuliła się, chowając głowę w ramiona. Jeszcze żyła, a więc nie trafił. Ulga. Otworzyła oczy i zobaczyła, że po przeciwnej stronie pokoju klęczy Rafał Lipiec. Jego twarz była sina i wykrzywiona, źrenice ogromne. Lewą dłonią ścisnął prawą rękę tuż nad nadgarstkiem. Z prawej dłoni spływała krew, pozostawiając ciemne plamy na wykładzinie. Broń leżała niedaleko kolan dyrektora.

W otwartych drzwiach pokoju stał Rumun. Na jego śniadej twarzy błysnęły białe zęby. Uśmiechał się. Najwyraźniej był zadowolony ze swojego strzału. Służbowego walthera trzymał przy nodze, lufą w dół. Kamil precyzyjnie się między nim a futryną. Pochylił się nad Rafałem Lipcem. Milena myślała, że chce mu

udzielić pierwszej pomocy, ale nie to było jego zamiarem. Komisarz wyprostował się i zwrócił do Rumuna:

– Trafiłeś go między kciuk a palec wskazujący. Jeżeli to nie przypadek, to szacun. – Za chwilę dodał: – Możesz liczyć na czterysta złotych premii.

– Brutto? – zapytał aspirant.

Milenę oszałamiał ich spokój. Jak oni mogą się tak zachowywać? Udają? Ona czuła się zupełnie rozbita. Miała wrażenie, że całe jej ciało składa się z niepasujących do siebie elementów. Na roztrzęsionych nogach dowleka się do okna i oparła o parapet. Słyszała, jak Rafał Lipiec szlocha, jęczy i coś mamrocze. Komisarz wzywał pogotowie. Potem zapadła cisza. Milena poczuła, że ktoś za nią stanął. Odwróciła się i ujrzała aspiranta Nowaka.

– Uratował mi pan życie – wyszeptwała.

– No, można tak powiedzieć.

Spojrzała w to miejsce, gdzie jeszcze niedawno klęczał Rafał Lipiec. Leżał tam pistolet, a plamy krwi chyba pociemniały.

– Zaraz przyjedzie sierżant Pocięcha i zrobimy dokumentację – powiedział Rumun. – Ja tu się wszystkim zajmę – zapewnił jeszcze.

– Nikt nigdy do mnie nie celował – powiedziała Milena.

Próbowała wytłumaczyć się przed aspirantem Nowakiem ze swojego stanu. Wydawało jej się, że on oczekuje, iż będzie tak samo spokojna jak on i komisarz. Ale nie potrafiła, nie dzisiaj. Rozległ się sygnał karetki pogotowia. Odjeżdżała spod hotelu.

– Muszę już iść. Czekają mnie przesłuchania, a chciałam jeszcze wypić kawę i coś zjeść.

– Tak, tak, proszę już iść – powiedział aspirant.

Wyszła na korytarz i skierowała się do windy. Wokół panowała cisza. Ten strzał zapewne wystraszył wiele osób. Jakiś funkcjonariusz powinien przejść się po pokojach i poinformować gości, że zagrożenie już minęło. Milena miała ochotę schować się w którymś z hotelowych pokoi. Opaść na łóżko i pogрузić się w odprężającym letargu. Nie czuć presji, nie mieć żadnych obowiązków, po prostu niczego nie musieć, tego jej było trzeba chociaż przez godzinę. Ale nie mogła sobie na to pozwolić. Przecież schwytanie sprawcy to nie finał, a dopiero początek.

# Spis treści

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)

[Rozdział XXI](#)

[Rozdział XXII](#)

[Rozdział XXIII](#)

[Rozdział XXIV](#)

[Rozdział XXV](#)